Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

WIKTOR HUGO

CZŁOWIEK ŚMIECHU

TOM PIERWSZY

TYTUŁ ORYGINAŁU
»L'HOMME QUI RIT<

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

W Anglii wszystko jest wielkie, nawet to, co złe, nawet oligarchia. Patrycjat angielski jest patrycjatem w całym znaczeniu tego słowa. Nigdzie feudalizm nie byt tak wspaniały, tak, straszliwy, tak żywotny. Trzeba przyznać zresztą, że feudalizm ten w swoim czasze był pożyteczny. Na przykładzie Anglii poznawać należy władze feudalnego pana, tak jak władzę królewską poznawać trzeba na przykładzie Francji.

Właściwy tytuł tej książki brzmieć by powinien: Arystokracja. *Następny tom nazwać by można* Monarchią. *A po tych dwu księgach, jeżeli danym będzie autorowi dokończyć swego dzieła—nastąpi trzecia, stanowiąca zamknięcie, która* nosić będzie tytuł; Rok dziewięćdziesiąty trzeci.

Hauteville-House. 1869.

CZĘŚĆ PIERWSZA

MORZE I NOC

DWA ROZDZIAŁY PRZEDWSTĘPNE

I. URSUS

Ursus i Homo związani byli wielką przyjaźnią. Ursus był człowiekiem, Homo był wilkiem. Charaktery ich pasowały do siebie znakomicie. Człowiek to nadał imię wilkowi, a swoje własne też zapewne sam obrał sobie i nazwę Ursus uznał za najwłaściwszą dla siebie, nazwę zaś Homo za najwłaściwszą dla zwierzęcia. Para ta – człowiek i wilk – wędrowała po jarmarkach i odpustach, pojawiała się na ludnych, ruchliwych ulicach miast. Ludzie wszędzie chętnie słuchają żartów i facecji, wszędzie kupują cudowne, uzdrawiające wszelakie choroby lekarstwa. Z tego też żyli Ursus i Homo. Wilk, łagodny, przymilny i posłuszny, podobał się tłumowi. Ludzie lubią bowiem patrzyć na wszystko, co oswojone, podporządkowane woli człowieka. Naszą największą przyjemnością jest przypatrywanie się najrozmaitszym rodzajom i odmianom obłaskawienia. Dlatego to właśnie tyle jest zawsze gapiów przy przejeździe królewskiego orszaku.

Ursus i Homo wędrowali od rozstaja do rozstaja, od rynku w Aberystwith do rynku w Yeddburg, z kraju do kraju, od hrabstwa do hrabstwa, z miasta do miasta. Kiedy gdzieś przestawano już przyglądać się im, słuchać i kupować leki – przenosili się dalej. Mieszkaniem Ursusa była buda na kółkach. Obłaskawiony Homo ciągnął ją we dnie i pilnował nocą. Nieraz droga bywała ciężka, pod górę, błotnista, rozorana koleinami. Wówczas człowiek przewiązywał się przez pierś pasem i ciągnął wózek razem z wilkiem, po bratersku, ramię przy ramieniu. I tak się razem zestarzeli. Obozowali, gdzie wypadło: na ugorach, na polanach, u rozstaju dróg, na skraju wioski, u bram miasta, w halach targowych, na jarmarcznych placach, przy ogrodzeniach parków, na przykościelnych cmentarzach. Kiedy wózek zatrzymywał się wśród jarmarku, kiedy zbiegły się ciekawe przekupki i gapie otoczyli go wkoło, Ursus zaczynał rozprawiać, a Homo przytakiwał mu głową i z miseczką drewnianą w pysku grzecznie obchodził zbiegowisko. Tak zarabiali na życie. Wilk był uczony, człowiek także. Wilk był wytresowany przez swego pana, a może też i sam z własnego instynktu przymilał się na swoje wilcze sposoby, byleby uzbierać jak najwięcej. – Żebyś mi się tylko nie wyrodził na człowieka – mawiał mu przyjaciel.

Wilk nie gryzł nigdy, człowiek – czasami. A w każdym razie nieraz bywało to pragnieniem Ursusa. Ursus był mizantropem i z tej przyczyny właśnie został wędrownym kuglarzem. A i dlatego również, żeby żyć, bo żołądek dopomina się o swoje prawa. Co więcej, ten kuglarz-mizantrop, może dlatego, żeby udziwnić się jeszcze bardziej, a może też dlatego, żeby dopełnić kształtu swej postaci, był znachorem. Ale j. to jeszcze nie wszystko: Ursus był również brzuchomówcą. Potrafił mówić nie poruszając ustami, potrafił naśladować do złudzenia i na zawołanie każdy akcent, każdą wymowę, każdy głos. Sam jeden również mógł udać pomruk tłumu. Słowo „brzuchomówca" brzmi po grecku *engastrimithos*. Ursus chętnie zwał się tym imieniem. Umiał też oddawać wszelkie krzyki ptaków: drozda, szpaka, skowronka, kosa z białym podgardlem, ptaków wędrownych jak i on; mógł więc wedle swej woli i w każdej

chwili wywołać odgłosy czy to placu publicznego, wypełnionego zgiełkiem tłumu, czy też łąki rozbrzmiewającej ptasim śpiewem, odgłosy burzliwe jak motłoch lub też pogodne i niewinne jak poranek. Talenty podobne spotyka się zresztą, chociaż nieczęsto. W ubiegłym stuleciu niejaki Touzel, który naśladować potrafił odgłosy ciżby ludzkiej i zwierzęcej i krzyk każdego stworzenia, służył u Buffona w charakterze menażerii. Ursus był bystry i ciekawy i zjawiska świata tego skłonny był tłumaczyć w sposób nieoczekiwany, jakże nieraz podobny do bajki. I wydawało się, że sam w nie wierzy. Przyglądał się podanej sobie czyjejkolwiek ręce, otwierał na chybił trafił swoje księgi i orzekał, przepowiadał losy, pouczał, że niebezpiecznie jest napotkać czarną klacz, że jeszcze niebezpieczniej jest, jeżeli przed wyruszeniem w podróż na wyjeżdżającego zawoła ktoś nieświadomy celu jego drogi. Ursus zwał sam siebie „handlarzem zabobonów". „Pomiędzy arcybiskupem Canterbury i mną jest jedna tylko różnica: ja się do tego przyznaję" – mawiał. Aż wreszcie słusznie oburzony arcybiskup zawezwał go dnia pewnego przed swe oblicze. Lecz zręczny Ursus zupełnie rozbroił jego wielebność wygłaszając przed nim kazanie ułożone przez siebie na święto Bożego Narodzenia, kazanie, którego zachwycony arcybiskup wyuczył się na pamięć i wygłosił z ambony, podając za własne. A więc tym Samy m arcybiskup Ursusowi przebaczył.

Ursus, choć był znachorem, a może też dlatego właśnie, że nim. był, leczył skutecznie. Stosował wywary. Znał się świetnie na ziołach. Potrafił wykorzystać moc kryjącą się w garstce nędznych chwastów, w niepozornych listkach kruszyny, kaliny, niezapominajki, szakłaku czy skrzypu. Suchoty leczył rosiczką, skutecznie zalecał liście ostromlecza, które, wyrwane za szypułkę, są środkiem przeczyszczającym, zerwane zaś za listek – środkiem na wymioty; ból gardła uśmierzał za pomocą pasożyta roślinnego zwanego „psim uchem"; wiedział, jaki gatunek trzciny leczy wołu, jaki rodzaj mięty uzdrawia konie, znał się również na dobrodziejstwach i urokach mandragory, która – jak to każdemu wiadomo – kryje w sobie elementy męskie i kobiece. Ursus miał swoje recepty. Oparzenie leczył wełną salamandry, z której – jak to Pliniusz przekazuje – utkano niegdyś ręcznik dla Nerona. Miał on również retorty i butle, warzył w nich i mieszał napary z ziół i sprzedawał driakiew. Opowiadano o nim, że był niegdyś przez czas pewien zamknięty w Bedlam; uznano go tam szczęśliwie za niespełna rozumu i został zwolniony, gdyż przekonano się, że jest on tylko poetą. Historia ta nie była zapewne prawdziwa; za każdym z nas snują się jakieś legendy.

W rzeczywistości zaś był Ursus wędrownym filozofem, znawcą literatury i wytrawnym łacińskim poetą. Był on wykształcony podwójnie: hipokratyzował i pindaryzował. Mógłby konkurować kwiecistością stylu z takimi poetami, jak Rapin i Vida. Mógłby układać jezuickie tragedie w sposób nie mniej triumfalny, niż to czynił ojciec Bouhours. Z rytmami i metrami starożytnych spoufalony był tak dalece, że wyrobił sobie własny sposób obrazowania i używał swoistych klasycznych metafor. O matce, przed którą szły dwie córki, mawiał: „to daktyl"; o ojcu, za którym szło dwu synów: „to anapest", o dziecku zaś idącym pomiędzy babką i dziadkiem: „to kretyk". Tak rozległa wiedza prowadzić może jedynie do nędzy. Szkoła z Salerno głosi: „Jadaj niewiele i często." Ursus jadał niewiele i rzadko; był więc posłuszny pierwszej części tej zasady, nieposłuszny zaś jej części drugiej; a obwinić tym należy publiczność, która nie zawsze się gromadziła ł nieczęsto kupowała. Ursus mawiał: „Lżej jest człowiekowi, gdy wycharknie z gardła sentencję. Wilk ma na pociechę wycie, baran – wełnę, las – śpiewające ptaki, kobieta – miłość, a filozof – sentencję filozoficzną." W razie potrzeby Ursus układał komedie, które sam odgrywał jako tako; pomagało to w sprzedaży leków. Wśród wielu innych dzieł ułożył był również berżeradę heroiczną na cześć kawalera Hugha Middletona, który w roku 1608 obdarzył Londyn rzeką. Rzeka ta płynęła sobie spokojnie w hrabstwie Hartford, o sześćdziesiąt mil od Londynu, a kawaler Middieton przyszedł i zabrał ją; przyprowadził ze sobą brygadę sześciuset ludzi uzbrojonych w łopaty i motyki, zaczął przekopywać grunt, tu go obniżał, tam go podwyższał, tu o dwadzieścia stóp w górę, tam o trzydzieści stóp w głąb, ustawił nad ziemią drewniane akwedukty, przerzucił osiemset mo-

stów z kamienia, z cegły, z bali i pewnego pięknego dnia rzeka zjawiła się w Londynie, który cierpiał na brak wody. Ursus te pospolite wydarzenia przemienił w piękną bukolikę, w której występuje rzeka Tamiza i strumień Serpentine. Rzeka zaprasza tam strumień do swego łoża, mówiąc mu: „Jestem już zbyt stara, żeby mogli mnie jeszcze kochać mężczyźni, dość jednak jestem bogata, by im płacić." Miało to wyrazić w sposób wykwintny i zręczny, że sir Hugh Middleton przeprowadził wszystkie prace własnym sumptem.

Ursus często prowadził głośne monologi. Był on dziki i gadatliwy zarazem, nie pragnął towarzystwa ludzi, a odczuwał potrzebę rozmowy. Radził sobie więc w ten sposób, że mówił sam do siebie. Każdy, kto żył samotnie, wie, jak bardzo taki monolog właściwy jest naturze człowieka. Słowo zamknięte w naszym wnętrzu świerzbi. Przemawianie w przestrzeń uwalnia od tego niemiłego uczucia. Kiedy się głośno mówi w samotności, wydawać by się mogło, że jest to dialog z bogiem, którego każdy z nas nosi w sobie. Było to też – jak wiadomo – obyczajem Sokratesa. Rozprawiał on sam ze sobą, czynił tak również i Luter. Ursus odziedziczył po tych wielkich mężach to przyzwyczajenie. Posiadał on tę obojnacką zdolność do stawania się swoim własnym słuchaczem. Zapytywał sam siebie i odpowiadał sam sobie, czasem swoją własną osobę wysławiał, czasem ją znieważał. Nieraz słychać było na ulicy, jak rozmawia sam ze sobą w swojej budzie. Przechodnie, którzy w ocenie myślicieli stosują swoistą miarę, mawiali; wariat, Ursus lżył nieraz sam siebie, jakeśmy to już powiedzieli, czasami jednakże potrafił zdobyć się też i na sprawiedliwość. Pewnego dnia, kiedy tak do siebie przemawiał, usłyszano, jak nagle głośno wykrzyknął: „Poznałem wszystkie tajemnice rośliny, tajemnice jej łodygi, pączka, kielicha, płatków, pręcików, pylników, przylistków, tajemnice grzybowej zarodni i splątka. Zgłębiłem tajniki powstawania koloru, zapachu i smaku." Zapewne, to korzystne mniemanie o sobie nie było wolne od odrobiny zarozumiałości. Niech jednak ci, co nigdy nie zgłębiali tajników powstawania zapachu, koloru i smaku, pierwsi rzucą na niego kamieniem.

Ursus, na swoje szczęście; nigdy nie był w Holandii. Bo niewątpliwie usiłowano by go tam zważyć, aby się przekonać, czy ciężar jego ciała mieści się w granicach normy przewidzianej przez prawo. Człowiek, którego waga tej normie nie odpowiadała – a więc czy to cięższy, czy to lżejszy – był uznawany za czarownika. Trudno wyobrazić sobie sposób bardziej prosty i bardziej pomysłowy. Oto jak odbywała się próba. Podejrzanego o czary stawiano na szali i jeżeli ciężar jego zakłócił jej równowagę, prawda okazywała się ponad wszelką wątpliwość; zbyt ciężkich wieszano, zbyt lekkich palono. Nawet i dziś jeszcze można oglądać w Oudewater wagę do ważenia czarowników, obecnie jednakże służy ona już tylko do ważenia serów, tak nisko upadła religia. Ursus na pewno miałby z tą wagą do czynienia. W wędrówkach swoich omijał też Holandię i słusznie czynił. Wydaje się nam nawet, że ani razu nie przekroczył granic Anglii.

Jakkolwiekby się zresztą te sprawy miały, Ursus był bardzo ubogi i bardzo zgorzkniały, i kiedy razu pewnego napotkał w lesie Homo, nabrał zamiłowania do włóczęgi. Wziął więc sobie wilka za towarzysza i powędrowali razem przed siebie, gdzie oczy poniosą. Ursus miał wiele zdumiewających, rzadko spotykanych talentów, wiele pomysłów, przede wszystkim zaś posiadł on trudną sztukę leczenia, operowania, pomagania ludziom w chorobie i dokonywania wręcz cudownych uzdrowień; miał też opinię zręcznego kuglarza i dobrego znachora. Tu i ówdzie – jak to zrozumieć nie trudno – uważano go za czarownika, po cichu jednakże, bo w czasach owych posądzenie o przyjaźń z diabłem bardzo bywało niebezpieczne, I Ursus rzeczywiście narażał się, gdyż często dla zaspokojenia swych zielarskich i znachorskich namiętności zapuszczał się poszukując ziół w mroczne leśne uroczyska, gdzie rośnie trawa Lucyfera i gdzie – jak stwierdza to radca De l'Ancre – o wieczornej mgle spotkać można wyłaniającą się spod ziemi postać ludzką „ślepą na prawe oko, bez płaszcza, ze szpadą u boku, o stopach gołych i bosych", Ursus zresztą, choć zarówno wygląd jego jak i usposobienie odznaczało się niecodziennością nie lada jaką, był człowiekiem zbyt statecznym, żeby przywoływać czy też

rozpędzać gradowe burze, pokazywać zjawy, żeby zabijać człowieka tańcem, którego przerwać nie byłby on w stanie, żeby sprowadzać na ludzi sny, pogodne czy też smutne i pełne grozy. Ani jeden kogut o czterech skrzydłach nie wylągł się z jego przyczyny, nie zajmował się on wyrządzaniem ludziom tak niewybrednych złośliwości. Niezdolny byłby również i do innych obrzydliwych czynów. Nie potrafił więc, na przykład, mówić po niemiecku, po grecku czy po hebrajsku nigdy się tych języków nie ucząc, co jest niechybną oznaką szkaradnej zbrodniczości albo też wrodzonej choroby, wynikającej z melancholijnych humorów. Ursus mówił wprawdzie po łacinie, ale dlatego tylko, że nauczył się niegdyś tego języka. Nigdy by też sobie nie pozwolił na używanie mowy syryjskiej, ponieważ jej nie znał. Zostało zresztą dowiedzione, że języka tego używano podczas sabatów. W medycynie zaś Ursus przekładał Galienusa nad Cardana. Cardan, choć niewątpliwie wielki uczony, był tylko robakiem w porównaniu z Galienusem.

Tak więc nie należał Ursus do ludzi prześladowanych przez policję. Buda jego dość była obszerna, by mógł się w mej położyć, na skrzyni, w której chował swój ubogi dobytek. Posiadał latarnię, kilka peruk i parę innych jeszcze przedmiotów, a wśród nich instrumenty muzyczne; pozawieszane na gwoździach. Posiadał też skórę niedźwiedzia, którą wkładał na wielkie występy. Nazywał to przebieraniem się w strój galowy. „Mam dwie skóry; oto prawdziwa" – mawiał wtedy. Buda na kółkach była własnością jego i wilka. Prócz tej budy. swoich butli i swego wilka, miał jeszcze flet i lutnię i ładnie na nich grywał. Eliksiry swoje przyrządzał sam. Przy pomocy wszystkich tych talentów udawało mu się czasem zarobić na obiad. W suficie budy przebita była dziura dla rury żelaznego piecyka, który stał tuż przy skrzyni, przypalając nieraz jej drewniany bok. Piecyk ten miał dwie przegrody: w jednej z nich Ursus ważył swoje alchemiczne mikstury, w drugiej zaś piekł kartofle. Nocą Wilk sypiał pod budą, przywiązany łańcuchem. Homo miał sierść czarną, a Ursus włos już siwy. Miał lat pięćdziesiąt, może nawet i sześćdziesiąt. Do tego stopnia pogodził się z nędznym przeznaczeniem człowieka, że jadał – jakeśmy to już mówili – kartofle, paskudztwo, którym w owym czasie karmiono tylko wieprze i skazańców. A on to jadał z obrzydzeniem i rezygnacją. Był wysoki, lecz chudy, przygarbiony i melancholijny. Trudy życia przygięły ku ziemi jego starczą postać. Sama natura stworzyła go jakby do smutku. Uśmiechał się rzadko i z wysiłkiem, a płakać nigdy nie potrafił. Nie znał więc pocieszenia, jakie dają łzy, ani też ulgi, jaką przynosi wesołość. Stary człowiek – to myśląca ruina. Taką właśnie ruiną był Ursus. Wielomówność szarlatana, przeraźliwa chudość proroka i wybuchowość pocisku – oto jego obraz. W młodości zaś był nadwornym filozofem u pewnego lorda.

Działo się to lat temu sto osiemdziesiąt, w czasach kiedy ludzie trochę bardziej jeszcze niż dzisiaj byli do wilków podobni. Lecz niewiele bardziej niż dzisiaj.

II

Homo był to wilk nie byle jaki. Z apetytu na nieszpułki i jabłka wziąć by go można było za wilka łąkowego, z ciemnej sierści – za afrykańskiego lykaona, z głosu zaś, który bardziej był podobny do szczekania niż do wycia, za zwierzę zwane *canis culpeus,* które żyje w Ameryce Południowej. Nie wiemy jednak jeszcze w dostatecznej mierze, jak zachowuje się źrenica tego zwierzęcia, nie możemy więc mieć pewności, czy aby nie jest ono po prostu lisem, Homo zaś był najprawdziwszym wilkiem. Miał on pięć stóp długości, co nawet u wilków na Litwie rzadko się spotyka; silny był bardzo; zezował; nie było to zresztą jego winą. Język miał miękki i nieraz lizał nim Ursusa. Wąska, nastroszona szczoteczka krótkich włosów sterczała mu wzdłuż kręgosłupa, był chudy zdrową chudością leśnego zwierzęcia. Kiedy nie znał jeszcze Ursusa, kiedy nie zaprzęgnięto go jeszcze do wózka, z łatwością przebiegał po czterdzieści mil w ciągu nocy. Ursus napotkawszy go w zaroślach, na brzegu strumyka, docenił

jego zalety widząc, jak ostrożnie i rozważnie zabiera się do łowienia raków, i rozpoznał w nim uczciwego i prawdziwego wilka kupara, z gatunku zwanego również psem-krabojadem.

Homo, jako zwierzę pociągowe, był według Ursusa lepszy od osła. Przykro by mu było zaprząc osła do swej budy na kółkach, zbyt wysoko bowiem cenił te zwierzęta. Zauważył również, że osioł, czworonóg myślący i nie doceniany przez ludzi, w niepokojący sposób strzyże uszami, kiedy filozofowie zaczynają mówić głupstwa. Osioł występuje więc w życiu jako osoba trzecia, stająca pomiędzy nami i naszymi myślami, a to bywa niewygodne. Jako przyjaciel zaś Homo milszy był Ursusowi niż pies, mawiał bowiem, że wilk przejść musiał o wiele dłuższą drogę do zawarcia przyjaźni z człowiekiem.

Dla tych wszystkich względów Ursus wybrał sobie Homo. Był on dla niego więcej niż towarzyszem, był jego odpowiednikiem. Ursus klepał go po zapadłych bokach i powtarzał: „Znalazłem drugi tom samego siebie."

Mawiał również: „Kiedy umrę, ktokolwiek chciałby dowiedzieć się, kim byłem, niechaj przyjrzy się uważnie Homo. Pozostawię go po mojej śmierci jako kopię zgodną z oryginałem."

Prawo angielskie, niezbyt pobłażliwe dla leśnych zwierząt, łatwo mogłoby zatruć życie temu wilkowi, co z całym spokojem odważał się wchodzić do miast, ale Homo korzystał z immunitetu nadanego „sługom" przez Edwarda IV: „Służący, towarzyszący panu, ma prawo swobody poruszania się." Prócz tego zaś nastąpiło pewne złagodzenie ustawy o dzikich zwierzętach w stosunku właśnie do wilków dzięki modzie, panującej wśród dam dworu za czasów ostatnich Stuartów, na małe wilki, zwane łapczywymi, nie większe od kota, które za wielkie sumy sprowadzano z Anglii i trzymano zamiast psów.

Ursus przekazał Homo niektóre ze swoich umiejętności. Nauczył go stać na dwu łapach, opanowywać złość tak, by stawała się tylko złym humorem, nauczył go pomrukiwać wtedy, kiedy chciałby wyć, i wielu innych podobnych rzeczy; wilk zaś też ze swej strony został nauczycielem człowieka; pokazał mu, w jaki sposób obchodzić się można bez dachu, bez chleba i bez ognia, nauczył go, że lepszy jest głód w lesie od niewolniczej służby w pałacu.

Wózek-buda, co wzdłuż i wszerz przejeździł Szkocję i Anglię, miał cztery koła, dyszel dla wilka i orczyk, do którego przyprzęgał się Ursus na trudniejszych drogach. Wózek był solidny, zbity z mocnych a lekkich, uszczelnionych gipsem desek. Na przedzie miał oszklone drzwiczki, wychodzące na niewielki balkonik, coś pośredniego pomiędzy amboną i trybuną, z którego Ursus przemawiał i rozprawiał, z tyłu zaś – drugie drzwiczki, te już z pełnego drzewa, z wyciętym czworokątnym otworem. Wchodziło się zaś do budy po trzech schodkach opuszczanych na zawiasach obok drewnianych drzwiczek. Nocą buda zamykana była od wewnątrz na mocne zamki i zasuwy. Niejeden raz padały na nią śniegi i deszcze. Kiedyś, przed laty, była nawet pomalowana, ale na jaki kolor – tego nikt by już nie mógł określić dokładnie, bo czym dla dworzan zmiany panowania tym dla wozów są zmiany pór roku. Na przodzie wózka, na umieszczonej na zewnątrz deszczułce, można było niegdyś odczytać napis wykaligrafowany na białym tle czarnymi literami, które z upływem czasu zacierały się i bladły coraz bardziej:

„Złoto rokrocznie traci przez tarcie czternaście setnych swojej objętości; nazywa się to «wytarciem się monet; wynika stąd, iż z czternastu milionów sztuk złota, będących w obiegu na całej kuli ziemskiej, rokrocznie ginie milion. Te milion sztuk złota rozprasza się w pył, ulatuje w powietrze, unosi się w nim, wdycha się je w oddechu, obciąża ono swoim ciężarem sumienia, wtapia się w dusze bogaczy, które stają się przez to wyniosłe, wtapia się w dusze ubogich, które stają się przez to dzikie."

Inskrypcja ta, zamazana, zatarta przez deszcze i przez łaskawość opatrzności, była już na szczęście nieczytelna, obawiać by się bowiem należało, że ta filozoficzna sentencja o wdy-

chanym złocie, zagadkowa i przejrzysta równocześnie, nie najbardziej przypadłaby do smaku szeryfom, sędziom, marszałkom" i innym nosicielom peruki prawa. Ustawodawstwo angielskie w owych czasach nie żartowało, nie trudno było zostać uznanym za przestępcę. Urzędnicy byli surowi z tradycji, okrucieństwo stało się rutyną. Od sędziów śledczych roiło się co krok, Jeffrys nie umarł bezpotomnie.

III

We wnętrzu budy znajdowały się jeszcze dwie inne inskrypcje. Nad skrzynią, na ścianie z pobielonych wapnem desek, widniał wypisany ręcznie atramentem tekst następujący:

„J e d y n e r z e c z y, j a k i e w i e d z i e ć n a l e ż y:

Baron, par Anglii, nosi biret obszyty sześciu perłami

Korona zaczyna przysługiwać od wicehrabiego.

Wicehrabia nosi koronę ozdobioną perłami bez liczby, hrabia – koronę z pereł umieszczonych na pałkach, przeplecionych liśćmi poziomki, które są poniżej pałek położone; w koronie margrabiego liście poziomki i pałki z perłami mają jednakową wysokość; książę ma w swej koronie kwiatony, bez pereł, książę krwi nosi obręcz z krzyży i kwiatów lilii, książę Walii – koronę taką samą jak królewska, tylko nie zamkniętą.

Książę jest «jego książęcą mością», margrabia i hrabia – «jaśnie wielmożnymi panami», wicehrabia – «jaśnie panem», baron – «wielmożnym panem».

Książę jest «jego łaskawością», inni parowie są «ich wielmożnościami».

Lordowie są nietykalni.

Parowie są izbą i sądem, *concilium et curia,* stanowią prawa i wymierzają sprawiedliwość.

Most honourable to więcej niż *right honourable.*

Lordowie, którzy są parami, uznani są za «lordów z prawa»; lordowie, którzy parami nie są, uznawani są za «lordów tytularnych; prawdziwymi lordami są tylko parowie.

Lord nigdy nie składa przysięgi ani przed królem, ani też wobec prawa. Słowo jego wystarcza. Mówi: «na mój honor».

Gminy, które są przedstawicielstwem ludu, wezwane przez Izbę Lordów, stawiają się pokornie i z odkrytą głową przed obliczem parów, którzy nakrycia głowy zachowują.

Gminy przysyłają lordom bille przez czterdziestu swoich członków, którzy podają lordom bili z trzema głębokimi ukłonami. Lordowie przysyłała Gminom bille przez zwykłego pisarza.

W wypadkach spornych obie izby obradują w Izbie Wzorzystej, przy czym lordowie siedzą i zachowują nakrycia głowy, Gminy zaś stoją i głowy mają odkryte.

Na zasadzie prawa wydanego przez Edwarda VI lordowie mają przywilej zwykłego mężobójstwa. Lord, który by w zwykły sposób zabił człowieka, nie będzie ścigany przez prawo.

Baronowie mają ten sam stopień co i biskupi.

Aby być baronem-parem, trzeba zależeć od króla poprzez dzierżenie pełnej baronii od niego nadanej, per baroniam *integram.*

Baronia pełna składa się z trzynastu lenn szlacheckich i jednej ćwierci, każde lenno szlacheckie przynosi po dwadzieścia funtów szterlingów, co razem daje czterysta grzywien.

Siedzibą baronii, *caput baroniae,* jest zamek władany dziedzicznie tak jak Anglia; a więc tylko w braku męskich potomków przejść on może drogą spadku na córki, w tym wypadku zaś przechodzi na córkę najstarszą *caeteris filiabus aliunde satis-factis*[1].

[1] Co znaczy: inne córki wyposaża się w miarę możności (Przypisek Ursusa na ścianie, na marginesie tekstu).

Baron ma godność lorda; nazwa ta brzmi po saksońsku *laford, w* łacinie klasycznej *dominus,* a w łacinie średniowiecznej lordus.

Pierworodni i młodsi synowie wicehrabiów i baronów są pierwszymi giermkami królestwa.

Pierworodni synowie parów mają pierwszeństwo przed kawalerami orderu podwiązki; młodsi synowie parów tegoż pierwszeństwa nie mają.

Pierworodny syn wicehrabiego zajmuje miejsce po wszystkich baronach, a przed wszystkimi baronetami.

Każda z córek lorda nosi tytuł *lady.* Wszystkie inne angielskie dziewice nazywają się miss.

Wszyscy sędziowie stoją niżej od parów. Podsędek nosi czapkę z futra baranka; sędzia nosi czapkę z popielic mniejszych, *de minuto vario,* czyli z niewielkich białych skórek wszelkiego rodzaju zwierząt, z wyjątkiem gronostai. Prawo noszenia gronostai mają tylko parowie i król.

Przeciw lordowi nie przysługuje prawo *supplicavit.*

Lord nie może być osadzony w więzieniu. Wyjątek stanowi Wieża Londyńska.

Każdy lord wezwany przed oblicze króla ma prawo do zabicia jednego lub dwu danieli w królewskim zwierzyńcu.

Lord zwołuje w swoim zamku radę baronów.

Pojawienie się na ulicy w płaszczu i w towarzystwie dwu tylko lokat nie jest godne lorda. Towarzyszyć mu powinna liczna świta rękodajnych, pozostających u niego na służbie.

Parowie zjeżdżają się do parlamentu w karetach, kolejno; Gminy – nie. Niektórzy parowie udają się do Westminsteru w kolasie na pasach, o czterech kołach. Używanie tych kolas i karet herbowych określonego kształtu dozwolone jest tylko lordom, jest to przywilej ich godności.

Lord tylko przez lordów skazany być może na zapłacenie grzywny, i to tylko do wysokości pięciu szylingów, z wyjątkiem książąt, którzy mogą być skazani na zapłacenie dziesięciu szylingów.

Lord może mieć na swojej służbie Sześciu cudzoziemców. Każdy inny Anglik – tylko czterech.

Lord ma prawo do posiadania ośmiu beczek wina nie płacąc od nich podatku.

Jedynie lord nie jest zobowiązany do stawienia się na wezwanie szeryfa obwodu.

Lord nie może być obciążony płaceniem podatku na wojsko.

Lord, jeżeli taka jest jego wola, może wystawić pułk i ofiarować go królowi; tak też uczynili jaśnie oświeceni książę Athol, książę Hamilton i książę Northumberlandu.

Lord zależy tylko od lordów.

W procesach cywilnych może on żądać odroczenia rozprawy, jeżeli wśród sędziów nie zasiada co najmniej jeden szlachcic.

Lord sam mianuje swoich kapelanów.

Baron mianuje trzech kapelanów; wicehrabia - czterech; hrabia i margrabia—pięciu; książę—sześciu.

Lord nie może być brany na tortury, nawet za zdradę stanu.

Lord nie może być napiętnowany na ramieniu.

Lord jest światły, nawet nie umiejąc czytać. Oświecenie przysługuje mu z prawa.

Książę zasiada pod baldachimem wszędzie, gdzie nie ma króla;

wicehrabia zasiada pod baldachimem w swoim domu; baron w czasie spełniania kielicha ma prawo kazać sobie pod nim trzymać przykrywę; tren sukni baronowej w obecności wicehrabiny nieść może jeden paź.

Osiemdziesięciu sześciu lordów czy też pierworodnych synów lordów zasiada na pierwszych miejscach przy osiemdziesięciu sześciu stołach, na pięćset nakryć każdy, jakie zasta-

wiane są codziennie dla jego królewskiej mości w jego pałacu, na koszt prowincji, w której znajduje się królewska rezydencja.

Nie-szlachcicowi, który by uderzył lorda, kat ucina dłoń. Lord jest prawie królem. Król jest prawie Bogiem. Ziemia jest lordostwem. Anglicy mówią do Boga: «Milordzie».”

Na przeciwległej ścianie przeczytać było można drugą inskrypcję, w podobny sposób wypisaną. Oto ona:

„S a t y s f a k c j e, k t ó r e w y s t a r c z y ć p o w i n n y t y m, c o n i c n i e m a j ą.

Henryk Auverquerque, hrabia Grantham, który zasiada w Izbie Lordów pomiędzy hrabią Jersey i hrabią Greenwich, ma sto tysięcy funtów szterlingów renty. Do jego dóbr lennych należy pałac Grantham-Terrace, cały wybudowany z marmuru, słynny z osobliwości zwanej labiryntem korytarzy. W labiryncie tym jest korytarz jasnoróżowy, wykładany marmurem z Sarancolinu, korytarz brązowy, wykładany marmurem z muszlami z Astrachania, korytarz biały, wykładany marmurem, z Lani, korytarz czarny, wykładany marmurem z Alabandy, korytarz szary z marmuru ze Staremma, korytarz żółty z marmuru z Hesji, korytarz zielony z marmuru z Tyrolu, korytarz czerwony, wykładany w części marmurem czerwonobrunatnym z Czech, w części zaś marmurem z Kordoby, korytarz niebieski z ciemnobłękitnego marmuru genueńskiego, korytarz fioletowy z katalońskiego granitu, korytarz żałobny z czarnego, biało żyłkowanego marmuru z Murviedro, korytarz różowy z alpejskiego cypolinu, korytarz perłowy z marmuru z Nonette i korytarz pstrokaty, zwany korytarzem dworzan, wykładany płytami ze skał różnokolorowych, jak strój arlekina.

Ryszard Lowther, wicehrabia Londsdale, mieszka w Westmoreland, w zamku Lowther, którego okazałość i przepych wydaje się zapraszać do wejścia króli.

Ryszard hrabia Scarborough, wicehrabia i baron Lumley, wicehrabia na Waterford w Irlandii, lord-porucznik i wiceadmirał hrabstwa Northumberland oraz miasta i hrabstwa Durham, ma w Stansted dwie kasztelanie, starą i nowowybudowaną, przy której podziwiać można wspaniałą kratę otaczającą półkolem basen z nieporównanej piękności fontanną. Własnością lorda jest również i zamek w Lumley.

Robert Darcy, hrabia Holderness, ma w posiadłości swojej w Holderness zamek i niezmierzonej wielkości francuskie ogrody, po których odbywa przejażdżki w poszóstnej karecie, poprzedzanej przez dwóch forysiów, jak to parowi Anglii przystoi.

Karol Beaclerk, książę Saint-Albans, hrabia Burford, baron Heddington, wielki sokolniczy Anglii, ma w Windsorze rezydencję wyglądającą po królewsku nawet przy rezydencji samego króla.

Karol Bodville, lord Robartes, baron Truro, wicehrabia Bodmyn ma w Cambridge posiadłość Wimple, w której znajdują się trzy pałace z trzema frontonami. Dwa z nich są trójkątne, jeden zaś owalny. Aleja wjazdowa wysadzana jest czterema rzędami drzew.

Szlachetny i wielmożny lord Filip Herbert, wicehrabia Caerdif, hrabia Montgomery, hrabia Pembroke, pan na Candall, Marmion, Saint Quentin i Churland, strażnik olbór cynowych w hrabstwach Kornwalii i Devon, dziedziczny wizytator Kolegium Jezusowego, ma w Will ton wspaniały park, w którym znajdują się dwa baseny o fontannach piękniejszych niż te, co zdobią ogrody arcychrześcijańskiego króla Ludwika XIV w Wersalu.

Karol Seymour, książę Somerset, ma Somerset-House na Tamizie, który dorównuje pięknością willi Pamfili w Rzymie. Na wielkim kominku stoją tam dwie wazy porcelanowe z czasów dynastii Yuen, których wartość równa jest pół milionowi franków.

Artur, lord Ingram, wicehrabia Irwin, ma w Yorkshire, w Temple-Newsham, zamek, do którego wejście prowadzi pod łukiem triumfalnym, rozległe zaś i płaskie jego dachy przypominają mauretańskie terasy.

Robert lord Ferres de Chartley, Bourchier i Lovaine, ma w Leicestershire posiadłość Staunton-Harold. Park jej założony jest na planie geometrycznym w kształcie świątyni z frontonem, a wielki kościół z kwadratową dzwonnicą, wystawiony nad wodą, należy do jego kasztelanii.

W hrabstwie Northampton Karol Spencer, hrabia Sunderland, członek rady przybocznej jego królewskiej mości, ma posiadłość Althrop, do której wejście prowadzi przez bramę z kraty żelaznej, przyozdobionej czterema filarami zwieńczonymi rzeźbami z marmuru.

Laurenty Hyde, hrabia Rochester, ma w Surrey New-Parke słynący ze wspaniale rzeźbionego akroterium, z kolistego, otoczonego drzewami trawnika i z lasów, w głębi których znajduje się wzgórze sztucznie uformowane. Z daleka już widoczny jest wielki dąb zasadzony na jego szczycie.

Filip Stanhope, hrabia Chesterfieid, posiada w Derbyshire Bredby, gdzie znajduje się wspaniały pawilon zegarowy, sokolarnie, królikarnie i bardzo piękne stawy podłużne, kwadratowe i owalne. Jeden z nich ma kształt zwierciadła, a z obu jego stron ustawiono dwa bardzo wysokie wodotryski.

Lord Cornwallis, baron Eye, ma w Brome-Hall pałac z czternastego wieku.

Szlachetny Algernon Capel, wicehrabia Malden, hrabia Essex, ma Cashiobury w Hersfordshire, zamek wybudowany na planie litery H. Znajdują się tam również tereny łowieckie bardzo zasobne w zwierzynę.

Karol lord Ossulstone ma w Middlesex Dawly. Do pałacu idzie się przez włoskie ogrody.

Jakub Cecill, hrabia Salisbury, ma o siedem mil od Londynu Hartfield-House, kasztelanię składającą się z czterech pawilonów i wieży zamykających podwórze wykładane czarnymi i białymi płytami, jak w Saint-Germain. Paląc ten, którego fasada frontalna ma dwieście siedemdziesiąt dwie stopy długości, wzniesiony został za panowania Jakuba I przez wielkiego skarbnika Anglii, przodka obecnego właściciela. Oglądać tam można łoże jednej z hrabin Salisbury, łoże bezcenne, wykonane całkowicie z drzewa brazylijskiego, chroniącego od ukąszenia węża. Drzewo to nazywa się „milhombres", co znaczy „tysiąc mężczyzn". Na łożu tym wypisano złotymi literami: *Honni soit qui maly pense.*

Edward Rich, hrabia Warwick i Holland, ma Warwick-Castle. Są tam kominki tak olbrzymie, że dęby płoną w nich w całości.

W parafii Seven-0aks Karol Sackville, baron Buckhurst, wicehrabia Cranfield, hrabia Dorset i Middlesex ma siedzibę w Knowle, wielką jak miasto, która składa się z trzech pałaców ustawionych równolegle jak szeregi piechoty, każdy z nich ma po dziesięć wieżyczek ze schodami na głównej fasadzie i bramę pod czterobasztowym donżonem.

Tomasz Thynne, wicehrabia Weymouth, baron Varminster, posiada zamek Long-Leate, który ozdabia tyle kominów, latami, wimperg, wieżyczek i pawilonów, co zamek Chambord we Francji, który należy do króla.

Henryk Howard, hrabia Suffolk, posiada w Middlesex w odległości dwunastu mil od Londynu pałac Audlyene, który w swej wielkości i okazałości ustępuje chyba tylko Escurialowi króla Hiszpanii.

W Bedforshire, Wrest-House-and-Park, które jest jakby całym państewkiem otoczonym murami i fosami zamykającymi lasy, rzeki i pagórki, należy do Henryka margrabiego Kent.

Hampton-Court, w Hereford, w którym znajduje się potężny donżon z blankami i ogród oddzielony sztucznie nawodnionym kanałem od lasu, należy do Tomasza lorda Coningsby.

Zamek Grimsthorf, w Lincolnshire, z długą fasadą ozdobioną wysmukłymi wieżyczkami, otoczony przez ogrody, stawy, bażanciarnie, owczarnie, murawy, stare drzewa sadzone w szachownicę, aleje, klomby najrozmaitszych kwiatów, podobne do ogromnych dywanów, i łąki, ma przed wejściem podjazd, po którym karety zataczają majestatyczny krąg, jest własnością Roberta hrabiego Lindsay, dziedzicznego lorda lasu Walham.

Up Parke, w Sussex, zamek zbudowany na kwadracie, z dwoma pawilonami, z wieżami ustawionymi symetrycznie po obu stronach podwórza, należy do jego wielmożności Forda, lorda Grey, wicehrabiego Glendale i hrabiego Tankarville.

W Newnham Padox, w Warwickshire, znajdują się dwie czworo– boczne sadzawki, a portal zamku wieńczy wimperga z czteroczęściowym witrażem. Należy on do hrabiego Denbigh, który jest również hrabią na Rheinfeldem w Niemczech.

Wythame, w hrabstwie Berk, gdzie znajduje się ogród francuski z czterema strzyżonymi szpalerami i wielka wieża blankowana, którą flankują dwie baszty obronne, należy do lorda Montague, hrabiego Abiegdon. Posiada on również Rycott, którego jest baronem. Na bramie wjazdowej wyczytać tam można dewizę: *Virtus ariete fortior.*

William Cavendish, książę Devonshire, posiada sześć zamków. Jeden z nich, w Chattsworth, jest budowlą dwupiętrową w najczystszym greckim stylu. Jego miłość posiada również pałac w Londynie, gdzie znajduje się rzeźba lwa, odwrócona tyłem do pałacu króla.

Wicehrabia Kinalmeaky, który jest również hrabią Cork w Irlandii ma w Piccadilly[46] Burlington-house, którego ogrody sięgają aż pól poza granicami Londynu; posiada on również Chiswick, który składa się z dziewięciu wspaniałych pawilonów, i Londesburgh, gdzie wybudowano nowy pałac, tuż obok starego.

Książę de Beaufort posiada włości Chelsea, gdzie znajdują się dwa zamki gotyckie i jeden, florencki; posiada on również Badmigton w Glocester, z której to rezydencji rozchodzi się promieniście wielka liczba dróg wysadzanych drzewami. Szlachetny i wielmożny książę Henryk de Beaufort jest margrabią i hrabią Worcester, baronem Raglan, baronem Power i baronem Herbert de Chepstow.

Jan Holles, książę Newcastle i margrabia Clare, posiada Bolsover z majestatyczną kwadratową wieżą i Haughton w Nottingham, gdzie na środku basenu znajduje się stożkowata piramida, naśladująca wieżę Babel.

William lord Crayen, baron Craven de Hampsteard, posiada w Warwickshire, w Comb-Abbey rezydencję, gdzie podziwiać można najpiękniejszy w Anglii wodotrysk, w Berkshire zaś – dwie baronie: Hampstead Marshall, której fasada przyozdobiona jest pięcioma gotyckimi latarniami, i Asdowne Park, zamek wybudowany w lesie, na skrzyżowaniu dróg.

Lord Linneusz Ciancharlie, baron Clancharlie i Hunkerwille, margrabia Corleone na Sycylii, ma swoją parowską siedzibę w zamku Clancharlie, wybudowanym w roku 914 przez Edwarda Starego dla obrony przed Duńczykami, ma pałac Hunkerville-house w Londynie, pałac Corleone-lodge w Windsorze i osiem kasztelami: w Brux-ton, nad rzeką Trent, z należącymi do niej kamieniołomami alabastru, w Gumdraith, w Homble, w Moricambe, w Trenwardraith, w Hell-Kerters, gdzie znajduje się cudowna studnia, w Pillinmore, gdzie znajdują się torfowiska, w Reculver, obok starożytnego miasta Vagniacae, i w Vinecaunton, na górze Moil-enlli; posiada on również dziewiętnaście miast i wiosek z bajliwami i cały okrąg Pensneth-chase: wszystkie te dobra łącznie dają mu czterdzieści tysięcy funtów szterlingów renty.

Łączne dochody stu siedemdziesięciu dwóch parów za panowania Jakuba II wynoszą milion dwieście siedemdziesiąt dwa tysiące funtów szterlingów rocznie, co stanowi jedenastą część rocznego dochodu całej Anglii."

Obok nazwiska lorda Linneusza Clancharlie widniał dopisek, zrobiony ręką Ursusa:
„Buntownik; na wygnaniu; zamki i dobra pod sekwestrem. Dobrze mu tak."

I V

Ursus uwielbiał Homo. Zazwyczaj bowiem to budzi nasze uwielbienie, co w jakiś sposób jest do nas samych podobne. Z reguły. Głucha złość – taki był zwykły stan ducha Ursusa przejawiający się na zewnątrz w burkliwym zrzędzeniu. Ursusowi świat się nie podobał. Był w opozycji wobec natury, wszystkie zjawiska życia ujmował od ich strony najgorszej. Nikt ani też nic nie potrafiło zadowolić go w pełni. Cóż z tego, że pszczoły dają miód, jeżeli również i kłują? Cóż z tego, że słońce sprawia, iż kwitną róże; jeżeli wywołuje ono równocześnie żółtą febrę i *vomito negro?* W samotności nieraz zapewne robił Ursus gorzkie wyrzuty Bogu. „Niewątpliwie, diabeł tutaj kule nosi, ale strzela Bóg" – mawiał. Uznawał tylko książąt i miał swoisty sposób wyrażania swojego dla nich uwielbienia. Pewnego dnia, kiedy Jakub II ofiarował do katolickiej kaplicy Matki Boskiej w Irlandii lampę ze szczerego złota, Ursus, który właśnie podówczas przejeżdżał tamtędy, wraz z Homo, bardziej na ludzkie sprawy obojętnym, dał wyraz swemu zachwytowi wołając głośno wobec licznie zebranego tłumu: „Na pewno Matka Boska bardziej potrzebuje złotej lampy niż butów te wszystkie dzieciaki, co tutaj stoją boso!"

Tak niewątpliwe dowody „lojalności", szacunku dla ustalonego porządku w niemałym stopniu przyczyniały się do tego, że władze urzędowe tolerowały w końcu wędrowny żywot Ursusa i jego dziwaczny mezalians z wilkiem. Niekiedy wieczorami, ulegając przyjacielskiej słabości, spuszczał on Homo z łańcucha i pozwalał mu biegać swobodnie koło wózka: wilk nigdy nie nadużywał tego zaufania i „w towarzystwie", czyli wobec ludzi, zachowywał się ze spokojem zwyczajnego pudla; gdyby jednak natrafił na zły humor alkadów, mogłyby wyniknąć przykrości, toteż Ursus uwiązywał przeważnie swego statecznego wilka na łańcuchu. Sentencja o złocie, zatarta już i niemożliwa do odczytania, była dla najbardziej nawet podejrzliwych oczu tylko śladem jakiegoś malowidła na przedniej ścianie wózka i narażać go już nie mogła. Nawet i po śmierci Jakuba II, za łaskawego panowania Wilhelma i Marii[50], wózek jego wędrował spokojnie przez drogi i miasteczka wszystkich hrabstw Anglii. Podróżował tak bez przeszkód z jej krańca na kraniec, sprzedawał swoje miksturki i flaszeczki i po społu z wilkiem odprawiał praktyki wędrownego znachora, bez przeszkód przemykał się przez oczka sieci nastawionej w owym czasie przez policję na terytorium całej Anglii dla wyłapywania band włóczęgów, a przede wszystkim dla chwytania *comprachicos.*

Działo się tak zresztą najzupełniej sprawiedliwie. Ursus nie należał do żadnej bandy. Ursus żył tylko z Ursusem i tylko wilk wsuwał swój miły pysk między to jego samego ze sobą obcowanie. Ursus zostałby najchętniej Karaibem; nie mogąc zaś tego uczynić, stał się samotnikiem. Samotnik – to jakby złagodzona forma dzikusa, uznawana przez cywilizację. Wędrowiec zaś jest samotny tym bardziej. Dlatego też Ursus prowadził żywot koczowniczy. Osiedlenie się gdziekolwiek na stałe byłoby dla niego nałożeniem sobie obroży. Jego ziemska wędrówka była też prawdziwą wędrówką po drogach i bezdrożach. Widok miasta potęgował w nim w dwójnasób tęsknotę za gęstwiną zarośli, za jaskiniami w skale. Las był mu domem. Nie czuł się również obco wśród szmeru placów publicznych, który przypominał mu szum drzew. Tłum może w pewnej mierze zaspokoić tęsknotę do pustyni. Nie podobało mu się, że jego wózek miał drzwiczki i okienka, przypominał mu bowiem przez to dom. Ideał swój osiągnąłby wtedy dopiero, gdyby udało mu się umieścić na czterech kołach pieczarę i podróżować w jaskini.

Ursus nie uśmiechał się nigdy, jakeśmy to już powiedzieli; ale potrafił śmiać się niekiedy, dość często nawet. Gorzkim śmiechem. Uśmiech jest zawsze wyrazem zgody, śmiech zaś nieraz bywa wyrazem protestu.

Ursus żywił nienawiść do rodzaju ludzkiego, nienawiść nieubłaganą. Rozumiał on jasno, że życie ludzkie jest rzeczą straszną, widział, że składa się ono tylko z nawarstwiających się

klęsk: królowie są klęską dla ludu, wojna – klęską dla królów, zaraza gorsza jest od wojny, głód od zarazy, a głupota najgorsza jest ze wszystkiego; stwierdził, że kara mieści się w pewnej mierze już w samym takcie istnienia, śmierć uważał za wyzwolenie od niedoli, kiedy zaś przyprowadzono mu chorego, leczył go. Znał on tajemnice kordiałów i napoi przedłużających życie starcom. Uzdrawiał paralityków, rzucając im na pożegnanie takie oto sarkastyczne słowa: „No, stanąłeś już na nogi. A żebyś jak najdłużej chodził po tym padole łez!" Kiedy napotykał przymierającego głodem biedaka, dawał mu wszystkie grosze, jakie miał, poburkując przy tym: „Żyj, nieszczęsny, jedz. Trwaj długo. Już ja tam nie będę skracał twoich meczami." A potem zacierał ręce i powtarzał: „Robię ludziom wszystko, co tylko mogę najgorszego."

Przez otwór wycięty w tylnych drzwiczkach budy przechodnie. odczytać mogli widoczny z zewnątrz napis, wielkimi literami wyrysowany węglem na suficie: „Ursus, Filozof".

II. COMPRACHICOS

I

Któż zna dzisiaj słowo c o m p r a c h i c o s? Któż rozumie jeszcze jego znaczenie?

Comprachicos albo c o m p r a p e q u e n o s, było to niezwykłe a potworne stowarzyszenie włóczęgów, słynne w wieku siedemnastym, zapomniane w wieku osiemnastym, a dzisiaj nie znane już nikomu. Comprachicos jak i „proszek sukcesyjny" są znamiennym zjawiskiem dla życia społecznego owych czasów. Stanowią oni część odwiecznej szpetoty ludzkiej. W szerokim zaś, ogarniającym wielkie całości, spojrzeniu historii comprachicos są cząstką jednego ogromnego faktu – Niewolnictwa. Historia Józefa sprzedanego przez braci to jeden z rozdziałów ich legendy. Po comprachicos pozostały ślady w ustawodawstwie karnym Hiszpanii i Anglii. Tu i ówdzie w zawiłym gąszczu angielskich praw odnaleźć jeszcze można ślad tego potwornego zjawiska, niby w dżungli odcisk stopy ludożercy.

Comprachicos czy też *comprapequenos* – to słowo hiszpańskie złożone, a znaczy ono „kupujący młode".

Comprachicos handlowali dziećmi.

Kupowali je i sprzedawali.

Nie kradli ich nigdy, kradzież dzieci to zupełnie inny proceder.

Cóż robili oni z tych dzieci?

Potworki.

Po co?

Dla zabawy.

Lud żądny jest zabawy i śmiechu; królowie również. Na jarmarku potrzebny jest sztukmistrz; w pałacu potrzebny jest błazen. Jeden nazywa się Turlupin, drugi Triboulet.

Wysiłki, do których zdolny jest człowiek, aby tylko dostarczyć sobie przyjemności, zaiste godne są nieraz uwagi filozofa.

Cóż bowiem naszkicować pragniemy na tych kilku przedwstępnych stronicach? Jeden z najstraszliwszych rozdziałów księgi, która nosić by mogła taki oto tytuł: *Jak uprzywilejowani wyzyskują nieszczęśliwych.*

II

Dziecko, które ma stać się zabawką, igraszką dla ludzi – to istniało zawsze (i dziś jeszcze istnieje). W epokach zaś, które cechuje równocześnie naiwność i okrucieństwo, sprawa ta stawała się przedmiotem osobnego zupełnie procederu. Wiek siedemnasty, nazywany wielkim stuleciem, był taką właśnie epoką. Było to stulecie bardzo bizantyjskie; cechowała je naiwność w zepsuciu i delikatność w okrucieństwie – specyficzne znamiona cywilizacji. Tygrys z buzią w ciup. Pani de Sevigne rozprawiająca, wdzięcząc się, o stosie i o kole. Stulecie to było bezlitosne dla dzieci; historycy, usiłujący pokazać je w jak najkorzystniejszym świetle, starali się ukryć tę ranę, nie udało się im jednakże pominąć milczeniem tego, który pragnął znaleźć na nią lekarstwo – świętego Wincentego a Paulo.

O uformowanie człowieka-zabawki trzeba się zatroszczyć zawczasu. Tylko wówczas bowiem trud się opłaca. Produkcję karła rozpoczynać należy od jego najmłodszych lat. Dziecko było więc igraszką w rękach człowieka. Ale dziecko proste nie dość jeszcze bawi. O wiele ucieszniejszy jest garbusek.

Powstaje więc osobna sztuka. Pojawiają się hodowcy. Z człowieka robiono potworka, z twarzy ludzkiej dziwaczny pysk. Hamowano wzrost, do woli kształtowano wygląd. Ta sztuczna produkcja dziwów przyrody miała swoje reguły i przepisy. Stała się ona specjalną gałęzią wiedzy. Wyobraźmy sobie ortopedię zastosowaną w odwrotnym kierunku. Tam, gdzie Bóg stworzył proste spojrzenie, sztuka ta kształtuje zeza. Tam gdzie Bóg stworzył harmonię, wprowadza chaos kształtów. To, co Bóg uczynił doskonałym, cofa z powrotem do niezdarnej formy szkicu. I oto oku znawcy doskonały się wydaje właśnie ten szkic. Takie cofanie rozwoju gatunku praktykowano również i w stosunku do zwierząt; wymyślano pstrokate konie. Takiego to właśnie srokatego wierzchowca dosiadał Turenne. A czyż i za naszych czasów nie farbuje się psów na zielono i na niebiesko? Natura jest dla nas kanwą. Człowiek zawsze usiłował dorzucić coś niecoś do bożego dzieła. Poprawia on też przyrodę, raz z dobrym skutkiem, raz ze złym. Błazen nadworny – to po prostu usiłowanie, by kształt człowieka cofnąć do kształtu małpy. Postęp działający wstecz. Odwrócone arcydzieło. Równocześnie zaś małpie starano się nadać pozór człowieczeństwa. Barbara księżna Cleveland, hrabina Southampton, trzymała przy sobie jako pazia małpę z Ameryki Południowej. W domu Franciszki Sutton, baronowej Dudley, zajmującej ósme miejsce na ławie baronów, herbatę podawał pawian w ubraniu, ze złocistego brokatu, którego lady Dudley nazywała „swoim Murzynkiem". Kiedy Katarzyna Sidley, hrabina Dorchester, jechała na posiedzenie parlamentu, na tyle jej herbowej karocy stały trzy afrykańskie szympansy w wielkiej liberii, wystawiając pyski pod wiatr. Księżnej de Medina-Coeli – jak to wspomina kardynał Polus, który asystował kiedyś przy jej porannej toalecie – wkładał pończochy orangutan. Te wyniesione ponad swój stan małpy stanowiły jak gdyby równoważnik dla bestialskiego, brutalnego poniżenia ludzi. Możni lubili trzymać w swoim otoczeniu dziwaczne stwory stojące na pograniczu zwierzęcia i człowieka, co najjaskrawiej może pokazuje para – karzeł i pies. Karzeł nigdy nie rozstaje się z psem, który zawsze jest większy od niego. Były to niby dwie połączone ze sobą obroże. Powszechność tego zestawienia potwierdza wiele dokumentów, na przykład portret Jeffrey Hudsona, karła Henrietty Francuskiej, córki Henryka IV, żony Karola I.

Degradacja człowieka prowadzi do jego deformacji. Poniżenie jego stanu uzupełniano też przez zniekształcenie jego postaci. Niektórym takim rzeźbiarzom żywego ciała człowieka doskonale udawało się w owej epoce bez śladu zetrzeć z ludzkiej twarzy obraz i podobieństwo boskie. Doktor Conquest, członek kolegium z Amen-Street, częsty gość w pracowniach londyńskich chemików, napisał po łacinie całą księgę o tej chirurgii na opak, podając jej sposoby i zasady. A wynalazcą owej chirurgii – jeżeli zaufać mamy Justusowi z Carrick-Fergus – był pewien mnich, zwany Aven-More, co po irlandzku znaczy Wielka Rzeka.

Karzeł elektora palatyńskiego, Perkeo, którego kukła – czy też może widmo – wyskakuje z magicznego pudła w lochu w Heidelbergu, był wyjątkowym okazem, uzyskanym przez zastosowanie tej wiedzy tak bardzo w swoich osiągnięciach różnorodnej.

Tworzyła ona istoty, których prawa w życiu ująć by można w słowa wstrząsająco proste: wolno wam cierpieć; musicie bawić.

III

Owa fabrykacja potworów miała zastosowanie szerokie i różnorodne.

Potrzebował ich sułtan; potrzebował ich również i papież. Pierwszy – do pilnowania żon, drugi – do odprawiania modłów.

Był to rodzaj zupełnie specjalny i nie mógł on rozmnażać się w naturalny sposób. Takich niepełnych ludzi potrzebowała i rozkosz, i religia. Harem i Kaplica Sykstyńska pochłaniały ten sam gatunek potworków, tu – okrutnych, tam – pełnych słodyczy.

Umiano bowiem w owych czasach produkować takie rzeczy, których dziś nikt już zrobić nie potrafi; posiadano talenty, których się już nie spotyka, i nie bez racji światłe umysły biadają nad zwyrodnieniem ludzkiej rasy. Nikt już dziś nie potrafi rzeźbić w żywym ciele człowieka; a dzieje się tak dlatego, że sztuka zadawania tortur upada coraz niżej, niegdyś zaś osiągano prawdziwe mistrzostwo w tym względzie. Sztukę tę dzisiaj tak bardzo uproszczono, że wkrótce, być może, zaginie ona zupełnie. Obcinając żywym ludziom różne członki ciała, otwierając im brzuchy, wyrywając wnętrzności chwytało się zjawiska na gorąco i dokonać można było odkryć nie lada jakich. Dziś trzeba z tego zrezygnować, dziś ubożsi jesteśmy o to źródło postępu, jakim dla chirurgii był kat.

Te praktykowane ongiś wiwisekcje nie ograniczały się zresztą do fabrykowania jarmarcznych dziwów natury, pałacowych błaznów – czyli czegoś na kształt spotęgowanego dworaka – i eunuchów dla sułtanów i papieży. Różnorodność bywała tu olbrzymia. Jednym z większych osiągnięć tej sztuki był niewątpliwie kogut króla angielskiego.

Przy dworze króla Anglii według pradawnego obyczaju istniał zawsze człowiek, który piał nocami kogucim głosem. Kiedy wszyscy już posnęli, wartownik ten krążył po pałacu i co godzina piał odpowiednią ilość razy, zastępując dzwon. Aby zaś otrzymać tę kogucią służbę, człowiek ów w dzieciństwie jeszcze musiał zostać poddany operacji krtani, opisanej w podręczniku doktora Conquesta. Za panowania Karola II ślinotok, nieunikniony skutek tej operacji, wywołał w księżnej Portsmouth tak wielkie obrzydzenie, że urząd zachowano wprawdzie, aby nie umniejszać splendoru korony, jednakże od tej pory człowiek, który naśladował głos koguci, nie miał już kaleczonej krtani. Na to zaszczytne stanowisko mianowano zwykle wysłużonego oficera. Za czasów Jakuba II nazywał się on William Sampson Coq i za pianie otrzymywał rocznie dziewięć funtów, dwa szylingi i sześć pensów.[2]

W Petersburgu, zaledwie sto lat temu, jak o tym opowiadają pamiętniki Katarzyny II, jeżeli jakiś rosyjski książę miał nieszczęście wzbudzić gniew carowej lub cara, kazano mu kucać w wielkim przedsionku pałacu i musiał pozostawać w tej pozycji przez wyznaczoną ilość dni, miaucząc na rozkaz jak kot, gdacząc jak wysiadująca jajka kura i ustami podnosząc z ziemi pożywienie.

Mody te już przeminęły, nie całkiem jednakże. Dzisiaj dworzanie też gdaczą dla przypodobania się władzy, zmieniają tylko odrobinę intonację. Niejeden też zbiera na ziemi, żeby nie rzec – w błocie, swoje pożywienie.

[2] Patrz: Doktor Chamberlayne, *Obecne położenie Anglii*, 1688, I cz., rozdz. XIII, str. 179.

Cóż to za szczęście, że królowie nie mylą się nigdy. Nikt się dzięki temu nie musi kłopotać, jeżeli zmieniają oni zdanie. Przytakując im, zawsze można mieć pewność, że ma się rację, co jest uczuciem niezwykle przyjemnym. Ludwik XIV nie pragnął wcale oglądać w Wersalu ani oficera udającego koguta, ani też księcia udającego indyka. To, co w Anglii i w Rosji miało dodawać blasku królewskim i cesarskim tronom, Ludwikowi Wielkiemu wydawało się niegodne korony świętego Ludwika. Wiemy przecież, jak wielkie było niezadowolenie króla, kiedy pewnej nocy Madame Henriette zapomniała się tak dalece, że ujrzała we śnie kurę, co w istocie bardzo było niewłaściwe u osoby postawionej tak wysoko na dworze. Kiedy należy się do wielkich tego świata, nie wolno śnić o rzeczach małych. Bossuet, jak pamiętamy, całkowicie podzielał oburzenie Ludwika XIV.

IV

Tak więc w siedemnastym wieku handel dziećmi połączony był z innym jeszcze procederem. A comprachicos i handlowali nimi, i uprawiali ten właśnie proceder. Kupowali oni dzieci, obrabiali nieco ten surowiec i odsprzedawali go dalej.

Sprzedających nie brakło. Bywali nimi i ojcowie-nędzarze pragnący pozbyć się ciężaru dla rodziny, i możni, co w ten sposób ciągnęli zyski ze swej trzody niewolników. Handel ludźmi wydawał się w owych czasach rzeczą zupełnie naturalną. Przecież i za naszych dni jeszcze staczano wojny w obronie tego prawa. Wspomnijmy choćby, jak to niecałe sto lat temu elektor heski odsprzedawał swoich poddanych królowi Anglii, który potrzebował ludzi do wysyłania na podbój Ameryki. U elektora heskiego kupowało się mięso jak u rzeźnika. Elektor heski miał na sprzedaż mięso armatnie. Władca ów wystawiał swoich poddanych niczym towar na straganie. Na sprzedaż, targować, kupować! W Anglii, za rządów Jeffrysa, po tragicznym zakończeniu buntu Monmoutha, wielu spośród panów i szlachty ścięto i poćwiartowano. Po skazańcach pozostały żony i córki, wdowy i sieroty, które Jakub II ofiarował w darze królowej, swej małżonce. Królowa zaś sprzedała te wysoko urodzone damy Williamowi Penn. Jest nawet dość prawdopodobne że król otrzymał jakieś porękawiczne przy tej sprzedaży. I wcale nie temu dziwić się należy, że Jakub II te kobiety sprzedał, lecz temu, że je William Penn kupował.

Ów sprawunek tym zapewne można by usprawiedliwić i wytłumaczyć, że Penn zaludniał podówczas pustynię i wśród wielu innych narzędzi potrzebował również i kobiet.

Najjaśniejsza pani zrobiła na tych damach niezły interes. Młode Sprzedawano drogo. Dość skomplikowane zaś uczucie przykrości l zgorszenia ogarnia człowieka na myśl p tym, że stare księżne Penn dostawał zapewne za pół darmo.

Comprachicos nazywano, również *cheylas.* Jest to słowo hinduskie i znaczy poszukiwacze dzieci".

Przez długi czas comprachicos żyli na pół jawnie. W porządku społecznym wytwarza się czasem taki półmrok sprzyjający wszelkiej zbrodni. Nawet i w naszej epoce jeszcze istniała w Hiszpanii banda, której hersztem był Ramon Selles. Przez trzydzieści lat przeszło, od 1834 do 1866 roku, trzymała ona pod swym terrorem trzy prowincje: Walencję, Alicante i Murcję.

Za panowania Stuartów dwór dość życzliwym okiem patrzył na comprachicos. Racja stanu nieraz posługiwała się nimi w potrzebie. Dla Jakuba II byli oni nieomal że *instrumentum regni.* Była to epoka, w której z niewygodnymi i nieposłusznymi rodami załatwiano się w sposób szybki i skuteczny, jednym cięciem przecinano pokrewieństwa, a niepożądanych spadkobierców potrafiono usuwać bez śladu. Nieraz jedną gałąź rodu wyzuwano z dziedzictwa na korzyść drugiej. Comprachicos posiadali talent odmieniania wyglądu człowieka, mogli też

nieraz dzięki temu oddawać polityce nieocenione usługi. Lepiej jest bowiem zniekształcić niż zabić. Istniała wprawdzie żelazna maska, był to jednak środek prymitywny. Niesposób przecież zaludnić całej Europy żelaznymi maskami, a dziwnokształtne postacie kuglarzy i sztukmistrzów krążą po ulicach w biały dzień, nie budząc niczyjego podejrzenia; prócz tego zaś maskę żelazną można zdjąć, maski uformowanej w ciele zdjąć nie można. Ukryć kogoś pod wieczną maską z jego własnej twarzy – oto sposób zaiste pomysłowy. Comprachicos potrafili do woli kształtować postać człowieka, jak Chińczycy wygląd drzewa. Znali sekrety – mówiliśmy już o tym – znali sposoby. Zarzucona to już sztuka. Z rąk ich wychodziły pokraczne karły. Śmieszne i tragiczne. Małą istotkę potrafili oni obrobić tak starannie, że rodzony ojciec poznać jej nie byłby w stanie. Czasami nie wykrzywiali kręgosłupa, ograniczali się do przemodelowania twarzy. Z dziecka wypruwali znak niczym z chustki do nosa.

Okazom przeznaczonym na sztukmistrzów przesuwano uczonym sposobem stawy. Wydawać by się mogło, że w ogóle nie posiadają kości. Tak uzyskiwało się linoskoka.

Comprachicos zabierali dziecku nie tylko twarz, odejmowali mu również i pamięć. W każdym razie tyle, ile tylko mogli. Dziecko zupełnie nie zdawało sobie sprawy z okaleczenia, któremu uległo. Potworna ta chirurgia zostawiała ślad tylko na jego twarzy, nie tyka*jąc* świadomości. Mogło ono sobie przypominać co najwyżej, że pewnego dnia porwali je jacyś ludzie, że usnęło na długo i że je potem wyleczono. Z jakiej choroby? tego nie wiedziało. Nie pamiętało ani pieczenia siarki, ani cięcia żelaza. Comprachicos usypiali na czas operacji małego pacjenta za pomocą proszku wywołującego odrętwienie, który uchodził za środek magiczny i usuwał wrażliwość na ból. Proszek ten od wieków już znany był w Chinach i po dziś dzień jest tam jeszcze w użyciu. Chiny na wiele lat przed nami posiadały już wielkie wynalazki: druk, artylerię, balony, chloroform. Tylko że w Europie odkrycia takie natychmiast stają się głośne i nabierają znaczenia, w Chinach zaś więdną w zalążku i przechowują się w tej właśnie martwej postaci. Chiny to słój pełen nie donoszonych płodów.

Skoro jesteśmy już w Chinach, zatrzymajmy się na chwilę. W Chinach bowiem od wieków już istnieje sztuka modelowania człowieka. Bierze się tam dziecko dwu-, najwyżej trzyletnie i wkłada je do wazy porcelanowej, dowolnego kształtu, pozbawionej dna i pokrywy, tak by wystawały i nóżki, i głowa. We dnie waza ustawiana jest w pozycji pionowej, na noc kładzie się ją na boku, aby dziecka mogło spać. Dziecko takie nie rozwija się swobodnie; ciało jego i kościec rosnąc kształtują się według formy zamkniętego naczynia, wypełniając je coraz szczelniej. Ten rozwój w butelce trwa przez kilka lat. Aż wreszcie zniekształcenie staje się nie do naprawienia. Chwyciło, potworek już gotowy, wazę można stłuc; dziecko z niej wychodzi i mamy oto człowieka w kształcie garnka.

Sposób ten jest niezwykle wygodny; z góry zamawiać sobie można karła w dowolnym fasonie.

V

Jakub II nie prześladował comprachicos. Dlatego przede wszystkim, że się nimi posługiwał. Zdarzało mu się to niejednokrotnie. Często przyjmuje się usługi tych, którymi się gardzi. Ludźmi, którzy spełniali funkcje tak nędzne, a tak nieraz użyteczne dla wielkiej i wzniosłej sprawy, której imię jest polityka, pogardzano, to prawda, lecz ich nie prześladowano. Nie nadzorowano ich, śledzono jednak dość uważnie. Przydawali się nieraz. Prawo przymykało jedno oko, za to królewskie wejrzenie przypatrywało się im z ukosa.

Niekiedy król jawnie występował jako wspólnik comprachicos. Mógł sobie na to pozwolić, był przecież wszechwładnym monarchą. Oszpeconego piętnowano kwiatem lilii; ścierano z jego twarzy ślad boski, dostawał w zamian znak królewski. Jakub Astley, szlachcic i baronet,

pan na Meltonie, konstabl hrabstwa Norfolk, miał *w* swojej rodzinie takie sprzedane dziecko, któremu komisarz królewski wypalił na czole gorącym żelazem kwiat lilii. Stosowano ten środek wówczas, gdy dla najrozmaitszych względów stwierdzić należało, że zmiana sytuacji dziecka dokonana została z woli, króla. Anglia robiła nam zawsze zaszczyt używania kwiatu lilii dla swoich własnych celów.

Comprachicos, uwzględniwszy różnicę, jaka dzieli przemysł od fanatyzmu, podobni byli do indyjskich dusicieli; trzymali się razem, w gromadach, przypominali wędrownych kuglarzy; był to zresztą tylko pozór ułatwiający włóczęgę. Obozowali to tu, to tam, zachowywali się jednak statecznie, pobożnie, nie kradli, w niczym nie byli podobni do innych koczujących band. Prosty lud długo mylił ich niesłusznie z hiszpańskimi, a nawet i chińskimi Cyganami. Cyganie hiszpańscy to fałszerze monet, Cyganie chińscy – to rzezimieszki. Comprachicos nie mieli z nimi nic wspólnego. Byli to ludzie uczciwi. Choćby się to komuś nawet nieprawdopodobne wydawać mogło, byli oni uczciwi, nieraz aż do przesady. Pukali do drzwi, wchodzili, targowali dziecko, płacili i zabierali swój towar. Nic więc im nie było można zarzucić.

Pochodzili oni ze wszystkich stron świata. Do comprachicos należeli Anglicy, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy i Włosi. Wspólna idea, wspólny zabobon, wspólne uprawianie tego samego rzemiosła łączy nieraz ludzi w takie związki. Ściągali też ze wschodu i z zachodu i łączyli się w łotrowskie bractwo. Niejeden Bask pokumał się tam z niejednym Irlandczykiem; Baskowie i Irlandczycy rozumieją się, mówią bowiem starym narzeczem punickim[75]; niemałe też znaczenie miały bliskie związki katolickiej Irlandii z katolicką Hiszpanią. Związki te sprawiły w końcu, że powieszono w Londynie galijskiego lorda de Brany, który był w Irlandii prawie królem, i dzięki temu powstało hrabstwo Letrim.

Comprachicos byli więc raczej stowarzyszeniem niż plemieniem, raczej zbiorowiskiem najprzeróżniejszych mętów niż stowarzyszeniem. Była to nędza pozbierana po całym świecie i wspólnie trudniąca się zbrodnią. Lud ten był jak strój arlekina pozszywany z rozmaitych łachmanów. Każde przyjęcie nowego członka było naszyciem jeszcze jednej łaty.

Włóczęgostwo było dla comprachicos prawem do istnienia. Pojawiać się i potem nagle znikać. Nie wolno zapuszczać korzeni tym, którzy są zaledwie tolerowani. Nawet i w takich krajach, gdzie dzięki oddawanym przysługom byli oni nieomal że dostawcami dworu i w potrzebie podporą władzy królewskiej, w każdej chwili spaść na nich mogły prześladowania. Królowie wykorzystywali sztukę, artystów zaś zsyłali na galery. Podobny brak logiki nieraz bywa znamieniem królewskiego kaprysu. Gdyż tak się nam podoba.

Toczący się kamień i wędrowne rzemiosło nie porastają w mech. Comprachicos byli też biedakami. Zaiste mogliby nieraz powtórzyć słowa owej czarownicy, wychudzonej i odzianej w nędzne, podarte łachmany, która na widok pochodni podpalających pod nią stos zawołała: „Robota niewarta świeczki!" Bardzo jest zresztą możliwe, że wodzowie ich, wielcy przedsiębiorcy tego handlu dziećmi, nie znani nikomu, dochodzili nieraz do fortuny. Po upływie dwu stuleci nie łatwo byłoby wyświetlić tę sprawę.

Jakeśmy już rzekli, comprachicos stanowili coś na kształt zgromadzenia. Miało ono swoje prawa, swoją przysięgę, swoje znaki, nieomal że swój tajny statut. Kto by chciał dzisiaj dowiedzieć się czegoś więcej o comprachicos, niechaj pojedzie do kraju Basków albo do hiszpańskiej Galicji. Było Bowiem wśród nich wielu Basków i pamięć o nich przechowała się w tamtejszych górach. Jeszcze i dzisiaj wspominają nieraz comprachicos w Oyarzun, w Urbistondo, w Leso, w Astigarraga. *Aguarda te, nino, que voy a llainar al comprachicos!*[3] – tak matki straszą dzieci w tym kraju.

Comprachicos, tak jak Cyganie, zwoływali się niekiedy. Wodzowie ich odbywali co pewien czas wspólne narady. W siedemnastym wieku cztery były główne miejsca tych spotkań: w Hiszpanii, na przełęczy Pancorbo; w Niemczech, na polanie zwanej Polaną Baby-Jędzy,

[3] Uważaj, bo zawołam comprachicos.

niedaleko Diekirch, gdzie zachowały się dwie zagadkowe płaskorzeźby przedstawiające kobietę z głową i mężczyznę bez głowy; we Francji, na wzgórzu u stóp olbrzymiego głazu zwanego Maczugą Obietnicy, w starożytnym świętym gaju Borvo-Tomona, w pobliżu Bourbonne-les-Bains; i w Anglii, pod murem ogrodu Williama Chaloner, esquire'a Gisbrough w Cleveland w Yorku, pomiędzy kwadratową basztą i wielką bramą o ostrołukowym. sklepieniu.

V I

Prawa ścigające włóczęgów zawsze były w Anglii bardzo surowe. Średniowieczne ustawodawstwo angielskie czerpało zapewne natchnienie z takiej oto zasady: *Homo errans fera errante peior*. Jeden z paragrafów głosi, że człowiek bez domu groźniejszy jest „niż żmija, smok, ryś i bazyliszek" *(atrocior aspide, dracone, lynce et basilico).* Anglia przez długi czas otaczała równie troskliwą opieką Cyganów, których chciała się pozbyć, co i wilki, od których oczyściła się całkowicie.

W tym względzie Anglik różni się od Irlandczyka; Irlandczyk bowiem modli się do wszystkich świętych o zdrowie dla wilka i nazywa go „swoim chrzestnym ojcem".

Ustawodawstwo angielskie jednakże, jakeśmy już o tym powiedzieli, tolerowało i oswojone wilki, które upodobniły się do psów, i włóczęgów określonego stanu, uznając ich za królewskich poddanych. Nie ścigało ono ani linoskoków, ani cyrulików wędrownych, ani kramarzy, ani też nauczających pod gołym niebem bakałarzy, słowem wszystkich, co mieli zawód, który by ich żywił. Poza tymi zaś wyjątkami, to, co każdy włóczęga ma w sobie z wolnego człowieka, niepokoiło prawo. Łazik zawsze stać się może wrogiem publicznego porządku. Nie znano jeszcze wówczas nowoczesnego pojęcia wędrówki.; znano tylko od starożytności włóczęgę. „Podejrzany wygląd", to coś, co każdy widzi dokładnie, a czego określić nie podobna, wystarcza, aby społeczeństwo chwytało za kołnierz człowieka. Gdzie mieszkasz? Z czego żyjesz? A jeżeli wyjaśnić nie potrafił, spadały nań surowe kary. Kodeks przewidywał i ogień. i żelazo. Prawo karało włóczęgostwo piętnowaniem.

Stąd też na całym terytorium Anglii działała prawdziwa „ustawa o podejrzanych", stosowana wobec łazików, często rzeczywiście rzezimieszków, przyznać to trzeba, szczególnie zaś wobec Cyganów, których wyłapywanie porównywano niesłusznie z wygnaniem Żydów i Maurów z Hiszpanii i protestantów z Francji. Należy przecież odróżnić prześladowanie i obławę.

Comprachicos, podkreślamy to raz jeszcze, nic nie mieli wspólnego z Cyganami. Cyganie to naród; comprachicos zaś byli zbieraniną wszekich nacji; były to męty; jakaś straszliwa miska pełna brudnej wody. Comprachicos nie mieli też własnego narzecza, jak Cyganie żargon ich był bezładną mieszaniną najprzeróżniejszych narzeczy; na język ich złożyły się wszystkie języki; mówili bełkotem. Stali się też w końcu, jak i Cyganie, społecznością przewijającą się wśród innych narodów; lecz więzią, która ich zespalała, była nie rasa, lecz tajny związek. W tej olbrzymiej płynnej masie, jaką jest ludzkość, w każdym okresie historii wyśledzić można takie zatrute strumienie, płynące swoimi drogami i roznoszące zarazę. Cyganie tworzyli rody; comprachicos – to masoneria; masoneria zawiązana nie dla wzniosłego celu, lecz dla haniebnego przemysłu. I jeszcze jedna różnica: religia. Cyganie są poganami; comprachicos zaś – to chrześcijanie; a nawet dobrzy chrześcijanie; jak to zresztą przystało na tajny związek, który choć stanowił mieszaninę wszelakich narodów, powstał jednakże w Hiszpanii, w kraju słynnym z pobożności.

Chrześcijanie to jeszcze mało, byli oni katolikami; a katolicy to jeszcze nie dość, byli to rzymscy katolicy, i to tak drażliwi na punkcie czystości swojej wiary, że nie chcieli przyjąć do

swego stowarzyszenia wędrownych Węgrów z Pesztu, dowodzonych przez starca z berłem w kształcie laski zakończonej srebrnym jabłkiem, na którym umieszczony był dwugłowy orzeł austriacki. Węgrzy ci byli bowiem schizmatykami i święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny obchodzili dwudziestego siódmego sierpnia, z czym pogodzić się zaiste niesposób.

Dopóki w Anglii panowali Stuartowie, tajny związek comprachicos znajdował się niejako pod opieką króla. Nadmienialiśmy już na innym miejscu, jakie były po temu przyczyny. Jakub II, człowiek żarliwej wiary, co prześladował Żydów i tępił Cyganów, był dla comprachicos władcą nader łaskawym. Dlaczego? – to już wiemy. Comprachicos kupowali żywy towar, który sprzedawał król. To dzięki nim właśnie mógł zginąć ten czy ów bez śladu. A dobro państwa wymagało tego niekiedy. Niepożądany małoletni spadkobierca, powierzony ich zręcznym dłoniom, zmieniał do niepoznania swoją postać. Ułatwiało to konfiskaty. Upraszczało obdarzanie faworytów królewskich lennymi dobrami. Co więcej, comprachicos byli dyskretni, zobowiązywali się do milczenia i zawsze dotrzymywali słowa, a to nieodzowne jest w sprawach państwowych. Nie znamy wypadku, aby zdradzili oni kiedykolwiek królewską tajemnicę. Leżało to zresztą i w ich własnym interesie. Cóż by im bowiem nie groziło, gdyby król stracił do nich zaufanie! Oddawali więc polityce ogromne usługi. Prócz tego zaś oni to właśnie dostarczali śpiewaków ojcu świętemu. Comprachicos mieli więc swoją cząstkę w *Miserere* Allegriego. Żywili też szczególny kult dla Matki Boskiej. Wszystko to podobało się papizmowi Stuartów. Jakub II nie mógł być usposobiony wrogo wobec ludzi tak religijnych, którzy z miłości do Najświętszej Marii Panny fabrykowali eunuchów. W roku 1688 nastąpiła w Anglii zmiana dynastii. Dynastia orańska zajęła miejsce Stuartów. Wilhelm III odebrał tron Jakubowi II.

Kiedy Jakub II zmarł później na wygnaniu, przy grobie jego zaczęły dziać się cuda, a relikwie jego uleczyły fistułę biskupa d'Autun. Sprawiedliwa to była nagroda za cnoty chrześcijańskie tego książęcia.

Wilhelm nie podzielał ani wiary, ani też poglądów Jakuba i był dla comprachicos bardzo surowy. Z wielką energią zabrał się do tępienia tego robactwa.

Ustawa, wydana już w pierwszych latach panowania Wilhelma i Marii, silnie uderzyła ten związek handlarzy dziećmi. Rozbiła ich niby cios maczugi. W myśl brzmienia owej ustawy każdy pojmany członek związku, po dowiedzeniu mu winy, ma zostać napiętnowany gorącym żelazem. Na ramieniu wypalić mu należy literę „R", co znaczy *rogue*, czyli żebrak; na lewej ręce literę „T", co znaczy *thief,* czyli złodziej; na prawej zaś ręce literę „M", co znaczy *man slay,* czyli morderca. Wodzowie ich, „przypuszczalnie bogaci, pomimo pozorów żebractwa", zostaną ukarani *collistrigium*, czyli pręgierzem, i napiętnowani na czole literą „P", dobra ich zostaną skonfiskowane, a drzewa w ich lasach wykarczowane. Kto by ukrywał comprachicos, ukarany zostanie „konfiskatą mienia i dożywotnim więzieniem", jak za pomoc w zbrodni. Kobiety zaś wśród comprachicos zatrzymane, poddane zostaną hańbiącej karze *cucking stool,* czyli huśtawy, której nazwa wywodzi się z francuskiego słowa *coguine* i niemieckiego słowa *Stuhl i* znaczy „stołek ladacznicy". Prawa angielelskie żyć potrafią niewiarygodnie długo, kara ta istnieje więc tam jeszcze po dziś dzień i przewidziana jest dla „kłótliwych kobiet" Ów *cucking stool,* zawieszony nad jeziorem lub nad rzeką, trzykrotnie spuszczany zostaje w wodę, zanurzając siedzącą w nim kobietę aby „ostudzić w niej złość", jak brzmią słowa komentarza Chamberlayne'a.

KSIĘGA PIERWSZA

NOC MNIEJ MROCZNA NIŻ CZŁOWIEK

I. POŁUDNIOWY CYPEL PORTLANDU

Uporczywy wiatr z północy dął bez przerwy na kontynent europejski, a szczególnie silnie na Anglię, przez cały grudzień 1689 i styczeń 1690 roku, sprowadzając klęskę mrozów. Zima ta zapisana została na marginesie starej Biblii kaplicy prezbiteriańskiej Nonjurorsów w Londynie jako „pamiętna dla nędzarzy". I dziś jeszcze dzięki trwałości starego królewskiego pergaminu, na którym spisywano rejestry ludności, odczytać można z ksiąg w prowincjonalnych archiwach długie listy nędzarzy zmarłych owego roku z głodu i braku odzienia. Szczególnie dużo podobnych wzmianek znajduje się w starych aktach dóbr kościelnych Clink Liberty Court w mieście Southwark, w Pie Powder Court, co znaczy „Podwórze zakurzonych stóp", i w White Chapel Court, prowadzonych w miasteczku Stapney przez kasztelańskiego starostę. Tamiza stanęła, co wskutek bliskości morza, jego odpływów i przypływów, zdarza się najwyżej raz na sto lat. Wozy przejeżdżały po zamarzniętej rzece, urządzono na Tamizie kiermasz z namiotami, urozmaicony zapasami niedźwiedzi i walką byków; całego wołu upieczono na lodzie. Gruby lód utrzymywał się przez pełne dwa miesiące. Straszliwa zima 1690 roku przewyższyła swą surowością nawet słynne zimy początku siedemnastego stulecia, opisywane tak dokładnie przez aptekarza króla Jakuba I, doktora Gedeona Delaun, uczczonego przez miasto Londyn popiersiem na postumencie.

Pod wieczór jednego z mroźniejszych dni owego stycznia 1690, w jednej z licznych a niegościnnych zatoczek Portlandu działo się coś niezwykłego. Spłoszone mewy z krzykiem krążyły nad wejściem do zatoki, nie ośmielając się wrócić na ląd.

W zatoce, przy pewnym kierunku wiatru najbardziej niebezpiecznej ze wszystkich tak licznych na tym odcinku wybrzeża i dlatego też najbardziej odludnej i dogodnej dla ukrywających się statków, tuż przy urwistym brzegu, dzięki dużej w tym miejscu głębokości wody, stała przycumowana do występu skalnego jakaś potężna łódź. Dlaczego mówi się: noc zapada? Noc podnosi się, tak mówić by należało; mrok posuwa się bowiem znad ziemi ku górze. Dół urwiska pogrążony był już w ciemności; na górze panował jeszcze jasny dzień. Gdyby podejść blisko, w przycumowanym statku rozpoznać by można było barkas biskajski.

Słońce, przez cały dzień skryte we mgle, zaszło właśnie. Coraz bardziej odczuwać się dawał ów lęk, głęboki i ciemny, który nazwać by można niepokojem po zachodzie słońca.

Wiatr nie wiał od morza, wody zatoki były spokojne. Pomyślność to niezwykła, szczególnie w zimie. Załomy Portlandu są prawie zawsze trudno dostępne, pełne mielizn i skał. Przy złej pogodzie woda ich jest burzliwa i wiele potrzeba zręczności i żeglarskiego doświadczenia, aby w nie wpłynąć bezpiecznie. Owe niewielkie porty, bardziej pozorne niż rzeczywiste, stały się zgubą dla niejednej łodzi. Trudno do nich wpływać, niebezpiecznie z nich wypływać. Tego wieczoru jednakże – rzecz to zupełnie wyjątkowa – zatoka była spokojna.

Barkas biskajski dzisiaj wyszedł już z użycia. Jest to łódź o silnym kadłubie, rozmiarami zbliżona do kutra rybackiego, a wytrzymała jak statek wojenny. Barkas używany był też nie-

gdyś w wojennej flocie, ten typ łodzi wchodził nawet w skład Niezwyciężonej Armady[82]; oczywiście był on wówczas potężniejszego tonażu. Takim biskajskim barkasem był okręt flagowy „Wielki Smok", który miał sześćset pięćdziesiąt ton i niósł czterdzieści dział na pokładzie. Dowodził nim Lope de Medina. Barkas biskajski handlowy i przemytniczy był naturalnie o wiele mniejszy. Marynarze bardzo sobie cenią jednakże ów nędzny z pozoru statek. Olinowanie jego było z lin o konopnych pokrętkach, skręconych często wokół żelaznej „duszy", co zapewne być miało sposobem na wykrywanie obecności magnetycznych prądów, sposobem zaiste naiwnym. Osprzęt ten przy całej swej lekkości posiadał siłę potężnych manili hiszpańskich lub rzymskich targanów. Ster łodzi miał długą rękojeść, co zmniejszało wprawdzie wysiłek przy sterowaniu, lecz miało tę z kolei niedogodność, że przykrótki pałąk ograniczał położenia steru. Dwie rolki, umieszczone na krańcach pałąka, łagodziły nieco uderzenia.

Kociołek busoli, przykryty zgrabnym nokchauzem, kołysał się, czujny na każdy ruch łodzi, w swych dwóch mosiężnych kręgach, jak w podwieszeniu Cardana. Z konstrukcji owego barkasu wywnioskować można było, że ci, co go zbudowali, posiadali i wiedzę, i zręczność, była to jednakże wiedza instynktowna tylko i zręczność bardzo pierwotna. Prymitywna ta łódź łączyła w sobie wytrzymałość promu ze zwinnością pirogi; była ona tworem pirackiego i rybackiego instynktu i jak każdy statek w ten sposób powstały, posiadała ogromne żeglarskie zalety. Nadawała się i na zamknięte, i na otwarte wody; komplet żagli jej, typu dość skomplikowanego i osobliwego, pozwalał manewrować swobodnie i w zamkniętych zatokach Asturii, które podobne są do basenów, jak na przykład Pasages, i na otwartym oceanie; barkas ów mógł opłynąć dookoła i jezioro, i świat cały; był osobliwą łodzią o przeznaczeniu jak gdyby podwójnym, równie przydatną na spokojnym stawie co i wśród nawałnicy morskiej. Barkas biskajski jest wśród statków niczym pliszka wśród ptaków: jednym z najmniejszych, a najbardziej śmiałych; pod ciężarem pliszki ledwie że ugnie się trzcina, a jednak ptaszek ten przefruwa oceany.

Najuboższe nawet barkasy biskajskie bywały zawsze złocone i malowane. Rozmiłowanie w ozdobności leży w naturze tych ludów, trochę jeszcze pierwotnych, a tak pełnych czaru. Potężna malowniczość ich gór strojnych w śniegi i łąki odkrywa przed nimi urok najprostszego ornamentu. Ubogi ten lud lubuje się w przepychu; zdobi więc malowidłami ściany swych chat, osły stroi w uprząż obwieszoną dzwoneczkami, wielkim wołom przypina do rogów pióra; wozy ich, których zgrzytanie kół słychać na dwie mile, są malowane, rzeźbione, zdobne we wstążki. Nad wejściem do warsztatu szewca – płaskorzeźba: święty Krepin[88] i prosty chodak, ale z kamienia. Kaftany swoje obszywają skórą; na łachmanach ich widać nie cery, lecz hafty. O radosna wesołości, głęboka i wspaniała! Baskowie to dzieci słońca, jak i Grecy. W Walencji ludzie owijają się w smutne opończe z szorstkiej wełny, które wkładają na nagie ciało przez dziurę pośrodku wyciętą, w Galicji i w kraju Basków nosi się piękne koszule z płótna wybielonego na porannej rosie. Na progach i w oknach tamtejszych domów aż roi się od wesołych i jasnych twarzy uśmiechających się pod rozwieszonymi wszędzie wieńcami kukurydzy. Radość wesoła i dumna bije z ich naiwnej sztuki, z dzieł ich rzemiosła, z obyczajów, ze strojów dziewcząt, z ich pieśni. Góry, to kolosalne zwalisko gruzu, w kraju Basków są całe jasne i świetliste; promienie słońca przedostają się wszędzie przez szczeliny i załomy. Wśród dzikości Jaizquivel idyllę odnajdujemy co krok. Kraj Basków jest uśmiechem Pirenejów, jak Sabaudia jest uśmiechem Alp. Na groźnych wodach zatok otaczających San Sebastian, Leso i Fontarabię, wśród burzy, chmur i wylewającej się na brzeg piany, we wściekłym huku i szamotaniu się fal i wiatru, kołyszą się łodzie przewoźników przystrojone różami. Kto raz ujrzał ten kraj, pragnie powrócić doń znowu. Jest to ziemia błogosławiona. Co roku dwukrotne plony, wesołe, gwarne wioski, bieda zawadiacka i dumna, gitary brząkające każdej niedzieli, tańce, kastaniety i miłość, domy jasne i czyste, a na dzwonnicach gniazda bocianie. Powróćmy jednakże na surowe, skaliste wybrzeża Portlandu.

Półwysep Portlandu, oglądany na planie geometrycznym, podobny jest do głowy ptaka, zwróconej dziobem w stronę oceanu, potylicą zaś – w stronę Weymouth; sam przesmyk – to jakby jego szyja.

Dzisiaj Portland zatracił już swoją dzikość. W połowie osiemnastego stulecia zaczęto wydobywać tutaj kamień i kredę. Ze skał Portlandu produkuje się odtąd cement, zwany rzymskim. Podniosło to zamożność mieszkańców i zupełnie odmieniło wygląd zatoki. Dwieście lat temu wybrzeża te były postrzępioną skalną ruiną; dziś stały się kamieniołomem; zniszczenie dokonane przez fale morza ma w sobie wielkość; motyka zaś niszczy drobiazgowo, powoli i dokładnie; i dlatego też w tym rodzaju zniszczenia mniej jest piękna. We wspaniałe marnotrawstwo oceanu wkroczyła uregulowana niszczycielska działalność człowieka. Przy systematycznym obciosywaniu wybrzeży Portlandu uległa również zagładzie i owa zatoka, do której niegdyś zawinął biskajski barkas. Śladów miejsca, w którym znajdował się ów zalew w skale, szukać by należało na wschodnim wybrzeżu półwyspu, hen, za Folly-Pier, za Dirdle-Pier, a nawet i jeszcze dalej, za Wakeham, gdzieś pomiędzy Church-Hop i Southwell.

Zatokę, zamkniętą ze wszystkich stron przez strome zbocza urwiska o ścianach wyższych niż szerokość wodnego zalewu, ogarniał mrok coraz to głębszy. Wypełniała ją wieczorna mgła, gęstniejąca i mętniejąca z chwili na chwilę; zdawać by się mogło, że ciemność wzbiera z dna tej studni; wąska szczelina, stanowiąca wyjście z zatoki na morze, rysowała się białawą szparą w tym mrocznym wnętrzu wypełnionym chlupotaniem wody. Z bardzo bliska dopiero rozpoznać można było barkas przycumowany do skały, ukryty jak gdyby pod wielkim płaszczem padającego od niej cienia. Z pokładu łodzi przerzucono deskę na płaski, położony nisko nad wodą występ skały, jedyne miejsce dostępne ludzkiej stopie w tym punkcie wybrzeża. Czarne sylwetki poruszały się na tej chwiejnej kładce; jacyś ludzie szykowali się w ciemności do odjazdu.

W zatoce, dzięki skałom osłaniającym ją od północy, było nieco cieplej niż na otwartym morzu. Mimo to jednak ludzie ci dygotali z zimna. Spieszyli się najwyraźniej.

O zmierzchu sylwetki przedmiotów rysują się ostro; widać też było, że odzienie tych ludzi postrzępione jest i podarte; należeli oni niewątpliwie do klasy nazywanej w Anglii *the ragged,* czyli oberwańcy.

W mroku zaledwie rozpoznać można było ścieżkę wijącą się kręto wśród skalnych załomów. Nić, niedbale porzucona przez haftującą dziewczynę na poręczy fotela, układa się w zygzaki podobne do wszystkich na świecie ścieżek górskich i skalnych. Kręta, urwista dróżka, zaiste bardziej dostępna dla kóz niż dla ludzi, wiodła do owego właśnie progu w skale, o który oparta była przerzucona z łodzi deska. Skalne ścieżki bywają zwykle strome, spadziste, nieżyczliwe człowiekowi; to nie drogi, to raczej spadki lecące w dół po pochyłości. Ta, o której tu mowa, była zapewne odgałęzieniem jakiejś drogi biegnącej po równinie. Trudno było patrzeć na nią bez dreszczu przerażenia, tak stromo wspinała się zygzakiem od podnóża skał ku ich wierzchołkom, poprzez występy i zapadliny, by przedostać się wreszcie do wyłomu prowadzącego na położoną na górze płaszczyznę. Po tej to ścieżce zejść musieli pasażerowie, na których oczekiwał zakotwiczony w zatoce barkas.

Z ruchów załadowujących się na łódź ludzi poznać można było pośpiech i niepokój. Wkoło, jak okiem sięgnąć, otaczała ich pustka. Żaden szmer, żaden hałas nie mącił ciszy. Gdzieś daleko tylko, po drugiej stronie przystani, u wejścia do zatoki Ringstead, majaczyły sylwetki flotylli łodzi rybackich, co zapewne zbłądziła na morzu podczas połowu rekinów. Kaprys morza przepędził te statki z wód duńskich na wody angielskie. Wiatry północne nieraz płatają podobne figle rybakom. Flotylla ta schroniła się u wybrzeży Portlandu, z czego wywnioskować można było, że spodziewać się należy złej pogody, że wypływać na pełne morze nie jest bezpiecznie. Łodzie owe zarzucały właśnie kotwice. Główna barka wysunięta była ku przodowi według prastarego obyczaju norweskich flotylli. Olinowanie jej rysowało się ostrym, czarnym konturem na gładkim, jaśniejącym w mroku tle morza i widać było na przedzie zawieszone na żerdzi najrozmaitsze rodzaje haków i harpunów służących do połowu

seymnus glacialis, squalus acanthias i *squalus spinax niger* i sieć przeznaczoną do chwytania żarłacza. Oprócz tych kilku łodzi zbitych w gromadkę nigdzie na całym rozległym horyzoncie nie można było napotkać okiem jakiegokolwiek śladu ludzkiego życia. Ani domu, ani statku, nic. W epoce owej wybrzeże to nie było jeszcze zamieszkałe, a porty zatoki były o tej porze nie do użytku.

Ludzie, na których oczekiwał barkas biskajski, śpieszyli się z odjazdem, nie bacząc na pogodę. Krzątali się też całą gromadką po wybrzeżu szybko i bezładnie. Trudno ich było między sobą rozróżnić. Niesposób dojrzeć, czy byli młodzi czy starzy. Wieczór zacierał kształty postaci, twarze, jak pod maską, ukryte były w mroku. W ciemności majaczyły tylko ich sylwetki. Ludzi było ośmioro, w tym jedna, a może i dwie kobiety – trudno było rozpoznać to dokładnie po podartych łachmanach, które ich przykrywały, a które nie były już właściwie ani męskim, ani kobiecym ubiorem. Łachmany nie mają płci.

Jeden z tych cieni był mniejszy, karzeł widocznie lub dziecko.

Było to dziecko.

II. PORZUCENIE

Cóż można by było zauważyć przyglądając się tym ludziom z bliska?

Wszyscy oni przyodziani byli w długie płaszcze z kapturami, podarte i połatane wprawdzie, ale szerokie i fałdziste. Płaszczem takim można w potrzebie zakryć twarz aż po oczy, chroni on więc i od wiatru, i od ludzkiej ciekawości, nie utrudniając przy tym ruchów. Nosili też chustki obwiązane dokoła głowy – pierwszy zarys turbanu w jego hiszpańskiej postaci. Ten rodzaj przykrycia głowy nie był w Anglii niczym niezwykłym. W czasach owych południe modne było na północy. Płynęło to stąd, być może, że północ podbijała właśnie południe. Zwyciężała je i podziwiała równocześnie. Po klęsce Niezwyciężonej Armady język kastylski wszechwładnie zapanował na dworze Elżbiety. Odezwanie się po angielsku w pałacu królowej Anglii uchodziło nieomal że za *shocking*. Zwykłą koleją losu barbarzyńca, podbiwszy kraj o wyrafinowanej kulturze, przejmuje obyczaje tych, którym narzuca prawa; Tatar podgląda i naśladuje Chińczyka. Dlatego też moda kastylska rozpowszechniła się w Anglii, angielskie interesy natomiast podporządkowywały sobie Hiszpanię.

Wśród gotującej się do odjazdu gromadki jeden z mężczyzn wyglądał wyraźnie na wodza. Na nogach miał *alpargatas,* sandały plecione ze sznurka na grubej podeszwie, jego zniszczony, podarty ubiór był bogato lamowany i haftowany, spod płaszcza zaś, niby rybi brzuch, połyskiwała naszywana cekinami kamizelka. Drugi z mężczyzn opuścił sobie na twarz szeroką krezę filcowego kapelusza. W kapeluszu tym nie było dziury na fajkę, co znaczyć miało, że człowiek, który go nosi, jest uczonym.

Dziecko – w myśl niewątpliwej prawdy, że kurtka męska jest dziecinnym płaszczem – nosiło na odziewających je łachmanach kitel sięgający mu aż po kolana.

Był to chłopczyk dziesięcio-, najwyżej jedenastoletni, sądząc po wzroście. Nogi miał bose.

Załoga barkasu składała się z szypra i dwu majtków.

Barkas przybywał zapewne z Hiszpanii i tam też chyba miał powrócić. Nie trudno było odgadnąć, że podróżował tak w jakiejś tajemniczej sprawie.

Ludzie, załadowujący się właśnie na tę łódź, rozmawiali cicho między sobą.

W szeptach ich wyróżnić można było słowa i kastylskie, i niemieckie, i francuskie, i walijskie, i baskijskie. Język, którym się posługiwali, był jakimś dziwacznym narzeczem czy też nawet żargonem.

Ludzie ci, najrozmaitszej widać narodowości, byli jednak chyba członkami jednej bandy.

Załoga składała się zapewne z ich ludzi. Działała tutaj jakaś tajna zmowa.

Ta wielojęzyczna gromada była zwartą organizacją towarzyszy, wspólników nawet być może.

Gdyby było odrobinę jaśniej, gdyby ktoś przyjrzał się tym ludziom uważniej nieco – dostrzegłby ukryte pod łachmanami różańce i szkaplerze. Jedna z tych istot, wyróżniającą się od reszty jako coś na kształt kobiety, miała różaniec o olbrzymich ziarnkach, podobny do różańców, jakich używają derwisze. Bez trudu poznać było można, że to różaniec irlandzki, z Llanymthefry czy też Llanandiffry, i tak, i tak bowiem nazywają ludzie tę miejscowość.

Gdyby nie zmrok, zobaczyć by można było i to jeszcze, że na przedzie barkasu umieszczona jest rzeźbiona i pozłacana figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Była to zapewne baskijska Madonna, rodzaj starodawnego posążka, jakie tworzył zamieszkujący niegdyś Półwysep Iberyjski lud Cantabrów. Pod figurą tą, ustawioną na samym dziobie, wisiała latarnia, zgaszona w tej chwili, co wskazywało, że nie zaniechano żadnej ostrożności, aby ukryć obecność barkasu w zatoce. Latarnia ta spełniała dwa przeznaczenia: płonęła ku czci Madonny i oświetlała morze, służyła równocześnie i żeglarzowi, i Bogu.

Dziobnica, długa, krzywa i spiczasta, sterczała na przodzie statku, jak róg półksiężyca. U samej jej nasady, a u stóp figury Madonny, klęczał anioł ze złożonymi skrzydłami, spoglądający przez, lunetę ku horyzontowi. I on również był pozłacany.

W dziobnicy wydrążone były otwory, przez które swobodnie przepływać mogła woda. Nie poskąpiono też arabesek i złoceń dla ich przyozdobienia.

Pod, figurą Madonny wypisano dużymi złotymi literami słowo „Matutina". Była to nazwa statku, w tej chwili niewidoczna w ciemności.

Nad brzegiem u stóp urwiska leżały porozrzucane w nieładzie toboły i skrzynki, cały dobytek uciekinierów. Ładowali go właśnie na barkas, przenosząc w pośpiechu po przerzuconej na brzeg kładce. Wory z sucharami i beczułka suszonych ryb, trzy baryłki: jedna ze słodką wodą, druga ze słodem, trzecia ze smołą, cztery czy pięć flaszek rumu, tłumok w nędznej płachcie, ściągnięty rzemieniami, kuferki, skrzynki, kłąb pakuł, których używa się na pochodnie i świetlne sygnały – oto cały ładunek barkasu. Obszarpańcy posiadali kuferki, a więc niewątpliwie wiedli żywot koczowniczy. Wędrowni nędzarze muszą mieć jakiś, najskromniejszy chociażby, dobytek; niejeden raz pragnęliby oni zerwać się i odlecieć nagle, jak ptaki, ale nie mogą, gdyż musieliby porzucić ubogi sprzęt, którym zarabiają na życie. Wszędzie taszczą za sobą toboły, skrzynki – narzędzia pracy, wędrownej sztuki czy rzemiosła. Bagaż ten jakże często bywa dla nich kulą u nogi.

Niełatwym zaiste być musiało zniesienie tego całego dobytku z urwiska. Najwidoczniej więc ludzie owi szykowali się do ostatecznego odjazdu.

Nie tracili też czasu, dreptali tam i z powrotem, z brzegu na łódź, z łodzi na brzeg; każdy coś robił, każdy pomagał, ten przenosił worki, tamten – skrzynie. Obie chyba-kobiety pracowały po społu z resztą gromady. A dziecko dźwigało za dwu.

Dziecko to wśród owych ludzi nie miało chyba ani ojca, ani matki. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Używano je do pracy, i to wszystko. Wydawało się być nie dzieckiem w rodzinie, lecz niewolnikiem w obcym plemieniu. Wszyscy się nim posługiwali, nikt się doń nawet nie odezwał.

Malec uwijał się zresztą szybko i jak i całe to podejrzane grono wydawał się odczuwać jedno tylko pragnienie: żeby już jak najprędzej odjechać. Dlaczego? Tego nie wiedział zapewne. Spieszył się, bo widział, że inni też się śpieszą.

Załadowano wreszcie wszystkie bagaże na pokład barkasu; szybko rozmieszczono ładunek we wnętrzu łodzi i oto nadchodziła już chwila odjazdu. Przeniesiono wszystkie paki, dwa podobne do kobiet stworzenia były już w łodzi, reszta bandy – pięciu mężczyzn i dziecko – znajdowała się jeszcze na skalnym progu, u podnóża urwiska. Na barkasie gorączkowo szykowano się do odjazdu, szyper ujął rękojeść steru, jeden z majtków schwycił siekierę, by przeciąć linę kotwicy. Przecięcie liny to znak niechybny wielkiego pośpiechu; odwiązuje się ją, kiedy jest czasu dość. – *Andamos* – rzekł półgłosem ten, co wyglądał na wodza bandy, co spod łachmanów połyskiwał cekinami. Dziecko podbiegło do deski, by przejść. Już, już dotykało jej nogą, lecz oto dwu spośród mężczyzn rzuciło się naprzód, odepchnęli chłopczyka,

który omal nie wpadł do wody, i weszli na kładkę, trzeci przeszedł tuż za nimi, odsuwając małego łokciem, czwarty szturchnął go pięścią i też przebiegł, piąty zaś, ten, co wyglądał na wodza, jednym susem skoczył na pokład i uderzeniem obcasa zepchnął deskę w wodę. Przecięto siekierą cumę, i ster zakręcił się, statek odbił od brzegu i dziecko zostało na lądzie.

III SAMOTNOŚĆ

Dziecko z utkwionym przed siebie spojrzeniem bez ruchu stało na skale. Nie zawołało, nie krzyknęło. Porzucono je tak nagle, a ono nie odezwało się nawet. Na łodzi też nikt nie wyrzekł ni słowa. Ani dziecko nie wzywało tych ludzi, ani też ludzie ci nie żegnali dziecka. Przestrzeń dzieląca ich rosła, a obie strony godziły się na to w milczeniu. Tak chyba rozstają się cienie zmarłych nad brzegiem Styksu. Dziecko, jakby przyrośnięte do skały, którą wody przypływu zalewały coraz wyżej i wyżej, patrzyło na oddalającą się łódź. Rzec by można, że rozumie. Ale co rozumiało? Nie wiadomo.

Po chwili barkas wpłynął w wąskie przejście prowadzące z zatoki na morze. Na tle jaśniejącego w dali nieba, w rozpęklinie, przez którą woda przepływała kreto pomiędzy podwójną ścianą urwiska, zarysował się szczyt masztu i przesunął zygzakiem, jakby zagłębiał się w skałę, aż wreszcie znikł. Łódź wypłynęła na morze.

Chłopczyk patrzył, jak znika.

Na twarzy jego malowało się i zdziwienie, i zaduma.

Prócz zdumienia, widniało na niej jakieś niejasne, nieokreślone stwierdzenie: takie oto jest życie. Wydawać by się mogło, że ta rozwijająca się dopiero istotka jest już bogata doświadczeniem. Być może nawet potrafiła ona również i sądzić. Ciężkie, surowe dzieciństwo niekiedy ustawia jak gdyby w głębinach dziecięcej świadomości jakąś groźną, bezlitosną wagę, na której te nieszczęśliwe, maleńkie dusze ważą boskie wyroki.

Chłopaczek czuł, że on jest tutaj bez winy. I przyjął swój los bez skargi, bez jednego słowa narzekania.

Odepchnięto go tak niespodzianie, a on nie drgnął nawet. Jakby cały zesztywniał w środku. Pod ciężarem tej nagłej decyzji losu, która rozstrzygała o jego życiu, zanim zdążyło się ono rozpocząć naprawdę, dziecko nie ugięło się. Stało, choć. uderzył w nie piorun.

Ktokolwiek by zobaczył to Osłupienie pełne rezygnacji, poznałby bez trudu, że z ludzi, co odjechali, nie kochało ono nikogo i przez nikogo też nie było kochane.

Stało tak, pogrążone w zadumie, nie zważając na zimno. Nagle woda ochlapała mu stopy; nadchodził przypływ; podmuch przeszedł mu przez włosy; zrywał się wiatr. Chłopczyk drgnął. Od stóp do głów wtrząsnął nim zimny dreszcz. Ocknął się. Rozejrzał się dokoła. Był sam.

Jedyni ludzie, jakich znał aż do dnia tego, jedyni ludzie, jacy istnieli dla niego na ziemi, byli to ci właśnie, co odpłynęli przed chwilą na barkasie. Ci, co go porzucili.

Dodajmy od razu, choć brzmi to dziwnie, że nie znał on właściwie nawet i tych jedynych znanych sobie ludzi.

Nie potrafiłby nawet powiedzieć, kim byli.

Spędził wśród nich całe dzieciństwo, nigdy jednak nie czuł, że do nich przynależy. Istniał obok po prostu i nic więcej.

A teraz oni o nim zapomnieli.

Nie miał przy sobie pieniędzy, nie miał obuwia, nie miał nawet kawałka chleba, był ledwie że odziany.

A była zima. I pora późna. Najbliższe zaś osiedle ludzkie oddalone było co najmniej o kilka mil.

Chłopiec nie wiedział, gdzie się znajduje.

Nie wiedział nic, to tylko, że ci, co przyszli z nim razem nad brzeg morza, odpłynęli bez niego. Czuł, jakby, go życie odrzuciło. U nikogo na świecie nie mógł szukać pomocy. A lat miał dziesięć.

Stał w pustce, pomiędzy dwiema głębokościami. Widział, jak z jednej otchłani wstaje noc, słyszał, jak w drugiej groźnie pomrukują fale.

Chłopaczek wyciągnął swoje drobne, chude ramionka i ziewnął Po czym, jak gdyby powziął nagłą decyzję, śmiało, swobodnie, ze zręcznością wiewiórki – czy też może klowna – odwrócił się od zatoki i zaczął piąć się po skale. Wbiegał na ścieżkę, zbaczał z niej, znowu na nią powracał, zwinny, zuchwały. Spieszył się, śpieszył ku ziemi. Wydawać by się mogło, że ma z góry wytkniętą drogę. A przecież szedł po prostu, gdzie oczy poniosą.

Biegł szybko, na oślep, jakby uciekał przed losem. To stąpał ostrożnie, to znów wdrapywał się na czworakach, piął się ku górze na wszelkie sposoby i zwierzęce, i ludzkie. Urwisko Portlandu zwrócone jest ku południowi, śniegu na ścieżce było więc niewiele; lecz mróz ściął go w twarde grudki i trudno było po nim iść. Chłopiec i z tym dał sobie radę. Utrudniała mu ruchy za duża męska kurtka. Strome występy skalne pokrywał tu i ówdzie cienki lód. Mały ślizgał się więc i przewracał, czepiał się zeschłych gałęzi i kamieni, nieraz zawisnął przez chwilę nad przepaścią. W pewnej chwili krucha skała oberwała się pod nim i zaczął z nią razem spadać w dół. Obsunięcia takie bywają bardzo zdradliwe. Przez kilka sekund chłopczyk zsuwał się jak dachówka po dachu. Stoczył się tak aż nad sam skraj urwiska; uratowała go kępa trawy, w którą wczepił się w ostatniej chwili. Zawisnąwszy nad przepaścią nie krzyknął nawet, jak i nie krzyczał, kiedy opuścili go ludzie; w milczeniu wydostał się z powrotem na skałę. Urwisko było wysokie, spotkała go też po drodze niejedna przygoda. Przepaść stawała się coraz groźniejsza w pogłębiającej się ciemności. Ta pionowa sterczęca skała wydawała się nie mieć końca.

Rosła przed dzieckiem, wznosiła się coraz to wyżej, coraz to wyżej odsuwał się szczyt, w miarę jak ono szło. Chłopczyk piął się i spoglądał co chwila na to czarne belkowanie, na tę zaporę ustawioną pomiędzy nim i niebem. Wdrapał się wreszcie.

Stanął na równinie. Rzec by można, że wyszedł na ląd, wydostał się bowiem z przepaści.

I natychmiast zatrząsł się z zimna. Północno-zachodni wiatr, ostry podmuch nocy, dął mu prosto w twarz. Ściągnął na piersi swoją bluzę marynarską z grubego płótna.

Dobre to i praktyczne ubranie. Rybacy nazywają je *le suroit,* gdyż bluza taka chroni od deszczu, który sprowadza zwykle noszący tę nazwę wiatr południowo-zachodni.

Wydostawszy się na płaszczyznę dziecko stanęło bosymi stopami na przemarzniętej ziemi i rozejrzało się dokoła.

Za sobą miało morze, przed sobą ziemię, a nad głową niebo.

Niebo bez gwiazd. Zakrywała je gęsta mgła i chmury.

Kiedy chłopczyk wydobył się wreszcie na górną krawędź skalnej ściany, spojrzał przed siebie, w głąb lądu. Jak okiem sięgnąć, rozpościerała się płaska, zamarznięta, przyprószona śniegiem równina. Nieliczne kępy wrzosów poruszały się na wietrze. Żadnej drogi, żadnego domu czy choćby pasterskiego szałasu. Tu i ówdzie tylko sypki śnieg, porwany podmuchem powietrza, unosił się i wirował nad ziemią bielejącą spiralą. Lekkie nierówności terenu zaznaczały się niewyraźnie na horyzoncie. Ogromne, martwe równiny gubiły się w mlecznych tumanach mgły. Cisza. Krajobraz był bezkresny jak nieskończoność i milczący jak grób.

Dziecko zwróciło się w stronę morza.

I morze było białe tak jak ziemia; ona od śniegu, ono od piany. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej melancholijnego od tej podwójnej białości. Oświetlenie wieczoru daje niekiedy niezwykle twarde kontrasty; morze wydawało się być ze stali, skały nadbrzeżne – z hebanu. Zatoka Portlandu leżała u podnóża wzniesienia, na którym stało dziecko, widoczna cała, jak na wyblakłej mapie, w półkolistym otoczeniu pagórków; ten nocny krajobraz z przeświecającym przez chmury skrawkiem księżyca był jak ze snu. Na całym wybrzeżu, zamkniętym z obu stron wrzynającymi się w morze przylądkami, nie błyszczał żaden ogieniek, żadne świa-

tełko; okolica była l pustynna, bezludna. Ciemności na ziemi i na niebie; ani jednej lampy w dole, ani jednej gwiazdy w górze. Szerokie, niskie fale zatoki wznosiły się niespodzianie to tu, to tam. Wiatr poruszał i marszczył powierzchnię wody. Można było jeszcze dostrzec barkas oddalający się od. lądu.

Ślizgał się czarnym trójkątem po tym sinym tle.

Bezgraniczne, ginące w dali przestrzenie wody poruszały się w ponurym półmroku.

„Matutina" płynęła prędko. Malała z minuty na minutę. Jakże szybko niknie na morzu kształt odpływającego statku.

W pewnej chwili zapłonęła latarnia na dziobie. Sterowanie po ciemku stawało się widocznie niebezpieczne. Jasny ten punkcik, tkwiący na podłużnym wysokim, czarnym kształcie, ponuro połyskiwał w oddali. Rzec by można, że to kondukt żałobny posuwa się po morzu wraz z towarzyszącą mu pochodnią.

W powietrzu wisiała nawałnica. Dziecko nie zdawało sobie z tego sprawy, marynarz jednakże zadrżałby z przerażenia. Była to owa minuta przed burzą, w której wydaje się, że żywioły ożyją za chwilę w ludzkiej postaci, że wiatr czarodziejskim sposobem przemieni się w Aquilona. Morze stanie się oceanem, siła okaże się wolą, to, co wydawało się być martwym przedmiotem, ukaże nagle swą duszę. Wszystko, to stanie się już za chwilę. Groza ogarnia człowieka. Dusza ludzka drży na myśl o spotkaniu się twarzą w twarz z duszą natury.

Już wkrótce miał zapanować chaos. Wiatr poruszył mgły i spiętrzył chmury, jakby ustawiał dekoracje do tego straszliwego dramatu zimy i fal, któremu na imię burza śnieżna.

I jeszcze jeden znak nieomylny – statki, co szybko powracały z morza do przystani. Zatoka nie była już pusta. Spoza przylądków wyłaniały się co chwila łodzie niespokojnie zdążające do: portu. Jedne płynęły wzdłuż Portland Bill, inne wzdłuż Saint-Albans Head. W oddali pojawiały się coraz to inne żagle. Czas naglił. Na południowej stronie nieba ciemność stawała się coraz głębsza, chmury, brzemienne mrokiem, opadały coraz niżej i niżej ku morzu. Pod ciężarem zawieszonej w powietrzu burzy fale zamarły w ponurym, groźnym bezruchu. Nie był to zaiste czas na odjazd. A jednak barkas wyruszył w drogę.

Wyminął on przylądek od strony północnej, wypłynął z zatoki. i znajdował się już na pełnym morzu. Nagle zerwał się gwałtowny wiatr północno-zachodni; „Matutina", wyraźnie jeszcze widoczna, rozwinęła żagle, jakby postanowiła wyzyskać huragan. Był to wiatr zdradliwy, niebezpieczny. Schwycił on natychmiast barkas w swoje obroty. Łódź przechyliła się pod jego podmuchem, nie zboczyła jednak z drogi, dalej płynęła przed siebie. Wskazywało to na ucieczkę raczej niż na zwykłą podróż, na większy niż przed żywiołem lęk przed ziemią, na większy strach przed pościgiem ludzi niż przed pościgiem wiatrów.

Barkas malał, malał coraz to bardziej w głębinach horyzontu; maleńka gwiazda, sunąca poprzez 'ciemność, bladła; aż wreszcie znikła, roztopiła się w ciemnościach nocy.

Tym razem znikła już na zawsze.

Dziecko zrozumiało to widocznie. Przestało patrzyć na morze. Wzrok jego przesunął się na równiny, wrzosowiska, pagórki, na przestrzenie lądu, na których, być może, uda mu się spotkać jakąś żyjącą istotę. Odwróciło się i poszło w ten nieznany świat.

IV. PYTANIA

Cóż to za banda porzuciła, uciekając, dziecko?

Czyżby zbiegowie ci należeli do comprachicos?

Już z poprzednich rozdziałów poznaliśmy dokładnie prawa ustanowione przez Wilhelma III i uchwalone przez parlament, ścigające złoczyńców obojga płci zwanych comprachicos czy to comprapequenos, czy to cheylas.

Niektóre ustawy działają rozpraszające. Statutów, spadając na comprachicos, wywołał w skutku powszechną ucieczkę nie tylko ich właśnie, ale wszystkich włóczęgów wszelkich odmian i rodzai. Wszyscy usiłowali opuścić wyspę, zbiec morzem. Comprachicos gromadnie wracali do Hiszpanii. Wielu spośród nich było bowiem pochodzenia baskijskiego.

Pierwszym i zaiste niezwykłym skutkiem owej ochraniającej dziecko ustawy było nagminne porzucanie dzieci.

Nigdy jeszcze nie znajdywano tak wielkiej ilości podrzutków. Przyczyny zrozumieć nie trudno. Na każdą bandę wędrowną, wśród której znajdowałoby się dziecko, mogło paść podejrzenie; wystarczającym oskarżeniem była sama jego obecność. – To comprachicos zapewne – wnioskował szeryf, sędzia, konstabl. I następowało aresztowanie i śledztwo. Na nędzarzy, na zwykłych, wędrujących po prośbie żebraków padł strach. Bali się, by nie wzięto ich za comprachicos, choć nimi nie byli. Słabi są bowiem zazwyczaj wobec pomyłek sprawiedliwości bezsilni. Żebracze, wędrowne, bezdomne rodziny i tak już żyją w nieustannym popłochu. Comprachicos oskarżano o czerpanie korzyści z handlu cudzymi dziećmi. Nieszczęście jednak i ubóstwo tak misternie splatają się ze sobą, że niejeden raz prawowity ojciec i matka nie byli w stanie przekonać władz, że dziecko ich jest naprawdę ich własnym dzieckiem. Skąd masz dziecko? I jak tu dowieść, że to własne, od Boga dane? Posiadanie dziecka stało się niebezpieczne; trzeba się go więc wyzbyć, łatwiej będzie przemknąć się bez niego. I rodzice porzucali własne dzieci w lasach, na piaszczystych odludziach; topili je w studniach.

Niejeden raz znajdowano trupki potopionych dzieci. Dodajmy jeszcze, ze biorąc przykład z Anglii, zaczęto odtąd prześladować comprachicos w całej Europie. Hasło zostało rzucone.

Przykład podziałał. Policje wszystkich państw Europy szły ze sobą w zawody o lepsze w wyłapywaniu comprachicos, hiszpański alguazil ścigał się w czujności z angielskim konstablem. Jeszcze dwadzieścia trzy lata temu odczytać można było wyryty w kamieniu na bramie w Otero napis, nieprzetłumaczalny – język kodeksów niewiele nieraz troszczy się o moralność publiczną – gdzie zresztą, przez zasadniczą różnicę w karze, oddzielono wyraźnie handlarzy dziećmi od złodziei dzieci. A oto napis ów w surowym, hiszpańskim oryginale: *Aqui quedan las orejas de los comprachicos, y las bolsas de los robaninos, mientras que se van ellos al trabajo de mar.* Jak widzimy więc, odcięcie uszu etc. nie uwalniało wcale od galer. I powstał popłoch wśród włóczęgów. Niespokojnie przenosili się z miejsca na miejsce, zrywali się w strachu i z drżeniem rozkładali swe przelotne obozowiska. Wzdłuż całego wybrzeża Europy śledzono bacznie wszelkie potajemne przyjazdy i odjazdy. Tropione bandy nie mogły wypływać na morze z dzieckiem, gdyż lądowanie z dzieckiem było niebezpieczne.

Łatwiej było dziecko po prostu porzucić.

Przez kogóż to więc został porzucony ów chłopiec stojący samotnie wśród zmroku zapadającego na pustkowiu Portlandu?

Według wszelkiego prawdopodobieństwa – przez comprachicos.

V. DRZEWO LUDZKIEGO WYNALAZKU

Była już zapewne siódma wieczór. Wiatr uspokoił się nieco, znak, że wkrótce znowu dąć zacznie ze wzmożoną siłą. Dziecko znajdowało się w najdalej na południe wysuniętej części półwyspu.

Portland jest półwyspem. Dziecko nie wiedziało jednakże, co to jest półwysep, nie znało nawet tej nazwy: Portland. Wiedziało ono jedno tylko: że można iść, iść przed siebie, dopóki się nie padnie, Znajomość świata jest człowiekowi przewodnikiem; ono o świecie nie wiedziało nic. Tu je oni przyprowadzili i tu zostało porzucone. „Oni” i „tu” – dwie te zagadki

mieściły w sobie los dziecka; „oni” oznaczało ludzi, wszystkich ludzi, „tu” – oznaczało cały świat. Jedynym punktem oparcia, jaki chłopiec miał na tym padole, była niewielka przestrzeń ziemi, twardej i zimnej, na której stawiał swoje bose stopy. Cóż mógł mieć więcej w tym ogromnym, otwartym zewsząd świecie, który powoli okrywał zmierzch? Nic. Szedł przed siebie w nieznane. Dokoła była pustka bezludna.

Chłopiec przeciął na skos jedno płaskowzgórze, drugie, trzecie. Każda z tych płaszczyzn kończyła się niewysokim wprawdzie, lecz często ostrym spadkiem. Wysokie, gołe płaszczyzny portlandzkiego półwyspu podobne są do wielkich płyt, jak gdyby jedna pod drugą podsuniętych; południowe ich boki wydają się być podłożone pod krawędź poprzedniej równiny, północne zaś sterczą ponad następnym płaskowyżem. Z powstającymi stąd nierównościami terenu dziecko radziło sobie zręcznie i sprawnie. Co pewien czas przystawało na chwilę, zastanawiając się jak gdyby. Noc robiła się coraz głębsza, widoczność zmniejszała się, dostrzec cokolwiek można było w promieniu kilku zaledwie kroków.

Naglę chłopiec zatrzymał się, nasłuchiwał przez chwilę, z zadowoleniem skinął głową, odwrócił się szybko i powędrował w kierunku niewielkiego wzniesienia, które rysowało się niewyraźnie na prawo od niego, na skraju równiny. Na wzniesieniu owym majaczył jakiś kształt podobny w mroku do drzewa. Dochodził stamtąd szmer. Nie był to na pewno ani szum morza, ani szum wiatru. Nie był to również głos zwierzęcia. Dziecko pomyślało sobie, że może ktoś tam jest, jakiś człowiek.

W kilku susach podbiegło do stóp pagórka.

Był tam ktoś rzeczywiście.

Nieokreśloną formę na szczycie widać było teraz wyraźnie.

Było to coś na kształt wielkiego ramienia, pionowo wyrastającego z ziemi. U górnego końca owego ramienia sterczał poziomo jak gdyby palec wskazujący, wsparty na wielkim palcu. Ramię to i oba jego palce rysowały się na tle nieba znakiem węgielnicy. W miejscu złączenia palców owych, wskazującego i wielkiego, zaczepiony był sznur, na którym wisiało coś czarnego. Sznur, poruszany przez wiatr, skrzypiał jak łańcuch.

Ten to głos właśnie usłyszało dziecko.

Sznur ów, jak to można było dojrzeć z bliska, był rzeczywiście łańcuchem, marynarskim łańcuchem o grubych ogniwach.

Jakimś tajemniczym prawem natury, łączącym w jedną zwartą całość pozory i rzeczywistość, wszystko – miejsce i pora, mgła, dramatyczne morze, groźny pomruk dalekich, niewidocznych horyzontów – wszystko składało się na to, że kształt ów wydawał się olbrzymi.

Przedmiot uwieszony u łańcucha podobny był do futerału, do owiniętego w pieluszki niemowlęcia wielkości człowieka. U góry dokoła wystającej okrągłości okręcony był koniec łańcucha. U dołu futerał ów postrzępiony był i poszarpany; sterczały zeń ogołocone z ciała piszczele.

Słaby wiatr poruszał łańcuchem, a zawieszony na nim ciężar kołysał się lekko. Ów bierny kształt posłuszny był każdemu drgnieniu olbrzymich przestworzy; było w tym coś przerażającego; strach, co miesza właściwe proporcje przedmiotów, odbierał mu wymiary pozostawiając tylko sam zarys; wydawał się być jakimś dotykalnym zagęszczeniem ciemności. Cały był uczyniony z otaczającej go dokoła nocy i wyolbrzymiony upiornie przez grozę śmierci. I zmierzchy, i wschody księżyca, i zachodzące za skały konstelacje gwiazd, poruszanie się powietrza i wody, chmury, cała róża wiatrów – wszystko to złożyło się jak gdyby na utworzenie owej dostrzegalnej nicości; bryła ta, kołysząca się byle jak na wietrze, była równie bezosobowa i obojętna co i niebo, i morze; ciemność wchłaniała w siebie to, co było niegdyś człowiekiem. Było to coś, co nie było już niczym.

A to, co pozostało, nie ma swojej nazwy w ludzkim języku. Nie istnieć już, a trwać, być w otchłani i poza otchłanią, jak korek na wodzie unosić się na powierzchni śmierci – zaiste rzeczywistość, taka ma w sobie coś z nieprawdopodobieństwa. Jakże Ją więc określić ludzką

mową? Istota owa – lecz czyż była to jeszcze istota? – ów czarny świadek był jakimś szczątkiem, jakimś straszliwym szczątkiem. Szczątkiem czegóż to? Był to szczątek i natury. i społeczeństwa. Wszystko i nic.

Wydany był on na pastwę niełaskawych przestworzy. Otaczało go najgłębsze zapomnienie, najgłębsza samotność. Samowolnie rządziło nim nieznane. Ciemność robiła z nim, co chciała, był wobec niej bezbronny. Na zawsze już pozostawać miał bezwładny i bierny, Do woli miotały nim ponure podmuchy huraganów.

Upiór ów niszczał powoli, wystawiony był na straszliwe, powolne gnicie na wietrze. Znajdował się poza prawem grobu Unicestwienie bez spokoju było jego udziałem. Latem rozpadał się w popiół, zimą – w błoto. Śmierci należy się zasłona, wstydliwe schronienie pod pokrywą grobu. Tutaj była ona bezwstydna i naga. Gnicie odbywało się jawnie, cynicznie. Jest jakieś wyuzdanie w pokazywaniu przez śmierć, w jaki to sposób dokonuje ona swego dzieła. Pracując nie w swym laboratorium – nie w grobie – urąga ona wszelkiej pogodzie i łagodności zmroku.

Owa żyjąca niegdyś istota rozpadała się, ginęła powoli; nieubłaganie, bezlitośnie. W kościach wysechł szpik, wnętrzności w brzuchu wygniły, w gardle zbrakło głosu. Trup – to kieszeń, którą śmierć opróżnia. Jeżeli miał on kiedyś swoje ja, swoje człowieczeństwo – to gdzież się ono teraz znajdowało? Istniało jeszcze, być może, unosiło się gdzieś dokoła uwiązanych u łańcucha resztek ciała. Sama myśl o tym jakże wstrząsająca jest i bolesna! Niesposób chyba wyobrazić sobie bardziej ponure, bardziej złowieszcze widowisko.

Niektóre zjawiska tego świata, zjawiska rzeczywiste, są jak gdyby szczeliną, przez którą myśl umyka w niezbadane, w nieznane, usiłując sprawdzić przypuszczenia, rozwiązać zagadki. Przechodząc przez niektóre miejsca, mijając niektóre przedmioty niesposób nie zatrzymać się w zadumie. Nieraz w życiu napotkać można taką uchyloną furtkę prowadzącą w niewidoczne, niepojęte. Nikt chyba nie potrafiłby wyminąć obojętnie tego trupa.

Rozpraszał się on, rozpadał wśród głębokiej, nieruchomej ciszy. Krew jego została wypita, skóra zjedzona, skradziono mu ciało. Rozgrabiało go wszystko. Grudzień wziął z niego chłód, północ – grozę, żelazo – rdzę, zaraza – wyziewy trujące, kwiat – zapach. Płacił rogatkowe śmierci swoim powolnym rozkładem. Płacił je wiatrom, deszczom, rosie, gadom i ptakom. Rozdrapywały go ciemne dłonie nocy.

Był to jakiś mieszkaniec ciemności, nieokreślony, niesamowity. Istniał i nie istniał równocześnie na owym wzgórzu na równinie. Był dotykalny, a nieuchwytny. Był cieniem uzupełniającym ciemność. Kiedy dzień już zgasł, włączał się ów trup w ponurą harmonię bezkresnego, milczącego mroku. Przez samą swoją obecność pogłębiał żałobę burzy i spokój gwiazd. Niewysłowiona istota pustki w nim znajdowała swój wyraz. Ów strzęp nieznanego losu był jeszcze jednym niedomówieniem nocnej grozy. Tajemnica jego była nieokreślonym, niejasnym odbiciem wszystkich zagadek.

Życie dokoła niego słabło, ginęło, marło. Na otaczających go równinach zanikała wszelka pewność, wszelka ufność. Rozdzierający smutek krajobrazu, drżenie mgieł i traw, niepokój, który wydawał się być niepokojem istoty żywej, wszystko podporządkowane było owej czarnej postaci zawieszonej na łańcuchu. Obecność widma pogłębiała bezludność tego pustkowia.

Była to mara pląsająca na nieubłaganym wietrze, nieustannie i straszliwie. Trup ów wydawał się być ośrodkiem całej przestrzeni, wydawał się dźwigać na sobie jakiś ogrom. Kto wie? Dźwigał on na sobie, być może, odwieczną sprawiedliwość bytującą gdzieś poza prawami ustanowionymi przez człowieka. To pozagrobowe trwanie było jego zemstą na ludzkości, było ono jego odwetem. Tkwił w owej pustce i zmroku jako świadectwo, jako dowód, że martwa materia również bywa czasami niepokojąca. Przejmuje nas bowiem zawsze groza wobec tego, co w materii jest ruiną opuszczoną przez ducha. Rzeczy martwe dzisiaj, nieruchome, a które niegdyś ożywiał duch, wywołują w nas lęk. Trup ów oskarżał i niebieskie, i

ziemskie wyroki. Umieszczony na tym miejscu ręką człowieka, czekał na Boga. A dokoła niego falowały niezmierzone, widmowe, mroczne przestworza, utkane z chmur i fal.

Zjawę ową otaczał jakiś krąg ponury, zamknięty, którego nazwać niesposób. Dokoła trupa tego był bezkres nie ograniczony niczym, ni drzewem, ni dachem domu, ni sylwetką przechodzącego człowieka. Kiedy nieskończoność ciążąca nad nami pochyla się, niebo, otchłań, życie, grób i wieczność otwierają się przed nami – wszystko wówczas wydaje się nam nieosiągalne, zakazane, niedostępne. Nie ma potężniejszego zamknięcia niż nieskończoność otwarta przed człowiekiem.

VI. BITWA ŚMIERCI Z NOCĄ

Dziecko patrzyło na ów widok w niemym osłupieniu.

To, w czym dorosły rozpoznałby szubienicę, jemu wydało się przywidzeniem.

To, w czym dorosły rozpoznałby trupa, jemu wydało się upiorem.

Nie mogło ono zrozumieć tutaj niczego.

Otchłań na różne sposoby kusić potrafi; to, co znajdowało się na szczycie wzgórza, było taką właśnie zastawioną przez nią zasadzką. Dziecko zrobiło jeden krok, potem drugi. Szło, choć pragnęłoby się cofnąć, zbliżało się, choć pragnęłoby uciec.

Drżące, a zuchwałe, podeszło tuż blisko do upiora.

Stanęło pod szubienicą, podniosło głowę i zaczęło przypatrywać się uważnie.

Upiór ów pomazany był smołą, która połyskiwała na nim to tu, to tam. Twarz, powleczona również lepką dziegciową maską, dostrzegalna była w mroku dość wyraźnie. Dziura w miejscu ust, dziura w miejscu nosa, dwie dziury tam, gdzie niegdyś były oczy – oto co ujrzało w niej dziecko. Ciało było spowite, okręcone jak gdyby w grube płótno nasycone naftą. Płótno to zbutwiało już, popękało, jedno kolano szkieletu sterczało na zewnątrz, widać było również i żebra. Tu szkielet, tam ciało w rozkładzie. Twarz miała kolor ziemi, srebrzyły się na niej lekkie smużki – ślady ślimaków. Płótno szczelnie oblepiało szkielet podkreślając jego kształt, niby szata na rzeźbionym posągu. Czaszka, pęknięta, rozłupana, podobna była do resztki zgniłego owocu. Zęby tylko pozostały w niej ludzkie. Śmiały się jeszcze. Jakieś szczątki krzyku wydawały się brzmieć w otwartych ustach. Na policzkach sterczało jeszcze kilka włosków. Głowa ta była przechylona na bok, jak gdyby czegoś nasłuchiwała z uwagą.

Trup ów był najwidoczniej dość niedawno odnawiany. Ktoś na świeżo pociągnąć musiał smołą i twarz, i wystające spod płótna kolana, i żebra. Dołem zwisały nogi.

Tuż pod nimi, na trawie, leżały dwa trzewiki zniszczone przez śniegi i deszcze. Trzewiki te spadły zapewne ze stóp nieboszczyka.

Bose dziecko przyjrzało się im uważnie.

Wiatr, który do niedawna wzmagał się z chwili na chwilę, teraz nieomal że przestał dąć. Zdarza się to często przed burzą. Trup nie poruszał się. Łańcuch zwisał sztywno, pionowo.

W umyśle dziecka dokonać się najwidoczniej musiało nagłe przebudzenie myśli, tak często zdarzające się w młodym wieku u istot wstępujących dopiero w życie – i to jeszcze wśród losów tak niezwykłych – co jakby otwierało nagle mózg, niby uderzenie dziobkiem w skorupkę jaja przez pisklę ptasie. Wszystko jednak, co tylko Jego młodziutka świadomość ogarnąć była w stanie, zamierało zdrętwiałe. Nadmiar wrażeń przytłumia myśl, tak jak nadmiar oliwy gasi lampę. Dorosły zadawałby sam sobie pytania, dziecko nie pytało o nic; patrzyło tylko.

Twarz trupa, powleczona smołą, wydawała się jak, gdyby wilgotna. Tam, gdzie niegdyś były oczy, zakrzepłe krople dziegciu wyglądały jak łzy. Dzięki owej to smole właśnie śmierć o wiele powolniej dokonywała swego spustoszenia, było ono nieomal że powstrzymane,

ograniczone do zniszczeń, których już w żaden sposób nie udało się uniknąć. Nad przedmiotem owym, w który wpatrywało się dziecko, ktoś roztaczał opiekę. Człowiek ten był najwidoczniej cenny. Nie postarano się wprawdzie o zachowanie go przy życiu, dbano jednakże, by zakonserwować go jak najdłużej po śmierci.

Szubienica była już stara, spróchniała, trzymała się jednak mocno, choć służyć już musiała przez długie lata.

W Anglii od niepamiętnych czasów utrzymywał się obyczaj maczania w smole pojmanych i straconych przemytników. Wieszano ich nad brzegiem morza, smarowano dziegciem i pozostawiano na - szubienicy. Przykłady działają skuteczniej na widocznym miejscu, w otwartej przestrzeni; nasmołowane zaś przykłady lepiej się konserwują. Ów obyczaj smołowania był zresztą w skutkach swoich wręcz dobroczynny, można było bowiem dzięki temu. rzadziej zmieniać wisielców. Szubienice rozmieszczano wzdłuż całego wybrzeża, w określonych odstępach, jak za naszych czasów latarnie. Wisielec pełnił tu też podobne funkcje. Oświecał na swój sposób swoich kamratów – przemytników. Z daleka, z morza jeszcze mogli oni zobaczyć te szubienice. Oto jedna – pierwsze ostrzeżenie; za nią druga; za nią trzecia. Nie przeszkadzało to im oczywiście w kontrabandzie; na porządek społeczny jednakże składają się takie właśnie najrozmaitsze zjawiska. Obyczaj ów przetrwał w Anglii aż do początków naszego stulecia. Jeszcze w roku 1822 oglądać można było przed zamkiem w Dover trzech takich polakierowanych wisielców. Owa troskliwa konserwacja pośmiertnych szczątków straceńców nie ograniczała się zresztą do powieszonych przemytników jedynie. Anglia tym samym sposobem wykorzystywała dla postrachu i przykładu również i złodziei, i podpalaczy, i morderców. Jan Painter, który podłożył ogień pod magazyny portowe w Portsmouth, został w roku 1776 powieszony i nasmołowany.

Ksiądz Coyer oglądał wisielca tego w roku 1777. W zapiskach swoich zwie go on Janem Malarzem. Jan Painter wisiał ponad zgliszczami i ruiną będącą dziełem jego ręki. Pociągano go nową smołą co czas pewien. Trup ten przetrwał – rzec by można nieomal, iż przeżył – lat prawie czterdzieści. Jeszcze w roku 1788 całkiem dobrze pełnił swe zadanie. W roku 1790 jednakże trzeba było zastąpić go kim innym. Egipcjanie czcili mumie swoich królów; jak widzimy, mumia człowieka z gminu również może się na coś przydać.

Wiatr, który hulał tułaj bezkarnie, zwiał wszystek śnieg ze wzgórza. Rosła na nim zeschła trawa i gdzieniegdzie osty; trawniki takie, szorstkie, gęste i niskie, pokrywają szczyty nadmorskich skał niczym zielone sukno. Pod samą szubienicą, w miejscu, nad którym zwisały nogi straceńca, wyrastała kępa trawy gęstej, wysokiej, nie spotykanej na tej jałowej ziemi. Lecz na to właśnie miejsce przez wieki osypywały się szczątki wisielców i stąd też trawa tak piękna była i bujna. Ziemia żywi się bowiem człowiekiem.

Dziecko stało jak zaczarowane, jak osłupiałe. Raz tylko spojrzało w dół na mgnienie, kiedy pokrzywa sparzyła mu stopę, wydało mu się bowiem, że to jakieś zwierzątko. Potem podniosło głowę i znów wlepiło wzrok w tę twarz, co patrzyła nań z góry. Patrzyła zaś tym wyraźniej, że nie miała przecież oczu. Było to spojrzenie rozproszone, a uporczywe niewymownie, świetliste, a mroczne, patrzyły nim nie tylko puste oczodoły, lecz i zęby, i czaszka. Cała głowa trupa wydaje się spoglądać jakimś straszliwym spojrzeniem. Nie ma w niej źrenic, a czujemy na sobie jej wzrok. Larwy są straszne.

Powoli i dziecko stawało się czymś na kształt upiora. Nie poruszało się wcale. Nie spostrzegło się nawet, że traci świadomość. Zesztywniało, zdrętwiało. Zima, zdradliwa zima, w milczeniu wydawała je na pastwę nocy. Dziecko zamieniało się powoli w posążek. Kości jego twardniały na kamień z zimna, zamroczenie wślizgiwało się weń jak gad. Zimą, wśród śniegu, senność, co ogarnia człowieka, jest jak przypływ morza; w dziecku narastał bezwład podobny do bezwładu trupa. Już za chwilę miało zasnąć.

W dłoni snu znajduje się palec śmierci. Dłoń ta ściskała dziecko coraz silniej. Osuwało się już prawie pod szubienicę. Samo nie wiedziało nawet, czy stoi jeszcze.

Każda istota żyjąca nieustannie znajduje się nad brzegiem przepaści, w każdej chwili ześliznąć się może na jej dno. Śmierć czyha na nią na każdym kroku, a przejście od bytu do niebytu jakże łatwe bywa i lekkie.

Jeszcze moment i oto dziecko i ów zmarły – początek życia i pozostała po nim ruina – połączą się, zjednoczą się we wspólnym nieistnieniu.

Upiór jakby zrozumiał, co stać się może, i jakby postanowił do tego nie dopuścić. Zakołysał się nagle. Czyżby chciał dziecko przestrzec? To wiatr zerwał się znowu.

Niesamowity był to widok.

Wiszący na łańcuchu trup, rozbujany niewidocznym podmuchem, huśtał się miarowo i ciągle, w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, niby straszliwe, nieubłagane wahadło zegara wieczności.

Trwało to przez czas pewien. Na widok tego upiornego pląsu dziecko ocknęło się, strach przezwyciężył senne zamroczenie. Przy każdym ruchu łańcuch wydawał zgrzyty przeraźliwie miarowe, przerywane chwilami ciszy, jakby dla nabrania oddechu. Zgrzyt ten podobny był do cykania świerszcza na łące.

Nadciągała burza. Wiatr wzmagał się, dął coraz gwałtowniej. Straszliwy trup nie kołysał się już, a miotał w upiornych drgawkach.

Zgrzyt łańcucha brzmiał jak przeraźliwy krzyk.

I wydało się, jakby krzyk ów został usłyszany. Jeżeli był on wołaniem – otrzymał odpowiedź. Coraz głośniejszy szmer nadciągał z głębi widnokręgu.

Był to trzepot skrzydeł.

Nadlatywało stado kruków. Miał się oto rozpocząć ponury obrządek odludnych cmentarzysk.

Czarne punkty zbliżały się, rosły, przedzierały przez mgły i chmury i coraz szerzej rozpościerając się na niebie śpieszyły z głośnym krakaniem. Było ich mrowie. Owe skrzydlate robactwo ciemności rzuciło się na szubienicę.

Przerażone dziecko cofnęło, się w tył.

Stada takie posłuszne są komendzie. Kruki obsiadły szubienice. Ani jeden jednakże nie ośmielił się tknąć pierwszy trupa. Naradzały się pomiędzy sobą, kracząc. Straszne jest krakanie kruka, Wycie, świst ryk, – to głosy życia; w krakaniu zaś dźwięczy radość z trupiego rozkładu. Brzmi ono niby trzask załamującej się ciszy grobu. To głos ciemności, głos nocy. Dziecko przeszył lodowaty dreszcz.

Bardziej jeszcze z przerażenia niż z zimna.

Kruki umilkły. Jeden skoczył na szkielet. Był to znak. W ślad za nim rzuciły się wszystkie, zatrzepotała czarna chmura piór, potem skrzydła złożyły się, opadły i wisielec skrył się cały pod rojem czarnych pęcherzy poruszających się w ciemności. Nagle trup podskoczył.

On to zrobił? Czy wiatr? Był to jakiś skok straszliwy. Przyszedł mu w sukurs huragan, który zerwał się właśnie. Widmo zaczęło miotać się jak w konwulsjach, Wicher, co rozszalał się na dobre, porwał go w swój wir, obracał na wszystkie strony. Upiór szalał niby Jakiś straszliwy pajac, co zamiast sznurka ma stryczek. Chyba ktoś ukrywający się w mroku pociągał za sznur jak na drwinę i igrał tą mumią. Kręciła się i podskakiwała, jakby już za chwilę miała się rozlecieć na kawałki. Kruki przelękły się i odfrunęły. Rzec by można – rozprysły się. Potem powróciły znowu. I rozpoczęta się walka.

Trup jakby ożył nagle jakimś straszliwym sposobem. Podmuchy wiatru unosiły go, jakby miały go porwać; wydawać by się mogło. że trup szamoce się z całej siły, że pragnie uciec. Przytrzymywał go łańcuch. A ptaki, czujne na każdy jego ruch, to podrywały się, to znów wczepiały weń dziko, zażarcie. On usiłował im umknąć, a one ścigały go zaciekle. Nieboszczyk, miotany wiatrem na wszystkie struny, podskakiwał, szamotał się, nagle jakby wpadał w furię, chybotał się tam i z powrotem, to wznosił się, to spadał, jakby chciał przepłoszyć ptasie mrowie. Trup był maczugą, rój kruków – wzbijaną przez jej uderzenia kurzawą. Okrutne

skrzydlate stado nie porzucało zdobyczy, napastowało ją zaciekle, niezmordowanie. Nieboszczyk. jakby go szał ogarniał pod wściekłymi uderzeniami dziobów, dwoił i troił ciosy Wymierzane w próżnię, niby uderzenia kamienia przywiązanego do procy. Chwilami wpijały się weń wszystkie szpony skrzydlatych napastników; strząsał je z siebie, stado odlatywało. l powracało z nową furią. Straszliwa tortura trwająca hen, poza! zgon. Ptaki atakowały natrętnie, nieustępliwie. Przed takimi stada i mi stoją chyba otworem drzwi piekła. Uderzenia szponów, ciosy dzioba wyrywające kawałki tego, co nie było już nawet ciałem, krakanie, skrzypienie szubienicy, chrobotanie kości szkieletu, szczęk żelastwa, wycie wiatru – chyba nie może wydarzyć się zmaganie bardziej ponure. Duch bijący się z demonami. Bitwa widm.

Wicher wzmagał się chwilami w dwójnasób, wisielec wirował dookoła własnej osi, na wszystkie strony opędzał się od stada, wydawało się, że pragnie rzucić się w pogoń za ptactwem, że zęby jego zaczną gryźć. Wiatr miał za sobą, łańcuch – przeciwko sobie, jakby za sprawą szatanów. Huragan brał udział w bitwie. Trup wił się, a stado kruków ścigało go kołując po spirali, krążąc w zawrotnym wirze.

Z dołu dobywał się potężny pomruk morza.

Dziecko patrzyło na ten sen upiorny. Aż nagle zatrzęsło się na całym ciele, dreszcz przeszył je na wskroś, zachwiało się, omal że nie upadło, odwróciło się w tył i ścisnąwszy obydwoma rękami głowę, jak gdyby tylko własne czoło mogło dać mu oparcie, zbiegło w ogromnych susach ze wzgórza, z rozwianym włosem, z błędną twarzą, z zamkniętymi oczami, samo także podobne do widma. Uciekało, uciekało od tych upiornych nocnych katuszy.

VII. PÓŁNOCNY CYPEL PORTLANDU

Biegło tak aż do utraty tchu, biegło jak szalone przed siebie, byle – dalej, po śniegu, po równinie. Ruch rozgrzał je. Na szczęście. Gdyby nie ta paniczna ucieczka bowiem, gdyby nie strach, byłoby już umarło.

Zatrzymało się wreszcie, kiedy nie mogło już złapać oddechu. Nie miało jednak odwagi obejrzeć się poza siebie. Wydawało mu się, że ptaki je ścigają, że trup na pewno zerwał się z łańcucha i idzie w ślad za nim, że szubienica nawet zbiegła ze wzgórza w pogoni za trupem. Bało się, że zobaczy to wszystko, jeżeli się obejrzy.

Odsapnęło więc nieco i popędziło dalej przed siebie.

Zdawanie sobie sprawy z istoty wydarzeń nie jest właściwością dziecinnego wieku. Malec odbierał wrażenia wyolbrzymione przez strach, nie wiązał ich jednak w myśli, nie wyciągał wniosków. Biegł, biegł, byle dalej naprzód, biegł z coraz większą rozpaczą, z coraz większym trudem, niby przez sen. Upłynęły już trzy godziny od chwili, kiedy porzucono go na brzegu. A choć przez cały czas to szedł, to biegł przed siebie, zmienił się jednak cel tej jego wędrówki.

Przedtem szukał – teraz uciekał. Nie odczuwał już ani zimna, ani głodu; bał się. Instynkt strachu zagłuszył w nim wszystkie inne. Władało nim jedno tylko pragnienie: uciec, uciec, jak najdalej. Przed czym? Przed wszystkim. Życie wydawało mu się jakimś straszliwym murem otaczającym, go, zamykającym zewsząd. Uciekłby chyba w ogóle ze świata, gdyby tylko potrafił.

Ale dzieci nie wiedzą jeszcze, że samobójstwem można wydostać się z każdego więzienia.

Biegł.

Biegł, póki starczyło mu sił. Ale oddech wyczerpuje się w końcu, strach wyczerpuje się także.

Nagle, jakby w przypływie rozsądku i energii, przystanął, powiedzieć by można, że zawstydził się własną ucieczką. Wyprostował się, tupnął nogą, stanowczym ruchem podniósł głowę i odwrócił się.

Wzgórze, szubienica, stado kruków – wszystko znikło.

Mgła objęła znowu widnokrąg w swoje władanie.

Chłopiec powędrował dalej.

Nie biegł już teraz, szedł. Gdybyśmy powiedzieli, że spotkanie z trupem uczyniło zeń człowieka, byłoby to może określenie zbyt ubogie, nie oddające różnorodnych i pomieszanych doznań, które nim miotały. Było to i o wiele więcej, i o wiele mniej. W umyśle jego, który zaczynał dopiero pojmować i myśleć, wspomnienie szubienicy było tylko widmem, zjawą upiorną. Pokrzepiło go to, że opanował strach. Czuł się silniejszy. Gdyby był w wieku, w którym zastanawiamy się już nad sobą, chłopiec dostrzegłby, że kiełkuje w nim tysiące nowych pytań, nowych myśli. Ale dziecinne rozważania są niejasne, odczuwał więc tylko jakiś gorzki, nieokreślony posmak tego, czego znaczenia nie mógł jeszcze zrozumieć, a co człowiek w późniejszych swych latach nazywa oburzeniem.

Dodajmy jeszcze, że u dziecka każdy stan uczuciowy trwa krótko. Bolesne przeżycia nie docierają do niego w całej swojej złożoności i ogromie. Własna słabość ogranicza dziecinne doznania, chroni tę małą istotę przed wzruszeniami zbyt skomplikowanymi. Widzi ono tylko sam fakt, samo zdarzenie i nie odczuwa potrzeby, żeby je zrozumieć i wytłumaczyć. Dociekliwość w stosunku do zjawisk tego świata przychodzi później dopiero, kiedy wzbogacą się bardziej archiwa doświadczenia. Wówczas to rozpoczyna się klasyfikacja spotykanych zjawisk, inteligencja, żywsza i bogatsza, porównuje, wspomnienia z lat najmłodszych wyłaniają się spod uczuć, jak stary, zatarty tekst na palimpseście. Wspomnienia te stają się podstawą dla logicznego myślenia i to, co w mózgu dziecka było tylko obrazem, zmienia się w sylogizm w umyśle dorosłego człowieka. Rozmaite zresztą bywają losów koleje; to, co jednym wychodzi na dobre, innym wychodzi na złe, zależnie od przyrodzonej natury człowieka. Natury dobre dojrzewają, złe – gniją.

Dziecko przebiegło z ćwierć mili, przeszło drugie ćwierć. Aż wreszcie pusty żołądek dopominać się zaczął o swoje prawa. Jeść! Gwałtowne burczenie głodu zagłuszyło wspomnienie upiornego wzgórza. Tak to zwierzę odzywa się w człowieku i przypomina mu o rzeczywistości – na szczęście.

Jeść! Ale co? gdzie? jak?

Chłopieć machinalnie sięgnął do kieszeni. Wiedział przecież, że jest pusta.

Ruszył więc szybciej naprzód. Nie wiedział, dokąd iść, ale śpieszył się, śpieszył do jakiegoś ludzkiego domu, który przecież gdzieś w końcu znaleźć musi.

Wiara w istniejącą gdzieś gospodę – to niewątpliwie jedna z łask czuwającej nad człowiekiem Opatrzności.

Wierzyć w znalezienie schronienia – to wierzyć w Boga.

A na równinie śnieżnej, jak okiem sięgnąć, niczego, co by kształtem swoim przypominało dach.

Dziecko szło i szło przez puste wrzosowiska.

Na równinie tej nigdy nie było ludzkich osiedli. Brakło tu drzewa na budowę chat. Dawnymi czasy u podnóża skał nadmorskich mieszkała po jaskiniach skąpa ludność, na pół dzika, której za broń służyła proca, a za opał wysuszony nawóz krowi. Ludzie ci czcili bożka Heil, którego figura stała na polanie w Dorchester, i trudnili się poławianiem szarych, fałszywych korali, nazywanych przez Walijczyków *plin*, przez Greków zaś – *isidis plocamos.*

Dziecko starało się utrzymać w swym marszu jakiś kierunek. Przeznaczenie to wieczne rozdroże, wybór ścieżki bywa niebezpieczny, trudny dla dorosłego, a cóż dopiero dla dziecka. Malec szedł jednak dalej, lecz choć zdawać by się mogło, że nogi ma ze stali, był już coraz bardziej zmęczony. Przed nim na całej równinie żadnej drogi; a jeżeli nawet i była – przysypał ją śnieg. Instynkt nakazywał mu trzymać się kierunku wschodniego. Pięty miał poranione o ostre kamienie. Gdyby było jasno, dojrzeć by można różowe plamki krwi obok śladów jego stóp na śniegu.

Nie wiedział zupełnie, gdzie się znajduje. Przecinał płaskowyż Portlandu z południa na północ, banda zaś, z którą tutaj przywędrował, musiała najprawdopodobniej iść z zachodu na wschód, by uniknąć napotkania ludzi. Przeprawiła się ona zapewne z brzegu Uggescombe, z Sainte-Catherine Chap na przykład czy też z Swancry w jakiejś rybackiej czy też przemytniczej łodzi do jednej z zatok wybrzeża Weston, a potem lądem dotarła do zalewu położonego po przeciwnej stronie Portlandu, gdzie oczekiwał na nią barkas. Kierunek, który obrało dziecko, przecinał pod kątem prostym trasę drogi, po której banda przypuszczalnie dotarła do wybrzeża. W żaden więc sposób nie miało ono możności, by połapać się, gdzie jest.

Na płaskowyżu Portlandu znajdują się tu i ówdzie wzniesienia zakończone stromym, gwałtownym, spadającym aż do morza urwiskiem. Dziecko wdrapało się na jeden z tych pagórków i przystanęło rozglądając się uważnie dokoła. Widnokrąg zakryty był sinawym, gęstym tumanem. Malec wpatrywał się w ten tuman, wytężając wzrok ze wszystkich sił, jakby chciał go przebić spojrzeniem. Daleko ku wschodowi, we wklęśnięciu terenu, u podnóża zbitej w wał mgły, podobnej do ruchomego białawego urwiska, pełzały, poruszały się leniwie jakieś czarne, bezkształtne, bezładnie porozrzucane plamy. Białawy, gęsty tuman – to mgła; a owe czarne plamy – to dymy. A gdzie jest dym, tam jest i człowiek. Dziecko powędrowało więc w tym kierunku.

W pewnej odległości od miejsca, w którym się w owej chwili znajdowało, dostrzec można było urwisko spadające w dół, a u stóp jego, wśród postrzępionych skał, wśród mgły majaczyła jakaś ławica piasku, jakaś płaska równina prowadząca zapewne w głąb lądu z płaskowyżu, po którym wędrowało. Tamtędy chyba należało pójść.

Malec dotarł właśnie do przesmyku portlandzkiego, namułu pochodzenia dyluwialnego, zwanego Chess-Hill.

Zaczął schodzić po stoku z płaskowyżu.

Było to zejście ostre i trudne. Odpowiednik, lekko złagodzony wprawdzie, wzniesienia, po którym niedawno wydostawać się musiał z zatoki. Tak to każda uciążliwość wdrapywania się pod górę wynagradzana bywa schodzeniem. Tam piął się – tu leciał w dół.

Przeskakiwał ze skały na skałę, nie bacząc, że może sobie skręcić nogę, nie bacząc, że w każdej chwili może runąć w ledwie widoczną przepaść. Ślizgał się na kamieniach pokrytych lodem, chwytał się więc długich traw i gałęzi kolczastych krzewin, których ciernie raniły mu palce. Miejscami pochyłość łagodniała, szedł więc przez chwilę swobodnie, łapiąc oddech, potem znów urwisko spadało gwałtownie i każdy ruch trzeba było obliczać i ważyć. Przy schodzeniu z pionowego prawie zbocza każdy ruch bowiem jest rozwiązaniem jakiegoś zagadnienia. Trzeba być zręcznym i zwinnym pod groźbą śmierci. Zagadnienia te instynkt dziecka rozwiązywał tak sprawnie, że małpa mogłaby wzorować, się na jego ruchach, że wprawiłyby one w zachwyt najdoświadczeńszego linoskoka. Zejście było gwałtowne i długie. Aż wreszcie malec znalazł się prawie na samym dole.

Już wkrótce miał wydostać się na, przesmyk, który dostrzegł z góry.

Chwilami nasłuchiwał uważnie, jak jeleń, przestając przeskakiwać z kamienia na kamień. Ż oddali, z lewej strony, dolatywał odgłos jakiś, słaby, a „rozległy, podobny do grania trąbki. W powietrzu bowiem drgała już pierwsza zapowiedź straszliwego północnego wiatru, który nadlatuje od bieguna jak grzmot stu trąb. Na czole, na oczach, na policzkach chłopiec odczuwał coraz częściej chłodne muśnięcia, niby dotyk czyjejś zimnej dłoni. Były to duże płatki śniegu, początkowo nieliczne, potem coraz gęstsze, coraz szybciej wirujące w przestrzeni zwiastuny nadciągającej śnieżycy Osiadały one na włosach, na ubraniu dziecka. Burza śnieżna, która szalała na morzu już od przeszło godziny, zbliżała się do lądu, przesuwała się powoli nad równiny, wchodziła od strony północno-zachodniej na płaskowyż Portlandu.

KSIĘGA DRUGA

BARKAS NA MORZU

I. PRAWA, KTÓRE NIEZALEŻNE SĄ OD CZŁOWIEKA

Burza śnieżna na morzu jest zjawiskiem niezbadanym, sprawą niezrozumiałą, ciemną w każdym tego słowa znaczeniu. Huragan, któremu towarzyszą śnieg i mgła – ten fenomen do dziś dnia jeszcze nie został poznany dokładnie. Stąd też niesie on ze sobą wiele klęsk.

Wszystkie zjawiska na morzu tłumaczyć usiłujemy przez działanie wiatru i fali. Jest jednak w powietrzu siła inna jeszcze niż wiatr, jest w wodzie morza siła inna niż fala. Siła owa, ta sama i w powietrzu, i w wodzie, to prąd magnetyczny. Powietrze i woda są to dwie masy płynne, prawie jednakowe, przechodzące jedna w drugą przez skraplanie. i parowanie, oddychanie jest nieomal ze tym samym co picie; a prąd magnetyczny – to fluid. Wiatr i fala to skutek ruchu nadanego z zewnątrz; prąd magnetyczny jest samorodnym prądem. Wiatr dojrzeć można dzięki poruszaniu się obłoków, fale – dzięki pianie; prąd magnetyczny jest niewidoczny. Od czasu do czasu jednakże daje on o sobie znać, odzywa się – uderzeniem gromu.

Burza śnieżna jest zagadnieniem podobnym do zjawiska suchej mgły. Dzięki uważnemu obserwowaniu magnetycznego prądu będziemy mogli kiedyś zapewne wytłumaczyć, skąd się bierze hiszpańska *callina* i etiopski *quobar*.

Bez uwzględnienia działania magnetycznych prądów bardzo wielu zjawisk nie potrafimy zrozumieć. Oczywiście, że zmiany szybkości wiatru, która podczas burzy wzrasta z trzech stóp na sekundę do dwustu dwudziestu stóp, mogą uzasadnić różnicę wysokości fali, która na spokojnym morzu wysoka na trzy cale, na morzu wzburzonym wznosi się nieraz aż na wysokość stóp trzydziestu sześciu; oczywiście, że poziomy kierunek ruchów powietrza nawet i podczas burzy pozwala nam zrozumieć, w jaki sposób fala wysoka na trzydzieści stóp może mieć aż tysiąc pięćset stóp długości; ale dlaczego fala na Pacyfiku jest czterokrotnie wyższa u wybrzeży Ameryki niż u wybrzeży Azji, a więc wyższa na zachodzie niż na wschodzie; dlaczego na Atlantyku rzecz się ma odwrotnie; dlaczego w okolicach równika najwyższą falę spotykamy na otwartym morzu; skąd biorą się te zmiany w nabrzmiewaniu oceanu? Wszystkie te zjawiska wytłumaczyć można tylko działaniem prądu magnetycznego w połączeniu z ruchem obrotowym ziemi i z przyciąganiem.

To tajemnicze pogmatwanie bywa- przyczyną gwałtownych obrotów wichru, który na przykład skacze z południowego wschodu przez zachód aż do północnego wschodu, po czym nagle z północnego wschodu zawraca tym samym olbrzymim kręgiem na południowy wschód, a więc w ciągu trzydziestu sześciu godzin robi skok o pięćset sześćdziesiąt stopni, co było zapowiedzią burzy śnieżnej siedemnastego marca 1867 roku.

U wybrzeży Australii podczas burz fale sięgają wysokości osiemdziesięciu stóp; zjawisko to związane jest z bliskością bieguna. Na tych szerokościach geograficznych burze są spowodowane nie tyle może wstrząsami powietrza, co ciągłością podwodnych elektrycznych wyładowań. W roku 1866 funkcjonowanie kabla transatlantyckiego zakłócane było codziennie regularnie przez dwie godziny – od dwunastej do drugiej po południu – przez przerywane, gorączkowe drgania. Pewne układy sił wywołują zjawiska, których żeglarz pod groźbą rozbicia statku nie może nie brać w rachubę. W dniu, w którym kunszt żeglarski, który teraz jest

rutyną, stanie się matematyką, w dniu, w którym ludzie spróbują ustalić dokładnie i ściśle, dlaczego na przykład w naszych okolicach gorące wiatry wieją czasem z północy, a lodowate – z południa; kiedy wreszcie zrozumiałym się stanie, że spadki temperatury uzależnione są od głębokości oceanicznych; kiedy człowiek uświadomi sobie, że glob nasz jest olbrzymim magnesem o niezmierzonej sile przyciągania, posiadającym dwie osie, oś obrotu i oś magnetyczną, przecinające się w środku kuli ziemskiej, i że bieguny magnetyczne wędrują dokoła geograficznych biegunów; kiedy wreszcie ci, co narażają swe życie, zapragną podejmować to ryzyko według zasad naukowych, kiedy nierówności żeglugi poznane zostaną w swoich przyczynach, kiedy kapitan okrętu będzie meteorologiem, a sternik – człowiekiem wykształconym – ileż katastrof na morzu da się wówczas uniknąć! Morze – to tyleż żywioł magnetyczny co wodny; nieznany ocean sił płynie w oceanie fal; można by powiedzieć: niesiony ich prądem. Kto w morzu widzi tylko wodę, ten nie widzi morza; morze to nieustanny przypływ i odpływ fluidu magnetycznego, nie tylko ody; przyciąganie wikła, i plącze jego falowanie w znaczniejszym jeszcze chyba stopniu niż huragany; przyleganie cząsteczek, objawiające się również i w mikroskopijnym, niedostrzegalnym dla nas włoskowatym przyciąganiu, w oceanie odbywa się na ogromnych przestrzeniach i działanie magnetycznych prądów czasem współdziała z ruchami fał, powietrza i wód, a czasem im przeciwdziała. Kto nie zna praw elektryczności, nie zna praw hydrauliki; przenikają się one bowiem wzajemnie. To prawda, że nie masz trudniejszej i mozolniejszej nauki; graniczy ona z szarlatańskwem, jak astronomia graniczy z astrologią. Bez tej nauki jednak nie ma wiedzy żeglarskiej.

Jednym z najbardziej złożonych i groźnych zjawisk na morzu jest śnieżna burza. Burza śnieżna to burza magnetyczna. Jest ona tworem bieguna, jak zorza polarna; to biegun jest sprawcą i tamtego światła, i tej mgły, a prąd magnetyczny przejawia się zarówno w płatkach śniegu, jak i w płomiennych wstęgach.

Burze – to nerwowe ataki morza, to jego ataki szału. Morze miewa bowiem też swoje humory. Burze można przyrównać do chorób. Jedne z nich są śmiertelne, inne – nie; z jednej można wyjść, z innej się nie wychodzi. Zawieja śnieżna zazwyczaj bywa śmiertelna. Jarabija, jeden ze sterników we flocie Magellana[96], określał ją jako, chmurę, co wylazła diabłu ze złego końca[4].

Dawni żeglarze hiszpańscy nazywali burzę taką *la nevada,* jeżeli towarzyszył jej śnieg, *la helada* zaś, jeżeli towarzyszył jej grad. Podług ich mniemania spadały wówczas razem ze śniegiem nietoperze.

Burze śnieżne to właściwość podbiegunowych szerokości geograficznych. Czasami jednakże ześlizgują się one – rzec by można: walą – i na nasze strefy, zniszczenie towarzyszy bowiem nieodłącznie tym powietrznym zamieszkom.

Jak to już wiemy, „Matutina" odbijając od Portlandu zapuściła się śmiało w tę wielką przygodę, której dodawała grozy nadciągająca burza. Wypłynęła naprzeciw niebezpieczeństwu z jakąś rozpaczliwą odwagą. A jednak – podkreślić to należy – na ostrzeżeniach jej me zbywało.

II. POSTACIE, ZNANE NAM JUŻ, WYSTĘPUJĄ WYRAŹNIEJ

Dopóki barkas żeglował po zatoce Portlandu, morze było jeszcze ciche, fala gładka. Na niebie było jasno, choć wody oceanu już pociemniały. Chwiejba była mała. Barkas trzymał się możliwie blisko nabrzeżnych skał, które stanowiły dla niego dogodną osłonę.

Dziesięcioro ich było na niewielkiej feluce biskajskiej – trzech ludzi z załogi i siedmiu pasażerów, w tym dwie kobiety. W oświetleniu pełnego morza – o zmierzchu bowiem na morzu

[4] *Una nube salida del malo lado del diabolo.*

jest o wielo jaśniej niż na lądzie – twarze dostrzegalne były całkiem wyraźnie. Zbiegowie nie kryli się już zresztą, odzyskali swobodę ruchów, każdy z nich odsłonił oblicze, odzyskał głos, wyjście w morze była dla nich chwilą wyzwolenia.

Pstrokata rozmaitość tej ludzkiej zbieraniny biła po prostu w oczy. Kobiety nie miały wieku; wędrowne życie postarza przedwcześnie, ubóstwo jakże szybko piętnuje zmarszczkami twarze. Jedna z tych kobiet była Baskijką, druga – ta z różańcem o grubych ziarnach – Irlandką. Twarze miały obie obojętne, pozbawione wyrazu, co jakże często napotkać można u biedaków. Zaraz po wejściu na łódź przycupnęły obok siebie na kuferkach, u stóp masztu. Rozmawiały; irlandzki i baskijski, jakeśmy już o tym wspominali, to języki pokrewne. Włosy Baskijki namaszczone były cebulą i bazylią. Szyper był Baskiem z Guipuzcoa, jeden z marynarzy pochodził z północnych zboczy Pirenejów, drugi – z południowych, obaj więc byli Baskami, synami jednego ludu, choć pierwszy mógł zwać się Francuzem, a drugi Hiszpanem. Baskowie mało się troszczą o swoją oficjalną ojczyznę. *Mi madre se llama montana*, „matką moją są góry", mawiał mulnik Zalareus. Spośród pięciu mężczyzn towarzyszących dwu kobietom jeden był Francuzem z Langwedocji, drugi Francuzem z Prowansji, trzeci pochodził z Genui, czwarty, starszy już człowiek, ten, co nosił kapelusz (bez otworu na fajkę), wydawał się być Niemcem, piąty wreszcie wódz bandy, był Baskiem z Biscarossy. On to właśnie jednym kopnięciem nogi strącił do wody deskę, kiedy dziecko chciało wejść po niej na łódź. Człowiek ten był barczysty, ruchliwy, gwałtowny, łachmany jego – jak pamiętamy – połyskiwały świecidłami i cekinami. Nie mógł on usiedzieć na miejscu, ruszał się, chodził tam i na powrót, z dziobu na rufę, wydawać by się mogło, że miota nim niepokój, teraz, kiedy znajdował się pomiędzy tym, co już uczynił, a tym, co dopiero stać się miało.

Wódz bandy, szyper i marynarze – byli oni wszyscy czterej Baskami – porozumiewali się ze sobą to po baskijsku, to po hiszpańsku, to po francusku, trzy te języki bowiem rozpowszechnione są jednakowo po obu stronach Pirenejów. Wszyscy zresztą, prócz kobiet, mówili lepiej lub gorzej po francusku; język ten był podstawą narzecza, którym posługiwała się banda! W epoce owej język francuski coraz szerzej zaczynał wchodzić w użycie wśród różnych ludów, równoważy on bowiem w sobie najdoskonalej nadmiar samogłosek właściwy językom południa i nadmiar spółgłosek właściwy językom północy. W Europie po francusku mówili ze sobą kupcy; po francusku porozumiewali się również złodzieje. Wiadomo przecież, że Gibby, słynny złodziej londyński, doskonale rozumiał Cartouche'a.

Barkas, znakomity żaglowiec, płynął szybko; dziesięć osób jednakże i bagaże – był to poważny ładunek dla. tak wątłego statku.

Stąd, że banda owa uciekała z Anglii na barkasie, nie wynikało wcale, by załoga statku mieć z nią musiała jakieś ściślejsze stosunki i powiązania. I szyper, i wódz bandy, obaj byli *vascongado*, to wystarczało. Wśród ludzi tej rasy niesienie sobie nawzajem pomocy jest obowiązkiem, od którego wyjątki nie istnieją. Bask – jakeśmy już to rzekli – nie jest ani Francuzem, ani Hiszpanem, jest on Baskiem zawsze i wszędzie i innemu Baskowi przyjść musi z pomocą na każdym miejscu i o każdej porze. Tak silne jest poczucie braterskiej wspólnoty w Pirenejach.

Dopóki barkas żeglował po wodach zatoki, niebo, choć niezbyt sprzyjające podróży swoim wyglądem, nie wydawało się jednak aż na tyle groźne, by zbiegowie zwrócić na nie musieli swą uwagę. Uciekli, udało się im wymknąć – i radość swoją objawiali hałaśliwie i wesoło. Ten śmiał się, ów śpiewał; śmiał się nie bez goryczy może, ale swobodnie; śpiewał cicho, ale beztrosko.

Langwedokczyk pokrzykiwał: *caougagno!* „kraina wszelkiej obfitości!" – okrzyk ten na ustach południowca to wyraz najwyższego ukontentowania. Człowiek ów pochodził z nadbrzeżnej wioski Gruissan, położonej na południowym stoku Clappe, był więc sam na pół marynarzem – słodkich wód co prawda – przywykłym do sterowania lekkim czółnem po jeziorze Bages, do ciągnięcia po słonych piaskach Sainte-Lucie niewodu pełnego ryb. Lud tamtejszy

nosi czerwone czapki, żegna się wielokrotnym znakiem krzyża, na modłę hiszpańską, często pociąga wino z bukłaków z koźlej skóry, je szynkę, klęka, by bluźnić, a do świętych swoich patronów modli się groźbami: O, wielki męczenniku, daj to, o co cię błagam, albo rozbiję ci łeb kamieniem, *ou te feg' un pic.*

W potrzebie pasażer ten potrafiłby skutecznie przyjść z pomocą załodze barkasu. Prowansalczyk zaś rozpalił tymczasem w kanabuzie torf pod żelaznym kociołkiem, i gotował zupę.

Zupa ta był to rodzaj *puchero,* w którym ryba zastępowała mięso. Prowansalczyk wrzucił do garnka nieco soczewicy, słoninę pokrojoną w niewielkie kostki i odrobinę czerwonego hiszpańskiego pieprzu, ustępstwo smakosza *bouillabaisse* na rzecz amatorów *olla podrida.* Stał przy nim jeden wór z żywnością, rozwiązany i napoczęty. Nad głową jego, na haku wbitym w sufit kambuza, wisiała zapalona latarnia, żelazna, o szybkach z miki. Obok niej, na innym haku, kołysał się zimorodek pełniący rolę chorągiewki, wskazujący kierunek wiatru. Wierzono bowiem podówczas powszechnie, że martwy zimorodek, zawieszony za dziób, zawszę zwraca się piersią w tę stronę, z której wieje wiatr.

Prowansalczyk, gotując tak swoją zupę, przytykał do ust co chwil parę szyjkę flaszy i pociągał łyk *aguardienty.* Flasza ta była z rodzaju często w owych czasach używanych, szeroka, płaska, opleciona wikliną, z uszami, za które przytraczało się ją do boku rzemieniem. Zaś pomiędzy każdym łykiem trunku prowansalski kucharz mruczał pod nosem strofkę jakiejś piosenki wiejskiej, w której mowa jest, ot, o niczym, zdawałoby się: jakaś droga w wąwozie, płot, na łące widać przez zarośla cień wozu i konia, wydłużony przez zachodzące słońce, a spoza płotu to pojawiają się, to znikają widły ładujące siano. Czegóż więcej w piosence potrzeba?

Odjazd niesie albo ulgę, albo przygnębienie, zależnie od tego, co dzieje się w sercu i umyśle odjeżdżającego człowieka. Pasażerowie barkasu najwyraźniej odetchnęli wszyscy, prócz jednego, najstarszego, tego, co nosił kapelusz bez otworu na fajkę.

Człowiek ów, wyglądający na Niemca raczej, choć wszelkie wyraźniejsze cechy jakiejkolwiek narodowości zatarły się już na jego sędziwej twarzy, był łysy, a tak poważny, że łysina jego robiła wrażenie tonsury. Mijając figurę Madonny, ustawioną na dziobie statku, za każdym razem uchylał kapelusza; zobaczyć wówczas można było na jego czaszce żyły, starcze, nabrzmiałe. Płaszcz, w który był owinięty, rodzaj togi zużytej już i obszarpanej, z brunatnego dorchesterskiego samodziału, niecałkowicie zakrywał spodni strój, wąski, opięty, podchodzący aż pod szyję, jak sutanna. Palce rąk jego splatały się co chwila, zdradzając tym ruchem przyzwyczajenie do częstych modłów. Fizjonomię jego najtrafniej określić by można jako wyblakłą. Wyraz twarzy jest to bowiem przede wszystkim odblask i myliłby się ten, co by sądził, że myśli są bezbarwne, pozbawione koloru. Fizjonomia ta była niewątpliwie powierzchnią, pod którą ukrywał się niezwykły stan ducha wynikający z całego układu sprzecznych sił, dobrych i złych; oko zaś wprawnego obserwatora odczytałoby z niej ten gatunek człowieczeństwa, co zarówno zdolny jest spaść poniżej tygrysa, jak i wznieść się na wyżyny rzadko osiągane przez ludzką istotę. Niektóre dusze kryją w sobie podobny chaos. Twarz ta była zamknięta, nieczytelna, aż abstrakcyjna w swojej tajemniczości. Widziało się, że człowiek ów poznał i przedsmak zła, zimną kalkulację, i posmak, jaki ono po sobie zostawia – zero, nic. Zobojętnienie jego, być może zresztą udane tylko, napiętnowane było skamieniałością dwu rodzajów, skamieniałością serca, znamienną dla oprawcy, i skamieniałością umysłu, znamienną dla mandaryna. Można było mieć pewność – potworność też bywa bowiem na swój sposób wszechstronna i pełna – że możliwości jego są bezgraniczne, że nawet potrafi się wzruszać. Mędrzec zawsze jest jakby martwy trochę; człowiek ów zaś był mędrcem. Wystarczyło raz nań spojrzeć, by dostrzec znamię uczoności przejawiające się w każdym ruchu jego postaci, w każdej fałdzie jego szaty. Powagę jego kamiennej, porytej bruzdami twarzy zakłócał co chwila grymas nerwowy, szybki, znamionujący poliglotę. Lecz przede wszystkim twarz ta była surowa. Nie było w niej ani hipokryzji, ani cynizmu, tylko jakaś tragiczna za-

duma. Człowieka tego zbrodnia, jaką popełnił, wprawiła w stan zamyślenia. Spoglądał spojrzeniem arcybiskupa spod brwi muszkietera. Jego przerzedzone, siwiejące włosy na skroniach były już zupełnie białe. Wyczuwało się w nim jakąś dziwną mieszaninę chrześcijaństwa i wschodniego fatalizmu. Wychudłe palce jego rąk zniekształcone były artretycznymi guzami; postać jego, Sztywna i wysoka, była i dziwaczna; na pokładzie trzymał się jak marynarz. Spacerował wolno po pokładzie, nie patrząc na nikogo, z ponurym, zdecydowanym wyrazem twarzy. Źrenice jego lśniły nieokreślonym, uporczywym blaskiem, znamionującym duszę czujną, uważną wśród najgłębszych nawet mroków i wrażliwą na głos sumienia.

Wódz bandy, żywy, gwałtowny, nieustannie miotający się po całym statku, podchodził doń czasami i coś mu szeptał na ucho. Starzec odpowiadał skinieniem głowy. Rzec by można, że błyskawica radzi się nocy.

III. NIESPOKOJNI LUDZIE NA NIESPOKOJNYM MORZU

Dwaj tylko ludzie na statku – ów starzec właśnie i szyper barkasu, którego mieszać nie należy z osobą wodza bandy – pilnie zważali na wszystko, co działo się dokoła; uwagę marynarza przykuwało całkowicie morze, uwagę starca – niebo. Jeden nie spuszczał oka z toni, drugi wciąż wpatrywał się w chmury. Szyper śledził uważnie, jak się zachowuje woda, starzec usiłował wybadać nieboskłon. Wypatrywał gwiazd wśród chmur i mgły. Była to chwila, kiedy dzień kończy się już, nie jest jednak jeszcze całkiem ciemno i nieliczne gwiazdy zaczynają słabo migotać na bladym tle nieba.

Widnokrąg, nierównomiernie zasnuty oparami, wyglądał dnia tego niezwyczajnie.

Nad lądem stała gęsta mgła, nad morzem zaś wisiały chmury.

Zanim jeszcze statek wyszedł z Zatoki Portlandzkiej szyper, baczny na stan morza, czynił drobiazgowe przygotowania do dalszej drogi. Nie czekał, aż barkas wypłynie na pełne morze. Sprawdził olinowanie, upewnił się, czy zaczepy want są w porządku i czy same wanty są dostatecznie sztywno naciągnięte. Ostrożności które dowodziły niezbicie, że człowiek ten chce wykorzystać wszystkie możliwości swojej barki.

Niewątpliwą wadą budowy barkasu było to, że dziobem siedział o jakie pół stopy głębiej niż rufą.

Szyper nieustannie przenosił wzrok z kompasu sterowego na kompas drogowy pelengując przedmioty na lądzie, by rozpoznać charakter wiatru. Pierwszy wiatr, który dostali, szedł z burty. Szyper był zadowolony, choć wiatr ten odchylał się o pięć rumbów od kursu. Sam pewną dłonią prowadził łódź: sobie tylko widać ufał że przez umiejętne sterowanie nic nie utraci z posiadanej szybkości.

Zmienne ciągi fal łudziły oko, że barkas w miarę rosnącej szybkości raz w raz ostro przypada do wiatru. Bo choć dziób pozornie ani zyskuje, ani traci na rumbie – niewiele się wie o prawdziwym kierunku wiatru, póki łódź nie legnie rufą w jego łożu: wtedy dopiero można hen, u zbiegu dalekich ciągów fal, ujrzeć ten punkt horyzontu, w którym rodzi się wiatr. Ale tej nocy wiele było wiatrów i oblicze ich było skażone: toteż szyper nieufnie śledził złudną wymowę ruchów swego barkasu.

Sterował odważnie a uważnie, podchwytywał wiatr, reagował na każdą zmianę jego kierunku, ani na chwilę nie dopuszczał, by statek wyszedł na wiatr, uważał na przebój, pilnował dryfu, był czujny na każde drgnienie steru, baczył na wszystko, na każde, zakłócenie szybkości marszu, na każdy gwałtowniejszy szkwał. Przez ostrożność utrzymywał kurs odchylony o kilkanaście stopni od brzegu, wzdłuż którego szedł, nade wszystko zaś starał się zachować pomiędzy wimplem wskazującym kierunek wiatru a stępką kąt większy niż kąt żagla, gdyż

kierunek wiatru wskazywany przez kompas był wątpliwy z uwagi na jego niewielkie rozmiary. Źrenice szypra, wbite w dół, śledziły zmienne kształty, jakie przybierała fala.

Raz jednakże podniósł spojrzenie ku górze, ku niebu, by poszukać gwiazd znajdujących się w pasie Oriona; gwiazdy te noszą nazwę Trzech Magów, a jak powiada, stare przysłowie hiszpańskich sterników: „Kto widzi Trzech Magów, temu niedaleka droga do Zbawiciela."

Wówczas to właśnie kiedy szyper obrzucał spojrzeniem niebo, starzec na drugim końcu statku mruknął sam do siebie półgłosem:

- Nie widać ani Syriusza, ani gwiazdy Antares, choć to gwiazda czerwona. Nie widać wyraźnie żadnej gwiazdy.

Inni zbiegowie niczym nie objawiali niepokoju.

Kiedy jednak przeminęła już pierwsza radość wywołana odjazdem i oni również zauważyli wreszcie, że znajdują się na morzu w styczniu, że wiatr jest przejmująco zimny. Nie mogli skryć się przed nim w kajucie, zbyt szczupła była bowiem, by ich pomieścić. i zawalona bagażem i pakami. Bagaż należał do pasażerów, paki były własnością załogi, barkas nie był bowiem statkiem przeznaczonym na morskie wycieczki tylko, lecz trudnił się również i kontrabandą. Pasażerowie musieli więc pousadawiać się jakoś na pomoście. Nie przerażało to zresztą tych nawykłych do niewygód włóczęgów. Nocowanie pod gwiazdami nie było dla nich pierwszyzna, zimno pomaga im nawet usnąć, nieraz i na wieki.

A tej nocy nie było na niebie gwiazd.

Langwedokczyk i genueńczyk, w oczekiwaniu wieczerzy, przycupnęli obok kobiet, u podnóża masztu owijając się w grube płachty żeglarskie, które im rzucili marynarze.

Łysy starzec dalej stał na przodzie statku, nieruchomy, nieczuły na zimno.

Szyper barkasu, nie wypuszczając ani ha chwilę steru, odezwał się nagle gardłowym głosem, podobnym do wołania ptaka, którego w Ameryce zowią „krzykaczem"; wódz bandy zbliżył się doń na to wezwanie, szyper zaś rzekł mu: *Etcheco jaüna.* Te dwa słowa baskijskie znaczą: „oraczu z gór", a u potomków starożytnych Kantabrów są one zapoczątkowaniem poważnej uroczystej rozmowy i nakazują skupienie uwagi.

Szyper wskazał palcem w kierunku starca i rozpoczął się dialog w używanym przez mieszkańców górskich okolic narzeczu języka hiszpańskiego. Oto jak brzmiały pytania i odpowiedzi:

– Etcheco jaüna que es este hombre?
– Un hombre.
– Que lenguas habla?
– Todas.
– Que cosas sabe?
– Todas.
– Qual pals?
– Ningun, y todos.
– Qual Dios?
– Dios.
– Como le llamas?
– El Tonto.
– Como dices que le llamas? – El Sabio.
– En vuestre tropa, que esta?
– Esta lo que esta.
– El gefe?
– No.
– Pues, que esta.?

– *La alma.* [5]

I wódz bandy, i szyper rozstali się, powrócili obydwaj do swoich zajęć i rozmyślań, a w chwilę później „Matutina" wypłynęła z zatoki.

Na pełnym morzu statek zaczął kołysać się gwałtownie. Woda morza wszędzie tam, gdzie nie przykrywała jej piana, miała wygląd kleisty jakiś, lepki; fale, coraz słabiej widoczne w zapadającym zmroku, podobne były do kałuży żółci. Tu i ówdzie pojawiała się fala bardziej płaska, o posiekanej, popękanej gwiaździście powierzchni, niczym szkło, na które rzucono garść kamieni. A w środkach owych pęknięć promienistych, w wirujących, nie wielkich lejach drżały fosforyzujące światełka, podobne do połyskujących źrenic sowy.

„Matutina", znakomita pływaczka, brawurowo prześliznęła się przez niebezpieczne rozfalowanie wód nad ławicą Chambours. Ławica Chambours, utajona przeszkoda u wyjścia z Portlandzkiej Zatoki, to nie wał podwodny, lecz amfiteatr. Jest to piaszczysty cyrk podwodny ze stopniami wyrzeźbionymi koliście wirowaniem wód, z areną okrągłą, symetryczną, położoną głęboko, jakby Jungfrau utopiono w oceanie, jest to kolizeum morskie, które nurek dostrzec może poprzez zagadkową przezroczystość topieli Taka jest ławica Chambours. Walczą tam hydry, potykają się lewiatany. Legendy głoszą, że tam to właśnie, w głębi gigantycznego leja, znajdują się zwłoki okrętów schwytanych i ściągniętych na dno przez pająka-olbrzyma, Krakena, zwanego również Rybą-Górą. Jest to groźny duch morza.

Ta widmowa rzeczywistość, niedostrzegalna dla ludzkiego oka, na powierzchni przejawia się tylko lekkim zmarszczeniem wód.

Ławica Chambours w dziewiętnastym stuleciu rozpadła się w gruzy. Wybudowano tam łamacz fal i silne wstrząsy wody rozkruszyły tę wysoką podmorską budowlę, tak jak grobla portowa, wybudowana w roku 1760 w Croisic, przesunęła o ćwierć godziny czas przypływów i odpływów. A przypływ i odpływ są przecież wieczne; wieczność jednakże o wiele bardziej, niż się nam to wydaje, posłuszną bywa człowiekowi.

IV. POJAWIA SIĘ ODMIENNA OD INNYCH CHMURA

Starzec, którego wódz bandy nazywał i mędrcem, i szaleńcem, stanął teraz na dziobie statku. Od chwili przepłynięcia ponad ławicą Chambours uwaga jego podzieliła się pomiędzy niebo i morze. To spuszczał wzrok, to go ku górze wznosił, a na j uporczywiej, najpilniej śledził północny wschód.

Szyper powierzył ster jednemu z marynarzy, przełazi przez zwój lin na rufie i przeszedł po pochyłym pokładzie na dziób statku.

Podszedł do starca, nie śmiał go jednakże zaczepić. Przystanął więc nieco z tyłu, przyciskając łokcie do boków, z głową przechyloną na ramię, i wlepił weń oczy wznosząc brwi i uśmiechając się lekko kącikami warg. Postawa ta zdradzała ciekawość wahającą się pomiędzy szacunkiem i drwiną.

Starzec zaś, czy to dlatego, że miał we zwyczaju mówić sam do siebie, czy też dlatego może, że świadomość czyjejś obecności z tyłu wywołała w nim chęć rozmowy – wpatrując się w przestrzeń przemówił tak:

– Południk, od którego mierzy się wzniesienie proste, oznaczony jest w tym stuleciu przez cztery gwiazdy: przez Gwiazdę Polarną, przez konstelację Kasjopei, Głowę Andromedy i gwiazdę Algenib, znajdującą się w konstelacji Pegaza. Ale nie widać ani jednej z nich.

[5] „Oraczu z gór", kim jest ten człowiek?" „Człowiekiem". „Jakimi mówi językami?. „Wszystkimi". „Co wie?" „Wszystko". „Skąd pochodzi?" „Zewsząd i znikąd". „Jakim jest jego Bóg?" „Bóg". „Jak go zowiesz?" „Szaleńcem". „Co mówisz? Jak zowiesz go?" „Mędrcem". „Kim on jest wśród was?" „Jest tym, kim jest". „Wodzem?" „Nie". „Więc kim?" „Duszą".

Słowa padały martwo, ledwie dosłyszalne, głuche, wymawiane jakby nie/przez starca, lecz przez kogoś innego poza nim. Spływały z ust jego i nikły. Monolog – to dym pochodzący z wewnętrznego ognia ducha.

Szyper spróbował się odezwać:

– Wielmożny panie...

Starzec, być może, nieco głuchy i zamyślony głęboko, mówił dalej:

– Za mało gwiazd, za wiele wiatru. W pobliżu brzegu wiatr zawsze zbacza ze swej drogi i przerzuca się na ląd. Pionowo spada na wybrzeże. Dzieje się tak dlatego, że ziemia cieplejsza jest od morza. Powietrze ponad nią jest lżejsze. Zimny i ciężki wiatr morski rzuca się ku lądowi, by je stamtąd wypierać. Dlatego też wszystkie wiatry ze wszystkich stron przestworzy wieją w kierunku ziemi. Należałoby właściwie ustalić stosunek zależności pomiędzy równoleżnikiem zliczonym a przewidywanym. Jeżeli szerokość obserwowana różni się od szerokości przewidywanej nie więcej niż o trzy minuty na. dziesięć mil morskich, a cztery na dwadzieścia – znaczy to, że statek jest na właściwym kursie.

Szyper skłonił się, starzec jednakże nie dostrzegał go nadal. Stał bez ruchu, wyniosły, nieprzystępny, odziany jak gdyby w togę uniwersytecką z Oksfordu czy Getyngi. Spoglądał na morze spojrzeniem wytrawnego znawcy i ludzi, i wód. Obserwował fale w *ta*ki sposób, jakby chciał przemówić do nich wśród czynionego przez nie hałasu, pouczyć je o czymś bardzo ważnym. Miał w sobie coś z nauczyciela i coś z wieszcza. Wyglądał jak bakałarz, co dawałby nauki otchłani.

Ciągnął dalej swój monolog. Wiedział zresztą, być może, że ktoś go słucha, być może, mówił umyślnie.

– Można by puścić się w zapasy, gdyby się miało koło sterowe zamiast sterownicy. Przy szybkości czterech węzłów trzydzieści funtów ciśnienia na koło oddziałać może z siłą trzykroć stu tysięcy na kierunek. A nawet i z większą siłą, w niektórych wypadkach bowiem można nałożyć dwa dodatkowe zwoje na wał steru. Szyper ukłonił się po raz drugi i rzekł:

– Wielmożny panie...

Oko starca zatrzymało się na nim wreszcie. Nie poruszył się, głowę tylko zwrócił w jego stronę.

– Nazywaj mnie doktorem.

– Wielmożny doktorze, jestem szyprem na tym statku.

– To dobrze – odrzekł „doktor". Doktor – tak bowiem odtąd zwać go będziemy – bez oporu dał się wciągnąć w rozmowę.

– Czy masz oktant angielski? – zapytał.

– Nie.

– Bez angielskiego oktantu nie możesz przecież zmierzyć wysokości ni z rufy, ni z dziobu.

– Baskowie potrafili mierzyć wysokość, zanim jeszcze Anglicy pojawili się na świecie – odparł szyper.

– Strzeż się przyboju.

– Zmniejszam szybkość, gdy tak trzeba.

– Czy zmierzyłeś szybkość statku?

– Tak.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– A w jaki sposób?

– Za pomocą logu.

– A czy pamiętałeś o sprawdzeniu deszczułki logu?

– Naturalnie.

– Czy klepsydra dokładnie odsypuje swoje półminuty?

– Tak.

– Czy pewny jesteś, że piasek nie nadwerężył szyjki łączące oba zbiorniki?
– Jestem pewny.
– A czy wypróbowałeś dokładność klepsydry za pomocą wahań kuli muszkietowej, zawieszonej...
– Na gładkiej nici skręconej ze zmoczonych konopi? Oczywiście.
– A czyś nie zapomniał powoskować nić, aby się nie wydłużyła?
– Nie zapomniałem.
– A czy wypróbowałeś log?
– Dokładność klepsydry sprawdziłem za pomocą kuli muszkietowej, a dokładność logu za pomocą kuli armatniej.
– Jaką średnicę ma twoja kula?
– Jedną stopę.
– Dobra waga.
– To stara kula z naszego dawnego wojennego barkasu „La Casse de Par-Grand".
– Czy tego, który był w Armadzie?
– Tak.
– Tego, który brał na pokład sześciuset żołnierzy, pięćdziesięciu marynarzy i dwadzieścia pięć armat?
– Wiedzą o tym skały podwodne.
– A jak wyważyłeś ciśnienie wody na kulę?
– Niemiecką wagą ręczną.
– Czyś uwzględnił napór wody na linę, na której kula wisiała?
– Tak.
– I cóż wypadło?
– Ciśnienie wody wynosi sto siedemdziesiąt funtów.
– Czyli że statek robi cztery mile francuskie na godzinę.
– Albo trzy mile holenderskie.
– Lecz to jest tylko nadwyżka, różnica szybkości statku w stosunku do szybkości fali.
– Bez wątpienia.
– Dokąd sterujesz?
– Do pewnej niewielkiej zatoki, dobrze mi znanej, a położonej pomiędzy Loyola i Saint-Sebastian.
– Staraj się jak najszybciej osiągnąć równoleżnik, przy którym położony jest cel podróży.
– Tak. Staram się, by jak najmniej zbaczać z drogi.
– Nie dowierzaj wiatrom i prądom. Pierwsze pobudzają drugie
– *Traidores*.
– Nie klnij. Morze słucha. Nie znieważaj. Obserwuj tylko.
– Na Wszystko baczyłem pilnie i nadal pilnie baczę. Kierunek przypływu w tej chwili sprzeczny jest z kierunkiem wiatru; już wkrótce jednak, gdy prąd odwróci się i pójdzie z wiatrem, nabierzemy szybkości.
– Czy masz mapę morską?
– Nie. Nie mam mapy tego morza.
– Żeglujesz więc po omacku?
– Wcale nie. Mam przecież kompas.
– Kompas to dopiero jedno oko. Drugie oko – to mapa. – Jednooki także widzi.
– W jaki sposób wymierzasz kąt drogi pomiędzy szlakiem a stępką?
– Mam kompas drogowy i zgaduję na oko.
– Że zgadujesz, to dobrze; lepiej by jednak było, gdybyś wiedział:

– Krzysztof [6] także zgadywał.

– Podczas mgły, kiedy róża wiatrów kręci się złośliwie, trudno jest schwycić, okiełznać wicher. Można zagubić wtedy wszelki kierunek. Osioł nawet, byleby miał mapę, więcej wart jest wówczas od wróżbity i wszystkich jego przepowiedni.

– Na razie wieje czysty wiatr północno-zachodni i nie widzę powodów do niepokoju.

– Statki to muchy w sieci pająka, którym jest morze.

– W tej chwili i fala, i wiatr są dla nas raczej przychylne.

– Czarne pyłki drgające na fali – oto czym są ludzie na oceanie.

– Nie wydaje mi się, by miało nam grozić niebezpieczeństwo tej nocy.

– W każdej chwili wpaść możemy w kabałę, z której niełatwo będzie ci się wydostać.

– Jak dotychczas, wszystko idzie gładko.

Spojrzenie doktora zatrzymało się na północnym wschodzie.

Szyper ciągnął dalej:

– Bylebyśmy tylko dotarli do Zatoki Gaskońskiej, dalej odpowiadam za wszystko. Hej, wielki Boże, tam to już jestem w domu. Znam moją Zatokę Gaskońską niczym własną kieszeń. To misa z wodą, co często piekielnie się złości, ale w każdym miejscu znam poziom jej wód i rodzaje dna: i muł koło San-Cipriano i muszle przy Cizarque, i piasek u przylądka Penas, i żwir w okolicy Boucaut de Mimizan, znam tam kolor każdego kamyka.

Urwał; doktor nie słuchał bowiem.

Wpatrywał się uważnie w północny wschód. Na jego lodowatej, obojętnej twarzy działo się coś niezwykłego.

Malowało się na niej całe przerażenie, jakie tylko wyrazić może maska z kamienia. Z ust wyrwały się słowa:

– A jednak!

Źrenice jego, okrągłe w tej chwili niczym u sowy, coraz bardziej rozszerzały się z przerażenia wpatrując się uparcie w jeden punkt, hen daleko.

– Tak, to właśnie to! Cóż, niech się stanie, co stać się musi – odezwał się znowu.

Szyper patrzył na doktora.

A on ciągnął dalej, przemawiając jakby do siebie czy też może do kogoś, kto znajdował się gdzieś w bezbrzeżnej otchłani:

– Powiadam: niech się stanie, co stać się musi.

Zamilkł i tylko oczy otwierał coraz szerzej, i że zdwojoną uwagą wpatrywał się W jakiś punkt na niebie. Wreszcie odezwał się znowu:

– Nadciąga to z daleka, ale wie dobrze, czego chce.

Wycinek przestrzeni, w którym zatonęło spojrzenie i cała uwaga doktora, leżał po stronie przeciwnej niż zachód i oświetlony był przez odblask ginącego światła jasno, prawie jak W dzień. Wycinek, ów, niewielki, otoczony strzępami szarawych mgieł, był po prostu błękitny, błękitem podobnym jednakże bardziej do ołowiu niż do lazuru.

Doktor całą swą postacią odwrócony ku morzu, nie patrząc już teraz na szypra, wskazał palcem ów wycinek powietrza i rzekł:

– Widzisz?

– Co?

—To.

– Co?

– Tam.

– Ten błękit? Tak, widzę.

– Co to jest?

[6] Krzysztof Kolumb

– Miejsce na niebie. – Dla tych; co pójdą do nieba. Dla tych zaś co iść muszą gdzie indziej, jest to coś całkiem innego.

Tym tajemniczym słowom towarzyszyło spojrzenie ginące gdzieś w mroku, przerażające.

Zapadła cisza.

Szyper, wspominając podwójną nazwę nadaną człowiekowi owemu przez wodza-bandy, zapytywał teraz sam siebie: Czy to szaleniec czy mędrzec?

Palec doktora, kościsty, wyprostowany, ciągle jeszcze wskazywał gestem wyroku ów mętny błękit na, widnokręgu.

Szyper przyjrzał się owemu błękitowi uważniej.

– To prawda – mruknął – to nie niebo, tylko chmura.

– Chmura błękitna groźniejsza jest od czarnej – rzekł doktor. Po chwili odezwał się znowu:

– To chmura śnieżna.

– *La nube de la nieve* – powtórzył po hiszpańsku szyper, jakby usiłował w ten sposób lepiej zrozumieć znaczenie tych słów.

– A czy wiesz ty, co to jest śnieżna chmura?

– Nie.

– Dowiesz się już wkrótce.

Szyper w dalszym ciągu obserwował widnokrąg.

I przyglądając się chmurze cedził przez zęby:

– Miesiąc burz, miesiąc deszczów, kaszlący styczeń i płaczliwy luty – oto i cała zima w naszej Asturii. Nasze deszcze są ciepłe. Śnieg leży u nas tylko w górach. O, tam to trzeba Uważać na lawiny! Lawina nie liczy się Z niczym. Lawina to bestia.

– A trąba powietrzna to monstrum – rzekł doktor. I dorzucił po chwili milczenia:

– Oto nadciąga, będzie tu już wkrótce.

– Kilka różnych wiatrów bierze się do dzieła – mówił dalej. – Potężny wiatr zachodni i cichy ze wschodu.

– Z cicha pękł – rzekł na to szyper. Niebieska chmura rosła.

– Jeżeli śnieg spadający z gór. jest tak niebezpieczny – mówił dalej doktor – to pomyśl tylko, czym być może śnieg, co wali z samego bieguna.

I patrzył szklanym spojrzeniem. Wydawało się, że chmura rozrasta się równocześnie i na widnokręgu, i na jego twarzy.

Znów przemówił z akcentem rozmarzenia w głosie:

– Każda minuta przybliża chwilę ostateczną. Wola niebios spełniać się zaczyna.

Szyper znów zapytywał w duchu sam siebie: „Czyżby to był szaleniec?"

– Kapitanie – mówił dalej doktor nie odrywając spojrzenia od chmury – czyś często żeglował po kanale La Manche?

– Jestem tu dzisiaj po raz pierwszy – odrzekł szyper. Całą uwagę doktora zajmowała niebieska chmura. Jak gąbka nasiąknięta wodą nic już więcej nie chłonie, tak też i on, cały przejęty niepokojem z jednego tylko powodu, słysząc odpowiedź szypra zaledwie wzruszył ramionami.

– Jakżeż to tak?

– Wielmożny doktorze, zazwyczaj dopływałem tylko do Irlandii. Z Fontarabie jeździłem do Black-Harbourg i na wyspę Akill, która jest właściwie dwiema wyspami. Jeździłem też czasem do Brachipult, położonego na jednym z przylądków Walii. Zawsze jednak zostawiałem wyspy Scilly idąc na północ po prawej burcie, Tutejszego morza nie znam wcale.

– To źle. Biada temu, co uczy się dopiero sylabizować na oceanie. Kanał La Manche to morze, w którym biegle czytać należy. Wody jego – to sfinks. Strzeż się jego dna.

– Jesteśmy przecież na dwudziestu pięciu sążniach.

– Trzeba się trzymać pięćdziesięciu pięciu sążni na odpływie, a wystrzegać się dwudziestu sążni na przypływie.

– Będziemy sondować.

– Kanał La Manche to nie zwykłe sobie morze. Gwałtowniejsze przypływy dochodzą na głębi do pięćdziesięciu stóp, a do dwudziestu pięciu stóp na płyciznach. Tutaj odpływ odpływowi nie równy. No i cóż? Zdaje mi się, żeś się nieco zafrasował.

– Będziemy w nocy sondować.

– Na to trzeba by się zatrzymać, a nie będziesz mógł.

– Dlaczego?

– Nie pozwoli ci, wiatr.

– Spróbujemy.

—Nawałnica wbije ci nóż w plecy.

– A ja powiadam, że będziemy sondować, wielmożny doktorze.

– Nie będziesz w stanie nawet stanąć burtą do wiatru.

– W Bogu nadzieja.

– W słowach bądź ostrożny. Nie wymawiaj na próżno drażliwych imion.

– A ja mówię, że będę sondował.

– Miarkuj się, człowieku. Tylko patrzeć, jak wiatr zada ci bobu.

– Mówię tylko, że spróbuję to uczynić.

– Napór wody nie pozwoli zarzucić ołowianki i twoja lina pęknie. Prawda, że po raz pierwszy zapuszczasz się w te morskie okolice.

– Tak, po raz pierwszy.

– A więc słuchaj, co ci powiem.

Słowo „słuchaj" wymówione zostało tak władczo, że szyper ukłonił się powtórnie.

– Słucham, wielmożny doktorze.

– Weź lewy hals i ster prawo na burt.

– Jak pan mówi?

– Idź na zachód.

– *Caramba!*

– Idź na zachód!

– To nie podobna.

– Czyń, jak chcesz. Mówię ci to tylko ze względu na innych. Ja godzę się na każdy wyrok losu.

– Ależ, wielmożny doktorze, położyć kurs na zachód...

– Tak, kapitanie. – A więc iść pod wiatr? – Tak, kapitanie. – Będzie rzucać diabelnie.

– Dobieraj innych Słów. Tak, kapitanie.

– To wściekła praca dla kadłuba!

– Tak, kapitanie.

– To, być może, maszt złamany.

– Być może.

– I pan chcesz, żebym sterował na zachód! – Tak.

– Jakżeż mogę?

– Więc dogaduj się z morzem, jak sam zechcesz.

– A może się wiatr odwróci?

– Nie odwróci się całą noc.

– Dlaczego?

– Ten wiatr ma oddech tysiąca dwustu mil.

– I pod taki wiatr iść? Niepodobieństwo!

– Powtarzam: trzymaj kurs na zachód.

– Cóż, spróbuję. Ale i tak nas zniesie.

– Właśnie w tym tkwi niebezpieczeństwo. – Zniesie nas na pewno na wschód.

– Nie daj się znosić na wschód.

– Bo co?

– Czy wiesz, kapitanie, jak brzmi dziś dla nas imię śmierci?

– Nie.

– Imię jej jest: wschód.

– Pójdę na zachód.

Tym razem doktor popatrzył wreszcie na szypra, uporczywie, z natężeniem, jakby pragnął wszystkimi swymi siłami wbić tę myśl w jego mózg. Odwrócił się ku niemu całą swoją postacią i wolno, dobitnie, akcentując każdą sylabę, powiedział:

– Jeżeli tej nocy, już na pełnym morzu, usłyszymy bicie dzwonu – statek jest zgubiony.

Szyper spojrzał ze zdumieniem.

– Co to znaczy?

Doktor nic mu nie odrzekł. Spojrzenie jego, na chwilę jakby obnażone, znów cofnęło się w głąb. Zdawać by się mogło, że zapatrzony sam w siebie nie usłyszał nawet zdziwionego pytania szypra. Nie dostrzegał już niczego, zasłuchany cały w jakieś wewnętrzne głosy. Wargi jego wyszeptały cicho, machinalnie takie oto słowa:

—Dla czarnych dusz nadeszła chwila, kiedy czas już obmyć się z win.

Na twarzy szypra pojawił się wyrazisty grymas. Mruknął;

– Więcej on chyba pomylony jak mądry! I odszedł.

Zwrócił jednakże dziób statku na zachód. Wiatr tymczasem dął coraz mocniej, coraz groźniej huczało morze.

V. HARDQUANON

Na całym widnokręgu, jak okiem sięgnąć, mgły kłębiły się, pęczniały, jak gdyby jakieś liczne a niewidzialne usta dmuchały z całych sił nadymając burzą wielkie miechy chmur. Kształty ich stawały się coraz bardziej niepokojące.

Niebieska chmura zakrywała powoli coraz to większy szmat nieba. Rozrastała się tyleż na zachód, co i na wschód. Posuwała się jakby pod wiatr. Sprzeczności takie są wynikiem istnienia różnych kierunków wiatru w różnych warstwach powietrza.

Morze, przed chwilą jeszcze pokryte łuską, teraz przyoblekło się w skórę. Takie bywają obyczaje tego smoka. Był to już nie aligator, lecz wąż boa. Skóra ta, ołowiana i brudna, wydawała się gruba i pomarszczona była w ciężkie fałdy. Na powierzchni to tu, to tam wznosiły się spienione, samotne bałwany, nabrzmiewały i pękały podobne do wrzodów. Płaty piany wyglądały jak trąd.

W tej to chwili właśnie barkas, widziany jeszcze z daleka przez porzucone na brzegu dziecko, zapalił swoją latarnię.

Upłynęło piętnaście minut.

Szyper poszukał spojrzeniem doktora; nie było go już jednak na pokładzie.

Kiedy go szyper opuścił, doktor pochylił swoją niewygodną w takich chwilach postać i przez niskie wejście wszedł do kajuty. Usiadł przy piecu, na zydlu, wyciągnął z kieszeni skórzany kałamarz i portfel skórzany, z portfelu wyjął pergamin złożony we czworo, stary, wyplamiony, pożółkły, rozłożył arkusik, wziął do ręki pióro z piórnika, portfel położył sobie płasko na kolanach, na nim pergamin i na odwrotnej jego stronie w migotliwym świetle latami, zapalonej przez kucharza, zaczął pisać nie bacząc na silne kołysanie statku. Pisał długo.

Podczas tego pisania zauważył doktor w pewnej chwili flaszę samogonu, z której Prowansalczyk pociągał, ilekroć wypadło mu dosypać pieprzu do gotującej się zupy, jakby radził się trunku, jak ją doprawić do smaku.

Doktor zauważył tę flaszę nie dlatego wcale, ze była w niej wódka. Wzrok jego zatrzymał napis wpleciony czerwonym włóknem w białą wiklinę. W kajucie dość było jasno, by mógł dojrzeć go i odczytać.

Przerwał więc pisanie i przesylabizował półgłosem:

– Hardquanon.

I rzekł do kucharza:

– Nigdy dotąd jeszcze nie zauważyłem tej flaszy. Czyżby należała ona do Hardquanona?

– Do tego biedaka Hardquanona? – odrzekł kucharz. – Tak. Doktor pytał dalej:

– Do Hardquanona, Flamanda z Flandrii?

– Tak.

– Tego, co teraz, jest w więzieniu?

– Tak.

– W wieży Chatham?

– To jego flasza – odrzekł kucharz – a on sam był moim przyjacielem. Mam ją teraz na pamiątkę. Czy ujrzymy go jeszcze? Tak, tak, to jego flasza, zawsze ją nosił przy boku.

Doktor znowu ujął za pióro i z wysiłkiem kreślił dalej po pergaminie nierówne litery. Starał się najwidoczniej, by pisać jak najbardziej czytelnie. Pomimo kołysania się statku i drżenia jego starczej ręki napisał wreszcie to, co miał do napisania.

A czas już był po temu, nagle bowiem dał się odczuć potężny wstrząs.

Fale runęły na statek gwałtownym naporem, rozpoczynał się ów groźny taniec, którym okręty witają nadchodzącą burzę.

Doktor wstał, podszedł do pieca równoważąc umiejętnym uginaniem kolan chybotanie się barkasu, jak mógł, osuszył nad płonącym pod kociołkiem ogniem to, co napisał przed chwilą, złożył pergamin, wsunął go z powrotem do portfelu i ukrył w kieszeni i portfel, i kałamarz.

W kambuzie, umieszczonym w samym środku barkasu, w przemyślnym odosobnieniu kołysanie niewątpliwie najmniej dawało się we znaki. Mimo to kociołek chybotał się jak wahadło. Prowansalczyk nie spuszczał go z oka.

– Polewka z ryb – powiedział.

– Dla ryb – odrzekł doktor.

I powrócił znowu na pokład.

VI. SĄDZĄ, ŻE SĄ URATOWANI

Niepokój doktora wzrastał. Usiłował też jak najdokładniej zdać sobie sprawę z położenia i ktoś, kto by stał tuż obok niego, usłyszałby takie oto ciche słowa:

– Za wielka chwiejba na burtę, za mało rzuca dziobem.

Po czym, pochłonięty cały przez tajemną pracę ducha, znów zagłębił się w swych myślach niczym górnik w szybie kopalni.

Jednakże mimo zamyślenia nadal obserwował morze. W morze patrzy się jak w sen.

Ponura męczarnia wiekuiście udręczonych wód miała się oto rozpocząć. Z odmętu dobywał się jęk żałosny. W niezmierzonym ogromie przestrzeni dokonywały się jakieś chaotyczne, złowieszcze przygotowania. Doktor śledził pilnie wszystko, co działo się dookoła, żaden najdrobniejszy nawet szczegół nie uchodził jego spojrzeniu. W oczach jego zresztą nie malował się zgoła wyraz rozmarzonej kontemplacji. Nikt nie potrafi przypatrywać się piekłu w obojętnym zamyśleniu.

Jakiś potężny wstrząs, na wpół utajony jeszcze, ale już wyczuwalny w ogólnym zamęcie przestworzy, coraz to bardziej rozpętywał i wiatr, i mgły, i fale. Nie ma na świecie nic nad ocean logiczniejszego, a równocześnie nic nie wydaje się być bardziej niedorzeczne. Rozpra-

szanie się jest nieodłączną właściwością jego wszechwładzy jest jednym z elementów jego ogromu. Fala. jest albo przyjacielem, albo wrogiem. Formuje się po to, by zniknąć. Jedno jej zbocze napiera, drugie – wyzwala. Obraz fal jest jak przywidzenie. Jak odmalować tę grę bruzd i skib morskich, potężnych a zaledwie rzeczywistych, te doliny i przełęcze, to wznoszenie się i opadanie piersi w gwałtownym oddechu, te ledwie napoczęte zarysy? Jak opisać gąszcze piany niby góry zrobione ze snu? Niewypowiadalne spotkasz tam wszędzie, w fałdowaniu się i rozlewie, w niepokoju, w nieustannym zaprzeczaniu własnej istocie, w grze światła i cienia, w zwisających chmurach, w sklepieniach załamujących się co chwila, w rozpadaniu się nieprzerwanym, nieustannym i w zgiełku ponurym, który towarzyszy temu szaleństwu.

Wiatr północny nie ustalił się ostatecznie. A gwałtowność jego tak była przyjazna, tak korzystna dla tym szybszego Oddalania się od angielskich brzegów, że szyper „Matutiny" postanowił rozwinąć wszystkie żagle. Barkas mknął pędem przez piany łopocząc płachtami płótna gnanymi przez wiatr rufowy, skacząc z fali na falę zaciekle a wesoło. Radowali się uszczęśliwieni uciekinierzy. Uderzali w dłonie przyklaskując wzburzonym bałwanom, fali, wiatrom, żaglom i pędowi, i ucieczce, i nieznanej przyszłości. Doktor, pogrążony w myślach, wydawał się ich nie dostrzegać. Ostatni blask zachodu zgasł.

W tej to właśnie minucie patrzące z dalekiej skały nabrzeżnej dziecię straciło barkas z oczu. Aż dotąd wzrok jego uporczywie śledził, odprowadzał jak gdyby statek. Czyżby spojrzenie to mieć mogło jakiś udział w Wyrokach przeznaczenia? Aż wreszcie barkas zginął w oddali, dziecko nie widziało już nie. Odeszło więc, ku północy, a barkas mknął dalej na południe.

Ciemność pochłonęła wszystko.

VII. PRZERAŻENIE

Unoszonym przez barkas zbiegom tym radośniej i lżej robiło się, na duszy, im szybciej oddalały się i nikły niegościnne brzegi. Coraz to bardziej rozszerzał się krąg oceanu, coraz to bardziej malały w ciemności i Portland, i Purbeck, i Tineham, i Kimmeridge, i oba Matravers, długie linie skał zasnutych mgłą, i wybrzeże z jasnymi punktami latarni.

Zniknęła Anglia. Zbiegów otoczyło zewsząd morze.

Noc stała się nagle przerażająca.

Znikła przestrzeń dookoła; czerń nieba zamknęła się nad statkiem. Zaczął padać rzadki śnieg. Nieliczne jego płatki jawiły się niby błądzące dusze. Tam skąd wiał wiatr, panował nieprzejrzany zmrok. Jakże się poczuli osamotnieni. Zasadzką było wszystko, co stać się z nimi mogło.

Taką to właśnie otchłanną ciemnością rozpoczyna się w naszym klimacie wichura polarna.

Olbrzymia, ciężka chmura, podobna do hydry oglądanej od spodu, zawisła nad oceanem, przylegając tu i ówdzie do fal swoim sinym podbrzuszem. Wyglądało to, jak gdyby rozdarte wory wciągały w siebie morze, wyrzucając ze swego wnętrza opar i napełniając się wodą z kolei. Tam, gdzie chmura wsysała się w ocean, podnosiły się na jego powierzchni stożki piany.

Nawałnica zbliżała się, a statek sunął w nią na oślep. Barkas i burza wychodziły sobie na spotkanie, rzekłbyś, że się nawzajem wyzywają.

Przy tym pierwszym starciu nie zwinięto ani jednego żagla, nie spuszczano żadnego kliwra, nie ściągnięto żadnego refu, tak ludzie ci upojeni byli radością ucieczki. Maszt giął się i trzeszczał jakby w przerażeniu.

Na naszej północnej półkuli kierunek cyklonów zgodny jest z ruchem zegara. Wieją one od strony lewej ku prawej, a szybkość ich osiąga czasem aż sześćdziesiąt mil na godzinę. Barkas, choć znajdował się całkowicie we władaniu tego gwałtownego, wirowego prądu, zamknięty w

jego ruchomym jarzmie, walczył uparcie o pozycję prostopadłą do fali i czujnie strzegł trawersu przed wściekłymi uderzeniami sztormu. Zabiegi te zresztą nie na wiele by się zdały, gdyby skok wichury przekroczył półokrąg róży.

Głuchy, głęboki huk rozgrzmiewał na całej wrogiej, niedostępnej przestrzeni morza.

Niczego porównać się nie da z tym rykiem otchłani. Jest to jakieś ogromne, zwierzęce wołanie świata. To, co zwać przywykliśmy materią, ów organizm bezdenny, amalgamat niezmierzonych sił, w którym czasem dostrzec da się coś na kształt zamysłu – a któż wtedy nie zadrży – ów ślepy, mroczny kosmos, ów Pan nieodgadniony, wydaje czasem krzyk, krzyk dziwny, przeciągły, uparty, długi, który jest mniej niż słowem, a więcej niż grzmotem. Krzyk ów – to huragan. Wszelkie inne głosy – śpiewy, melodie, gwary, słowa – to głosy też i piskląt, i kochanków, to zgiełki pochodzące z gniazd ptasich i zwierzęcych i mieszkań ludzkich; a ten głos trąby wychodzi z Nicości, która jest Wszystkim. Inne głosy wyrażają duszę i wszechświat; ten – tylko potworność. Jest on wyjący, bezkształtny. Nieokreślone odzywa się swoją nieartykułowaną mową. Sprawa to patetyczna i przerażająca. Hałasy te rozmawiają ze sobą i ponad głową człowieka, i pod jego stopami. Wznoszą się, opadają, przepływają i odpływają falami, zaskakują najdzikszymi niespodziankami umysł ludzki, to nieznośną fanfarą wybuchają tuż przy naszym uchu, to odzywają się ochryple gdzieś z oddali; ten zgiełk przyprawiający o zawrót głowy podobny jest do mowy, i jest on mową w istocie; to wysiłek świata, co pragnąłby przemówić, to bełkotanie cudu. W kwileniu owym wyraża się chaotycznie to wszystko, czego doświadcza, co cierpi, odrzuca i przyjmuje pulsujący, mroczny ogrom. Najczęściej jest to jakieś bredzenie od rzeczy, podobne do ataku chronicznej choroby, jest to bardziej epilepsja, rozsiana przypadkowo, niż świadomie użyta siła; sądziłbyś, że jesteś oto świadkiem, jak wstrząsa nieskończonością „wielka choroba". Chwilami wydawać się może, że to żywioł dopomina się swoich praw, że chaosowi zachciało się zagarnąć znowu cały świat w swoje posiadanie. Chwilami znów brzmi to jak skarga, przestrzeń usprawiedliwią się i rozpacza, jakby obronić chciała sprawę świata; wszechświat wydaje się jak wielki proces; słuchasz i próbujesz uchwycić wysuwane racje, te wszystkie przeciw i za, niebezpieczne, groźne; niejeden jęk mroku ma w sobie uporczywość sylogizmu. Jakżeż mąci się jasność myślenia! Odnaleźć tutaj możemy przyczynę powstania wszystkich mitologii i politeizmów. A grozę tych potężnych pomruków potęguje jeszcze pojawianie się zarysów – ludzkich? nieludzkich? – co giną ledwie dostrzeżone, eumenid zaledwie widzialnych, gardzieli furii rysujących się wśród chmur, chimer piekielnych, dotykalnych prawie. Nic nie jest w stanie dorównać w swej grozie owym łkaniom, śmiechom, sprężystości tych dźwięków, tym pytaniom i odpowiedziom nie do odgadnienia, tym wołaniom o pomoc, rzucanym w nieznane. Człowiek nie wie, jak zachować się powinien słysząc te straszliwe pienia. Ugina się pod tajemnicą tych okrutnych w swej surowości intonacyj. Co się pod nimi kryje? Co one znaczą? czym grożą? o co błagają? Jest to jakieś rozpasanie. Wrzeszczą do siebie przepaści, powietrze nawołuje wody, wiatr – fale, deszcz – skały, zenit – nadir, gwiazdy – pianę, otchłań zerwała kaganiec z pyska – oto ów zgiełk, zgmatwany z jakąś nieokreśloną, tajemniczą kłótnią nieczystych sumień.

Wielomówność nocy nie mniej jest ponura od jej milczenia. Wściekłość tego, co nieznane, wyczuwać się w niej daje.

Noc jest to obecność. Ale czego?

Odróżniać zresztą należy noc od ciemności. Noc – to absolut, ciemność – to wielorakość. W języku francuskim gramatyka – owa logika – nie przyznaje ciemnościom pojedynczej liczby. *Lés tenèbres.* Noc jest jednolita, ciemność – złożona.

Ta mglista, wieczorna tajemnica to rozsianie, umykanie, rozpad i zguba. Nie wyczuwa się już ziemi, wyczuwa się jakąś odmienną, inną rzeczywistość.

W nie kończącym się i nienazwanym mroku jest coś – czy też może ktoś! – co żyje; to jednak, co tam jest żywe, dla nas stanowi składnik śmierci. U kresu naszej ziemskiej wędrówki, kiedy cień ów światłem dla nas się stanie, przyjmie nas to życie, które „się poza naszym ży-

ciem znajduje. A tymczasem wydawać by się mogło, że usiłuje ono dotknąć nas, wybadać. Ciemność – to ucisk. Noc – to jakby ktoś duszę naszą brał w areszt. W pewnych godzinach, ciężkich a uroczystych, czujemy, że w istnienie nasze wkracza to, co znajduje się poza murem grobowca.

Owa bliskość nieznanego nigdy nie bywa bardziej dotykalna niż. podczas burzy na morzu. Fantastyka potęguje grozę. Ten, co w każdej chwili przeciąć jest w stanie każdą działalność człowieka, antyczny Areopag Chmur – ma do swego rozporządzenia siłę nieograniczoną, nieokreśloną, rozsianą i przy jej użyciu formować. może wydarzenia wedle swojej chęci. A burza – owa tajemnica – przejmuje i wykonuje, w każdej chwili każdą odmianę woli, pozorną czy rzeczywistą.

Poeci od najdawniejszych czasów nazywają to kaprysem, fal.

Lecz kaprys nie istnieje.

Zjawiska, co wprawiają nas w zakłopotanie i które kaprysami natury i przypadkami losu nazywać jesteśmy skłonni, są to dostrzeżone przez nas nagle fragmenty praw jeszcze nie poznanych.

VIII. NIX I NOX

Znamieniem nawałnicy śnieżnej jest czerń. Zwykły wygląd natury podczas burzy – ziemia lub morze pociemniałe, a niebo blade – zostaje odwrócony: niebo jest czarne, a ocean – biały. W dole piana, w górze mrok. Widnokrąg zamknięty oparem, zenit wybity krepą. Burza podobna jest do wnętrza katedry podczas żałobnego obrządku. W katedrze tej nie ma jednak żadnych świateł.

Nie ma eliaszowych ogników na grzbietach fal, nie ma fosforyzujących płomyczków; nic, tylko mrok, mrok niezmierzony. Cyklon polarny w tym różni się od cyklonu tropikalnego, że ten ostatni zapala wszystkie światła, a tamten – gasi wszystkie, Świat staje się nagle niczym sklepienie lochu. Wśród nocy owej sypie się biały pył, zawiały między niebem i morzem. Plamki te, ploteczki śniegu, opadają, unoszą się, błądzą. Są one jakby łzy śmiertelnego całunu, co zacząłby nagle poruszać się i żyć, A posiewowi temu towarzyscy zawsze szalony wiatr północno-zachodni. Czarność osypująca się biało, wściekłość w mroku, zgiełk, do jakiego tylko zdolny jest grobowiec, huragan u stóp katafalku, oto czym jest śnieżna burza.

A spodem rozdygotany ocean przykrywa nieznane a straszne głębiny.

W podmuchach północnego, naładowanego elektrycznością wiatru płatki śniegu stają się natychmiast kulkami gradu i powietrze jest pełne pocisków. Ostrzeliwaną woda tryska.

Nie ma gromu. Cicha jest błyskawica borealnej burzy. O kocie mówimy czasem, że „mruczy paciorek” – to samo rzec by można o tej błyskawicy. Jest to groźbą wydobywająca się z na pół uchylonej paszczy, groźba nieubłagana., Burza śnieżna to burza ślepa i niema. A kiedy przeminie, pozostawia za sobą równie ślepe statki i równie niemych ludzi.

Z otchłani tej nie wychodzi się obronną ręką.

Niesłusznym jednak byłoby twierdzenie, że żaden statek nie może wyjść cało z tych opresji. Duńscy rybacy z Disco i z Balesin, poławiacze czarnych wielorybów, Hearn, co płynął do Cieśniny Beringa, by odkryć ujście rzeki La Riviere i kopalnie miedzi, Hudson, Mackenzie, Vancouver, Ross, Dumont d’Urville, wszyscy oni, już pod samym biegunem doświadczali burz śnieżnych najbardziej niełaskawych i wychodzili z nich zdrowi i żywi.

W taką to burzę właśnie wpływał barkas triumfalnie z rozwiniętymi żaglami, Szaleństwo wychodzące na spotkanie szaleństwu. Montgomery, kiedy uciekając z Rouen wszystką siłą wioseł rzucił swoją galerę na łańcuch zamykający ujście Sekwany, postąpił równie zuchwale.

„Mafutina” mknęła, W tym pędzie na wszystkich żaglach nachylenie jej w stosunku do powierzchni morza osiągało chwilami groźny kąt piętnastu zaledwie stopni, jej masywna stępka,

jednakże przylegała do fali, jak przyklejona. Opierała się ona wszelkim zakusom huraganu. Zapalona latarnia oświetlała dziób statku. Napęczniała podmuchem chmura rozpościerała się, nabrzmiewała nad oceanem, morze dokoła barkasu kurczyło się w jej mrokach coraz bardziej. Ani jednej mewy. Ani jednej skalnej jaskółki. Nic, tylko śnieg. Krąg fal dokoła niewielki był, a przerażający. Dostrzec ich można było niewiele, lecz wszystkie ogromne ponad miarę.

Od czasu do czasu wyłaniała się spoza ciemnych warstw zenitu błyskawica o kolorze miedzi. Tam, gdzie rozerwała niebo czerwoną szczeliną, widać było wyraźnie, jak bardzo jest ono groźne. Ów nagły pożar ogarniający głębokości pokazywał przepaść w całej perspektywie, na mgnienie oka pojawiały się bliskie chmury i cały chaos nieba, uciekający w głąb. Na owym tle ognistym płatki śniegu stawały się czarne, podobne do ciemnych motyli latających w rozżarzonym piecu. Potem gasło wszystko.

Pierwszy wybuch przeminął i burza, gnając barkas nieustannie, przytłumiła swój ryk. Pomrukiwała teraz tylko, zgiełk zmniejszył się, wzrosła natomiast groza. Taki monolog nawałnicy niepokojący bywa. niewymownie. Owo *recitativo* ponure to jakby zatrzymanie się na chwilę tajemniczych walczących sił. Wskazuje ono, że nieznane przygotowuje jakąś zasadzkę.

Barkas mknął naprzód jak szalony. Jego górne żagle pracowały straszliwie. Niebo i morze miały barwę atramentu, piany biły wysoko ponad maszt. Chlusty wody, jak potop, szły górą pokładu, a przy każdym przechyle statku kluzy, raz prawo, raz lewoburtowe, zamieniały się w gardziele rzygające pianami. Kobiety ukryły się w kajucie, mężczyźni trwali na pokładzie. Oślepiał wirujący śnieg. Towarzyszył mu chlust fali. Wściekłe było wszystko dookoła.

W tej to właśnie chwili wódz bandy stojąc na rufie, jedną ręką przytrzymując się want, drugą zaś potrząsając w świetle latarni chustą zerwaną z głowy, wyzywający, szczęśliwy, z dumnym obliczem, z rozwianymi włosami, pijany ciemnością i burzą zawołał:

– Jesteśmy wolni!

– Wolni, wolni, wolni! – powtórzyli zbiegowie. Stali, chwytając się olinowania.

– Hura! – krzyknął wódz.

– Hura! – przekrzykiwali huragan. A kiedy okrzyk ich zginął we wściekłym, wyciu wiatru.– z drugiego końca statku odezwał się głos donośny i poważny:

– Zamilczcie!

Zwróciły się ku niemu wszystkie głowy. Poznali głos doktora.

Ciemności otaczające ich tak były nieprzeniknione, że nie mogli dostrzec jego suchej postaci, opartej o maszt i tworzącej z nim jak gdyby jedną całość.

Głos odezwał się znowu:

– Wytężcie słuch.

Umilkli wszyscy.

I usłyszeli wyraźnie, jak w ciemności dzwonił dzwon.

IX. JAK ZAPOBIEGLIWOŚĆ LUDZKA PRÓBUJE BRONIĆ SIĘ PRZED SZALEŃSTWEM ŻYWIOŁU

Szyper barkasu, nie wypuszczając z rąk steru, roześmiał się szeroko:

– Dzwon! To dobrze! Dryfujemy w lewo! Co ten dzwon oznacza? Że mamy po prawej stronie ląd.

Odpowiedział mu, głos doktora, mocny a powolny:

– Po prawej stronie nie ma lądu.

– Ależ tak, na pewno! – krzyknął szyper.

– Nie.

– Ten dzwon odzywa się przecież z ziemi.

– Ten dzwon – odrzekł doktor – dzwoni z morza. Zimny dreszcz przeszył tych ludzi zuchwałych. Przerażone twarze obu kobiet pojawiły się w kwadratowym otworze kajuty, niby dwa widma. Doktor postąpił krok naprzód, oderwała się od masztu jego czarna, wysoka postać. Dzwon dzwonił i dzwonił w ciemnościach.

A doktor tak mówić zaczął:

– Na środku morza, na połowie drogi pomiędzy Portlandem i Wyspami Anglo-Normandzkimi, znajduje się boja. Została tam umieszczona jako ostrzeżenie. Boja ta zakotwiczona jest łańcuchami o dno i pływa po powierzchni wody. Na boi owej umocowany jest kozioł żelazny, a na nim, na poprzeczce, zawieszono dzwon. Podczas złej pogody fala chwieje boją i dzwon zaczyna dzwonić. Jego to głos słyszycie.

Doktor umilkł, przeczekał gwałtowny zryw wiatru, kiedy zaś głos dzwonu dał się słyszeć znowu, zaczął mówić dalej:

– Głos dzwonu tego podczas burzy, przy północno-zachodnim wietrze, oznacza zagładę. Dlaczego? Dlatego oto: słyszycie dźwięk dzwonu, ponieważ przynosi go wam wiatr. A więc wiatr wieje z zachodu, podwodne zaś skały Alderney znajdują się na wschodzie. Usłyszeć więc głos dzwonu można wówczas tylko, kiedy statek zapędzi się pomiędzy boję i owe podwodne skały. To na te skały właśnie spycha nas wiatr. Znaleźliście się po niedobrej stronie boi. Gdybyście byli po jej właściwej stronie, na pełnym morzu, na bezpiecznym szlaku – dzwonu nie usłyszelibyście. Wiatr nie przyniósłby wam jego dzwonienia. Przepłynęlibyście w pobliżu boi nie wiedząc nawet, że się tam znajduje. Zboczyliśmy z drogi. Ten dzwon – to pobudka śmierci, to zapowiedź rozbicia się okrętu.

Kiedy doktor tak mówił, wiatr przycichł, uspokoił się nieco, a dzwon wydzwaniał wolno uderzenie za uderzeniem. Głos jego, przerywany, nierówny, wydawał się przytwierdzać słowom starca. Rzekłbyś, że to podzwonne otchłani.

Wszyscy słuchali z zapartym oddechem to głosu doktora, to dzwonu.

X. BURZA PIERWOTNA I DZIKA

Szyper przyłożył do ust tubę.

– *Cdrgate todo, hombres!* wszyscy na pokład! – krzyknął. – Zluzować fały[126], opuścić rejȩ, żagle w dół! Ostro na zachód! Na otwarte morze! Dziób na boję! Kurs na dzwon! Na głębię! Jeszcze nie wszystko stracone!

– Próbuj – rzekł doktor.

Przy okazji przypomnieć tu można, że owa boja z urządzeniem alarmowym, coś w rodzaju dzwonu morskiego, została w roku 1802 zdjęta. Bardzo starzy żeglarze pamiętają jeszcze jej głos. Uprzedzała ona o niebezpieczeństwie, nieco za późno jednakże.

Rozkaz wykonano. Langwedokczyk pracował jako trzeci majtek, Pomagali zresztą wszyscy. Zdarto część żagli, nakładano stropy, gorączkowo porządkowano olinowanie, wzmacniano wanty masztu, dokręcano pokrywy na lukach, uszczelniając tym sposobem statek.

Wszystkie te czynności wykonane zostały sprawnie, choć w wielkim pośpiechu i pozornym bezładzie. W obliczu niebezpieczeństwa barkas rozpaczliwie zwierał się w sobie, ograniczał się jakby do elementów najprostszych. Lecz choć statek kurczył się ściągając i zwijając wszystko, co tylko dało się ściągnąć i zwinąć, rósł napór powietrza i wód. Wysokość fal osiągała zaiste podbiegunowe rozmiary.

Orkan, niczym oprawca, co mu pilno, zaczął statek ćwiartować, rozdzierać na części. W jednym mgnieniu oka wśród straszliwego trzasku poszły ostatnie żagle, zmiecione zostały relingi, wśród splątanych sztagów runął maszt, wszystko szło w drzazgi.

Natężenie magnetyczne, znamienne dla nawałnic śnieżnych, współdziałało w niszczeniu olinowania. Liny pękały zarówno pod jego wpływem, jak i pad naporem wiatru. Wysupłane z rolek łańcuchy były nie do użytku. Deski poszycia gięły się i trzeszczały pod zbyt gwałtownym naporem. Jedna z fal zniosła kompas wraz z podstawą i kołpakiem. Inna zerwała jolkę umocowaną, jak każe zwyczaj asturyjski, w poprzek rufy. Inna – zmyła rejȩ leżącą na pokładzie, jeszcze inna – zerwała figurę Madonny z dziobnicy i światło dziobowe.

Pozostał już tylko ster.

Burza porwała latarnię. Na dziobnicy zawieszono rakietę wielkich rozmiarów nabitą płonącymi w smole pakułami.

Maszt, złamany przez pół, spowity łopoczącymi na wietrze strzępami żagli, resztkami pozrywanych lin, kawałkami potrzaskanych bloków osprzętu, zawalał pokład. Padając zmiażdżył reling prawej burty.

Szyper, stojący ciągle u steru, zawołał:

– Dopóki można sterować, nie wszystko jeszcze stracone. Jeszcze statek trzyma się i żyje. Za topory! Maszt do morza! Oczyścić pokład!

I załogę, i pasażerów ogarnęła gorączka rozstrzygającej bitwy. Kilku uderzeniami siekiery zrąbano maszt i zepchnięto go za burtę. Pokład został oczyszczony.

– A teraz przywiążcie mnie linką do steru – rozkazał szyper.

Przywiązano go do sternicy.

A kiedy go przywiązano, śmiał się i wołał ku morzu:

– Rycz, rycz, wiedźmo! Goręcej bywało koło przylądka Machichaco.

I oburącz uchwycił za ster z tym zuchwałym zapałem, jaki niebezpieczeństwo obudzić w człowieku potrafi.

– Hej, bracia, dobra nasza! Niech żyje Matka Boska z Buglose!

Idziemy na zachód!

Nadpłynęła potężna, ukośna fala i zwaliła się na rufę, Wśród burzy zawsze pojawia się wreszcie taki bałwan-tygrys, krwiożerczy i ostateczny, pojawia się w miejscu z góry wyrokiem losu oznaczonym, przez, chwilę pełznie na brzuchu po powierzchni morza, po czym podrywa się i z rykiem spada na nieszczęsny statek, druzgocze go w kawałki. Spienione piany przykryły rufę „Matutiny" wśród ciemności i zalewu wód słychać było trzask łamanych bierwion. A kiedy przewaliła się piana i rufa wyłoniła się spod wody, nie było już na niej ni szypra, ni sternicy.

Fala zmyła wszystko.

Porwała, uniosła w ryczące odmęty nawałnicy i drewniany kabłąk, i człowieka, którego do niego przed chwilą przywiązano.

Wódz bandy wpił wzrok w ciemności.

– *Te burlas de nosotros?* [7] – wyrwał się z piersi jego okrzyk buntu i rozpaczy.

Po czym zawołał:

– Zarzucić kotwicę! Ratować szypra!

Ludzie poskoczyli do kabestanu. Wyluzowano kotwicę. Barkasy nie miewają zwykle więcej niż jedną. I stracono ją natychmiast. Dno było ze szczerej skały, fala szalona. Łańcuch pękł jak włos.

Kotwica spoczęła na dnie.

Z dziobnicy pozostał już tylko spoglądający przez lunetę anioł.

Barkas stał się od tej chwili martwym, bezwolnym czerepem, „Matufina" została obezwładniona. Statek ów, tak niedawno jeszcze uskrzydlony, zwinny, groźny nieledwie w swych ruchach, teraz do niczego już nie był zdolny. Utracił swobodę manewru Bierny, sparaliżowa-

[7] Czy sobie z nas drwisz?

ny, poddawał się kapryśnemu szaleństwu oceanu. Z. orła stał się w kilka minut kalekim kadłubem. Tylko na morzu zdarzają się rzeczy podobne.

Oddech przestrzeni wzrastał do coraz to straszliwszych rozmiarów. Burza – to przeogromny miech. Potęguje ona i wyolbrzymia nieustannie ponurość czerni, która, zdawałoby się, nie miewa przecież odcieni. A dzwon dzwonił rozpaczliwie wśród morza, jakby potrząsała nim jakaś obłąkana ręka.

„Matutiria" stała się igraszką bałwanów, niczym korek rzucony na wodę; nie płynęła już, utrzymywała się tylko na fali, wydawało się, że już za chwilę odwróci się do góry dnem, jak martwa ryba. Od ostatecznej zguby ratowała ją tylko doskonała szczelność kadłuba. Ani jedna wręga nie ustąpiła pod naporem fal, nie utworzyła się nigdzie najmniejsza nawet szczelina i nawet kropla wody nie mogła się przedostać do środka. Na szczęście, gdyż pompa też była uszkodzona, niezdatna do użytku.

Barkas pląsał w obłędnym tańcu wśród udręki odmętu. Pokład drgał konwulsyjnie, niczym przepona brzuszna przed atakiem wymiotów. Wydawać by się mogło, że usiłuje za wszelką cenę zrzucić ze swej powierzchni rozbitków. A oni, bezsilni, bezwładni, czepiali się olinowania, belek, łańcuchów, lin, połamanych desek burty, choć gwoździe rozdzierały im dłonie, na pół oderwanych listew, wszystkiego, co sterczało i trzymało się jeszcze jako tako wśród zniszczenia. Co pewien czas usiłowali nasłuchiwać. Dźwięk dzwonu słabnął. Rzec by można, że on również kona. Dzwonienie było coraz bardziej głuche, coraz mniej miarowe. Umilkło wreszcie. Gdzież się teraz znajdowali? W jakiej odległości od boi? Poprzednio głos dzwonu przeraził ich, teraz milczenie jego przyprawiało ich o trwogę jeszcze silniejszą. Wiatr północno-zachodni pchał ich po drodze, z której, być może, nie ma już powrotu. Czuli, jak coraz gwałtowniej popędza statek. Martwy kadłub sunął w mroku. Przerażający jest taki ślepy pęd. Przed nimi, za nimi, pod nimi – wszędzie czyhała przepaść. Nie bieg to już był, a spadanie.

Nagle, poprzez kłębiące się tumany śniegu, zabłysł czerwony blask.

– Światło! – zawołali rozbitkowie.

XI. CASQUETY

Była to rzeczywiście latarnia Light-House na Casquetach.

Latarnia morska dziewiętnastego wieku to murowana budowla o kształcie ściętego stożka z umieszczoną na jego szczycie skomplikowaną maszynerią oświetleniową. Latarnia na Casquetach dzisiaj – to potrójna biała wieża, na której ustawiona została potrójna aparatura świetlna. Trzy czasze świetlne obracają się w krąg, poruszane zegarowym mechanizmem z dokładnością tak wielką, że marynarz, co pełni wachtę na płynącym po morzu okręcie, chodząc po pomoście machinalnie odmierza dziesięcioma krokami czas, kiedy czasze płoną, i dwudziestoma pięcioma krokami czas, na który gasną. Wszystko jest najściślej obliczone zarówno w ustawieniu ogniskowej i rzucie światła, jak i w obrocie ośmiobocznego graniastosłupa utworzonego z ośmiu potężnych soczewek przechodzących na krańcach w okrężne pryzmaty. Działający z matematyczną ścisłością mechanizm napędowy zabezpieczony jest od uderzeń czy to morza, czy to wiatru przez szyby na cal grube, które jednak rozbijają czasami orły morskie rzucając się w nie na oślep – olbrzymie ćmy tych gigantycznych świec. Budowla, co ochrania murami swymi ów mechanizm, co służy mu za podstawę i oprawę, jest matematycznie ścisła tak samo jak i on. Wszystko w niej jest surowe, nagie i proste. Latarnia morska – to cyfra.

W siedemnastym stuleciu latarnia morska była czymś na kształt pióropusza zdobiącego ziemię na jej nadmorskiej krawędzi. Architektura jej wieży pełna była ekstrawagancji i przepychu. Przyozdabiano ją szczodrze w balkony, balustrady, wieżyczki, loże, gloriety i chorągiewki. Gdzie okiem rzucić, wszędzie aż się roiło od maszkaronów, posągów, ornamentów roślinnych i wolut, płaskorzeźb, figurek, figurynek i kartuszy z inskrypcjami. *Pax in bello* –

taki na przykład widniał napis na latarni w Eddystone. Dodajmy tu mimochodem, że tej pokojowej deklaracji nie zawsze udawało się rozbroić ocean. Winstanley umieścił taki sam napis na latarni, którą własnym kosztem wystawił w dzikim, niedostępnym miejscu naprzeciwko Płymouth. Po ukończeniu budowy sam zamknął się w wieży, by wypróbować jej odporność podczas burzy. I burza porwała latarnię razem z Winstanleyem. Te przesadne budowle zresztą każdym szczegółem swej konstrukcji ułatwiały nawałnicy dokonywania na nich dzieła zniszczenia; podobnie suto szamerowany mundur generała jest podczas bitwy znakomitym celem dla wroga. Prócz ozdób z kamienia znajdowały się tam zazwyczaj liczne ozdoby z żelaza, miedzi, drzewa; wszystkie zamki były bogato rzeźbione, każda belka ociosana ozdobnie. Ze ścian latarni, poumieszczany wśród arabesek i ozdób, zwieszał się wszędzie najróżnorodniejszego rodzaju sprzęt morski, przydatny i nieprzydatny, części kabestanu, wielokrążki, kluby, części mechanizmu zegarowego, drabiny, szlupbelki, bosaki. Na syczycie, dookoła ogniska, na podstawach wyrobionych w metalu, wznosiły się wielkie żelazne lichtarze, a w nich umieszczano kawałki lin nasycone smołą, knoty, których upartego płomienia żaden wiatr nie mógł zdmuchnąć. Prócz tego jeszcze cała wieża od fundamentów po szczyt przybrana bywała w chorągwie morskie, wimple, bandery, sztandary, proporce, proporczyki, w zbieraninę najrozmaitszych kolorów, kształtów, herbów, znaków, niesforną i pstrokatą, co wznosiła się coraz wyżej, z gzymsu na gzyms, z piętra na piętro, aż do płomiennego kosza na szczycie latarni. Podczas burzy wszystkie te gałgany furkotały uciesznie w świetle ognia. Owa świetlista fanfaronada na samej krawędzi przepaści podobna była do. wyzwania i rozniecała zuchwałą odwagę w rozbitkach. Lecz latarnia na Casquetach była całkiem inna.

Była to w owej epoce stara, prymitywna latarnia morska, wybudowana jeszcze z rozkazu Henryka I po rozbiciu się „Blanche-Nef – zwykły stos płonący na szczycie skały i przykryty koszem z żelaza, żar otoczony kratą, płomień chwiejący się na wietrze.

Jedynym udoskonaleniem, jakie na owej latarni od dwunastego wieku wprowadzono, był potężny miech kowalski, poruszany przez obciążony kamieniami hak, który w roku 1610 przydano do ogniska.

U owych staroświeckich latarni ptaki morskie doświadczały jeszcze tragicznie j szych losów niż u latarni dzisiejszych. Nadlatywały przywabione światłem, rzucały się na oślep i wpadały w płonący żar, trzepocząc się rozpaczliwie wśród ognia, niby czarne duchy konające w piekle; czasami wydobywały się z rozpalonej klatki i padały obok na skałę, dymiące, okulałe, oślepłe, niby owady, co spadają pod lampę, na wpół spalone.

Dla statku nie uszkodzonego, którym sternik może manewrować, latarnia na Casquetach bywa użyteczna. Woła ona: „strzeż się”. Uprzedza o podwodnej rafie. Ale dla statku obezwładnionego przez. burzę jest ona zjawiskiem złowieszczym. Kadłub jego, bezsilny, sparaliżowany, nie potrafi przeciwstawić się dowolności fali, nie może walczyć z naporem wiatru; ta ryba pozbawiona płetw, ten ptak pozbawiony skrzydeł iść może tam tylko, gdzie pędzi go sztorm. Latarnia wskazuje mu miejsce jego ostatecznej zguby, przyświeca jego zagładzie. Dla takiego statku jest ona żałobną gromnicą.

Latarnia na Casquetach oświetla więc rozwierającą się przepaść, ostrzega o tym, czego uniknąć niesposób. Posępna ironia.

XII. STARCIE Z PODWODNĄ RAFĄ

Nieszczęśni rozbitkowie na „Matutinie” zrozumieli aż nadto to szyderstwo. Blask latarni najpierw ich pokrzepił, szybko jednak pojęli, jak rozpaczliwe jest ich położenie. Nic nie można już było uczynić, niczego przedsiębrać. O odmętach morza rzec by należało to samo, co i o królach. Lud im podwładny wydany jest na ich łaskę. Każdy kaprys ścierpieć musi. Wiatr

północno-zachodni gnał barkas prosto na Casquety. Tam szli. Przeciwdziałać temu nie było sposobu. Znosiło ich gwałtownie na skałę. Dno wyczuwać się dało coraz to bliżej; sonda – gdyby ją w tej chwili można było zapuścić – nie wykazałaby więcej nad trzy, cztery sążnie. Rozbitkowie słyszeli, jak fala uderza głucho w podwodne rozpadliny skalne. Już mogli dojrzeć pod latarnią, niby ciemne cięcie pomiędzy dwoma zrębami granitu, wąską szczelinę prowadzącą do straszliwej, niewielkiej, dzikiej zatoki, pełnej ludzkich kości i wraków potopionych statków, jak to odgadnąć można było; Była to gardziel czeluści, nie wejście do portu. Słyszeli już, jak trzeszczy ogień w żelaznym koszu na wysokim stosie, purpura padała blaskiem na burzę potęgując jej dzikość, przy zetknięciu się płomienia i gradu kotłowała się mgła, smugi czarnych chmur i czerwonego dymu walczyły ze sobą jak węże, iskry unosiły się rozdmuchiwane przez wiatr, a płatki śniegu wydawały się uciekać przed ich nagłym atakiem. Skała, początkowo zamglona, rysowała się teraz wyraźnie.

Był to bezładny stos głazów o ostrych, sterczących grzbietach i krawędziach. Brzegi ich podkreślone były przez ogień czerwonym konturem, a po pochyłych ścianach ślizgał się krwawy blask. W miarę zbliżania się statku wypukłości rafy stawały się coraz wyraźniejsze, coraz potężniejsze, coraz bardziej groźne.

Jedna z kobiet, Irlandka, drżącymi palcami przebierała ziarnka różańca.

Zbrakło szypra, zbrakło sternika. Pozostał jeszcze wódz bandy – kapitan statku. Wszyscy Baskowie znają dobrze i góry, i morze. Są oni odważni wobec przepaści i pomysłowi w obliczu katastrofy.

Odległość malała błyskawicznie. Statek znalazł się nagle tak blisko północnego cypla Casquetów, że za krawędzią jego skrył się płomień latarni. Widać było tylko czarną skałę na tle czerwonego blasku. Skała ta, wznosząca się wśród mgły, podobna była do wysokiej, czarno ubranej niewiasty w ognistym czepcu na głowie.

Owa słynna złą sławą skała nosi nazwę Le Biblet. Podpiera ona groźną wysepkę od północy; inny występ skalny, Etacq-aux-Guilmets, podpiera ją od południa.

Wódz spojrzał ku rafie i zawołał:

– Na ochotnika, kto popłynie z rzutką do skały? Czy ktoś z was umie pływać?

Nikt nie odpowiedział.

Nikt na pokładzie nie umiał pływać, nawet marynarze, zjawisko U częste zresztą wśród ludzi morza.

Jeden z grubych bali oburcia chwiał się niemal całkowicie, już oderwany. Wódz schwycił go oburącz i krzyknął:

– Pomóżcie mi!

Wyrwano bal do reszty. Mogli teraz zrobić z nim wszystko. Przedtem służył do ochrony statku, teraz przemienił się w broń zaczepną.

Była to belka wyciosana z rdzenia dębu, dość długa, gruba, mocna. Mogła równie dobrze i posłużyć przy ataku, i stanowić oparcie, mogła być i dźwignią dla ciężarów, i taranem przeciwko murom.

– Baczność! —zawołał wódz.

Stanęli w sześciu, wsparci plecami o pień złamanego masztu, i dźwignęli belkę, wysunęli poza burtę, celując nią niby oszczepem w twarde lędźwie skały.

Był to krok niebezpieczny. Wielkiej odwagi potrzeba, by zadać górze pchnięcie. Wstrząs wywołany uderzeniem mógł ich zepchnąć do wody wszystkich sześciu.

Walka z nawałnicą morską obfituje w takie właśnie oto urozmaicenia. Po sztormie – skała; po wichrze – granit. To masz do czynienia z wrogiem nieuchwytnym, to znów z wrogiem niewzruszonym.

Była to jedna z tych minut, podczas których włos, bieleje na głowie.

Skała i statek zetrzeć się miały ze sobą.

Głaz jest cierpliwy; czekał.

Nadpłynął potężny bałwan. Oczekiwanie skończyło się. Uniósł statek na swym grzbiecie w górę i kołysał nim jeszcze przez chwilę, niby kamieniem w procy.

– Śmiało! – wołał wódz. —To tylko skała, a myśmy ludzie!

Sześciu mężczyzn trzymało belkę w pogotowiu, przywarli do niej, zrośli się z nią w jedną całość. Sterczące z niej kołki darły im ciało, oni jednak nie czuli nic.

Fala rzuciła barkasem o skałę.

Nastąpił wstrząs.

Stało się to pod osłoną spienionej piany, która zazwyczaj przykrywa widok podobnych klęsk.

Kiedy piany opadły, kiedy fala odbiła się od skały – sześciu mężczyzn leżało pokotem na pokładzie, lecz „Matutina" mknęła wzdłuż rafy. Belka wytrzymała, statek odwrócił się burtą. Fala uniosła go w takim pędzie, że w kilka sekund Casquety pozostały daleko w tyle. Tym razem „Matutina" umknęła zagłady.

Zdarzają się czasami podobne wypadki. Uderzenie taranem prosto w skałę ocaliło Wooda de Largo u ujścia rzeki Tay. W okolicy zaś przylądka Winterton, gdzie żegluga tak trudna jest i niebezpieczna, dzięki takiemu to właśnie pchnięciu uratowała się od rozbicia fregata szkocka „Royale-Marie", dowodzona przez Hamiltona. Fala jest siłą, co sama unicestwia się tak nagle, że nieraz przy najbardziej gwałtownych nawet zderzeniach można się uratować. Burza to dzikie zwierzę, huragan to rozjuszony byk, można go jednak wywieść w pole.

Za wszelką cenę przejść z siecznej na styczną – oto i cała tajemnica, jak uniknąć rozbicia.

Taką też właśnie przysługę wyświadczyła statkowi belka. Spełniła rolę wiosła, zastąpiła ster. Lecz ów manewr zbawienny udać się mógł raz jeden tylko; nie można go było powtórzyć. Belka wpadła do morza. Gwałtowność wstrząsu wytrąciła ją z rąk sześciu mężczyzn i wyrzuciła poza burtę. Belka zginęła wśród fal. A innej nie można było wyłamać nie naruszając szczelności kadłuba.

Huragan znów porwał ze sobą „Matutinę". Casquety pozostały w tyle, stały się nic nie znaczącym punktem na widnokręgu. ‘W okazjach podobnych skała morska wygląda jak niepyszna. W przyrodzie, w naturze niezbadanej, tam gdzie widzialne łączy się z niewidzialnym, pojawiają się czasami takie złe, nieprzyjazne, nieruchome kształty, co wydają się oburzać na widok wymykającej się z ich szponów zdobyczy.

Tak też właśnie wydawały się spoglądać Casquety. na uciekającą „Matutinę".

Latarnia oddalała się, gasła.

Gasła posępnie. Coraz grubsza mgła zagrywała, rozpraszała blask. Wilgotne przestworza coraz bardziej rozrzedzały światło. Płomień drgał, walczył, topniał, ginął, podobny do topielca. Ognisty stos stał się drobnym światełkiem, odblaskiem drżącym, bladym, nieokreślonym. Odblask ów rozlewał się coraz to szerszym kręgiem i nikł. Światło zmiażdżone zostało na dnie nocy.

Groźny dzwon umilkł, groźna latarnia zgasła. Lecz choć obie te groźby znikły, zrobiło się straszniej jeszcze. Pierwsza była głosem, druga – płomieniem. Obie miały w sobie cos ludzkiego;

A teraz pozostała już tylko otchłań.

XIII. TWARZĄ W TWARZ Z NOCĄ

Pośród tych mroków nieprzeniknionych barkas Wydany był na łaskę i niełaskę ciemności.

„Matutina", wymknąwszy się Casquetom, przewalała się ż fali na falę. Wytchnienie, lecz wśród chaosu. Wiatr popędzał ją ukośnie, popychały bałwany, miotał nią każdy wybryk oszalałych odmętów. Jej ruch wzdłużnego chybotu ustał już prawie zupełnie. Jest to dla okrętu groźna zapowiedź agonii. Bezwładne kadłuby przewalają się tylko z boku na bok. Kołysanie wzdłużne – to znamię walki. Żeby iść pod wiatr, trzeba posiadać ster.

Podczas burzy, zwłaszcza zaś podczas śnieżnej zamieci, morze I noc łączą się, stapiają w jedną całość, mglistą niby dym. Mgła, wirujący śnieg, wiatr, poślizg we wszystkich kierunkach, żadnego punktu oparcia, żadnego punktu stałego, ani chwili wytchnienia, jeszcze jeden wysiłek jeszcze jeden i jeszcze jeden, nieustannie od nowa, nigdzie widnokręgu, wszędzie dookoła czarne głębiny – a barkas zagubiony pośród nich.

Wydostać się spod Casquetów, wymknąć się podwodnej rafie było to dla rozbitków zwycięstwo nie lada. Ich samych wprawiło w osłupienie. Tym razem nie wołali: hura! – na morzu nie popełnia się dwukrotnie podobnej nierozwagi. Nie wolno rzucać wyzwania tam, gdzie niesposób zarzucić sondę.

Odpychając się od skały dokonali nieprawdopodobieństwa. I sami potem jakby zmienili się w kamień. Powoli, powoli jednakże zaczęli odzyskiwać nadzieję. Nieśmiertelne są złudzenia ludzkiej duszy. W chwilach najstraszliwszej nawet rozpaczy nadzieja świta nagle w jej niezbadanych głębinach. Ci nieszczęśliwcy pragnęli jednego tylko – wmówić w siebie, że są uratowani. Budził się w nich nieśmiały bełkot nadziei.

Nagle ciemności nocy zagęściły się przed nimi. Po prawej stronie statku wyraźnie wyłonił się z mgły kształt wysoki, masywny, o prostych pionach ścian, kanciasta wieża dźwignięta z otchłani.

Patrzyli na nią w osłupieniu.

Wicher gnał ich wprost na to zjawisko.

Nie Wiedzieli, co to było. A była to skała Ortach.

XIV. ORTACH

A więc znowu rafa. Po Casquetach – Ortach. Nawałnica to nie artysta, nie wysila się ona na pomysłowość. Jest brutalna i wszechmocna, a środki, których używa, są nieodmiennie takie same.

Ciemność jest niewyczerpana. Dla jej pułapek i podstępów nie ma granic. A człowiek szybko staje u kresu swoich możliwości działania. Człowiek wyczerpuje się, otchłań – nigdy.

Rozbitkowie spojrzeli na wodza, jedyną ich nadzieję. A on wzruszył tylko ramionami z posępną pogardą bezsilności.

Skała Ortach stoi wśród oceanu niczym kamienny słup. Cała z jednej bryły, sterczy pionowo w górę, wysoka na osiemdziesiąt stóp, ponad falami, co rozbijają się o jej podnóże. Rozbijają się o nią i fale, i okręty. Ten nieruchomy sześcian prostopadle zanurza swoje gładkie boki w rozkołysanych wodach morza.

Nocą podobny jest do ogromnego katowskiego pnia, który by ktoś ustawił na wielkiej płachcie pomiętego, czarnego sukna. Podczas burzy pień ów czeka na uderzenie topora – na uderzenie pioruna.

Ale wśród nawałnicy śnieżnej nie padają pioruny. Statek, to prawda, oczy ma zawiązane; ciemność kładzie się na nich przepaską. Jest przygotowany na śmierć jak skazaniec. Niech się jednak nie spodziewa uderzenia gromu, niech się nie spodziewa tak lekkiego końca.

„Matutina” – bezwładny kadłub unoszony przez fale – szła prosto na tę skałę, jak przed chwilą dopiero na Casquety. Nieszczęśliwych, co już wierzyć zaczynali, że są uratowani, znowu ogarnęła rozpacz. Oto znowu wyrastała przed nimi śmiertelna przeszkoda, a zdawało się, że już wyminęli ją szczęśliwie. Znów rafa wyłoniła się z morza. Znów to samo od nowa.

Casquety – to niby plaster miodu drążony w tysiączne zagłębienia. Ortach – to mur. O Casquety statek roztrzaskuje się w drzazgi, rozbicie się na skale Ortachu – to zmiażdżenie.

A. jednak istniała jeszcze szansa ratunku.

Od skał o ścianach zupełnie gładkich – a taką właśnie skałą był Ortach – fala, podobnie jak i kula, odbija się bez wielokrotnego rykoszetu. Sprawa jest tutaj prosta – uderzenie i odbicie. Fala przypływa i odpływa.

W sytuacjach podobnych zagadnienie śmierć albo życie – tak się oto kształtuje: jeżeli fala doniesie statek do głazu, jest on stracony, zostaje rozbity o skałę; jeżeli jednak fala cofnie się, zanim statek o skałę uderzy – porywa go ze sobą z powrotem i ratuje od rozbicia.

Cóż za niepewność straszliwa! Rozbitkowie widzieli w ciemności, jak olbrzymi bałwan zbliża się ku nim. Dokąd ich doniesie? Jeżeli fala uderzy w statek – zostaną pchnięci na skałę i strzaskani. Jeżeli przejdzie pod statkiem...

Fala przeszła pod statkiem.

Odetchnęli.

Ale jak się odbije? Co uczyni z nimi, wracając?

Powracająca fala odniosła ich od skały.

W kilka minut później „Matutina" znajdowała się już daleko poza wodami otaczającymi rafę. Ortach pozostał za nimi jak przedtem Casquety.

Było to drugie zwycięstwo. Po raz drugi już barkas znalazł się na samym skraju przepaści i zdołał się cofnąć w ostatniej chwili.

XV. PORTENTOSUM MARE

Coraz to bardziej zagęszczała się mgła wokół nieszczęśliwych rozbitków. Nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Rozróżnić cokolwiek mogli na kilka zaledwie kabli dookoła. Choć grad kamienował ich zmuszając wszystkich do pochylenia głowy, kobiety uparły się, że do kajuty nie zejdą. Każdy człowiek woli, by rozbicie się statku zastało go pod otwartym niebem. Kiedy śmierć jest, być może, tak bliska, sufit nad głową wydaje się wiekiem trumny.

Fala stawała się coraz bardziej stroma i coraz krótsza. Skrócenie się fali jest zawsze oznaką wejścia w cieśninę; wśród mgły tylko po kształcie fali poznać można, że statek wpłynął w jakieś wąskie przejście. Rzeczywiście płynęli teraz wzdłuż wybrzeża Alderney, nic o tym nie wiedząc. Morze, pomiędzy Ortachem i Casquetami od zachodu a wybrzeżem Alderney od wschodu, ściśnięte jest, skrępowane, czuje się źle. Stąd też nieustanne wzburzenie wód jego w tym miejscu. I morze również cierpieć potrafi, a gdzie cierpi – tam się gniewa. Cieśnina ta niebezpieczna jest dla okrętów.

Tam to właśnie znalazła się „Matutina".

Wyobraźmy sobie skorupę żółwia umieszczoną pod wodą, a ogromną jak Hyde Park lub Pola Elizejskie. Każda wypukłość tej skorupy jest płyciznę, każda narośl – podwodną skałą. Taki jest przystęp do wybrzeża Alderney od zachodniej strony. Morze przykrywa i ukrywa to groźne narzędzie katastrofy. Poszarpane fale pienią się i skaczą po tej skorupie z podmorskich raf. Podczas ciszy słychać tam nieustanny plusk, podczas burzy panuje tam chaos.

Rozbitkowie pojęli, że pojawia się oto nowa trudność, choć nie wiedzieli jeszcze dokładnie, na czym ona polega. Wreszcie i to zrozumieli w pewnej chwili. Zenit rozjaśnił się nieco, pojaśniało i morze i w owym mętnym blasku ukazał im, się po lewej stronie burty wał poprzecznie zagradzający morze od wschodu. A wiatr pędził prosto na ów wał, popychając statek przed sobą. Ławą tą było Alderney.

Cóż to za ława? Zadrżeli. Byliby jednak zadrżeli stokroć bardziej, gdyby jakiś głos rzekł im: to Alderney. Nie ma chyba wyspy o trudniejszym dostępie dla człowieka, I pod wodą, i ponad wodą bronią jej srogie wojska, których przednią strażą jest Ortach. Od zachodu mamy tu Burhou, Sauteriaux, Anfroque, Niangle, Fond-du-Croc, les Jumelles, la Grosse, la Clanque, les Eguillons, le Vrac, la Fosse-Maliere; od wschodu – Sauquet, Hommeau, Floreau, la Brine-

betais, la Queslingue, Croquelihou, la Fourche, le Saut, Noire Pute, Coupie, Orbue. Czymże są, te wszystkie potwory? Czy to hydry? Tak, z gatunku podwodnych skał.

Jedna z tych raf nosi nazwę Le But – „Kres" – jakby wskazywała, że tutaj kończy się wszelka podróż.

To nagromadzenie skał, złagodzone w swej grozie przez noc i wodę, ukazało się rozbitkom w kształcie ciemnego pasa, czarnej kresy na horyzoncie.

Rozbicie się okrętu to najdoskonalszy wyraz bezsilności. Być w pobliżu lądu i nie móc go osiągnąć, unosić się na wodzie i nie móc płynąć, stać na czymś, co wydaje się silne, a jest tak kruche, w tej samej chwili być i pełnym życia, i pełnym śmierci, być więźniem przestrzeni, zamkniętym pomiędzy niebem i oceanem, mieć ponad sobą nieskończoność za sklepienie lochu, mieć dokoła, bezmierną swobodę przestworzy i fal, a samemu czuć się schwytanym, związanym, obezwładnionym – położenie podobne i oburza, i zdumiewa. Sądzić by można, że to jakiś niedosięgalny przeciwnik natrząsa się ze swej ofiary. Więzi cię to właśnie, co swobodę daje i ptakom, i rybom. Wydaje się to niczym, a jest wszystkim. Człowiek Zależny jest od tego powietrza, którego spokój zakłóca każdym swoim oddechem, zależny jest od tej wody której może nabrać w dłonie. Zaczerpnij szklanką tej burzy, a będzie to tylko odrobina goryczy. Łyk wody morskiej przyprawia o mdłości, wzburzona toń. niesie zagładę. Ziarnko piasku na pustyni, płatek piany na oceanie są zawrotnym objawieniem dla myśli; wszechmoc nie usiłuje wcale ukryć swego atomu, słabość czyni siłą, mocą swoją napełnia nicość; niezmierzona potęga miażdży za pomocą najdrobniejszych elementów. To kroplami wody przecież ocean unicestwia człowieka. Czujesz się jego igraszką.

Igraszka – cóż za przerażające słowo.

„Matutina" znajdowała się nieco powyżej Aldemey, co było dla niej korzystne; fala znosiła ją jednakże w kierunku północnego cypla Wybrzeża, w kierunku zagłady. Wiatr północnozachodni, niby łuk strzałę, wyrzucił statek prosto na ów cypel. Tam to właśnie, nieco poniżej zatoki Corbelets, przepływa prąd, który żeglarze archipelagu normandzkiego „małpą" nazywać zwykli.

..Małpa" ta – *swing* – jest to prąd szalony. Leje, rozsypane w tym miejscu w dnie morskim w kształt długiego różańca, powodują, że na powierzchni wody tworzy się drugi różaniec wirów. Ledwie zdążysz wydostać się ż jednego, już drugi cię Wciąga. Statek schwytany przez ową „małpę" zatacza się od wiru do Wiru, dopóki ostra skała podwodna nie rozpruje jego kadłuba. Wówczas uszkodzony statek zatrzymuje się, rufa jego podnosi się nad powierzchnię morza, a dziób zanurza, wir kończy swe dzieło, rufa też się pogrąża, woda się nad nią zamyka. Płat piany rozlewa się i kołysze na fali i tylko drobne pęcherzyki – ostatnie ślady oddechów ludzkich. które woda tłumi – pojawiają się gdzieniegdzie na wodzie.

Na kanale la Manche napotkać można trzy takie prądy-„małpy", bardzo niebezpieczne. Jeden znajduje się w pobliżu słynnej ławicy piasku Girdler Sands, drugi – koło Jersey, pomiędzy le Pignonnet i przylądkiem Noirmont, trzeci – to właśnie „małpa" Alderney.

Gdyby jakiś obeznany z tym morzem sternik znajdował się na pokładzie „Matutiny", uprzedziłby on rozbitków o nowym niebezpieczeństwie. Sternika takiego zastępował im jednakże instynkt, w sytuacjach ostatecznych ludzie zostają obdarzeni nagle podwójnym zmysłem wzroku. Wzdłuż całego wybrzeża wznosiła się wysoko spieniona piana; rozdmuchiwał ją porywisty Wiatr. To pluła „małpa". Niejedna już barka zginęła w tej zasadzce. Płynęli naprzód, przerażeni coraz bardziej, choć nie widzieli, ku czemu niosła ich fala.

Jak wyminąć ów przylądek? Sposobu na to nie było.

Cypel Aldemey, skalisty, wysoki, wyrastał oto przed nimi jak przedtem i Casquety, i Ortach. Olbrzymy pojawiające się kolejno. Seria przerażających pojedynków.

Scylla i Charybda – to dwie wyspy tylko; Casquriy, Ortach i Alderney – to już trzy.

Znów rafa skalna zaległa widnokrąg. Zjawisko te powtarzało się z imponującą monotonią, do jakiej zdolna jest tylko otchłań. Bitwy z oceanem, jak i bitwy u Homera, tym odznaczają się w swojej wielkości, że zawsze są takie same.

Każda fala, przybliżająca ich do przylądka, powiększała rozmiary jego, i tak już wyolbrzymione przez mgłę. Odległość od skały kurczyła się nieubłaganie. Już prawie dotykali „małpy". Teraz wciągnie ich pierwszy wir, który schwycić ich zdoła. Jeszcze jedno pchnięcie fali i będzie po wszystkim.

Nagle – jakby pchnęło barkas uderzenie pięści olbrzyma. Bałwan stanął dęba pod statkiem i przewrócił się w tył, odrzucając statek w białej grzywie swej piany. „Matutina" odskoczyła od Alderney pod jego nagłym naporem.

Znalazła się oto znowu na otwartym morzu.

Skąd ta nagła pomoc? Była ona dziełem wiatru.

Huragan zmienił swój kierunek.

Przedtem igrała nimi fala, teraz przyszła kolej na wiatr. Sami wydobyli się spod Casquetów; nagłą zmianę swego położenia u brzegów Ortachu zawdzięczali fali; koło Alderney uratował ich wiatr. Skręcił on gwałtownie z północo-zachodu na południowy zachód.

Prąd to wiatr w wodzie; wiatr to prąd w powietrzu; obie te siły nagle starły się ze sobą i kaprys wiatru odebrał prądom morskim ich zdobycz.

Wybryków oceanu przewidzieć niesposób. W każdej chwili wszystko stać się na nim może. Kiedy jest się wydanym na jego łaskę, nie należy żywić przesadnej nadziei i nie należy również tracić jej zbyt pochopnie. Kaprysy morza same unicestwiają własne dzieło. Ocean bawi się. Wszystkie odcienie okrucieństwa drapieżnika odnaleźć można w tej toni, rozległej a podstępnej, którą Jan Bart nazywał „grubym zwierzem". To chwyta nas w swe szpony, to znowu głaszcze aksamitną łapą. Burza czasem od razu rozbija statek, czasem zaś przygotowuje jego katastrofę starannie, powoli; rzec by można prawie, że się nią pieści. Morze ma czas. Wiedzą o tym coś niecoś ci, co umrzeć mają.

Niekiedy, przyznać to trzeba, przerwa w męczarniach jest zapowiedzią wybawienia. Wypadki takie zdarzają się jednak rzadko. Cokolwiek by zresztą stać się miało, skazańcy chętnie wierzą w swe uratowanie, najmniejsze nawet osłabnięcie grozy burzy już im wystarcza, sami siebie utwierdzają w pewności, że znaleźli się poza zagładą; przedtem uważali się za już pogrzebanych, teraz oto zmartwychwstają, gorączkowo chwytają się tego, czego przecież nie posiadają jeszcze, niebezpieczeństwo już im nie grozi, minęło raz na zawsze, to oczywiste, niczego już więcej nie pragną, dziękują Bogu za ocalenie. A nie należy zbytnio się śpieszyć, nie należy zaufać przedwcześnie, przedwcześnie dziękować za dokonany cud. Wiatr południowo-zachodni wkroczył w szalonym młyńcu. Rozbitkowie miewają tylko gburowatych sprzymierzeńców. „Matutina" niby trup wleczony za włosy, została wyszarpnięta gwałtownie na pełne morze za resztki swego ożaglowania. Podobne to było do owych ułaskawień udzielanych przez Tyberiusza za cenę gwałtu. Wiatr brutalnie traktował tych, którym niósł ocalenie. Wyświadczał im swoją usługę z wściekłością. Był to ratunek bez miłosierdzia, Od tych zbawczych szturchańców kadłub roztrzęsiony został do reszty.

Grad, duży i twardy, niby kule z muszkietu, siekł po statku. Za każdym przechyleniem się fali lodowe jego gałki toczyły się po pokładzie. Barkas, wśród przelewania się bałwanów i rozprysków piany, co chwila znikał pod wodą. Każdy z pasażerów statku myślał już tylko o sobie.

Rozbitkowie chwytali się wszystkiego, co się jeszcze tylko na pokładzie znajdowało. Po każdym przewaleniu się fali dziwili się, że się jeszcze razem odnajdują. Wszyscy prawie mieli twarze poranione odpryskami drzewa.

Rozpacz, na szczęście, ma dłonie silne i wytrwałe. Ręce przestraszonego dziecka ściskać potrafią niczym ręce. olbrzyma. Przerażenie w kleszcze zamienia palce kobiet. Strwożona

dziewczyna potrafi wbić swoje różowe paznokcie w żelazo. Trzymali się, czepiali, podpierali. Ale każda fala niosła ze sobą nową grozę, każda fala mogła zmieść ich z pokładu.

Nagle doznali ulgi.

XVI. NAGŁE USPOKOJENIE SIĘ ZAGADKI

Huragan skończył się niespodziewanie. Ustał wszelki wiatr, czy to południowo-, czy to północno-zachodni. Umilkły szalone puzony przestrzeni. Nawałnica znikła z nieba od razu bez żadnego stopniowania, jakby sama stoczyła się w przepaść. Podziała się nie wiadomo gdzie. Po gradzie zaczął powoli padać śnieg.

Fala uspokoiła się. Morze stało się gładkie.

Taki nagły koniec jest znamienny dla śnieżnych burz. Po wyładowaniu się elektrycznego prądu wszystko cichnie, uspokaja się, nawet morze, które po przeminięciu zwykłego sztormu długo jeszcze kołysze się martwą falą. Tu – nie. Wściekłość wód znika bez śladu. Bałwany usypiają nagle, niby utrudzony wyrobnik, co przeczy wprawdzie wszelkim zasadom hydrografii, lecz nie dziwi bynajmniej wytrawnych żeglarzy, wiedzą oni bowiem, że na morzu wszystkiego spodziewać się należy.

Zjawisko to czasami – bardzo jednak rzadko – występuje i po zwykłej burzy. Tak na przykład niedawno temu, podczas pamiętnego huraganu z dwudziestego siódmego lipca 1867 r. w okolicy Jersey wiatr po czternastu godzinach szaleństwa ustał zupełnie nagle i zapanował sztil.

Po kilku minutach już tylko uśpiona toń otaczała barkas dookoła.

A równocześnie – zakończenie bowiem podobne tu bywa do początku – zapadła ciemność nieprzenikniona. Wszystko, co dojrzeć można było wśród kłębienia się chmur-meteorów, teraz zmąciło się, blade sylwetki rozpłynęły się, rozchwiały i cień nieskończoności przysunął się do statku ze wszystkich stron. Ściana nocy, koliste zamknięcie, wnętrze cylindra, którego średnica malała z minuty na minutę, otoczyło „Matutinę" i kurczyło się dokoła niej coraz groźniej, z posępną powolnością zamykającego się atolu. Niebo w zenicie upodobniło się do pokrywy z mgieł. Barkas zdawał się znajdować na samym dnie przepastnej studni.

W studni tej morze było kałużą płynnego ołowiu. Woda nie poruszała się wcale. Posępny był jej bezruch. Ocean wtedy jest najdzikszy, kiedy upodabnia się do stawu.

Wszystko stało się ciszą, uspokojeniem, milczeniem.

Złowieszcze jest milczenie wszechrzeczy.

Ostatnie plaśnięcia fali omywały burtę. Pokład od czasu do czasu tylko przechylał się nieznacznie. Od czasu do czasu trzasnęła nadwątlona belka. Nie kołysała, się już na dziobie rakieta wypełniona płonącymi w smole pakułami, płomienne krople nie kapały w wodę. Bezszelestnie przewiały wśród chmur resztki wiatru. Gęsty, miękki śnieg opadał prawie, pionowo. Fale nie rozbijały się z hukiem o rafy. Zapanował spokój mroków.

Ten odpoczynek po paroksyzmach wstrząsów wydał się nieszczęsnym rozbitkom, tak długo miotanym na wszystkie strony, błogostanem nie do wysłowienia. Oto nie brano ich już więcej na tortury. I powietrze, i woda Zaczynały zgadzać się jak gdyby na ich ocalenie. Odzyskali ufność. Niedawne szaleństwo zamieniło się w niczym nie zmącony spokój. Uznali, że rozejm został już zawarty. Umęczone ich piersi odetchnęły swobodnie. Mogli oto wreszcie wypuścić z dłoni kawałek liny czy deski, którego przytrzymywali się kurczowo, mogli podnieść się, wyprostować, stanąć, ruszać się, chodzić. Cóż za ulga! W życiu człowieka zdarzają się czasami takie chwile – przedsmak raju, przygotowanie do wzruszeń nie z tej ziemi. Jasne się stało, że znaleźli się ostatecznie poza granicą burzy, piany, wichury, wściekłości, że byli już wolni.

Wszystko teraz zaczynało im sprzyjać. Za kilka godzin wstanie dzień, i dostrzeże ich, i zabierze na swój pokład jakiś przepływający statek. Najtrudniejsze znajdowało się już poza nimi. Wracali do życia. Najcięższą przeprawą było przecież utrzymanie się na powierzchni wody przez cały czas trwania nawałnicy. Mówili też sobie: tym razem to już naprawdę koniec.

Aż nagle – spostrzegli, że jest to koniec rzeczywiście.

Jeden z marynarzy, Bask z północy, imieniem Galdeazun, zeszedł do wnętrza statku po linę. Wrócił i tak rzekł:

– Ładownia jest pełna.

– Czego? – zapytał wódz.

– Wody – odpowiedział marynarz.

Wódz krzyknął:

– Co to znaczy?

– Znaczy to – odrzekł Galdeazun – że za pół godziny pójdziemy na dno.

XVII. OSTATNIE PRÓBY RATUNKU

Przy stępce otwarła się szczelina. Tamtędy zaczęła przedostawać się woda. Kiedy się to stało? Nikt odpowiedzieć nie potrafił. Czy przy uderzeniu o Casquety? Czy koło Ortachu? Czy też na rozkołysanych wodach płycizny na zachód od Alderney? Najprawdopodobniej jednak dotknęli się „małpy". Przeszorowali dnem po mieliźnie.

I nawet nie spostrzegli tego wśród straszliwych konwulsji wstrząsających statkiem. Chory na tężec nie czuje ukłucia zastrzyku.

Drugi z marynarzy, Bask z południa, imieniem Ave-Maria, zszedł z kolei do wnętrza, wrócił i rzekł:

– Mamy dwa łokcie wody nad kilem.

– Zatoniemy, zanim upłynie czterdzieści minut – dorzucił.

Którędy przeciekała woda? Tego nie można było sprawdzić, przykryła ona już bowiem szczelinę, przez którą znalazła sobie dostęp do wnętrza ładowni. Barkas miał otwór gdzieś poniżej linii zanurzenia, w części dziobowej kadłuba. Niesposób go znaleźć, niesposób go zatkać. Wiedziano tylko, że gdzieś jest rana, ale opatrzyć jej nie można było. A woda przenikała do środka nieustannie i powoli. Wódz zawołał:

– Będziemy pompować!

– Nie mamy już pompy – odpowiedział Galdeazun.

– Jedźmy do lądu.

– Do lądu? A gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Ja też tego nie wiem.

– Ale przecież ziemia gdzieś być musi.

– Zapewne.

– Niech ktoś poprowadzi! – wołał wódz. – Nie mamy sternika – odrzekł Galdeazun.

– Więc ty schwyć za ster.

– Nawet sterownicy nie ma.

– A więc zróbmy ją z pierwszej lepszej belki. Prędko, gwoździ, młotka, narzędzi!

– Skrzynka z ciesielskimi narzędziami wpadła do morza. Nie mamy już ani gwoździka.

– Sterujmy jednak dokądkolwiek.

– Nie mamy już steru.

– Gdzie szalupa? Wskakiwać do szalupy! Brać się za wiosła!

– Już szalupy nie mamy.

– A więc wiosłujmy na barkasie!

– Nie mamy wioseł.

– To rozwiniemy żagle.

– Nie mamy już ani żagla, ani masztu.

– Zrobimy maszt z drąga, zrobimy żagiel z byle jakiej płachty. Musimy się stąd wydostać. Niech nas prowadzi wiatr.

– Wiatru nie ma.

W istocie, wiatru nie było. Burza poszła sobie precz i to jej odejście właśnie, które za wybawienie uznali, stało się ich zgubą. Gdyby wiatr południowo-zachodni nadal wiał jeszcze, gnałby ich teraz gwałtownie ku jakimś brzegom, w wyścigu z wodą przesączającą się do wnętrza statku, doniósłby ich, być może, do jakiejś przyjaznej, piaszczystej plaży i wyrzucił na nią, zanimby zdążyli zatonąć. Porwani przez burzę dopłynęliby, być może, do ziemi. Ale nie było wiatru, nie było już żadnej nadziei. Ginęli z braku huraganu.

Zbliżała się chwila ostateczna.

Wiatr, grad, burza, wir – są to wszystko zapaśnicy walczący bezładnie, których zwyciężyć przecież można. Czasami udaje się ugodzić burzę przez szczelinę w jej zbroi. Przeciwko gwałtowności, co odsłania się co chwila, co porusza się na ślepo i na ślepo rozdziela ciosy, można znaleźć sposób. Ale z ciszą walczyć nie można. Przeciwnik ten jest nieuchwytny.

Wiatry – to niby szarża kozacka: rozpierzchnie się, jeżeli jej ostro stawisz czoła. Cisza zaś – to katowskie obcęgi.

Woda podnosiła się w ładowni bez pośpiechu, ale też i bez przerwy, ciężka, niepowstrzymana, a kiedy ona szła w górę, statek pogrążał się coraz głębiej w dół. Działo się to bardzo powoli.

Rozbitkowie na „Matutinie" czuli, że oto otwiera się pod nimi najbardziej beznadziejna z katastrof na morzu, katastrofa bezwładu. Serca ich ścisnęła posępna i kamienna pewność, że owładnęło nimi coś nieświadomego, a na co nie ma rady. Powietrze nie drgnęło nawet, nie poruszyło się morze. Bezruch jest nieubłagany. Toń w milczeniu zatapiała ich w swoich głębinach, środek kuli ziemskiej ciągnął ich ku sobie z fatalną siłą poprzez grubą warstwę milczących wód, spokojnie, beznamiętnie, ani nie pragnąc tego, ani nawet nie wiedząc o tym. Wchłaniała ich w siebie spoczywająca groza. Nie była to już rozwarta paszcza odmętów, zła i groźna, której górną szczęką był szalejący wiatr, a dolna – wzburzone morze, nie szczerzyła ku nim swoich zębów nawałnica, bałwany nie pieniły się na ich widok z pożądliwego głodu; teraz czarna nieskończoność rozwierała się pod stopami nieszczęśliwców, jakby po prostu ziewała leniwie. Czuli, jak pogrążają się powoli w spokojną głębię, w śmierć. Krawędź burty coraz to bardziej zbliżała się do powierzchni wody – i to wszystko. Można było wyliczyć dokładnie, w której minucie statek zanurzy się w morzu do reszty. Całkowite przeciwieństwo zalewu spienionej fali. Nie woda podnosiła się ku nim, lecz oni ku niej zstępowali. Sami drążyli swój grób. Grabarzem ich był ich własny ciężar.

Byli oto traceni nie z mocy ludzkich praw, lecz z mocy prawa natury.

Śnieg padał ciągle, a ponieważ rozbity statek nie poruszał się już wcale, płatki przykryły pokład białym całunem.

Wnętrze statku stawało się coraz cięższe. Żeby odprowadzić wodę, nie było sposobu. Nie mieli nawet szufli, którą by mogli ją czerpać, co i tak zresztą byłoby czystym niepodobieństwem, gdyż uniemożliwiał to pokład. Zapalono światła, kilka pochodni, obsadzając je w szczelinach jak się dało. Galdeazun wyszperał gdzieś parę starych skórzanych kubłów. Próbowano wynosić w nich wodę z wnętrza podając je sobie z rąk do rąk; kubły były już jednak nie do użytku: w jednym rozpruła się skóra, inny miał wyrwane dno, woda wyciekała z nich po drodze. Niewspółmierność pomiędzy tym, co dostawali od morza, a tym, co mu oddawali z powrotem, była aż śmieszna. Na tonę wlewającej się do wnętrza statku wody wylewano

szklankę. I nic już lepszego wymyślić nie byli w stanie. Skąpiec w podobny sposób usiłuje wydać milion, grosik po grosiku. Wódz rzekł wreszcie:

– Trzeba odciążyć statek. Balast za burtę!

Podczas burzy te kufry, które znajdowały się na pokładzie przywiązano do resztek złamanego masztu. Rozplatano teraz liny i kufry wrzucone zostały w morze przez wyłom w relingu. Jedna ze skrzyń należała do Baskijki. Biedna kobieta nie mogła powstrzymać westchnienia:

– Ach, mój nowy płaszcz, podbity szkarłatem, o, moje koronkowe pończochy utkane w deseń brzozowej kory! O, moje wisiorki srebrne, w których chodziłam na majowe nabożeństwa.

Pomost uprzątnięto, pozostała jeszcze kajuta. Zawalona była pod sufit. Znajdowały się w niej – jakeśmy to już rzekli – i rzeczy podróżnych, i paki stanowiące własność marynarzy.

– Wyciągnięto skrzynki i węzełki i wyrzucono je przez wyrwę w relingu.

Paki również powędrowały do morza.

Wyprzątnięto kajutę ze wszystkiego. Latarnia, belka drewniana baryłki, worki, cebrzyki, skrzynki z solonym mięsem, kociołek z zupą – wszystko poszło do wody.

Odśrubowano mutry żelaznego piecyka – ogień wygasł w nim już od dawna – oderwano go, wydźwignięto na pomost. I on również strącony został ze statku.

Wrzucono do wody wszystko, co tylko oderwać się dało: obluźnione deski pokładu, belki, potrzaskane resztki osprzętu.

Od czasu do czasu wódz brał pochodnię, przybliżał światło jej do znaków wymalowanych na dziobie barkasu i sprawdzał, ile dzieli ich od zatopienia.

XVIII. OSTATNI AKT RATUNKU

Odciążony statek zanurzał się w wodę, nieco powolniej wprawdzie, lecz stale.

Nic już nie można było zaradzić, niczym złagodzić grozy położenia. Wyczerpano już wszystkie środki.

– Czy jest coś jeszcze, co by można wrzucić w morze?– zawołał wódz.

Doktor, o którym wszyscy zapomnieli, wyłonił się nagle spoza drzwi kajuty i odrzekł:

– Jest.

– Co takiego? – zapytał wódz. A doktor odpowiedział:

– Nasza zbrodnia.

Dreszcz ich przeszedł wszystkich. Zawołali:

– Amen. Doktor stał wyprostowany, pobladły, z ręką wzniesioną ku niebu. Rozkazał:

– Na kolana.

Zaczęli się słaniać. Widać było, że poklękają za chwilę.

A doktor mówił dalej:

– Wrzućmy w morze nasze zbrodnie. Ciążą na nas. To pod ich ciężarem coraz głębiej pogrąża się statek. Przestańmy myśleć o ocaleniu, o zbawienie bowiem zatroszczyć się należy. A najwięcej waży nasza zbrodnia ostatnia, ta, której dokonaliśmy, a raczej: której dokończyliśmy, o, nędznicy, przed niedawną chwilą. Bezbożne to zuchwalstwo wyzywać do walki otchłanie, kiedy ma się poza sobą zamiar zabójstwa. Czyn popełniony przeciw dziecku, to czyn popełniony przeciw Bogu. Musieliśmy wypłynąć, wiem o tym, szliśmy jednak ku pewnej zgubie. Nadciągnęła burza przyzwana przez cień, który czyn nasz rzucił poza siebie. Tak stać się musiało. A zresztą, nie żałujcie niczego. Tam oto, wśród ciemności, niedaleko stąd, znajdują się piaski Vauville i przylądek de la Hougue. To Francja. A my w Hiszpanii tylko mogliśmy znaleźć schronienie. Francja jest dla nas nie mniej od Anglii niebezpieczna. Nasze wybawienie od morza skończyłoby się szubienicą. Nie było innego wyboru: albo śmierć na szubienicy, albo śmierć w odmętach. Bóg zadecydował za nas. Złóżmy mu za to korne dzięki.

Daje on nam grób, który obmywa. Bracia moi, tak stać się musiało. Przypomnijcie sobie, że to my sami właśnie, przed niedawną chwilą, zrobiliśmy wszystko, co było tylko w naszej mocy, by wysłać na tamten świat kogoś, to dziecię, i że może w tej chwili, kiedy tu do was mówię, tam, w górze, ponad naszymi głowami, dusza jego oskarża nas przed sędzią, który widzi wszystko. Nie wolno nam zmarnować tych ostatnich, darowanych chwil. Spróbujmy, o ile jest to jeszcze możliwe, naprawić, na ile jest to w naszej mocy, zło, któreśmy wyrządzili. Jeżeli dziecko nas przeżyje – spróbujmy przyjść mu z pomocą. Jeżeli zmarło, starajmy się, by mogło nam przebaczyć. Zdejmijmy z siebie ciężar tej zbrodni. Ulżyjmy naszym sumieniom. Starajmy się, by dusze nasze nie pogrążyły się wobec Boga, byłoby to bowiem zatonięciem najstraszliwszym. Ciała dla ryb, dusze dla szatanów! Ulitujcie się nad sobą. Na kolana! Żal za grzechy to statek, co nie idzie pod wodę. Wydaje się wam, że nie macie już kompasu? To nieprawda. Pozostała wam jeszcze modlitwa.

Wilki zamieniły się w baranki. Przeobrażenia podobne zdarzają się w chwilach rozpaczy i trwogi. I tygrysy nawet potrafią lizać stopy krucyfiksu. Kiedy uchyla się ciemna furta – trudno jest wierzyć, lecz nie wierzyć – niesposób. Jakkolwiek niedoskonałe byłyby próby nadania kształtu religii przez człowieka, jakkolwiek nieporadna i naiwna byłaby to wiara, a i wtedy nawet, kiedy zarysy dogmatu nie zgadzają się zupełnie z rzeczywistym obliczem wieczności, które ukazywać się zaczyna – w ostatniej chwili przed zgonem dusza doznaje wstrząsu. Rozpoczyna się coś, co jest rodem nie z tej ziemi. Pewność ta przygniata konających.

Agonia – to chwila, w której trzeba wyrównać długi. W owej minucie ostatniej jasne się staje, jak wszechprzenikająca jest odpowiedzialność. To, co było, zaciąży na tym, co będzie. Przeszłość powraca i wkracza w przyszłość. Znane staje się otchłanią taką samą, jaką jest nieznane, i mieszają się ze sobą echa tych dwu przepaści – tej, w której znajdują się nasze winy, i tej, co wypełniona jest oczekiwaniem. Połączenie się tych dwu bezdennych głębin przerażeniem napawa konającego.

Dokonali już ostatniego wysiłku nadziei, spełnili ostatni akt rozpaczliwej walki o życie. Teraz zwracali się w drugą stronę. Ratunek nadejść mógł już tylko stamtąd, z nieznanego mroku. Zrozumieli. Posępne to było olśnienie i ogarnęło ich też natychmiast przerażenie jeszcze potężniejsze. To, co człowiek nagle uświadamia sobie w chwili konania, podobne jest do ujrzenia świata w świetle błyskawicy. Wszystko – a potem nic. Widzi się – i oto już nic się nie widzi... Po śmierci oczy przejrzą znowu, i to, co było tylko błyskawicą, słońcem się stanie.

Rzucili się ku doktorowi wołając:

– Ty! Ty! Mamy już tylko ciebie! Będziemy ci posłuszni. Co trzeba uczynić? Mów!

Doktor rzekł:

– Trzeba przekroczyć nieznaną przepaść i dosięgnąć drugiej krawędzi życia, tej, co się znajduje poza grobem. Z was wszystkich ja wiem i umiem najwięcej, dlatego też mnie grozi największa kara. Słusznie czynicie, że temu, co dźwiga najcięższe brzemię, pozostawiacie wybór kładki, po której przejść należy.

Dodał jeszcze:

– Wiedza ciąży na sumieniu. Po czym tak rzekł:

– Ile nam czasu pozostaje? Galdeazun spojrzał na skalę i odpowiedział:

– Nieco więcej niż minut piętnaście.

– Dobrze – odparł doktor.

Niski daszek kajuty, o który opierał się ręką, tworzył rodzaj stołu. Starzec wyjął z kieszeni przybory do pisania i portfel, a z portfelu wyciągnął pergamin, ten sam, na którego odwrocie parę godzin temu nakreślił drobnym, zwięzłym pismem kilkanaście wierszy.

– Światła! – zawołał.

Śnieg gęsty, niczym piana u wodospadu, pogasił po kolei pochodnie. Paliła się jeszcze tylko jedna. Ave-Maria wziął ją do ręki i stanął obok doktora.

A doktor wsunął portfel z powrotem do kieszeni, postawił na daszku kajuty kałamarz i pióro i rozłożył pergamin.

– Słuchajcie!

I oto na środku morza, na tej tratwie coraz to bliższej wody, na tej drżącej desce grobowej doktor odczytywać zaczął pergamin. Wydawało się, że słuchają go ciemności. Nieszczęśni skazańcy stojący dokoła pochylili głowy. W blasku pochodni widać było, jak bardzo są bladzi. Słowa odczytywane przez doktora napisane zostały po angielsku. Chwilami, kiedy jakieś spojrzenie żałosne wydawało się prosić o wyjaśnienie, doktor przerywał i powtarzał dany ustęp bądź to po francusku, bądź to po hiszpańsku, bądź to po baskijsku, bądź to po włosku. Słychać było stłumione szlochania i głuchy odgłos bicia się w piersi. Statek pogrążał się w wodzie coraz głębiej.

Dokończywszy czytania, doktor rozłożył płasko pergamin na daszku kajuty, ujął za pióro i – na białym brzegu kartki, pod nakreślonymi jego własną ręką wierszami, podpisał się: „Doctor Gerhardus Geestemunde".

Następnie zwracając się do towarzyszy, rzekł:

– Zbliżcie się i podpisujcie.

Pierwsza podeszła Baskijka, wzięła pióro i napisała: „Asuncion".

Po czym podała pióro Irlandce. Ta nie umiała pisać, położyła więc tylko znak krzyża.

Obok krzyżyka tego doktor napisał:

„Barbara Fermoy, z wyspy Tyrryf, w Ebudes".

I oddał pióro przywódcy gromady.

Ten podpisał: „Gaizdorra".

Genueńczyk skreślił tuż pod spodem: „Giangirate."

Po nim Langwedokczyk: „Jakub Quatourze, zwany Narbończykiem". Po nim Prowansalczyk: „Łukasz Piotr Capgaroupe, galernik z Mahon". Pod podpisami tymi umieścił, doktor następującą notatkę:

– Spomiędzy trzech ludzi, stanowiących załogę statku, szyper porwany został przez falę podczas burzy. Pozostało ich dwóch i ci własnoręcznie podpisali.

Pod tą notatką obydwaj majtkowie, położyli swoje nazwiska. Bask z północy podpisał się: „Galdeazun". Bask z południa – „Ave-Maria, złodziej".

A wtedy znów odezwał się doktor:

– Capgaroupe!

– Jest! – krzyknął Prowansalczyk.

– Czy masz flaszę Hardquanona?

– Mam.

– Daj mi ją.

Capgaroupe wychylił ostatni łyk wódki i podał doktorowi flaszę.

Wewnątrz statku zbierało się coraz więcej wody. Barkas zanurzał się coraz głębiej. Na pochylony skraj pokładu nasuwała się już wąska klinga fali – pas wody, który stawał się coraz szerszy.

Wszyscy skupili się przy nadbudówce, w najwyższym punkcie pokładu.

Doktor osuszył atrament podpisów przy ogniu pochodni, złożył pergamin jak najciaśniej, tak by przejść mógł przez szyję, i wsunął go do wnętrza flaszki. Zawołał:

– Daj mi korek!

– Nie wiem, gdzie się podział – odrzekł Capgaroupe.

– Oto kawałek liny – powiedział Jakub Quatourze.

Doktor zatkał flaszę skrawkiem liny i rzekł: – A teraz dajcie smoły.

Galdeazun poszedł na dziób statku, garścią pakuł zdusił ogień palący się w łusce rakiety, odczepił ją z dziobnicy i przyniósł doktorowi. Rakieta napełniona była do połowy wrzącą jeszcze smołą.

Doktor zanurzył na chwilę w smole szyjkę flaszy. Butla zawierająca podpisany przez nich wszystkich pergamin została więc zakorkowana i zapieczętowana smołą.

– I to już koniec – rzekł doktor.

Z ust rozbitków wydobywać się zaczęły wielojęzyczne, ponure, katakumbowe wołania:

– Niech się tak stanie.

– *Mea culpa.*

– *Asi sea* [8].

– *Aro raï* [9].

– Amen.

Sądziłbyś, że oto rozpierzchają się w ciemności posępne głosy wieży Babel, odtrącone przez niebiosa, które wysłuchać ich nie chcą.

Doktor odwrócił się od swoich towarzyszy zbrodni i klęski i postąpił ku burcie kroków parę. Stanął na samej krawędzi statku; spojrzał przed siebie i głębokim głosem zapytał:

– *Bist du bei mir?* [10]

Rozmawiał zapewne z jakimś widmem.

Statek zanurzał się nieustannie.

Wszyscy pogrążyli się w rozmyślaniach. Modlitwa – to ogromna siła. Pochylili głowy, a raczej zgięli się wpół. Skrucha ich była po części mimowolna. Jak żagiel zwisa bezwładnie, kiedy nie stanie wiatru, tak oni korzyli się; każdy z nich, każdy z tej garstki straceńców załamujących ręce i pochylających czoła przybrał postawę wyrażającą ostateczne przygnębienie i rozpaczliwą wiarę w łaskę boską. Aż wreszcie na ich zbrodnicze twarze padł jakiś nieokreślony, a nakazujący szacunek blask, co szedł skądsiś, z niezbadanych przepaści.

Doktor znów znalazł się wśród nich. Jakąkolwiek być mogła przeszłość tego starca, teraz, w obliczu ostatecznego końca, potrafił on zdobyć się na prawdziwą wielkość. Otaczający ich ogrom, pełen tajemniczości i niedomówienia, przejmował go nie mącąc w nim świadomości. Człowiek ten nie został zaskoczony niespodzianie. Potrafił zachować spokój w tej groźnej chwili. Twarz jego – twarz człowieka pogodzonego z Bogiem – pełna była majestatu.

Złoczyńca ów, sędziwy, zamyślony, podobny był do kapłana, choć sam nie wiedział nawet o tym. Powiedział:

– Uważajcie.

Zapatrzył się na chwilę w przestrzeń i dodał:

– Teraz umrzemy.

Potem wziął pochodnię z rąk Ave-Marii i potrząsnął nią w górze. Iskry posypały się w ciemności nocy. A doktor rzucił pochodnię do morza. Zgasła. Zgasło wszelkie światło. Pozostała już tylko ciemność, niezmierzona, nieznana. Jakby zatrzasło się wieko trumny. Z zapadłej nagle pomroki odezwał się głos doktora:

– Módlmy się.

Uklękli, już nie na śniegu, lecz w wodzie.

Pozostało im tylko kilka minut.

Doktor stał. Białe płatki, zatrzymując się na jego postaci, obsypały go jaśniejącymi łzami i uczyniły widocznym w ciemności. Podobny stał się do posągu przemawiającego z głębi mroku.

Uczynił znak krzyża i podniósł nieco głos, a tymczasem pod stopami jego pokład drgać zaczął ledwie dostrzegalnie. Był to znak, że statek już za chwilę zatonie. A doktor mówił:

– *Pater noster, qui es in coelis.*

Prowansalczyk powtórzył po francusku;

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie.

---

[8] Nie się tak stanie.

[9] Bądź wola twoja (dialekt romański).

[10] Czy jesteś przy mnie?

Teraz przemówiła Irlandka w narzeczu walijskim, zrozumiałym Baskijce:

– *Ar nathair ata ar neamh.*

Doktor mówił dalej:

– *Sanctificetur nomen tuum.*

– Święć się imię twoje – powtórzył Prowansalczyk.

– *Naomhthar hainm* – powtórzyła Irlandka.

– *Adveniat regnum tuum* – ciągnął dalej doktor.

– Przyjdź królestwo twoje – powtórzył Prowansalczyk.

– *Tigeadh do rioghachd* – powtórzyła Irlandka. Woda sięgała już klęczącym po ramiona. Doktor mówił dalej:

– *Fiat voluntas tua.*

– Bądź wola twoja – wyszeptał Prowansalczyk.

A Irlandka i Baskijka krzyknęły:

– *Deuntar do thoil ar an Hhalamb!*

– *Sicut in coelo, et in terra* – rzekł doktor.

Nikt mu nie odpowiedział.

Spojrzał w dół. Wszystkie głowy znajdowały się już pod wodą. Nie podniosła się ani jedna. Zatonęli na klęczkach.

Doktor ujął prawą dłonią flaszę, którą postawił był na daszku kajuty, i podniósł do góry.

Statek tonął.

Doktor, szepcząc do końca modlitwę, zanurzał się w wodzie coraz głębiej.

Przez chwilę jeszcze piersi jego znajdowały ssę ponad powierzchnią morza, potem już tylko głowa, aż wreszcie – już tylko ręka trzymająca flaszę, jakby pokazać ją chciała nieskończoności.

Ręka ta też znikła w końcu. Głębia morska zafalowała lekko, nie więcej niż oliwa w kadzi. Śnieg ciągle padał.

Przedmiot jakiś wypłynął na wierzch i kołysał się w ciemności na fali. Była to butla zalana smołą, opleciona łoziną.

K S I Ę GA TRZECIA

DZIECKO W CIEMNOŚCI

I. CHESS-HILL

Na lądzie szalała burza równie potężna co i na morzu.

Rozpętała się ona wokół porzuconego dziecka z równą wściekłością i siłą. Bezbronna słabość musi radzić sobie, jak potrafi, z bezwiedną zajadłością ślepego żywiołu; ciemność o nic nie pyta; a przyroda nie odznacza się bynajmniej łaskawością, którą przypisywać jej zwykliśmy tak chętnie.

Na lądzie wiatr był słaby; zimno wydawało się jakby nieruchome. Grad nie padał. Sypał natomiast śnieg niepokojąco gęsty.

Grad bije, siecze, dręczy, ogłusza, miażdży; lecz groźniejsze są płatki śniegu. Miękkie, a bezlitosne, cicho dokonują one swego dzieła. Jeżeli ich dotknąć – topnieją. Jakże czysty i biały jest śnieg, ten niewinny świętoszek! Nawarstwiając tak powoli swoją czystą białość płatek śniegu przerasta w lawinę, jak oszust – w zbrodniarza.

Dziecko szło ciągle naprzód wśród mgły. Mgła – to przeszkoda miękka i dlatego właśnie niebezpieczna; ustępuje, a trwa; mgła jest równie zdradliwa jak śnieg. Chłopczyk z rozrzewniającą odwagą pokonywał te wszystkie trudności. Dotarł wreszcie na sam, dół zbocza i wyszedł na Chess-Hill. Nie wiedział nawet, że znalazł się oto na półwyspie oblanym z obu stron oceanem, że jeżeli zbłądzi wśród tego śniegu, ciemności i mgły, jeżeli straci kierunek, to zboczywszy w prawo stoczyć się musi w głębokie wody zatoki, zboczywszy w lewo – w spienione fale otwartego morza. Nieświadomy niebezpieczeństwa, szedł pomiędzy dwiema przepaściami.

Półwysep Portlandzki w epoce owej był szczególnie nieprzystępny i stromy. Wygląd jego zmienił się dzisiaj całkowicie. Odkąd rozpoczęto wydobywać tutaj kamień, którego używa się do fabrykacji rzymskiego cementu, skały uległy przekształceniu, zniszczona została ich pierwotna dzikość. I dzisiaj jeszcze oglądać tam można twardy wapień i łupek sterczące, niby zęby w szczęce, ze złóż zlepieńca; oskardy rozwaliły już i ścięły jednakże wszystkie te szczyty najeżone i chropowate, których czepiały się sępy. Nie ma już wierzchołków, na których odbywały się spotkania drapieżnych mew. Ptaki te, niczym zawistni zazdrośnicy, zanieczyszczać lubią to, co najwyższe. Na próżno szukałbyś wysokiego monolitu Godolphin, które to słowo znaczy w narzeczu walijskim: „biały orzeł”. Latem można zerwać jeszcze na tych gruntach przekopanych, podziurawionych, niczym gąbka, i rozmaryn i aromatyczną miętę, i dziki józefek, i koper morski, którego napar jest lekarstwem na serce, i trawę, co rośnie kłębami na piasku i zdatna jest do wyplatania mat; nie znajdziesz tam już jednak ani szarej ambry, ani czarnej cyny, ani też kolorowych, do łupków podobnych kamyków zielonych, błękitnych i czerwonych jak szałwia. Lisy, borsuki, wydry i kuny wyprowadziły się stąd już dawno;

na urwiskach Portlandu, podobnie jak i na Przylądku Kornwalijskim, żyły niegdyś kozice; dziś już ich nie ma. W niektórych zatokach można tu jeszcze ułowić flądrę, lecz łososie, wypłoszone raz na zawsze, nie płyną już w górę rzeki Wey, by składać ikrę pomiędzy Saint-Michel i La Noel. Nie spotyka się tutaj więcej, jak za czasów królowej Elżbiety, owych starych, nieznanych ptaków, ogromnych jak krogulce, co rozłupywały jabłka na dwie połowy i wyjadały z nich tylko pestki. Nie ujrzysz już tu również owych wron o żółtych dziobach, zwanych *cornish chough* po angielsku, a *pyrrocarax* po łacinie, niezwykle złośliwych, co rzucały zapalony chrust na słomiane dachy. Nie spotkasz czarnoksięskiego ptaka *fulmar,* co niegdyś przybył tutaj ze Szkockiego Archipelagu. Z dzioba ptaka tego kapała oliwa, którą w lampkach swoich palili mieszkańcy półwyspu. Wieczorami, wśród wód odpływu, nie pluska się starożytna, legendarna foka o racicach wieprza i głosie cielaka. Przypływ nie wyrzuca już więcej na te piaski wąsatych otarli o zwiniętych uszkach i spiczastych zębach, co czołgają się na łapach pozbawionych paznokci. Na tym Portlandzie, zmienionym dzisiaj nie do poznania, nigdy nie było słowików, nie rosną tam bowiem lasy, a sokoły, łabędzie i gęsi morskie odleciały na zawsze. Barany portlandzkie są obecnie tłuste i wełnę mają miękką; nieliczne owce, co pasły się dwieście lat temu na tych słonych pastwiskach, były drobne, mięso miały łykowate, a runo zbite w kłaki, jak to zwykle bywało w owych stadach celtyckich, pilnowanych przez pasterzy, co jedli czosnek, żyli po sto lat i z odległości pół mili przebijali pancerze długimi na łokieć strzałami. Jałowa ziemia daje szorstką wełnę. Dzisiejszy Chess-Hill w niczym nie jest podobny do dawniejszego, tak gruntownie zmieniony został przez człowieka i przez wściekłe wiatry z Scilly, co potrafią rozkruszyć nawet kamień.

Dzisiaj na tym wysuniętym języczku ziemi znajduje się nawet kolej żelazna, prowadząca do Chesilton – ślicznej szachownicy nowych domków, jest tu również i stacja kolejowa, Portland-Station. Wagony toczą się tam, gdzie niegdyś czołgały się foki.

Dwieście lat temu Półwysep Portlandzki był to niby usypany z piasku grzbiet osła ze szczotką skał sterczącą wzdłuż kręgosłupa.

Teraz groziło dziecku inne z kolei niebezpieczeństwo. Schodząc ze zbocza mogło spaść na dół; tutaj czyhały na nie rozpadliny. Tam strzec się musiało przepaści, tutaj – trzęsawiska. Na brzegu morza pułapką jest wszystko. Skała jest śliska, piaszczyste wybrzeże – ruchome. Każdy uchwyt, każde oparcie to zasadzka. Kroki stawia się jak po szklanej szybie. W każdej chwili wszystko pod człowiekiem pęknąć może. A w szczelinie takiej przepada się już na zawsze. Ocean posiada wiele wewnętrznych kondygnacji, niczym scena dobrze urządzonego teatru.

Trudno dostępne są długie grzbiety z granitu, o które z dwu stron opierają się pochyłe stoki półwyspu. Nie łatwo odnaleźć tutaj jakieś przejście. I od oceanu, i od skały niech się człowiek nie spodziewa gościnności; morze uznaje tylko ryby i ptaki. A półwyspy bywają szczególnie najeżone i nagie. Fala, co z dwu stron podmywa je i kruszy, rzeźbi je w kształt najprostszy. Wszędzie tylko sterczące szczyty, załomy, ostre krawędzie, przerażające strzępy kamienne, rozpadliny, podobne do rozchylonej szczęki rekina o wielu rzędach zębów, śliskie spadki z wilgotnego mchu, gwałtowne urwiska skalne wpadające prostopadle w piany fal. Ktokolwiek przechodzić będzie przez półwysep, na każdym kroku napotka bezkształtne głazy, wielkie jak domy, podobne do goleni, łopatek, piszczeli, całą ohydną anatomię okaleczonych skał. Nie na darmo te pręgi ciągnące się wzdłuż krawędzi morza nazwali Francuzi *les côtes* – żebra, jak u człowieka. Z tym bezładnym nagromadzeniem przeróżnych szczątków wędrowiec musi radzić sobie, jak potrafi. Przedzieranie się przez kości olbrzymiego jakiegoś szkieletu – tak to mniej więcej trud ten wygląda.

A teraz wyobraźmy sobie dziecko, co spełniać musi tę pracę na miarę Herkulesa.

Przychodziłoby mu z pomocą światło dnia – a była noc; niesposób poradzić sobie bez przewodnika – a dziecko było samotne. Siła dorosłego mężczyzny to w tych warunkach jesz-

cze nie dosyć, a ono było małe i słabe. W braku przewodnika poprowadzić by mogła ścieżka. Ale nie było żadnej ścieżki.

Chłopaczek instynktownie wymijał spiczaste spiętrzenia skalne, starał się iść po płaskim brzegu. Ale tutaj mógł z kolei natknąć się na inne pułapki. Pułapki potrójnego rodzaju: mógł wpaść i w dół pełen wody, i w zaspę śnieżną, mógł również natknąć się na ruchome piaski. A ruchome piaski są najgroźniejsze. Grzęźnie się w nich bez ratunku.

Świadomość tego, co nam grozić może, jest zatrważająca, to prawda, lecz o wiele gorsza jest nieświadomość. Dziecko walczyło z nieznanymi niebezpieczeństwami. Poruszało się po omacku wśród czegoś, co, być może, grobem było.

Malec nie zawahał się jednak ani przez chwilę. Obchodził skały, i unikał rozpadlin, zdawał się odgadywać zasadzki, szedł stale naprzód, po linii zygzakowatej, zawiłej, wymijając przeszkody. Nie mógł iść prosto, ale stąpał śmiało.

Potrafił bez wahania cofnąć się w razie potrzeby. Potrafił w porę wyrwać się z grząskich, podstępnych lejów ruchomych piasków. Otrząsał się ze śniegu. Niejeden raz brnął po kolana w wodzie, A kiedy wychodził z niej – mokre łachmany zamarzały natychmiast na ostrym nocnym zimnie. Szedł szybko w tej swojej zesztywniałej odzieży. Miał jednak na tyle przezorności, że potrafił ustrzec jakoś od zamoknięcia ciepłą marynarską bluzę. A głód dokuczał mu coraz bardziej.

Nie ma kresu przygodom w otchłani; możliwe jest tutaj wszystko, nawet i ocalenie. Wyjście jest niewidoczne, można jednak na nie natrafić. W jaki sposób to dziecko wśród tamujących oddech wirów śnieżycy, zagubione na wąskiej grobli, pomiędzy dwiema, przepaściami, nic nie widząc dokoła potrafiło jednak przejść przez cały półwysep – tego ono sarno nawet wytłumaczyć nie byłoby w stanie. Malec wdrapywał się, poślizgiwał, staczał, szukał i wytrwale szedł naprzód – i to już wszystko. Taka jest tajemnica wszelkiego zwycięstwa. Po upływie niespełna godziny poczuł, że teren zaczyna podnosić się coraz wyżej. Przedostał się więc na drugą stronę, przebrnął przez Chess-Hill, znajdował się już na stałym lądzie.

Most, który dzisiaj łączy Sandford-Cas z Small-mouth-Sand, w owym czasie nie istniał jeszcze. Dziecko prawdopodobnie dotarło szczęśliwie do piaszczystego klinu położonego naprzeciwko Wyke-Regis, naturalnego traktu, co przecinał w poprzek East-Fleet. Z półwyspu wydostało się więc obronną ręką, a teraz stanęło twarzą w twarz z burzą, z zimą, z nocą.

Znów, jak okiem sięgnąć w mroku, roztaczał się przed nim ponury bezkres równiny.

Malec uważnie przypatrywał się ziemi szukając ścieżki.

Nagle schylił się.

Zauważył na śniegu coś, co podobne było do śladu.

I był to ślad rzeczywiście. Ślad ludzkiej stopy. Rysował się wyraźnie na miękkiej bieli. Chłopiec obejrzał go dokładniej. Był to ślad bosej stopy, mniejszej niż męska, większej niż dziecinna.

A więc zapewne ślad stopy kobiecej.

Dalej widać było następny, za nim znów następny; ślady rozsypane były jeden za drugim, na odległość kroku i prowadziły w głąb równiny, nieco w prawo. Były jeszcze świeże, z lekka tylko przyprószone śniegiem. Jakaś kobieta musiała przechodzić tędy przed niedawnym czasem.

Kobieta ta poszła w tę samą stronę, w której dziecko widziało dymy.

Malec, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, powędrował za tym śladem.

II. SCENA W ŚNIEGU

Szedł tak przez czas pewien. Na nieszczęście ślady stawały się coraz mniej wyraźne. Padał śnieg gęsty, uporczywy. W tej samej chwili właśnie barkas dogorywał pod śnieżycą na otwartym morzu. Dla dziecka, nie mniej niż statek prześladowanego przez los, tylko na inny sposób, jedyną wskazówką w niezbadanych ciemnościach, co przesłaniały wszystko, były te ślady stóp wyciśnięte na śniegu. Trzymał się ich też niczym nitki w labiryncie.

Nagle – czy dlatego że zasypał je śnieg, czy też może z innej jakiejś przyczyny – ślady znikły. Równina dookoła znowu gładka była, płaska, najdrobniejszej na niej nawet plamki, najmniejszego znaku. Jednolita biała materia przykrywała ziemię, jednolita czarna materia przykrywała niebo.

Kobieta, która szła tędy, chyba frunęła w powietrze. Dziecko, już u kresu sił, pochylało się, szukało. Na próżno. W pewnej chwili, kiedy podniosło głowę, wydało mu się nagle, że coś słyszy, coś niewyraźnego, coś zbliżonego do głosu, do oddechu, może do cienia. Był to szmer jakiś, ludzki raczej niż zwierzęcy, zagrobowy raczej niż żywy. Był to szmer, ale szmer ze snu. Nic nie było widać dookoła.

Przed chłopcem roztaczała się pustka, sina, naga.

Słuchał. Dźwięk, który wydało mu się przez chwilę, że słyszy, zginął. Był on, być może, przywidzeniem tylko. Znów słuchał, lecz wszystko było ciszą.

A więc usłyszał tylko głos majaka wśród mgły. Chłopiec poszedł dalej.

Poszedł przed siebie; znikły ślady stóp, które prowadziły go do tej chwili.

Ledwie jednak uszedł kroków kilka – znów odezwał się ów dźwięk. Tym razem nie mogło już być wątpliwości. Był to jęk, prawie łkanie.

Odwrócił się, rozejrzał. Nie dostrzegł niczego jednakże.

Dźwięk odezwał się znowu. Jeżeli potrafią krzyczeć świetlne kręgi, to krzyk ich tak właśnie brzmieć musi.

Głos ten był przejmujący, przenikliwy, jak nic na świecie i niewymownie słaby równocześnie. Gdyż był to głos. Głos istoty posiadającej duszę. Biło w nim żywe serce. Było to jak gdyby wołanie cierpienia, co samo nie wie nawet, że jest cierpieniem i że woła. Głos ten – może pierwszy krzyk, może jęk ostatni – pozostawał w takim samym stosunku do rzężenia, którym zamyka się życie, co i do kwilenia, które je otwiera. Oddychał, dławił się, łkał. Nabrzmiały skargą i niewidzialny.

Chłopiec rozglądał się z najwyższą uwagą, szukał wszędzie, blisko, daleko, na dole, w górze. Nikogo nie było. Ani niczego.

Zaczął więc nasłuchiwać. Głos odezwał się znowu, słyszał go wyraźnie. Podobny był odrobinę do beczenia jagnięcia.

Lęk zdjął chłopca, nagle zapragnął uciec.

A jęk załkał znów. Już po raz czwarty. Jakże wątły był i żałosny. Można się było domyślić, że po tym ostatnim wysiłku, wysiłku instynktu raczej niż woli, umilknie już na zawsze zapewne. Była to ostatnia przedzgonna prośba o ratunek, odwołująca się nieświadomie do tej odrobiny pomocy, co bytuje kędyś w przestrzeni; był to błagalny jęk konania, zwrócony do a nuż istniejącej opatrzności. Chłopiec poszedł w stronę, z której się ów głos odzywał.

Nadal nic widać nie było.

Szedł rozglądając się uważnie.

Skarga brzmiała nieustannie. Nieokreślona przedtem, zmącona, niepewna, teraz stała się wyraźna i głośna, dźwięczna. Głos ten Odzywał się tuż, gdzieś bardzo blisko. Ale gdzie?

Ktoś skarżył się w pobliżu. Skarga ta drżała w powietrzu obok chłopca. Jęk ludzki unosił się niewidocznie w przestrzeni – oto, co napotkał wreszcie. Tak mu się przynajmniej zdawało, takie odczuwał wrażenie, nieokreślone jak gęsta mgła, wśród której się błąkał.

Kiedy tak wahał się pomiędzy instynktowną chęcią ucieczki i podszeptem jakimś, co nakazywał mu pozostać – dostrzegł pod śniegiem, o kilka kroków dalej, wzniesienie wielkości ludzkiego ciała, niewielki, niewysoki pagórek, podłużny, wąski, podobny do kopczyka, który by usypano na grobie na jakimś białym cmentarzu.

A głos właśnie znowu zajęczał.

Stamtąd odzywał się, spod tego usypiska.

Dziecko przykucnęło obok i zaczęło rozgrzebywać pagórek obydwiema rękami.

Spod rozgarnianego śniegu wydobywał się kształt jakiś, wreszcie ukazała się twarz, bardzo blada.

Nie ona to jednak krzyczała. Oczy miała zamknięte, a usta, choć otwarte, pełne były śniegu.

Była nieruchoma. Nie drgnęła pod dotknięciem ręki dziecka. A dzieckiem, choć palce jego skostniałe były z zimna, wstrząsnął dreszcz przejmujący przy dotknięciu tej lodowatej twarzy. Była to głowa kobiety. Rozsypane włosy zmieszały się że śniegiem. Kobieta ta nie żyła.

Dziecko dalej rozgrzebywało śnieg. Wkrótce ukazała się szyja zmarłej, potem piersi prześwitujące nagim ciałem przez podarte łachmany.

Nagle chłopiec poczuł, że coś drgnęło słabo. Coś niewielkiego poruszyło się pod śnieżną zaspą. Rozgarniał więc śnieg jeszcze skwapliwiej, aż odnalazł wreszcie niemowlę, nędzne, chude, zsiniałe z zimna, lecz żywe jeszcze. Było nagie i tuliło się do nagiej piersi umarłej.

Była to dziewczynka.

Szamocąc się wśród zaspy wykopała się z nędznych, zbyt skąpych łachmanów, którymi była owinięta. Jej biedne, chude ciałko roztopiło nieco swym ciepłem śnieg pod nią, jej oddech – śnieg ponad nią. Doświadczona piastunka dałaby jej pięć, sześć miesięcy, lecz naprawdę mogła mieć już nawet i rok, dzieci nędzy bowiem bywają zadrobniałe żałośnie, zahamowane w rozwoju, jakże często rachityczne. Kiedy twarzyczka jej wyjrzała wreszcie spod śniegu, dziewczynka zaniosła się znów rozpaczliwym szlochem. Matka, co nie usłyszała tego szlochu dziecka, zaiste umarłą być musiała aż do szpiku kości.

Chłopiec wziął małą na ręce.

Matka, sztywna już, posępne robiła wrażenie. Twarz jej promieniowała blaskiem widmowym. Otwarte, nie oddychające więcej usta wydawały się odpowiadać w niewyraźnej mowie cieni na pytania stawiane umarłym przez istotę niewidzialną. Po twarzy tej pełzał siny odblask lodowej równiny. Czoło pod ciemnymi włosami było młode, brwi ściągnięte jakby z oburzeniem, nozdrza zaciśnięte, zamknięte powieki; rzęsy zlepił szron, a od kącików oczu do kącików ust ciągnęły się dwie głębokie bruzdy uczynione przez łzy. Blask idący od śniegu oświetlał umarłą. Zima i mogiła są ze sobą w zgodzie. Trup to sopel człowieka. Patetyczna była nagość jej piersi. Spełniły swoje przeznaczenie; wyrażały wzniosły przekwit dawania życia przez istotę, w której życia już nie było, czystość dziewiczą zastąpił majestat macierzyństwa. U jednej z sutek połyskiwała biała perełka. Była to kropla mleka, ścięta mrozem.

A sprawa przedstawiała się tak, po prostu: w pustkowiu, po którym wędrował właśnie zbłąkany chłopiec, zagubiła się przed niedawnym czasem żebraczka, co z. niemowlęciem u piersi również szukała schronienia. Wśród burzy upadła wyczerpana, skostniała z zimna i nie mogła już się podnieść. Przysypała ją śnieżyca. Przyciskała do siebie córeczkę, dopóki jej starczyło sił, i umarła.

A dziewczynka próbowała jeszcze ssać ten zmarmurzały posąg.

Smutna to ufność i dopuszczona przez naturę, wydaje się bowiem, że umarła matka może jeszcze karmić przez czas pewien, już po śmierci.

Ale usta dziecka nie mogły natrafić na pierś i kropla mleka zamarzła, ukradziona przez śmierć. A noworodek, nawykły bardziej do kołyski niż do grobu, zaczął krzyczeć pod śniegiem.

Opuszczony chłopiec usłyszał wołanie konającej dziewczynki.

Wygrzebał ją z grobu.

Wziął na ręce.

A wówczas malutka ucichła. Twarzyczki dwojga dzieci przytuliły się do siebie i sine wargi niemowlęcia zaczęły ssać policzek chłopca niby pierś matki.

W dziewczynce krew już zaczynała krzepnąć, już za chwilę ustać miało tętno serca. Matka udzieliła jej nieco swojej śmierci; trup przekazuje swoje zastyganie. Nóżki, rączki, ramionka i kolanka niemowlęcia były jak zlodowaciałe, jak sparaliżowane. Chłopiec poczuł, jak strasznie zimne jest to ciałko.

Miał jeszcze bluzę, swoje jedyne ciepłe i suche odzienie. Położył niemowlę na piersi umarłej, zdjął kaftan, zawinął weń dziewczynkę, znowu wziął ją na ręce i sam już niemal nagi, wśród tumanów śniegu i porywów wiatru poszedł dalej, niosąc dziecko.

A malutka odszukała znów jego policzek, przytuliła doń usteczka i usnęła, rozgrzana. Pierwszy pocałunek tych dwu dusz w ciemności.

Umarła matka została sama na śniegu, z twarzą zwróconą ku nocnemu niebu. Może jednak z głębi nieskończoności, w której się już znajdowała, zobaczyła jeszcze, jak chłopiec zdjął z siebie ubranie, by owinąć dziewczynkę.

III. WSZELKA BOLESNA DROGA UTRUDNIA SIĘ JESZCZE CIĘŻAREM

Minęły już przeszło cztery godziny, odkąd barkas wypłynął z zatoki Portlandu porzucając na brzegu chłopca. Przez czas ten, kiedy szedł on przed siebie, czas, co wydawał się nie mieć końca, napotkał zaledwie trzykrotnie przedstawicieli społeczeństwa ludzkiego, w które miał oto wejść, być może. Spotkania te – to mężczyzna, kobieta i dziecko. Mężczyzna, tamten, na wzgórzu; kobieta ta w śniegu, i dziecko, dziewczynka, którą niósł na rękach.

Wyczerpany był już niemal, doszczętnie zmęczeniem i głodem. A szedł zdecydowanie, pewnie, choć sił ubyło, a przybyło ciężaru. Był teraz prawie nagi. Resztki odzienia, które na nim jeszcze pozostały, stwardniałe od szronu, zrobiły się ostre jak szkło i kaleczyły mu skórę. Było mu coraz zimniej, ale za to rozgrzewało się tamto dziecko. Nie ginęło ciepło, które tracił, otrzymywała je bowiem dziewczynka. Czuł, jak pod jego działaniem malutka powraca do życia. Szedł dalej.

Co pewien czas, przytrzymując dziecko troskliwie, schylał się, nabierał jedną ręką garść śniegu i rozcierał nim sobie nogi, by ich nie odmrozić.

Kiedy indziej znowu, czując palenie w gardle, wkładał do ust odrobinę śniegu i ssał ją, a pragnienie, oszukane na chwilę, przemieniało się w gorączkę. Ulga powodowała pogorszenie.

Nawałnica wzbierała na sile, przekraczała wszelkie możliwe do ogarnięcia wymiary. Zdarzają się potopy śnieżne; był to właśnie taki potop. Paroksyzmy jego pastwiły się i nad lądem, i nad oceanem. W tej samej to chwili zapewne nieszczęsny barkas rozbijał się walcząc z podwodnymi skałami.

Chłopiec szedł wśród tego wiatru, po pokrytej śniegiem równinie, kierując się ciągle na wschód. Nie wiedział, która może być godzina. Dymy stracił już z oczu od dawna. Wśród nocy znaki takie znikają zresztą łatwo, a ognie już pogaszono o tej późnej porze; być może zresztą, że się pomylił, że w stronie, ku której wędrował, nie było żadnego miasteczka, żadnej wioski. Choć ogarniało go zwątpienie, z uporem szedł naprzód. Dziewuszka kilkakrotnie zaczynała płakać. Starał się wówczas ukołysać ją rytmem swoich kroków. Uspokajała się, milkła. Zasnęła wreszcie na dobre. Drżąc cały, czuł, że jest ciepła.

Poprawiał często fałdy kaftana przy szyjce maleństwa dbając, by przez zbytnie ich rozchylenie nie przedostawał się do środka stopniały śnieg i szron.

Równina była falista. U dna pochyłości, w zagłębieniach terenu śnieg naniesiony przez wiatr był tak głęboki, że sięgał chłopcu po pas. Przedzierał się przez te zaspy całą siłą nóg i kolan.

A po wydobyciu się z parowu wydostawał się na wzniesienia omiecione przez wiatr ze śniegu. Tam napotykał z kolei na gołoledź.

Ciepły oddech dziewczynki muskał mu policzek rozgrzewając go na chwilę, po czym zatrzymywał się na włosach, ścięty na sopel przez mróz.

Chłopiec zdawał sobie sprawę, że za żadną cenę upaść mu nie wolno. Nie podniósłby się już bowiem więcej. Wyczerpany był tak bardzo, że jak tamtą umarłą kobietę, ołów ciemności przygniótłby go swoim ciężarem, że lód przylutowałby go do ziemi jeszcze za życia. Udało mu się zejść na dół po stromych stokach przepaści; potykał się na trzęsawisku i też wyszedł cało; teraz zwykły upadek na ziemię to śmierć. Jeden niezręczny krok i oto grób się otwiera. Nie wolno mu się było pośliznąć. Nie miałby już siły, by dźwignąć się choćby na kolana.

A pośliźnięcie się groziło przy każdym kroku; wszędzie gołoledź tylko i stwardniały, zmarznięty śnieg.

Mała, którą niósł na rękach, niesłychanie utrudniała mu chodzenie; był to nie tylko ciężar zbyt wielki dla jego wyczerpania i zmęczenia, była to również przeszkoda. Przytrzymywał ją oburącz, a temu, co usiłuje iść po gołoledzi, niezbędne są swobodne ruchy obu ramion dla utrzymania równowagi.

Musiał się obchodzić bez tego wahadła.

I obchodził się, i szedł nie wiedząc, co począć pod ciężarem.

Niemowlę to było kroplą przepełniającą czarę jego nieszczęścia.

Szedł naprzód, chwiejąc się przy każdym stąpnięciu, jakby na trampolinie i z dala od jakichkolwiek oczu, co by go podziwiać mogły, dokonywał cudów ekwilibrystyki. Być może zresztą – powtórzmy to raz jeszcze – na tej drodze przez mękę towarzyszyło mu z daleka, z mrocznych głębokości spojrzenie – spojrzenie matki i spojrzenie Boga.

Potykał się, chwiał i odzyskiwał równowagę, troszczył się o niemowlę poprawiając na nim ubranie i przykrywając główkę, znów się potykał i szedł, i szedł poślizgując się i znów odnajdując równowagę. A wiatr popychał go jeszcze, nikczemnie.

Najprawdopodobniej nadkładał też drogi niemało. Znajdował się zapewne na równinach, na których później założona została Bincleaves Farm, pomiędzy dzisiejszym Spring Gardens i Personage House. Dziś są tam wioski i wille, wtedy były to puste ugory. Niecałe stulecie dzieli nieraz step od miasta.

Nagle oślepiająca, lodowate zawierucha ustała na chwilę i chłopiec zobaczył prawie że tuż przed sobą gromadkę kominów i dachów rysujących się wyraźnie pod przykryciem ze śniegu, przeciwieństwo sylwetki, miasteczko wyrysowane bielą na czarnym tle widnokręgu, coś, co dzisiaj nazwać by można negatywem.

Dachy, domy, schronienie! A więc gdzieś doszedł jednak. Poczuł niewysłowione podniecenie nadzieją. Kiedy majtek siedzący na maszcie zbłąkanego okrętu wykrzyknie: ziemia! – tych samych doznaje wzruszeń. Chłopiec przyśpieszył kroku.

Dotarł więc wreszcie do ludzi! Zbliżał się ku żyjącym! Już niczego nie musiał się obawiać. Ogarnęło go nagłe ciepło – poczucie bezpieczeństwa. To, co do tej pory przechodził, kończyło się wreszcie. Już nigdy odtąd nie będzie ani nocy, ani zimy, ani burzy. Wydawało się mu, że wszystko, na co tylko zło zdobyć się potrafi, jest już poza nim. Dziewczynka nie była mu już ciężarem. Biegł prawie.

Nie odrywał spojrzenia od tych dachów. Tam było życie. Nie spuszczał ich z oczu. Umarły tak by chyba patrzył na to, co by mu się ukazało przez uchylone wieko trumny. Były to te same kominy, których dymy zobaczył był poprzednio.

Ale w tej chwili nie unosił się nad nimi żaden dym.

Wkrótce dotarł do pierwszych mieszkań ludzkich. Było to przedmieście miasteczka, otwarta ulica. W owym czasie zamykanie ulic na noc zaczynało już wychodzić z użycia.

U początku jej stały dwa domy. Nie paliła się w nich żadna świeca, żadna lampa, nigdzie, na całej ulicy, w całym mieście, jak tylko sięgnąć można było wzrokiem – żadnego światła. Dom po prawej stronie był bardziej dachem tylko niż domem; nędzny był niewymownie; ściany miał z polepy i słomianą strzechę; więcej w nim było słomy niż gliny. Wysoka pokrzywa, rosnąca tuz przy ścianie, sięgała aż po sam dach. Chatynka ta miała jedne tylko drzwi, wyglądające raczej na otwór do wpuszczania kota, i jedno okienko wielkości dymnika. Była zaryglowana. Obok niej – chlewik, zamieszkały, co wskazywało, że w chatce również ktoś mieszka.

Dom po lewej strome miał szeroką, wysoką fasadę z kamienia i dach kryty łupkiem. Zamknięty był również. I stały tak naprzeciwko siebie – Pałac i Rudera.

Chłopiec bez chwili wahania zbliżył się do dużego domu.

Drzwi w nim były dwuskrzydłowe, z masywnych dębowych kwadratów, nabijanych dużymi ćwiekami. Domyślać się należało, że zamykają je od wewnątrz potężne rygle i zamki; obok wisiała żelazna kołatka.

Chłopiec podniósł kołatkę nie bez trudu, gdyż palce jego, zgrabiałe od zimna, stały się czymś na kształt bezwładnych kikutów. Uderzył.

Nikt nie odpowiedział.

Zakołatał jeszcze raz, podwójnie.

Żadnego ruchu w całym domu.

Zakołatał po raz trzeci. Nic.

Zrozumiał, ze mieszkańcy albo spali, albo też wcale nie myśleli wstawać.

Podszedł więc do ubogiej chałupki. Podniósł z ziemi ośnieżony kamień i zastukał nim w niskie drzwi.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Wspiął się na palce i zaczął uderzać swoim kamykiem w okienko, ostrożnie, by nie stłuc szyby, dość głośno jednakże na to, by go usłyszano.

Nie odezwał się żaden głos, żadne kroki, nie zabłysło światło.

Pomyślał sobie, że i tu także nikt się nie chce obudzić.

Piękny dom z kamienia i rudera, słomą kryta, jednakowo były głuche na wołanie niedoli, nędzy.

Chłopiec postanowił iść dalej. Zapuścił się w wąską uliczkę pomiędzy domami, tak ciemną, że bardziej przypominała szczelinę wśród skał niż wejście do miasta.

IV. INNA POSTAĆ PUSTYNI

Chłopiec wszedł do miasta Weymouth.

Ówczesny Weymouth nie był jeszcze imponującym i podziwianym dzisiejszym Weymouthem. Ów dawny Weymouth nie posiadał jeszcze długiego, prosto poprowadzonego bulwaru z pomnikiem Jerzego III i oberżą nazwaną od jego imienia. Nie posiadał ich z tej choćby przyczyny, że Jerzy III jeszcze się wówczas nie był urodził. Dla tego samego względu nie przyozdabiał też jeszcze miasta biały koń, wielki na całą morgę, ułożony z kredowych kamieni na strzyżonym trawniku wschodniego zbocza zielonego pagórka, *White Horse*, co niósł na sobie króla i odwracał się ogonem w stronę miasta – również na cześć Jerzego III. Honory te są zresztą w pełni zasłużone; Jerzy III utracił na stare lata rozum, którego nigdy nie posiadał w młodości, czyż więc może on być odpowiedzialny za klęski, co spadły na kraj podczas jego panowania? Był niewinny jak dziecko. Dlaczegóż więc nie stawiać mu pomników?

Zabudowa Weymouth sprzed lat stu osiemdziesięciu była oprawie tak symetryczna jak ułożenie kości wyrzuconych z kubka podczas gry. Kiedy legendarna Astaroth odbywała swoje wędrówki po świecie, miała na plecach torbę podróżną, w której znaleźć można było wszystko, nawet i gospodarne kobiety w ich domach. Garść takich domków i chat wyrzucona z diabelskiego wora na ziemię – oto co na myśl przywodził widok bezładnej zabudowy tego miasteczka. A w chatach – gospodarne kobiety. Świadectwem owych czasów po dziś dzień przechowanym jest Dom Muzykantów. Nieład skrytek z drzewa rzeźbionego i stoczonego przez komika – co też jest rodzajem rzeźby – bezkształtne budowle, chwiejnie popodwieszane, czasami podparte słupami, przylegające prawie jedna do drugiej, aby się nie poprzewracały pod naporem morskich wiatrów, oddzielone od siebie tylko niewielką przestrzenią wtłoczonego tam niezręcznie śmietnika, gęsta siatka uliczek często zalewanych wodami przypływu, nagromadzenie starych domostw, niby babek wokół starodawnego kościółka – oto czym było wówczas Weymouth. Stare normandzkie miasteczko wyrzucone na angielski brzeg.

W oberży, na której miejscu stoi teraz hotel, podróżny, co dziś płaci po królewsku dwadzieścia pięć franków za smażoną solę i butelkę wina, wtedy kontentować się musiał zupą rybną za dwa sous, bardzo zresztą smakowitą. Cóż za ubogie pożywienie.

Zagubiony chłopiec niosąc na rękach znalezione dziecko przeszedł przez jedną uliczkę, przez drugą, trzecią. Podnosił wzrok ku górze wypatrując na piętrach i poddaszach jakiegoś oświetlonego okienka, ale wszystkie były zamknięte i ciemne. Próbował również kołatać do drzwi. Lecz nikt się nie odzywał. W łóżku, w ciepłej pościeli, serca ludzkie twardnieją na kamień. Wstrząsy te i hałasy obudziły wreszcie dziewczynkę. Chłopiec czuł, że znowu ssie jego policzek. Nie płakała jednakże, zdawało się jej pewnie, że jest u matki.

Mógł w ten sposób błąkać się Bóg wie jak długo wśród licznych rozgałęzień uliczek Scrambridge, gdzie naówczas więcej było ogrodów warzywnych niż domów, więcej kolczastych żywopłotów niż mieszkań ludzkich, na szczęście jednak znalazł przejście, co po dziś dzień jeszcze istnieje obok Trinity Schools. Przejście to zaprowadziło go prosto na wybrzeże, które już wówczas było jakby zalążkiem bulwaru. Po prawej stronie dojrzał most.

Był to most na rzece Wey. Łączy on Weymouth z Melcomb-Regis. Pod łukami jego Harbour wpływa do Eack Water.

Weymouth, wieś, było to wówczas przedmieście Melcomb-Regis, miasta i portu; dzisiaj Melcomb Regis jest jedną z parafii Weymouth. Wieś wchłonęła miasto. A dokonało się to właśnie poprzez ten most. Mosty.– to niezwykłe aparaty ssące; wciągają one ludność i jakaś nadbrzeżna dzielnica rozrasta się nieraz dzięki nim ze szkodą dla dzielnicy przeciwległej.

Chłopiec skręcił w stronę mostu, który był wtedy jeszcze tylko zwykłą drewnianą kładką, krytą daszkiem. Przeszedł po tej kładce na drugą stronę.

Daszek osłaniał kładkę, nie było więc na niej śniegu. Idąc po tych suchych deskach bose stopy chłopca doznały ulgi na chwilę. Przeszedł przez most i znalazł się w Melcomb-Regis.

Mniej tu było domów drewnianych, za to więcej domów z kamienia. Była to już nie mieścina, lecz miasto. Most prowadził do ulicy dużej i pięknej, zwanej ulicą Ś w. Tomasza. Chłopiec powędrował tamtędy. Wzdłuż ulicy tej stały fasady domów z ciosanego kamienia, tu i ówdzie znajdowały się również i sklepy. Znów począł kołatać we drzwi. Na to, by wołać głośno, nie miał już dość siły.

Lecz w Melcomb-Regis, podobnie jak poprzednio w Weymouth, nikt nie dawał znaku życia. Drzwi pozamykane były na wszystkie spusty. Okiennice szczelnie zakrywały okna, niby powieki – oczy, Nie zaniechano żadnej ostrożności, co by uchronić mogła spokojny sen mieszkańców przed niemiłym przebudzeniem.

Na biedne, bezdomne dziecko coraz, to potężniej oddziaływał dziwny, niewysłowiony nastrój uśpionego miasta. Niesamowita jest taka cisza odrętwiałego rojowiska. Mieszają się ze sobą przywidzenia wszystkich tych letargów, urastają one w jeden ogromny sen, z nieruchomych ciał ludzkich wydzielają się opary sennych marzeń. Sen ma wiele ciemnego pokrewień-

stwa z tym, co jest już poza życiem; myśli śpiących, oswobodzone z wszelkich rygorów, unoszą się ponad nimi mgławicą, i żywą, i martwą równocześnie, i kojarzą się, wikłają dziwacznie z jakimś myśleniem niejasnym, bytującym zapewne gdzieś w przestrzeni. Sen, jak obłok raz gęsty, raz przezroczysty, zasłania, przyćmiewa sobą gwiazdę – umysł człowieka. Nad zamkniętymi powiekami oczu, którym przywidzenie zastąpiło wzrok, dokonuje się jakiś rozpad mogilny kształtów i zarysów i rozprzestrzenia, nieuchwytnie a szeroko. Jakieś istnienia rozproszone a tajemnicze przenikają do naszego życia poprzez sen, ów pomost śmierci. Przeplatają się w powietrzu dusze i widma. Ten nawet, co czuwa, czuje na sobie ucisk atmosfery brzemiennej ponurą tajemnicą. Dręczy go jakaś zmora, której, istnienie wokół siebie zaledwie odgaduje. Człowiek, co nie śpi i wędruje wśród widm marzeń sennych innych ludzi, odsuwa, niby mgłę, jakieś mijające go kształty, odczuwa jakiś niejasny lęk przed wrogim zetknięciem się z czymś niewidzialnym, czuje, jak co chwila trąca go coś nieokreślonego, niewiadomego, co natychmiast ginie. Wędrówka nocna wśród takich rozproszonych snów podobna jest do przedzierania się przez puszczę.

Człowiek boi się, choć sam nie wie dlaczego.

Boi się wówczas nawet człowiek dojrzały, o ileż zaś silniejszy strach odczuwać musi dziecko.

Dręczący nocny lęk, spotęgowany otoczeniem widmowych domów, dopełnił ponurego całokształtu przeciwności, z którymi walczyć musiał chłopiec.

Wszedł na Conycar Lane. U wylotu tej uliczki dostrzegł Bach Water; wydało mu się, że to ocean, nie wiedział już, z której strony znajduje się morze. Zawrócił więc, skręcił, w lewo i przez Maiden Street cofnął się aż do Saint-Albans Row.

A tam bez wyboru, bez namysłu kołatać zaczął gwałtownie do pierwszych z brzegu drzwi. Uderzenia te, na które zużywał resztki swoich sił, były bezładne, urywane, gniewne prawie. Uderzało we drzwi serce jego swoim tętnem, nierównym, przyśpieszonym przez gorączkę.

I odezwał się głos w odpowiedzi.

Głos zegara.

Trzykrotnie uderzył na starej wieży kościoła Św. Mikołaja. Była godzina trzecia po północy.

I znowu zapadła cisza.

Zdumiewający wydać się może fakt, że nikt w całym mieście nie uchylił nawet okienka. Obojętność ta zrozumiała była jednak w pewnej mierze. Trzeba bowiem uświadomić sobie, że w styczniu roku 1690 cały kraj był pod wrażeniem zarazy, co grasowała wówczas w Londynie, i że lęk przed wpuszczeniem do domu chorego włóczęgi sprawiał, iż gościnność dla obcych bardzo osłabła w tym czasie. Nie uchylano nawet okna, żeby nie odetchnąć przypadkiem zatrutym wyziewem choroby.

Chłopcu oziębłość ludzi dotkliwszą się wydała od chłodu nocy. Był to bowiem chłód świadomy, zamierzony. Malec uczuł, jak ściska mu serce przygnębienie, a przecież przez cały czas wędrówki przez pustkowie nie upadł na duchu ani razu. Teraz dopiero, wśród otaczającego go zewsząd życia, był naprawdę samotny. Przepełniła się miara goryczy. Nie dziwiła go bezlitosność pustyni, lecz głucha obojętność miasta – to już było zaiste zbyt wiele.

Policzył uderzenia zegara. Głos jego przygnębił go do reszty. Są chwile, w których bicie godzin przejmuje mrozem. Jest to deklaracja obojętności. Jest to głos wieczności mówiący: wszystko mi jedno.

Przystanął. Może zapytywał sam siebie w tej ciężkiej chwili, czy nie byłoby najprościej położyć się i umrzeć. Tymczasem dziewczynka przytuliła główkę do jego ramienia i usnęła. Ta ślepa ufność kazała mu iść dalej.

Był przecież komuś oparciem, on, któremu sama ziemia, zda się, usuwała się spod nóg. Przemówił głęboki głos obowiązku.

Nie na miarę jego lat były i te myśli, i to położenie. Zapewne też nie ze wszystkiego zdawał sobie sprawę. Działał instynktownie. Robił to, co był w stanie uczynić.

Poszedł w kierunku Johnstone Row.

A właściwie – nie poszedł, lecz powlókł się.

Minął ulicę Panny Marii, błąkał się czas pewien wśród krętych zaułków, aż wreszcie przez ciasne przejście pomiędzy jakimiś ruderami wydostał się na szeroką, otwartą przestrzeń. Było to miejsce odludne, jeszcze wówczas nie zabudowane, prawdopodobnie dzisiejszy plac Chesterfield. Tutaj kończyło się miasto. Po prawej ręce miał morze, po lewej – ostatnie domy Melcomb-Regis.

Co robić dalej? Przed nim znowu puste pole. Na wschodzie – szerokie, pochyłe równiny pokryte śniegiem, łagodne zbocza Radipole. Czyż miał znów wędrować przed siebie, iść naprzód i wrócić do pustki? Czy też może cofnąć się, wrócić w plątaninę uliczek? Jak postąpić, jak się zachować w obliczu tych dwu głazów ciszy – niemej równiny i głuchego miasta? Którą wybrać obojętność?

Bywają spojrzenia jak kotwica ratunkowa, którą zarzuca się w chwilach ostatecznych. Takim to właśnie spojrzeniem powiódł dookoła nieszczęśliwy chłopiec.

I nagle usłyszał jakiś groźny pomruk.

V. MIZANTROPIA BIERZE SIĘ DO DZIEŁA

Dziwny, niepokojący zgrzyt odezwał się z ciemności. Było się przed czym cofnąć. Lecz mały poszedł naprzód. Kogo cisza przerazi, temu nawet ryk będzie miły. To okrutne warknięcie dodało chłopcu otuchy. Groźba była obietnicą. Natrafił wreszcie na jakąś żywą, rozbudzoną istotę, niechby to było nawet i dzikie zwierzę. Poszedł tam, skąd. dobywał się ów chrapliwy głos.

Wychylił się zza węgła i oto w widmowym świetle bijącym od śniegu i morza dostrzegł stojący pod osłoną muru wózek, a raczej budę czy też może chatkę. Przedmiot ów miał koła, jak wózek, lecz miał też i dach, jak chatka. Z dachu sterczała rura, z rury wydobywał się dym. Dym ten był czerwony, a więc suty ogień musiał palić się w środku. Zawiasy umieszczone na tylnej ścianie wskazywały, że znajdują się tam drzwi, a przez kwadratowy otwór, w tych właśnie drzwiach wycięty, widać było we wnętrzu budy światło. Chłopiec podszedł bliżej.

Warczenie odezwało się znowu. Im bardziej zbliżał się do budy, tym bardziej stawało się zajadłe. Nie było to już właściwie warczenie, ale wycie. Malec usłyszał zgrzyt niby gwałtownie szarpniętego łańcucha i oto nagle, poniżej drzwi, pomiędzy tylnymi kołami ukazały się dwa rzędy zębów ostrych i białych.

Spomiędzy kół wyjrzała zwierzęca paszcza, z okienka – ludzka głowa.

– Leżeć! – odezwał się głos człowieka.

Paszcza umilkła.

Głos znów się odezwał:

– Jest tam kto?

Dziecko odpowiedziało:

– Tak.

– Kto?

– Ja.

– Ty? A któż to ty? Skąd się wziąłeś?

– Jestem zmęczony – odrzekło dziecko.

– Która godzina?

—– Zimno mi.

– Co tu robisz?

– Jestem głodny.

A głos odezwał się w odpowiedzi:

– Nie każdy na świecie może być szczęśliwy jak lord. Idź sobie precz. Głowa cofnęła się do wnętrza, okienko zamknięto.

Chłopiec skulił się, przycisnął mocniej do piersi uśpioną dziewczynkę i zbierając resztki sił ruszył z miejsca Uszedł tak kilka kroków.

Tymczasem ten, co zatrzasnął był okienko, otworzył drzwi i spuścił ruchome schodki. Głos, co przed chwilą przemawiał do dziecka, zawołał ze złością z wnętrza budy:

– No, i dlaczego nie wchodzisz?

Chłopiec stanął.

– Właźże no. Cóż za cymbał? Głodny jest, zimno mu, a nie wchodzi.

Malec, odtrącony i zaproszony równocześnie, stał bez ruchu.

– Mówię ci przecież, żebyś właził, hultaju!

Zdecydował się wreszcie i postawił stopę na pierwszym schodku. Spod budy znów odezwało się warczenie. Dziecko cofnęło się. Rozwarta paszcza znów się ukazała.

– Leżeć! – zawołał głos z wnętrza.

Paszcza znikła. Umilkło warczenie.

– Właźże!

Chłopiec z trudem wgramolił się po trzech schodkach. Zawadzało mu niemowlę śpiące, bezwładne, okręcone w kaftan tak szczelnie, że wydawało się jakimś bezkształtnym, przedmiotem.

Wszedł wreszcie po stopniach i stanął na progu.

W budzie – zapewne przez oszczędność wynikającą z ubóstwa – nie paliła się żadna świeca. Oświetlał ją tylko czerwony blask torfowego żaru bijący przez uchylone drzwiczki żelaznego piecyka. Na piecyku stała dymiąca miska i garnek, z jedzeniem zapewne, sądząc po miłym zapachu, co się unosił w powietrzu. Umeblowanie tego mieszkania składało się ze skrzyni, stołka i nie palącej się latarni zawieszonej u sufitu. Na ścianach – kilka półek na podpórkach i jakieś łachy pozawieszane na kołkach byle jak. Na półkach piętrzyły się szklane i miedziane naczynia, stał tam alembik, aparat do destylacji, i całe mnóstwo najdziwaczniejszych, nie znanych dziecku przedmiotów. Była to prawdziwa kuchnia chemika. Buda miała kształt podłużny, piec stał blisko drzwi. Nie była to nawet mała izdebka, raczej jakieś wielkie pudło. Na zewnątrz o wiele jaśniej było od śniegu niż tutaj, w tym wnętrzu oświetlonym tylko żarem z piecyka. Trudno też było dokładnie zobaczyć cokolwiek. W jednym miejscu tylko czerwony blask ogniska odbity na pułapie ukazywał napis wykaligrafowany dużymi literami: „Ursus, Filozof”.

Chłopiec dowlókł się bowiem, właśnie do budy Homo i Ursusa. Słyszeliśmy przed chwilą, jak jeden warczał, jak drugi mówił.

Kiedy malec wszedł na próg, ukazał mu się człowiek wysoki, łysy, chudy i stary, w szarym odzieniu. Stał tuż przy piecyku, a łysiną dosięgał pułapu. W żaden sposób nie mógłby wspiąć się na palce choćby odrobinę. Buda była sklecona w sam raz na jego miarę.

– Wejdź – rzekł ów człowiek. Był to Ursus.

Chłopiec wszedł.

– Połóż tam twój tobołek.

Malec położył na skrzyni swój ciężar ostrożnie, żeby się dziecko nie przelękło i nie obudziło.

A Ursus mówił dalej:

– Patrzcie no, jak to się z tym cacka. Mógłby ktoś pomyśleć, że niesiesz szkatułkę z relikwiami. Tak się boisz, żeby nie poniszczyć swoich łachów? Ach, ty łobuzie nikczemny, po

ulicach będziesz mi się włóczył o tej porze? Coś ty za jeden? Gadaj zaraz! Albo nie, ani mi się waż odpowiadać teraz. Zmarzłeś: najpierw masz się zagrzać.

I pchnął malca w stronę piecyka.

– Aleś mokry! Aleś oszroniony! Kto to widział, żeby włazić do cudzego mieszkania w takim stanie. Ściągaj mi zaraz z siebie te paskudztwa, mały złoczyńco.

I jedną ręką zaczął gwałtownie ściągać z malca łachmany, które przy tej okazji darły się na strzępy, a drugą zdjął z kołka męską koszulę i kaftan z trykotu, z rodzaju tych, co po dziś dzień jeszcze noszą nazwę *kiss-my-quick*.

– Masz, w to się ubierzesz.

Wyciągnął z kąta jakiś gałgan wełniany i zaczął rozcierać nim przy ogniu członki dziecka. A malec stał nago w tym cieple, bezsilny, zdumiony, zdawało mu się, że chyba dostał się do nieba. Ursus rozcierał mu stopy.

– No, chudzielcze, niczego sobie nie odmroziłeś. A ja, głupi, już byłem pewny, że masz odziębione albo przednie, albo tylne łapy. Tym razem jeszcze nie złapał go paraliż. Ubieraj się!

Chłopiec naciągnął koszulę, a Ursus narzucił mu na wierzch trykotowy kaftan.

– A teraz...

Przysunął pod piecyk stołek, posadził na nim małego jednym szorstkim popchnięciem i wskazał mu palcem miskę dymiącą na kominie. Na widok jej zawartości chłopcu znów wydało się, że jest w raju. Był to bowiem kartofel ze słoniną.

– No, jedź, głodny jesteś przecież.

Ursus zdjął z półki kromkę czerstwego chleba i żelazny widelec i podał dziecku. Ale malec nie zabierał się jakoś do jedzenia.

– Czy mam może nakryć do stołu? – spytał gospodarz.

I postawił miskę na kolanach chłopca.

– No, wcinaj!

Głód przemógł wreszcie oszołomienie. Dziecko zaczęło jeść. Biedactwo, nie jadło właściwie, a pożerało. Po budzie rozlegał się wesoły hałas zawzięcie chrupanego chleba. Stary pomrukiwał:

– Nie tak prędko, utrapiony żarłoku. A to łakomczuch! Ta wygłodzona hołota zajada w obrzydliwy sposób. Lord, o, ten to dopiero potrafi jeść! Widywałem ja już książęta przy stole. Oni w ogóle nie jedzą, taką mają obyczajność. Ale piją za to! No, warchlaku, wsuwaj.

Zanik słuchu, znamienny dla pustego żołądka, sprawiał, że dziecko dość obojętnie przyjmowało tę powódź przezwisk, którą zresztą łagodziły miłosierne czyny, różniące się od słów z tak wielką dla niego korzyścią. Był całkowicie pochłonięty przez dwie czynności, był wniebowzięty podwójnie: grzał się i jadł. A Ursus dalej zrzędził pod nosem:

– Widziałem króla Jakuba obiadującego we własnej osobie w Banqueting House, gdzie podziwiać można malowidła słynnego Rubensa. Jego królewska mość niczego nie tknęła nawet. A. ten oberwaniec żre jak zwierzę. I co mi też strzeliło do głowy, żeby przyjeżdżać do tego Weymouth, a niechby je piekło pochłonęło siedem razy! Nic nie sprzedałem od rana, mówiłem do śniegu, huraganowi grałem na fujarce, nie utargowałem ani szeląga i jeszcze wieczorem spada mi na kark żebrak. Nikczemna okolica. Gdzież ta bitwa, walka, zapasy pomiędzy mną i uliczną gawiedzią? Oni starają się dać mi jak najmniej grosza, a ja staram się wcisnąć im co lichszy towar. A dziś – nic. Ani jednego gapia na rogu ulicy, ani jednego penny w kabzie. Jedz, bachorze z piekła rodem, ruszaj gębą, gryź! Żyjemy w czasach, w których nic dorównać nie zdoła bezwstydowi pieczeniarzy. Tyj moim kosztem, pasożycie! On już nie jest nawet głodny, ale jakiś wściekły chyba, ten stwór! To już nie apetyt, to okrucieństwo. Może go żre zarazek wścieklizny? Kto wie? A może on i chory na morową zarazę? Jesteś chory, zbóju?. Jeszcze mi zarazi Homo. Tego już za wiele, zdychaj sobie, motłochu podły, ale nie pozwolę, żeby umierał mój wilk. Dobre sobie, mnie też chcę się jeść. Oświadczam, że

nader niemiłe jest to całe wydarzenie. Pracowałem dziś do późna w nocy. Zdarza się w życiu, że człowiekowi do czegoś pilno. Otóż mnie dziś pilno było do kolacji. Sam jestem, rozpalam ogień, mam tylko jeden kartofel, kromkę chleba, okrawek słoniny i kropelkę mleka, stawiam to wszystko na piecu i mówię: no, nareszcie sobie podjem. Bęc! Ten krokodyl spaść mi musi na kark właśnie w tej chwili. I wciska się najbezczelniej pomiędzy mnie i moje jedzenie, pustoszy moją spiżarnię. Jedz, szczupaku, jedz, rekinie, a ile ty masz tam rzędów zębów w tej twojej paszczęce? Pałaszuj, wilczku! Nie, to słowo cofam, wilkom należy się szacunek. Pochłaniaj moją strawę, wężu boa. Pracowałem dzisiaj do późna, pusty brzuch, gardło aż woła pić, trzustka w rozpaczliwym stanie, osłabione wnętrzności; i oto cała moja nagroda – przypatrywać się, jak kto inny zjadą moją kolację. No, trudno, trzeba się dzielić sprawiedliwie. On ma chleb, kartofel i słoninę, ale mleko moje.

W tej samej chwili odezwał się w budzie rozpaczliwy, przeciągły krzyk. Ursus nastawił ucha.

– I jeszcze krzyczysz, mały szpiegu! Czegoś wrzasnął?

Chłopiec odwrócił się. Niewątpliwie, to nie on krzyknął. Usta miał zapchane jedzeniem.

A wrzask nie ustawał. Ursus podszedł do skrzyni.

– To ten tobołek drze się. Dolino Józefata! Tobołki zaczynają wrzeszczeć! I czemu on tak skrzeczy, ten twój tobołek?

Rozwinął kaftan. Ukazała się główka dziecka. Krzyczało otwierając szeroko usta.

– A to kto znów? – powiedział Ursus. – Co to jest? Jeszcze jedno! Nigdy nie będzie końca? Hej, kto żyw, do broni! Kapralu, wyciągaj szablę! Drugi bachor. Coś ty mi tutaj przyniósł, bandyto! Widzisz przecie, że chce pić. Trzeba jej dać pić. Dobrze, już i po moim mleku.

Z półki, na której leżały w nieładzie najprzeróżniejsze rzeczy, zdjął zwitek płótna podartego na pasy, gąbkę i butelkę, pomrukując uparcie:

– Przeklęty kraj!

Po czym przyjrzał się dziecku.

– Dziewucha. To można poznać po pisku. Też cała mokra.

Jak przedtem z chłopca, tak teraz z małej zerwał łachmany, w które bardziej okręcona była niż odziana, i zawinął ją w szmatę z grubego płótna, starą wprawdzie, lecz suchą i czystą. To nagłe i niezbyt delikatne przebieranie rozdrażniło niemowlę.

– Piszczy niemiłosiernie – rzekł Ursus.

Odgryzł podłużny kawałek gąbki, urwał z płóciennego zwitka kwadratową szmatkę, wyciągnął nitkę z naddartego brzegu, zdjął z pieca garnek z mlekiem, wlał je do butelki, zatkał ją gąbką, tak że sterczała do połowy ponad szyjką, okręcił gąbkę gałgankiem, obwiązał nitką cale to urządzenie, przyłożył na chwilę szkło do policzka, by sprawdzić, czy mleko nie jest za gorące, i podniósł lewą ręką zawiniątko, które darło się bez przerwy.

– Masz kolację, stworo! Chwytaj smoczek!

I wsunął małej w usta gąbkę okręconą w gałganek. Zaczęła ssać łapczywie.

Przytrzymywał butelkę w odpowiednim nachyleniu, pomrukując:

– Wszystkie są takie same, podłe istoty! Jak dostaną, czego chcą, to siedzą cicho.

Mała piła tak łapczywie, tak silnie ssała ową pierś podsuniętą jej przez tę zrzędliwą opatrzność, że zachłysnęła się wreszcie i zaniosła kaszlem.

– Zadławisz się – burczał Ursus. – Drugi żarłok, Wyciągnął jej z ust gąbkę, przeczekał, aż przejdzie kaszel, i znowu wsunął smoczek pomiędzy wargi dziecka.

– Ssij, łajdaczko!

Chłopiec odłożył tymczasem widelec. Zapomniał o jedzeniu widząc, że mała pije. Przed chwilą jeszcze, kiedy pałaszował kolację, oczy jego wyrażały tylko zadowolenie, teraz błyszczała w nich wdzięczność. Widział, jak malutka powraca do życia. To dopełnienie zmartwychwstania, które rozpoczęło się od niego, roziskrzyło mu źrenice niewysłowionym jakimś blaskiem. Ursus mełł w zębach ciche słowa, pełne złości. A chłopiec, sfukany i przejęty do

głębi, co chwila zwracał ku niemu spojrzenie swych oczu wilgotnych od bezgranicznego wzruszenia, które czuł w sercu, choć go nie potrafił wyrazić.

Ursus napomniał go burkliwie:

– No, jedzże dalej!

– A pan? – odrzekł malec drżącym głosem, z oczami pełnymi łez. – Dla pana nic nie zostanie.

– Żebyś mi wszystko zjadł, podłe plemię! Dla mnie było tego za mało, to dla ciebie na pewno nie jest za dużo.

Malec wziął do ręki widelec, lecz nie brał się jeszcze do jadła.

– Jedz! – krzyczał Ursus. – A co ci do mnie? Kto tu w ogóle o mnie mówi? Jedz, wstrętny braciszku bosy z parafii oberwańców, masz roi zjeść wszystko. Po to tu jesteś, żebyś zjadł, wypił i poszedł spać. Jedz albo cię za drzwi wyrzucę razem z twoją małą hultajką.

Wobec tej groźby chłopiec znów zaczął jeść. Niewiele już zresztą trzeba było zachodu, by wyprzątnąć to, co zostało jeszcze w misce.

Ursus pomrukiwał:

– Rozklekotał się już mój gmach, ciągnie od okna. W istocie szyba w okienku była stłuczona, pękła może przy wstrząsie, a może wybił ją kamieniem jakiś łobuz. Ursus zalepił uszkodzenie paskami z papieru, ale papier się odkleił i wiatr przedostawał się tamtędy do wnętrza.

Stary siedział na skrzyni. Dziewczynka leżała mu na kolanach. Przytrzymywał ją ramieniem, a ona ssała butelkę z rozkoszą, w stanie półsennego zachwytu, który bywa udziałem cherubinów w obecności Boga i niemowląt wobec matczynej piersi.

– Upiła się – rzekł Ursus.

I ciągnął dalej:

– I mieć tu kazania o wstrzemięźliwości!

Wiatr oderwał wreszcie od szyby nalepiony kawałek papieru. Biały pasek frunął pod pułap, ale dzieci, całkowicie zaprzątnięte powracaniem znowu do życia, nawet nie zwróciły na to uwagi.

Dziewczynka ssała, chłopiec jadł, a Ursus zrzędził tymczasem:

– Pijaństwo zaczyna się już w powijakach. I czy to warto chodzić w ślady biskupa Tillotson[146] i piorunować przeciwko nadużyciu trunku. Ale też wieje obrzydliwie! I przy tym mój piec jest już stary. Dymi, że udusić się można. Tak, dokucza tu i mróz, i ogień równocześnie. I ciemno, że nic prawie nie widać. Ta oto istota nadużywa mojej gościnności. No, i proszę, nie mogłem nawet obejrzeć dotąd jego pyska. Odczuwa się tu jednak brak komfortu. Na Jowisza, jakże cenię sobie wspaniałe festyny w szczelnie zamkniętych komnatach! Rozminąłem się z powołaniem, byłem najwyraźniej urodzony na sybarytę i smakosza. Największy mędrzec świata to Filoksenios, który pragnął mieć szyję żurawia, żeby tym dłużej móc się cieszyć rozkoszą jadła. Rachunek dnia dzisiejszego – zero. Nie sprzedałem nic. Klęska prawdziwa! Hej, zacni mieszczanie, słudzy, pachołki, lekarz ma leki na każdą niemoc, lekarz ma leki na każdą niemoc! Po próżnicy tracisz czas, mój stary. Pakuj swoją aptekę. Wszyscy są tutaj zdrowi, widocznie. Przeklęta mieścina, gdzie nikt nie choruje. Tylko niebo cierpi na biegunkę. Cóż za śnieg! Anaksagoras nauczał, że śnieg jest czarny. I miał słuszność, zimno jest czarne. Lód – to noc. Cóż za zawierucha! Wyobrażam sobie rozkosze tych, co znajdują się teraz na morzu! Huragan – to pochód szatanów, to wściekła galopada wilkołaków, co koziołkują ponad wątłymi ścianami domostw ludzkich. Leci ich cały tabun do mgły podobny, jeden czort ma ogon, inny – rogi, jeszcze inny – język z ognia, ten ma szpony u skrzydeł, tamten tłusty kałdun jak u lorda kanclerza, ów – łeb jak profesor akademii, każdy hałas ma swój własny kształt. Nowy podmuch wiatru – nowy demon, ucho słyszy, a oko widzi, co hałas, to postać. O, do licha, jacyś ludzie na pewno są teraz na morzu! Cóż, przyjaciele, radźcie sobie z nawałnicą, jak potraficie, ja i tak mam dość kłopotu, by sobie jakoś z życiem poradzić. Czy to za-

jazd u mnie, czy co? Dlaczegóż to tutaj właśnie mają szukać schronienia zbłąkani wędrowcy? Odpryski powszechnej niedoli dosięgły nawet i mojej biedy. Nawet i moją ubogą chatkę ochlapały obrzydliwe bryzgi wielkiego bagna ludzkiego. Zostałem rzucony na żer przechodniom. Pastwą się stałem, pastwą głodomorów. Zima, noc, buda jak z tektury, nieszczęśliwy druh pod podłogą, a na dworze zawieja, jeden kartofel, nędzny ogieniek, pasożyty, wiatr, co wciska się przez wszystkie szpary, ani grosza przy duszy i tobołki, co zaczynają wrzeszczeć. Rozwiązujesz je, a w środku jakieś małe żebraczki. I to jest mój los! Dodajmy jeszcze, że jest to wykroczenie przeciwko ustawie. A, włóczykije zatracone, złośliwe, przewrotne podrzutki, po ulicach będziecie się kręcić po wygaszeniu ogni! Gdyby nasz dobry król wiedział o tym, i już on by cię za to wsadził na samo dno lochu, już on by cię nauczył rozumu! Jegomość spaceruje sobie po nocy z panienką! Z gołą głową, boso, przy piętnastu stopniach mrozu. Czy nie wiesz, że jest to zabronione? Istnieją ustawy, istnieje porządek społeczny, buntowniku! Włóczęgostwo jest karane, uczciwi ludzie, co posiadają własne domy, znajdują się pod ochraną prawa, król – to ojciec dla narodu. Ja jestem osiadłym obywatelem. Gdyby cię złapano, wychłostano by cię na publicznym placu, i dobrze by ci tak było. W cywilizowanym społeczeństwie musi panować porządek. Źlem zrobił, żem cię nie oddał w ręce konstabla. Ale ja już jestem taki, wiem, co dobre, a postępuję akurat odwrotnie. Ach, grubianin, w takim stanie pakować mi się do domu! Teraz dopiero widzę, ileś mi tu naniósł śniegu. Wszystko stopniało, cały dom mokry. Powódź w mieszkaniu. Trzeba by nie wiem ile węgla spalić, żeby to jezioro wysuszyć. A węgiel po dwanaście farthingów miara. I jak się pomieścimy we troje w tym pudle? No, teraz to już koniec, stałem się mamką, będę hodował przyszłość angielskiego żebractwa. Oto moje zajęcie, ranga i stanowisko: okrzesywać poronione płody tej łajdaczki Nędzy, od najmłodszych lat doskonalić szpetotę przyszłych kandydatów na szubienicę, robić mędrców z młodocianych rzezimieszków. Język niedźwiedzia – to dłuto Boga. I pomyśleć tylko: gdyby nie to, że od trzydziestu lat wyzyskują mnie podobne kreatury, byłbym dziś bogaty, Homo by utył, ja miałbym gabinet lekarski pełen najrzadszych przyrządów, narzędzi chirurgicznych tyle co u doktora Linacre'a, przybocznego chirurga króla Henryka VIII, najprzeróżniejsze zwierzęta, mumie egipskie i wiele różności w tym rodzaju. Byłbym członkiem kolegium doktorskiego, miałbym prawo korzystania z biblioteki założonej w 1652 roku przez słynnego Harveya, mógłbym pracować w latami na kopule, z której widać cały Londyn. Mógłbym prowadzić dalej moje obliczenia siły działania słonecznego blasku, mógłbym dowieść, że ciała niebieskie wydzielają mglistą parę. Tego zdania był Jan Kepler, matematyk cesarski, co narodził się na rok przed nocą św. Bartłomieja. Słońce to komin, co dymi czasami. Mój piecyk również. Tyle samo jest wart co i słońce. Tak, zbiłbym majątek, inaczej bym dzisiaj wyglądał, nie byłbym gburem, nie poniewierałbym nauki po rozstajnych drogach. Gdyż lud niewart jest, by mu objawiać doktrynę wiedzy, lud to zbiorowisko istot niedorzecznych, mieszanina bezładna wieku, płci, usposobień i stanów, którą mędrcy wszystkich czasów darzą wzgardą, najumiarkowańsi zaś w swej sprawiedliwości nienawidzą tego nieopanowanego żywiołu. Ach, jakże znudził mnie ten świat! A przecież życie ludzkie jest krótkie, szybko mija. Otóż nie, życie jest długie. Czasami, aby człowieka nie doprowadzić do ostateczności, abyśmy w głupocie swojej potulnie godzili się na istnienie, abyśmy nie wykorzystali znakomitych sposobności, żeby się wreszcie powiesić – a kusi do tego każdy sznur i każdy gwóźdź – natura usiłuje udawać, że się o nas troszczy. Ale nie tej nocy, zaiste! Sprawia ona, ta kusicielka podstępna, że rośnie zboże, że dojrzewają winogrona, że słowik śpiewa. Od czasu do czasu blask jutrzenki, od czasu do czasu szklanka jałowcówki – i to się nazywa szczęściem! Wąziutka lamówka dobra dokoła ogromnego całunu zła. Całe nasze przeznaczenie utkane zostało przez diabła, a Bóg je tylko obrębił. A ty tymczasem zmiotłeś mi całą kolację, złodzieju.

Kiedy tak wyrzekał z goryczą i złością, niemowlę, które przez cały czas troskliwie piastował na rękach, zaczęło przymykać oczy na znak nasycenia. Ursus obejrzał flaszkę, i mruknął:

– Bezwstydna, wszystko wypiła.

Wstał i przytrzymując lewym ramieniem maleństwo, prawą ręką uchylił wieka skrzyni i wyciągnął z jej wnętrza skórę niedźwiedzią, którą, jak pamiętamy, zwykł był nazywać „swoją prawdziwą skórą".

A dokonując tych czynności słuchał, jak drugie dziecko je, i zerkał na nie z ukosa co czas pewien.

– Wykarmić odtąd tego podrastającego żarłoka – kłopot to nie lada. Będzie to prawdziwy soliter siedzący we wnętrznościach mojego przedsiębiorstwa.

Jedną ręką, jak mógł najstaranniej, rozkładał na skrzyni skórę niedźwiedzia poruszając się przy tym ostrożnie, żeby nie przerwać pierwszego snu niemowlęcia. I ułożył maleństwo na futrze, jak najbliżej ognia.

Potem zaś odstawił pustą flaszkę na piec i zawołał;

– A teraz mnie chce się pić!

W garnuszku zostało jeszcze parę łyków mleka; podniósł go do, ust. I już miał je wypić, kiedy nagle wzrok, jego padł na dziewczynkę. Odstawił garnek z powrotem na piec, wziął flaszkę, odkorkował ją, wlał do środka resztę mleka, zatkał szyjkę gąbką i okręcił gałgankiem.

– A jeść i pić dalej mi się chce – mruknął.

I dodał:

– Kiedy się nie ma chleba, trzeba się napić wody.

Za piecem stał wyszczerbiony dzbanek. Wziął go i podsunął chłopcu.

– Chcesz się napić?

Malec napił się i jadł dalej.

Teraz Ursus podniósł do ust dzbanek. Wskutek bliskości pieca woda w nim miała niejednakową temperaturę. Przełknął parę łyków i skrzywił się:

– O, wodo, podobno czysta, jesteś jak przyjaciel fałszywy. Po wierzchu letnia, a zimna spodem.

Chłopiec skończył tymczasem kolację. Miska była wypróżniona. wylizana do czysta. Siedział zamyślony, zbierając okruszyny chleba z ubrania.

Ursus zwrócił się ku niemu.

– No, nie koniec na tym. Teraz pogadamy. Gęba nie po to jest, żeby jeść, lecz po to, żeby mówić; Teraz, zwierzaku, jesteś już rozgrzany, najedzony, uważaj więc – będziesz odpowiadał ha moje pytania. Skąd jesteś?

Dziecko odpowiedziało:

– Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz?

– Zostałem porzucony wieczorem na wybrzeżu.

– A nicponiu, jak ci na imię? Takie, z niego ladaco, Że go rodzeni rodzice porzucili.

– Ja nie mam rodziców.– Licz się ze mną odrobinę i wiedz, że nie znoszę, kiedy mi ktoś opowiada bajdy wierutne. Musisz mieć rodziców, bo masz siostrę.

– To nie jest moja siostra.

– To nie jest twoja siostra?

– Nie.

– A co to jest?

– Dziecko, które znalazłem.

– Znalazłeś!

– Tak.

– Jak to? Znalazłeś? Na ziemi?

– Tak.

– Gdzie? Jeżeli kłamiesz – to cię zabiję!

– Przy kobiecie, co zamarzła na śmierć w śniegu.

– Kiedy?

– Może godzinę temu.

– Gdzie?

– Będzie stąd o jaką milę.

Ursus podniósł w górę brwi tak silnie, że przybrały kształt trójkątów. U filozofów znamionuje to wzruszenie.

– Zmarła! Jedna przynajmniej, co jest już szczęśliwa. Niech sobie leży w swoim śniegu. Gdzieby jej mogło być lepiej?... A w której to stronie?

– W stronie morza.

– Przechodziłeś przez most?.

– Tak.

Ursus uchylił okienka w tylnej ścianie budy i wyjrzał na dwór. Nie odmieniła się pogoda. Padał śnieg gęsty, ponury.

Na powrót zamknął okienko.

Przybliżył się do wybitej szyby, zatkał dziurę gałganem, dorzucił torfu do piecyka, rozłożył na skrzyni niedźwiedzią skórę, jak tylko można było najszerzej, wyjął z kąta grubą księgę, wsunął pod futro, by służyć mogła za wezgłowie, i ułożył na tej poduszce główkę uśpionej dziewczynki.

Następnie zwrócił się do chłopca.

– Połóż się, o, tutaj.

Mały usłuchał i wyciągnął się obok niemowlęcia. A Ursus starannie otulił oboje futrem niedźwiedzim.

Ściągnął potem z półki płócienny pas z ogromną kieszenią, która kryła w sobie zapewne chirurgiczne narzędzia i butelki z lekarstwami.

Przepasał się tym pasem, zdjął latarnię z haka u pułapu i zapalił. Latarnia ta ocieniona była z trzech stron, nie rzuciła więc swego światła na dzieci.

Uchylił wreszcie drzwi i tak powiedział:

– Wychodzę. Nie bójcie się. Wrócę. Śpijcie.

Opuścił schodki i zawołał:

– Homo!

Odpowiedział mu radosny skowyt.

Ursus zszedł na dół z latarnią w ręku, schodki wróciły na miejsce, drzwi zamknięto. Dzieci zostały same. Z zewnątrz rozległ się jeszcze pytający głos:

– Hej, mały, coś mi zjadł kolację, śpisz już?

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– Jeżeli zacznie beczeć, daj jej resztę mleka.

Dał się słyszeć dźwięk odwiązywanego łańcucha i odgłos oddalających się męskich kroków, którym towarzyszyły stąpania idącego za człowiekiem zwierzęcia.

W kilka chwil później dwoje dzieci spało już głębokim snem. Oddechy ich łączyły się w jakąś harmonię nie do wysłowienia. Było to coś więcej niż niewinność, była to nieświadomość; noc poślubna, zanim jeszcze przebudziła się płeć. Chłopiec i dziewczynka leżeli przytuleni do siebie i nadzy, jakieś anielskie zaślubmy dokonywały się podczas tych cichych nocnych godzin; marzenia senne, jakie tylko w tym wieku istnieć mogą, przypływały od dziewczynki ku chłopcu, od chłopca ku dziewczynce; pod zamkniętymi ich powiekami świecić musiało światło gwiazd; doprawdy, że jeżeli tylko można użyć tutaj nazwy: zaślubiny, byli oni sobie mężem i żoną na sposób anielski. Podobna niewinność w podobnej ciemności, podobna czystość w podobnym uścisku to przedsmak nieba, to coś, co zdarzyć się może tylko w dzieciństwie i żaden ogrom nie dorównywa wówczas wielkością swoją takim dzieciom. Ze wszystkich głębi ta jest największa niewątpliwie. Upiorne trwanie zawieszonego poza życiem nieboszczyka, zawziętość oceanu pastwiącego się nad rozbitym statkiem, bezkresna biel śnie-

gu przykrywająca pogrzebany w niej kształt – wszystko to nie jest w stanie dorównać w swoim patosie dwojgu ustom dziecinnym połączonym wśród snu jakimś boskim dotknięciem, dotknięciem, które nie jest nawet pocałunkiem. Może to zaręczyny; a może początek tragedii. Nad zespoleniem tym ciąży nieznana dola. Jakież to urocze – a może raczej przerażające? Serce się ściska. Niewinność wyższa jest od cnoty. Niewinność to święta niewiedza. Spali oboje w spokoju, w cieple. Nagie ich ciała i dziewicze dusze połączone były w uścisku. Leżeli jak w gniazdku uwitym na samym dnie przepaści.

VI. PRZEBUDZENIE

Dniało. Posępny, szary zimowy świt przenikał powoli do wnętrza budy. Świt ów, ukazujący smutną rzeczywistość rzeczy, którym noc nadawała pozór widmowy, niezwykły, nie rozbudził dzieci śpiących w uścisku. Ciepło było w chatce. W ciszy słyszeć się dawał spokojny, podwójny rytm ich oddechu. Huragan ustał na dworze. Dzień wstawał powoli nad widnokręgiem. Konstelacje gasły kolejno, niczym zdmuchiwane świece. Wreszcie ostało się na niebie już tylko parę największych gwiazd. z morza dobywała się głęboka, potężna pieśń nieskończoności.

Żar w piecyku nie wygasł jeszcze. Blady świt zmieniał się zwolna w jasny dzień. Dzieci spały, chłopiec jednakże i w tym głębokim śnie nawet zachował czujność. A kiedy coraz jaśniejsze światło przedostawać się zaczęło do wnętrza przez szyby – on pierwszy otworzył oczy. Dziecko budząc się nie pamięta o niczym; malec leżał na wpół rozbudzony, nie wiedząc, gdzie się znajduje, nie wiedząc, co go otacza, nie usiłując nawet przypomnieć sobie czegokolwiek; oczy miał utkwione w sufit i w półsennym rozmarzeniu przypatrywał się bezwiednie napisowi: „Ursus, Filozof", nie próbując nawet zrozumieć, co też on oznaczać może, nie umiał bowiem czytać.

Zazgrzytał przekręcany w zamku klucz. Chłopiec uniósł głowę.

Uchyliły się drzwi, opadły z hałasem schodki. Wracał Ursus. Wszedł po trzech stopniach do wnętrza, niosąc w ręku zgaszoną latarnię.

W ślad za nim stąpały lekko po schodach cztery łapy. Był to Homo. I on również wracał razem z Ursusem do domu.

Przebudzony do reszty chłopiec siadł na posłaniu.

Wilk, głodny zapewne po nocnym spacerze, rozwarł pysk ukazując białe, ostre zęby.

Tylnymi łapami stał jeszcze na schodkach, a przednie oparł o próg budy kładąc łokcie na deskach, podobny do kaznodziei rozpartego w swojej mównicy. Z daleka obwąchał skrzynię, na której nie przywykł oglądać podobnych lokatorów. Jego wilcze popiersie rysowało się czarną sylwetką na tle jasności poranka w obramieniu drzwi. Namyślił się wreszcie i wszedł do środka.

Na widok wilka, chłopiec zerwał się, wyskoczył spod niedźwiedziej skóry i stanął przy dziewczynce, która nadal spała w najlepsze.

Ursus zawiesił latarnię na miejscu, na haku u pułapu. Milcząc, powoli, machinalnie rozwiązał swój pas z przyborami lekarskimi i odłożył go na półkę. Na nic nie patrzył, wydawać by się mogło, że niczego nie dostrzega. Źrenice miał, jak szklane. Najwidoczniej coś do głębi poruszyło jego umysłem. Aż Wreszcie, jak to miał we zwyczaju, objawił dręczące go uczucie mówiąc głośno;

– Szczęśliwa, szczęśliwa niewątpliwie!

Umarła! Przykucnął przy piecyku, dorzucił szufelkę miału i grzebiąc wśród żaru pomrukiwał sam do siebie:

– Odnalazłem ją z wielkim trudem. Jakaś złośliwość szatańska schowała ją w śniegu, głęboko na dwie stopy. Gdyby nie Homo, którego węch jest równie nieomylny co umysł Krzysztofa Kolumba, do tej pory grzebałbym się jeszcze w zaspie i bawił ze śmiercią w ciuciubabkę. Diogenes szukał z latarnią człowieka, ja szukałem z latarnią kobiety; on znalazł szyderstwo, a ja żałobę. Jakżeż była zimna! Dotknąłem jej ręki – istny kamień! Cóż za spokój w oczach. I jak to można być aż tak głupią, żeby umierając zostawiać dziecko. Niełatwo będzie pomieścić się nam teraz we troje w tym pudle. A to ci niespodzianka! Otóż i mam rodzinę! Córkę i syna.

Kiedy Ursus mówił tak do siebie, Homo przysunął się bliżej do pieca. Ze skrzyni zwisała ręka uśpionej dziewczynki. Wilk zaczął lizać tę rękę.

A robił to tak delikatnie, że maleństwo nie przebudziło się wcale.

Ursus odwrócił się.

– Dobrze, Homo, dobrze. Ja będę ojcem, a ty wujem.

Zajął się podsycaniem ognia – trud godny filozofa – i mówił dalej:

– Dokonaliśmy adopcji. Homo też wyraził swoją zgodę.

Wstał.

– Chciałbym wiedzieć, kto ponosi winę za śmierć tej kobiety. Czy ludzie? Czy...

Popatrzył w górę, gdzieś hen, Wysoko, a usta jego wyszeptały:

– Czy też może ty?

Pochylił głowę jakby pod ciężarem i mówił dalej:

– Noc wykonała wyrok śmierci.

Nagle spojrzenie jego napotkało twarz chłopca, który stał obok i słuchał. Ursus zapytał gwałtownie:

– Czemu się śmiejesz?

– Ja się nie śmieję – odpowiedział mały.

Ursus wstrząsnął się cały, uważnie, w milczeniu przypatrywał mu się przez chwil kilka i wreszcie powiedział:

– Jesteś przerażający.

W nocy wnętrze budy oświetlone było tak słabo, że Ursus nie widział jeszcze właściwie twarzy chłopca. Pokazało mu ją dopiero światło dnia.

Położył swoje obie dłonie na ramionach dziecka i przypatrywał mu się z uwagą, w skupieniu, w przerażeniu. Krzyknął wreszcie:

– Przestań się śmiać!

– Ja się nie śmieję – powtórzył mały.

Ursus zatrząsł się cały.

– Śmiejesz się, mówię, że się śmiejesz!

Potrząsnął chłopcem, nie wiadomo – ze złości bardziej czy z litości, i zapytał gwałtownie:

– Kto ci to zrobił?

– Nie rozumiem, co pan do mnie mówi – odpowiedział chłopiec.

Ursus pytał dalej:

– Od kiedy tak się śmiejesz?

– Zawsze byłem taki – odrzekł.

Ursus odwrócił się ku skrzyni mówiąc półgłosem:

– Sądziłem, że zaprzestano już tych praktyk.

Ostrożnie wyciągnął spod główki śpiącego niemowlęcia księgę, co służyła mu za poduszkę.

– Poradźmy się Conquesta – mruknął.

Był to gruby tom oprawny w miękki pergamin. Przewracał palcem kartki, aż wreszcie znalazł odpowiednią stronę, rozłożył księgę na piecu i zaczął czytać:

– *...De Denasatis.* – Tak, to tutaj.

Czytał dalej:

– *Bucca fissa usque ad aures, gerizvis denudatis, nasoque murdridato, masca eris, et ridebis semper.*

– To będzie to.

Odłożył księgę na jedną z półek.

– Zbyt głębokie dociekanie tej sprawy byłoby niebezpieczne. Zatrzymajmy się na powierzchni. Śmiej się, mój chłopcze – mruknął.

Dziewczynka obudziła się i zapłakała na powitanie.

– Hej, mamko, dawaj piersi! – rzekł Ursus.

Mała usiadła na posłaniu. Ursus wziął butelkę z pieca i wsunął dziecku do ust smoczek.

W tej chwili właśnie słońce ukazało się na widnokręgu. Czerwony jego promień przebił szybę i padł prosto na twarzyczkę siedzącej dziewczynki. Źrenice dziecka, okrągłe, otwarte szeroko, patrzyły w słońce odbijając jego purpurę niby dwa zwierciadła. Pozostały nieruchome, nie drgnęły również powieki.

– Jest ślepa! – powiedział Ursus.

CZĘŚĆ DRUGA

Z ROZKAZU KRÓLA

KSIĘGA PIERWSZA

WIEKUISTA OBECNOŚĆ PRZESZŁOŚCI; CZŁOWIEK ODBIJA SIĘ W LUDZIACH

I. LORD CLANCHARLIE

I

Nie umarło jeszcze w one czasy pewne stare wspomnienie. Wspomnieniem tym był lord Linneusz Clancharlie.

Baron Linneusz Clancharlie, rówieśnik Cromwella, był jednym z tych parów Anglii – nielicznych zresztą, powiedzmy to od razu – co stanęli po stronie republiki. Zajęcie takiego stanowiska miało swoją rację istnienia i wytłumaczyć je można, republika zwyciężyła bowiem na pewien czas. Zrozumiałe jest, że lord Clancharlie był stronnikiem republiki, jak długo republika była przy władzy. Lecz lord Clancharlie pozostał przy swoich republikańskich poglądach i po skasowaniu republiki, po upadku rządu parlamentarnego. Ów magnat o wielkim nazwisku mógł przecież bez trudności powrócić na miejsce swoje w Wysokiej Izbie, na powrót ukonstytuowanej, skrucha zawsze bowiem dobrze bywa widziana przez restaurowaną monarchię, a Karol II był władcą łaskawym i wyrozumiałym dla wszystkich, którzy tylko zechcieli do niego powrócić; cóż, kiedy lord Clancharlie zgoła nie umiał zrozumieć, jakie obowiązki nakłada nań rozwój wypadków. Kiedy cały naród oklaskiwał króla, co z powrotem zagarniał Anglię w swoje posiadanie, kiedy wydawała swój wyrok jednomyślność, kiedy lud bił pokłony przed monarchią, kiedy dynastia podnosiła się z upadku wśród radosnych triumfalnych hymnów odwołujących wszystko, co wyznawano jeszcze do niedawna, kiedy przeszłość stawała się przyszłością, a przyszłość – przeszłością, lord ów pozostał krnąbrny, oporny. Odwrócił się od powszechnej radości; dobrowolnie poszedł na wygnanie; mógł być parem, a obrał sobie los banity. I tak upłynęły lata. Zestarzał się w wierności do umarłej republiki. I okrył się śmiesznością – skutek to naturalny podobnej dziecinady.

Lord Clancharlie schronił się do Szwajcarii. Zamieszkał tam w na wpół rozwalonym zamczysku, wysoko w górach, w jednym z najdzikszych zakątków wybrzeża Genewskiego Jeziora, pomiędzy Chillon, gdzie znajduje się więzienie Bonniyarda, i Vevey, gdzie jest grób Ludlowa. Surowe, mroczne Alpy skryły go pośród swoich chmur i wiatrów. Żył tam w cieniu gór. Czasami – rzadko bardzo – spotykał go jakiś przygodny przechodzień. Człowiek ten istniał poza swoim krajem, poza swoją epoką nieledwie. Tym, co z bliska przyglądali się wydarzeniom w kraju, opór podobny musiał wydać się nie do pojęcia, nie do usprawiedliwienia. Anglia była szczęśliwa; restauracja to niby pogodzenie się dwojga małżonków; władca i naród powrócili oto do wspólnego łoża; jakież wydarzenie może być bardziej radosne i wesołe? Wielka Brytania promieniała. Mieć króla to już wiele, co ważniejsza, król ów był czarujący: Karol II był człowiekiem równie ujmującym i w zabawie, i w rządach, był wielkim królem na wzór Ludwika XIV, rycerskim i dwornym. Poddani ubóstwiali go; prowadził wojnę z Hanowerem, słuszną zapewne, choć powody jej jemu jednemu tylko były wiadome; sprzedał Dun-

kierkę Francji – posunięcie również z dziedziny wyższej polityki. Demokratyczni parowie, o których Chamberlayne wyraził się, iż: „Przeklęta republika, zatruła swoim cuchnącym oddechem kilku wysoko urodzonych szlachciców", mieli dość rozsądku, by skapitulować wobec rzeczywistości, dotrzymać kroku rozwojowi wydarzeń i zająć na powrót należne im miejsca w Wysokiej Izbie. Król zadowolił się złożeniem przez nich wiernopoddańczej przysięgi. Jakżeż pomyślnie kształtowały się wypadki: wspaniała monarchia, wielki i dobry król, dostojni książęta, których miłosierdzie boże przywraca miłości ludu; najpotężniejsi magnaci – jak Monk czy też później nieco Jeffreys – powracają, by ukorzyć się przed tronem, i zostają wynagrodzeni – jakże słusznie – za swoją wierność i zapał najszczytniejszymi, najbardziej dochodowymi stanowiskami w państwie. Lord Clancharlie wiedział niewątpliwie, że W sławie i honorach może zasiąść u ich boku, że zależy to tylko od niego samego. Wiedział, że Anglia wzniosła się dzięki swemu królowi na sam szczyt powodzenia, że życie w Londynie było jednym nie kończącym się pasmem zabaw i świąt, że wszystkich ogarnął zapał, że wszyscy opływali w bogactwa, że dwór był wytworny, wesoły, wspaniały. Jeżeliby ktoś kiedyś przypadkiem, z dala od owego przepychu, w jakimś posępnym półcieniu podobnym do zmierzchu zobaczył, jak starzec ów, ubrany niczym człowiek z ludu, blady, roztargniony, przygarbiony, coraz bliższy grobu, stoi nad brzegiem jeziora nie zważając na niepogodę i zimno, jak idzie bez celu, że spojrzeniem utkwionym gdzieś W przestrzeni, z włosami rozwianymi przez wiatr, milczący, samotny, zamyślony – czyż mógł wówczas powstrzymać się od uśmiechu?

Była to postać szaleńca.

Kiedy pomyślało się o lordzie Clancharlie, o tym, czym mógł on być a czym został – uśmiech był niewątpliwie najpobłażliwszą formą wyrażenia swojego sądu. Wielu śmiało się W głos. Inni byli oburzeni.

Łatwo pojąć, że poważni ludzie gorszyć się musieli podobnie beztroskim, lekkomyślnym odejściem w samotność.

Jako okoliczność łagodzącą podać tu należy, że lord Clancharlie bystrością nie odznaczał się nigdy. Była to powszechna, jednogłośna opinia.

II

Ludzie trwający w swoim uporze – widok to nad wyraz nieprzyjemny. Takie regulusowe gesty nie mogą się podobać nikomu i opinia publiczna przyjmuje je z pewną ironią.

Niezłomność tego rodzaju zbyt podobna jest do wyrzutu i słusznie budzi śmiech.

A wreszcie – ujmując sprawy najszerzej – czy rzeczywiście upór, nieugiętość uważać należy za prawdziwą cnotę? Czy w tym przesadnym podkreślaniu własnego honoru i nieprzekupności nie kryje się chęć zwrócenia na siebie uwagi? Czy nie jest to popis przede wszystkim? I po cóż zaraz ta przesada z tym samotnictwem, Z tym wygnaniem? Przesadzać w niczym nie należy – oto maksyma prawdziwego mędrca. Wolno być w opozycji, proszę bardzo; gańcie, jeśli tego chcecie, ale w sposób przystojny i krzycząc przez cały czas: niech żyje król! Jedyną prawdziwą cnotą jest rozsądek. Co upada, najwidoczniej upaść musiało, a co zwycięża, zwyciężyć musiało najwidoczniej. Opatrzność nie postępuje bezzasadnie, wieńczy ona tego, który na to zasłużył. I komuż to wolno uważać się za mądrzejszego od opatrzności? Kiedy wydarzenia wydadzą już swój wyrok, kiedy jeden ustrój został zastąpiony przez inny, kiedy przez powodzenie dokonał się rozdział dobrego od złego – tu zwycięstwo, tam. klęska – i cóż jeszcze podawać można w wątpliwość? Człowiek uczciwy staje po tej stronie, gdzie jest racja, i choć niewątpliwie dzieje się to z korzyścią dla majątku jego i rodziny, on jednak nie dopuszcza do siebie nawet podobnych rozważań; myśli wyłącznie o sprawach publicznych i popiera tego, co zwyciężył.

I cóż by się stało z państwem, gdyby nikt nie chciał być mu posłuszny? Czyżby wszystko miało się zatrzymać? Dobry obywatel nie zapomina nigdy, gdzie jest jego miejsce. Trzeba umieć poświęcić w potrzebie swoje upodobania osobiste. Urzędy muszą być obsadzone. Ktoś musi tutaj uczynić ofiarę z siebie. Wierność funkcji publicznej – to też wierność przecież. Odsuwanie się urzędników od urzędów paraliżuje funkcjonowanie państwa. Skazujesz się dobrowolnie na wygnanie? Rzecz to zaiste pożałowania godna. Czyż ma to być przykład? Cóż za próżność! Czyż ma to być wyzwanie? Cóż za zuchwałość! Za kogóż ty się uważasz w końcu? Otóż dowiedz się, że wcale nie jesteśmy mniej warci od ciebie. My nie zdezerterujemy. Gdybyśmy zechcieli tylko, w każdej chwili moglibyśmy stać się jeszcze bardziej od ciebie nieugięci i niezłomni. Ale my wolimy zachować się tak, jak nakazuje rozsądek. Czy sądzisz może, że skoro jestem Trymalchionem, nie stać mnie na to, żeby zostać Katonem? Dobre sobie!

III

Nigdy jeszcze sytuacja nie była tak jasna i jednoznaczna jak w roku 1660. Nigdy jeszcze dla każdego uczciwego umysłu sposób postępowania, jedyny, jaki przyjąć należało, nie rysował się z wyrazistością tak wielką.

Anglia odetchnęła po Cromwellu. Za czasów republiki zaszło wiele nieprawidłowych zgoła wydarzeń. Stworzono przecież supremację angielską; z pomocą wojny trzydziestoletniej podporządkowano sobie Niemcy, z pomocą Frondy umniejszono znaczenie Francji, z pomocą księcia de Braganca osłabiono Hiszpanię. Z Mazariniego Cromwell zrobił swego sługę; protektor Anglii umieszczał na traktatach swój podpis nad podpisem króla Francji; na Indie nałożono ośmiomilionową kontrybucję, Anglia zagrażała Tunisowi i Algerowi, podbiła Jamajkę, upokorzyła Lizbonę, w Barcelonie roznieciła opór przeciwko francuskim, wpływom, w Neapolu – powstanie. Masaniella; Portugalia zawarła sojusz z Wielką Brytanią, rozgromiono Berberów od Gibraltaru po Kandię, Anglia zapanowała na morzach i poprzez handel, i poprzez zwycięstwa; dziesiątego sierpnia 1655 roku stary admirał Marcin Happertz Tromp, który zwał sam siebie „Dziadkiem marynarzy", zwycięzca w trzydziestu trzech bitwach, co pobił flotę hiszpańską, został rozbity przez angielską flotę; Atlantyk odebrano Hiszpanom, Pacyfik – Holendrom, Morze Śródziemne – Wenecji; opanowano wszystkie porty; posiadając oceany – Anglia miała w ręku cały świat; flaga holenderska pokornie pozdrawiała na morzu brytyjską flagę; Francja, w osobie ambasadora Maricini, ugięła kolano przed Oliwerem Cromwellem. Cromwell ów igrał losami Dunkierki i Calais niczym żongler, co podrzuca na rakiecie dwie piłeczki; Anglia trzęsła kontynentem, dyktowała pokój, decydowała o wojnie, sztandar jej powiewał na wszystkich najwyższych szczytach ziemi; jeden pułk wojska protektora trzymał w postrachu Europę niczym cała armia. „Chcę, by szanowano republikę angielską, jak szanowano republikę rzymską" – tak rzekł Cromwell; nie ostało się nic świętego; zapanowała wolność i słowa, i prasy; publicznie, na ulicy, ludzie mówili to, co chcieli, i drukowali to, co chcieli, bez cenzury, bez kontroli; zachwiała się równowaga tronów; cały porządek monarchii europejskich, w których Stuartowie włączeni byli jako nieodzowne ogniwo, został zakłócony. I oto nareszcie Anglia wydostała się spod tego reżimu budzącego tylko odrazę i uzyskała przebaczenie.

Karol II ogłosił w swej pobłażliwości Deklarację z Bredy. Udzielił Anglii rozgrzeszenia, wspaniałomyślnie wymazał z pamięci świata epokę, w, której syn piwowara z Huntingdon stawiał stopę na głowie Ludwika XIV. Anglia biła się w piersi i oddychała nareszcie. Wspominaliśmy już, że we wszystkich sercach zagościły swoboda i wesele; szubienice, na których wieszano królobójców, powiększały powszechną radość. Restauracja – to uśmiech, ale nieco

szubienicy nie zaszkodzi, trzeba przecież zaspokoić powszechne poczucie sprawiedliwości. Duch buntu został rozgromiony, odbudowywała się praworządność. Stać się dobrym i wiernym poddanym – oto jedyna odtąd ambicja każdego. Przeminął szał polityki, wyszydzano rewolucję, kpiono z republiki, z tej dziwacznej epoki, w której każdy i w każdej chwili miał na ustach same tylko wielkie słowa: P r a w o, W o l n o ś ć, P o s t ę p; jakże głośno drwiono sobie z tej przesady. Nic milszego niż powrót do zdrowego rozsądku; Anglia żyła przez czas pewien jak we śnie. Jak dobrze przebudzić się wreszcie. Czyż może w ogóle być coś bardziej niedorzecznego? Do czego byśmy doszli, gdyby każdy pierwszy lepszy miał prawa, gdyby wszyscy chcieli rządzić krajem? Czyż można sobie wyobrazić państwo, w którym sprawują władzę obywatele? Obywatele to zaprzęg, a zaprzęg to jeszcze nie woźnica. Głosowanie powszechne to rzucenie na wiatr losów kraju. Czyż chcielibyście, żeby państwa były niczym obłoki poruszane kapryśnymi podmuchami? Z bezładu nie uformuje się ład. Gdzie chaos jest architektem, tam budowlą może być tylko wieża Babel. A oprócz tego ta tak zwana wolność – cóż to za tyrania! Ja chcę się bawić, a nie rządzić. Głosowanie mnie nudzi, chcę tańczyć! Władca, co sam się wszystkim zajmuje, toż to opatrzność prawdziwa! Jakże wielkoduszny jest król, skoro chce dla nas zadawać sobie tyle trudu! No, i został do tego stworzony, wychowany, wie, co to jest. Są to jego sprawy. Pokój, wojna, prawodawstwo, finanse – a cóż to obchodzi narody? Niewątpliwie, naród musi płacić, niewątpliwie, naród musi służyć i bić się, ale to powinno mu wystarczyć chyba! Ma on swoją cząstkę w polityce, z niego to przecież biorą się dwie siły w państwie: armia i skarb. Być płatnikiem podatków i żołnierzem, czyż to nie dosyć? Czegóż mu trzeba więcej? Jest on zbrojnym ramieniem władcy i dostawcą do jego skarbca. Wspaniała to rola. Ktoś rządzi za naród i dla narodu, słuszne jest więc, żeby mu naród płacił za tę przysługę. Podatki i lista cywilna to zapłata, na którą zarobili sobie książęta, a którą uiszczają im narody. Naród daje swoją krew i swoje pieniądze i jest rządzony w zamian za to. Rządzić się samemu – cóż za pomysł obłąkany! Narodowi potrzeba przewodnika. Lud jest ślepy, bo jest ciemny. A każdy ślepiec musi mieć swego psa. Tylko że wobec ludu to lew, król, godzi się pełnić te psie funkcje. Jak wielką jest dobroć jego! Ale dlaczego lud jest ciemny? Dlatego, że trzeba, aby takim był. Niewiedza to stróż cnoty. Gdzie nie ma widoków, tam nie ma i ambicji; człowiek ciemny żyje pośród dobroczynnej nocy i niczego nie pragnie, ponieważ niczego nie umie zobaczyć. I jest niewinny dzięki temu. Kto czyta, ten myśli, kto myśli, ten rozumuje. Nie rozumować – na tym polega obowiązek człowieka, na tym polega również i jego szczęście. Oto prawdy, którym zaprzeczyć, niesposób. Opiera się na nich porządek społeczny.

Tak więc oto przywrócono w Anglii święte zasady społecznego porządku. Tak więc oto zrehabilitował się naród. Równocześnie znów powrócono do naprawdę pięknej literatury. Z pogardą odrzucono Szekspira i podziwiano Drydena. „Dryden to największy poeta Anglii, to największy poeta naszych czasów" – głosił Atterbury, tłumacz *Achitophela*. Była. to epoka, w której kiedy Saumaise raczył wdać się w dysputę i obrzucić obelgami autora *Raju utraconego* – Huet, biskup Avranches, tak pisał do Saumaise'a: „Jak może pan zajmować się postacią tak nic nie znaczącą co ów Milton[167]." Wszystko odradzało się i powracało na właściwe miejsce. Dryden szedł w górę, Szekspir spadał w dół, Karol II był na tronie, Cromwell – na szubienicy. Anglia podnosiła się z poniżenia i ekstrawagancyj przeszłości. Jakże wielkie jest szczęście narodu, kiedy monarchia naprowadza go z powrotem na drogę praworządności w państwie i dobrego smaku w literaturze!

Doprawdy w głowie się nie mieści, że ktoś mógłby nie poznać się na dobrodziejstwach aż tak oczywistych. Odwrócić się od Karola II, niewdzięcznością odpłacić za wspaniałomyślność, jaką okazać raczył wstępując na opróżniony tron – czyż nie była to potworność prawdziwa? Postępek lorda Linneusza Clancharlie musiał zmartwić każdego uczciwego człowieka. Boczyć się na szczęście własnej ojczyzny– obłęd to niewątpliwy!

W roku 1650, jak to powszechnie wiadomo, parlament ustalił taką oto formułę przysięgi: „Obiecuję, że dochowam wierności republice, bez króla, bez władcy, bez pana.” Lord Clancharlie, osłaniając się twierdzeniem, że złożył był tę właśnie potworną przysięgę, żył poza granicami królestwa i uznał za swój obowiązek pogrążenie się w smutku, wbrew powszechnej radości. Pielęgnował ponury szacunek dla tego, czego już nie było, zachował dziwaczne przywiązanie do spraw umarłych.

Nie było też dla niego żadnego usprawiedliwienia; opuszczali go najżyczliwsi. Przyjaciele jego przez długi czas darzyli go zaufaniem przypuszczając, że włączył się w republikańskie szeregi po to tylko, by z bliska wybadać błędy i pęknięcia w pancerzu republiki, by – gdy nadejdzie godzina – uderzyć w nią tym skuteczniej, z tym większą korzyścią dla świętej sprawy króla. Takie wyczekiwanie na stosowną chwilę, by zadać wrogowi cios od tyłu, jest również formą lojalności. I tego też spodziewano się po lordzie Clancharlie, tak bardzo bowiem opinia skłonna była osądzać go życzliwie. Lecz cóż – wobec niepojętego, zatwardziałego republikanizmu starego lorda trzeba było wreszcie odstąpić od owego dobrego mniemania. Lord Clancharlie był najwidoczniej wierny swoim przekonaniom, a więc był głupcem.

Pobłażliwsi tłumaczyli postępowanie jego już to dziecinnym uporem, już to starczym otępieniem.

Ludzie surowi, sprawiedliwi posuwali się dalej. Piętnowali otwarcie tak uporczywe trwanie w herezji. Głupota ma swoje prawa, ma jednak również i swoje granice. Można być prostakiem, nie powinno się jednak być buntownikiem. Kimże był w końcu ów lord Clancharlie? Odstępcą, zbiegiem! Opuścił swój obóz – arystokrację – i przeszedł do obozu wroga, na stronę ludu. Ów wierny był pospolitym zdrajcą. To prawda, że „zdradził” silniejszego, a dochował wierności słabszemu, to prawda, że obóz, do którego przystąpił, był obozem zwyciężonych, to prawda, że przez swoją „zdradę” tracił wszystko – przywilej polityczny, domowe ognisko, parostwo, ojczyznę – a zyskiwał tylko śmieszność, a jedyną korzyścią jego było wygnanie. Lecz o czym. świadczy to tylko? Że jest on głupcem, każdy chyba przyzna.

Zdrajca i głupiec– oto jak rzecz się ma.

Głupcem wolno być każdemu, ale pod jednym warunkiem: żeby nie dawał złego przykładu. Od głupców wymaga się jednego tylko: uczciwości; dzięki niej stać się oni mogą nawet podstawą każdej monarchii. Lecz ciasnota umysłowa tego Clancharlie to coś, co trudno sobie nawet wyobrazić. Na całe życie oślepił go fajerwerk rewolucji. Dał się wciągnąć republice i pozwolił jej wyrzucić się poza nawias życia. Obrażał swój własny kraj. Postawa jego była wiarołomstwem najczystszej wody. Usunąć się – to tyle samo co znieważyć. Wydawać by się mogło, że ucieka przed powszechną radością jak przed cholerą. Jego dobrowolna banicja była stronieniem od narodowej pomyślności. Królestwo potraktował jak zarazę. Wyrastał posępnie ponad uroki monarchii, niby czarna chorągiew zatknięta na budynku zakaźnego szpitala. Jakżeż mógł – wobec przywrócenia praworządności, podniesienia z upadku narodu, odbudowania religii – pokazywać tak ponure oblicze, mącić cieniem swoim tę pogodę, odwracać się z niechęcią od zadowolonej Anglii! Być chmurą na tym ogromnym, błękitnym niebie! Upodobnić się do groźby! Protestować przeciwko woli narodu! Odmawiać swej aprobaty powszechnemu zadowoleniu! Byłoby to wręcz ohydą, gdyby nie było przede wszystkim błazeństwem. Ten Clancharlie nie zdawał sobie sprawy, że można wprawdzie pobłądzić z Cromwellem, należy jednak powrócić z Monkiem. O, proszę – Monk na przykład. Był wodzem republikańskiej armii; Karol II powiadomiony o jego uczciwości, pisze doń z wygnania; Monk, który łączy cnotę z chytrością, z początku udaje, potem nagle rozpędza, stojąc na czele swoich wojsk, buntowniczy parlament, intronizuje króla i zostaje księciem Albemarle, nosi słusznie szczytne imię zbawcy społeczeństwa, opływa w bogactwa, staje się prawdziwą chlubą swojej epoki, jest kawalerem orderu podwiązki z perspektywą wiecznego spoczynku w Westminsterze. Tak ogromna jest sława wiernego Anglika. Lord Clancharlie nie potrafił wznieść się na te wyżyny w pojmowaniu swojego obowiązku. Obrał sobie zaślepienie i bez-

wład wygnania. Zadowolił się pustą deklamacją. Człowieka tego poraziła pycha. Słowa – sumienie, godność itd. – to wreszcie tylko słowa. Trzeba patrzyć dalej.

Otóż lord Clancharlie nie potrafił patrzyć dalej. Miał on sumienie krótkowidza, zanim dokonał jakiegokolwiek czynu, musiał najpierw przyjrzeć się mu z aż tak bliska, by móc poczuć, jaką woń wydziela. I stąd też jego bezsensowne wstręty. Z podobną wrażliwością niesposób być mężem stanu. Nadmiar uczciwości przeradza się w kalectwo. Człowiek zbyt skrupulatny – to bezręki wobec berła, które pochwycić należy, to eunuch wobec fortuny, którą należy zaślubić. Strzeżcie się skrupułów. Mogą one zawieść daleko. Nierozsądna wierność to schody piwniczne prowadzące w dół. Jeszcze jeden stopień, jeszcze jeden i jeszcze jeden i oto nagle znajdujemy się wśród ciemności. Zręczniejsi wracają na górę, naiwni zostają. Nie wolno dopuścić lekkomyślnie, by sumienie zaprowadziło nas na bezdroża. Stopniowo, stopniowo dochodzi się wreszcie do purytanizmu politycznego najbardziej nasyconej barwy. A wówczas człowiek jest zgubiony. To się właśnie zdarzyło z lordem Clancharlie.

Zasady stają się w końcu przepaścią bez wyjścia.

Spacerował sobie z rękami założonymi z tyłu nad brzegiem Genewskiego Jeziora. Piękny los!

Wspominano czasami w Londynie o tym nieobecnym. W oczach publicznej opinii był on prawie jak oskarżony. I broniono go, i potępiano. A wszyscy stwierdzali zgodnie, że głupota jest w tym wypadku okolicznością łagodzącą.

Wielu spośród byłych entuzjastów byłej republiki przeszło na stronę Stuartów. Można im to tylko chwalić. Ci, oczywiście, szkalowali go nieco. Oporni niemili są tym, co starają się przypodobać. Co bystrzejsi spośród dobrze widzianych i dobrze opłacanych na dworze, urażeni jego nieprzyjemną postawą, mawiali chętnie: „Jeżeli się nie przyłączył, to dlatego, że ofiarowano mu zbyt niską zapłatę" itd. „Chciał zostać kanclerzem, a król uczynił nim lorda Hyde" itd. A jeden spośród jego „dawnych przyjaciół" dodawał nawet szeptem: „Sam mi to powiedział." Choć Linneusz Clancharlie żył bardzo samotnie – przez wygnańców napotkanych przypadkiem, przez starych królobójców, jak Andrzej Broughton, co zamieszkiwał w Lozannie, dochodziły go czasami niektóre z tych zdań. Ograniczał się wówczas w odpowiedzi do lekkiego wzruszenia ramion – znak to najgłębszego otępienia.

Raz jeden nawet uzupełnił to wzruszenie ramion takimi oto słowami: „Żal mi tych, co w to wierzą.".

IV

Karol II, człowiek dobry, miał go w pogardzie. Szczęście Anglii pod panowaniem Karola II było nie szczęściem już właściwie, a wniebowzięciem. Restauracja to jakby stary, poczerniały obraz, który odczyszczono; przeszłość ożywa. Powróciły stare, dobre obyczaje, piękne kobiety rządziły i królowały. Evelyn wspomina o tym w swoim dzienniku: „Rozpusta, profanacja, obraza boska. Pewnej niedzieli wieczorem widziałem króla w otoczeniu kochanie, widziałem tę Portsmouth, tę Cleveland, tę Mazarin i jeszcze dwie czy trzy w galerii gry, wszystkie na pół nagie." W opisie tym da się wyczuć pewna niechęć; lecz Evelyn był zrzędliwym purytaninem, otumanionym przez republikańskie mrzonki. Nie potrafił docenić, jak korzystnym przykładem są takie królewskie zabawy, babilońskie w wielkim stylu, jak bardzo przykład taki wpływa na wzrost wytworności i luksusu. Nie potrafił on zrozumieć pożyteczności występku. Nie tępcie występku, jeżeli chcecie mieć czarujące kobiety – oto reguła. W przeciwnym wypadku podobni będziecie głupcom, co niszczą gąsienice przepadając za motylami.

Tak wiec Karol II ledwie że pamiętał o istnieniu nieprzejednanego republikanina imieniem. Clancharlie. Jakub II jednakże odznaczał się większą czujnością i uwagą. Karol II rzą-

dził łagodnie, miękko, taki już miał obyczaj; i powiedzmy od razu, że wcale nie rządził gorzej z tego powodu. Marynarz na linie przeznaczonej do ujarzmienia wiatru robi nieraz luźną pętlę, którą zaciska później sam wiatr. Tak wielkim bowiem głupcem jest i huragan, i lud. Rządy Karola II były właśnie ową luźną pętlą, która zresztą zacisnęła się bardzo szybko.

Zaciskanie to rozpoczęło się ze wstąpieniem na tron Jakuba II. Dławiono coraz staranniej wszystko, co pozostało jeszcze po rewolucji. Jakub II żywił chwalebną ambicję, by panować skutecznie. Rządy Karola II były, zdaniem jego, zaledwie pierwszym zarysem restauracji. Jakub II pragnął bardziej całkowitego, bardziej trwałego przywrócenia praworządności. Jakże żałował, że w roku 1660 poprzestano na powieszeniu dziesięciu tylko królobójców. Postanowił bardziej, rzeczowo zabrać się do odbudowy królewskiej władzy. Wprowadził w życie zasady rzeczywiście poważne, zapanowała sprawiedliwość, ta prawdziwa, co wznosi się ponad sentymentalne deklamacje i na pierwszym miejscu stawia społeczny interes. Po takiej opiekuńczej surowości poznać można prawdziwego ojca państwa. Jakub II oddał sprawiedliwość w ręce Jeffreysa, szpadę – w ręce Kirke'a. Kirke mnożył przykłady. Ów pożyteczny pułkownik kazał dnia pewnego trzy razy pod rząd wieszać i odcinać tego samego człowieka, republikanina, pytając go po każdym zdjęciu z szubienicy: „Wyrzekasz się republiki?" Złoczyńca za każdym razem odpowiadał przecząco, aż wreszcie skonał. „Powiesiłem go czterokrotnie" – rzekł Kirke z zadowoleniem. Powrót do tortur i kaźni to znak, że władza okrzepła w swej sile. Lady Lyle, która wyprawiła przecież swego syna na wojnę przeciw Montmouthowi, została jednak skazana na śmierć za to, że przechowała u siebie dwu buntowników. Inny buntownik, który zachował jeszcze dość uczciwości, by wyznać, że pewna kobieta, anabaptystka, udzieliła mu schronienia, został ułaskawiony. Ową kobietę zaś spalono żywcem. Kiedy indziej znów Kirke wieszając dziewiętnastu mieszczan dał do poznania pewnemu miastu, iż wie dobrze o panujących tam republikańskich nastrojach. Odwet to jak najsłuszniejszy zaiste; bo pomyślmy tylko – za czasów Cromwella:

obcinano po kościołach uszy i nosy świętym figurom z kamienia! Jakub II, który potrafił dobrać sobie Jeffreysa i Kirke'a, był księciem przesiąkniętym religijnością najszczerszą, umartwiał się szpetotą swoich kochanek i słuchał ojca Colombiere, kaznodziei, co kazał z namaszczeniem równym prawie namaszczeniu ojca Cheminais, tylko że jeszcze żarliwiej. Ojciec Colombiere tym poszczycić się może, że przez pierwszą połowę swego życia był doradcą Jakuba II, przez drugą zaś – spowiednikiem i inspiratorem Marii Alacoque. To dzięki tej silnej pożywce religijnej właśnie mógł później Jakub II tak godnie znosić wygnanie, kiedy to usunąwszy się do Saint-Germain stanowił przykład prawdziwy króla, co wyższy jest nad zmienne losy i fortuny. I dożył tam do końca swoich dni, lecząc skrofuły dotknięciem dłoni i prowadząc pobożne rozmowy z jezuitami.

Pojąć nie trudno, że król ów musiał zainteresować się w jakiś sposób buntownikiem tej miary co lord Linneusz Clancharlie. Parostwa dziedziczne i przenaszalne mogą stać się nieelada kąskiem; jasne więc było, że jeżeli trzeba będzie zabezpieczyć się jakoś od strony tego lorda, Jakub II nie zawaha się na pewno.

II. LORD DAWID DIRRY-MOIR

I

Lord Linneusz Clancharlie nie zawsze był banitą i starcem. I on też miał swój okres namiętnej młodości. Wiemy – od Harrisona i Pride'a – że młody Cromwell też lubił kobiety i

uciechy; niekiedy (inny aspekt zagadnienia kobiety) zapowiada to buntownika. Nie ufajcie źle zawiązanym pasom. *Male praecinctum juvenem cavete.*

Lord Clancharlie, tak jak i Cromwell, miał swoje chwile szaleństwa i zapomnienia. Wiedziano też ogólnie, że zostawił dziecko nieprawe, syna. Syn ów narodził się w Anglii kiedy republika już upadała, kiedy ojciec jego szedł na wygnanie. Dlatego też nigdy nie poznał tego swego ojca. ów bękart lorda Clancharlie wzrastał na dworze Karola II jako królewski paź. Zwano go lordem Dawidem Dirry-Moir; został lordem „z łaskawości", matka jego była bowiem damą szlachetnego rodu. Kiedy lord Clancharlie prowadził w Szwajcarii żywot samotnego puszczyka, matka ta, osoba wielkiej urody, zajęła wobec zmian w kraju stanowisko mniej nieprzejednane. Przebaczono jej też pierwszego kochanka – nieujarzmionego dzikusa – dzięki następnemu, który był człowiekiem ponad wszelką wątpliwość układnym i rojalistą – był to bowiem sam król. Dama ta była więc kochanką Karola II przez czas pewien, dość długo w każdym razie, by jego królewska mość uradowany, że udało się mu odbić republice ową piękność, uczynił małego lorda Dawida, syna uroczej branki, jednym ze stu siedemdziesięciu królewskich pokojowców z prawem noszenia wielkiej szpady; później nieco wszedł on do grona pensjonariuszy królewskich, został jednym z czterdziestu halabardników noszących złotą halabardę; z mocy przywileju nadanego przez Henryka VIII królewskim dworzanom miał on również prawo stawiania półmisków na królewskim stole. Tak więc kiedy ojciec jego siwiał powoli na wygnaniu, lord Dawid żył sobie w najlepsze na dworze Karola II.

A i później, za Jakuba II, też dobrze mu się wiodło.

Król umarł, niech żyje król!, czyli non *deficit alter, aureus!*

Ze wstąpieniem na tron księcia Yorku lord Dawid otrzymał oficjalne prawo podpisywania się lord Dawid Dirry-Moir, od dóbr lennych, które matka umierając pozostawiła mu w spadku. Dobra owe leżały w Szkocji, w wielkiej puszczy, gdzie napotkać można ptaka zwanego krag, co żłobi sobie dziobem gniazdo w pniu dębu.

II

Król Jakub II pragnął być nie tylko królem, lecz również i wielkim wodzem. Chętnie otaczał się młodymi oficerami. Lubił pokazywać się publicznie konno, w hełmie i w pancerzu, a obfita peruka spadała mu spod hełmu na pancerz; prawdziwy konny pomnik wojennej głupoty. Upodobał on sobie ujmującą powierzchowność młodego lorda Dawida. Wybaczył mu ojca – republikanina; ojciec, którego się człowiek wyrzeka, nie bywa przeszkodą w robieniu kariery u dworu. Król mianował lorda Dawida swoim pokojowcem przybocznym z pensją tysiąca funtów.

Był to zaszczyt nie lada. Pokojowiec przyboczny sypia w królewskiej sypialni, na łożu rozstawianym w pobliżu łoża królewskiego. Pokojowców takich jest dwunastu i zmieniają się oni w sypialni króla co noc.

Prócz tego był lord Dawid generalnym nadzorcą królewskiego spichrza z owsem dla koni, z pensją dwustu sześćdziesięciu funtów. Miał więc pod sobą pięciu woźniców królewskich, pięciu pocztylionów królewskich, pięciu giermków królewskich, pięciu masztalerzy królewskich, dwunastu ludzi z pieszej królewskiej straży i czterech królewskich lektykarzy. Jemu również podlegała opieka nad sześciu końmi wyścigowymi, które król utrzymywał w Haymarket, co kosztowało go rocznie sześćset funtów. Lord Dawid rządził samowładnie w królewskiej szatni, która dostarcza strojów ceremonialnych kawalerom orderu podwiązki. Królewski odźwierny z czarną rózgą kłaniał mu się aż do ziemi. Urząd ten sprawował za czasów Jakuba II kawaler Duppa. Lord Dawid zyskał sobie również szacunek pana Bakera, królewskiego pisarza, i pana Browna, pisarza parlamentu. Wspaniały dwór angielski słynie z gościnności. Lord Dawid jako jeden z dwunastu prezydował przy biesiadach i przyjęciach. Przypa-

dał mu również zaszczyt stania za królem w dni ofiary, kiedy to władca daje na Kościół złotą monetę bizantyjską, *bysantium,* w dni wstęgi, kiedy to władca nakłada wstęgę swego zakonu, i w dni komunii, kiedy to przyjmują Najświętszy Sakrament tylko król i książęta, nikt więcej. On to również w Wielki Czwartek wprowadzał przed oblicze króla dwunastu ubogich, którym król dawał w jałmużnie tyle srebrnych groszy, ile liczył sobie lat życia, i tyle szylingów, ile liczył sobie lat panowania. Kiedy król chorował, jego to funkcją było przywoływanie dwu księży, zastępców wielkiego wikariusza, dla dotrzymania królowi towarzystwa i niedopuszczanie do łoża chorego majestatu lekarzy, chyba, że za specjalnym zezwoleniem rady stanu. Prócz tego był on jeszcze podpułkownikiem szkockiego regimentu gwardii królewskiej, tego właśnie, co grywa szkockiego marsza na kobzach.

W tym też charakterze odbył lord Dawid kilka wypraw wojennych, i to zaszczytnie, gdyż był rzeczywiście dzielnym wojskowym. Był to pan odważny, silny, piękny, wspaniały, wielce wytwornej postawy i obyczajów. Osoba jego odpowiadała jego pozycji. Był równie wysoki i urodzeniem, i wzrostem.

W pewnej chwili miał on już nawet zostać mianowanym *groom of the stole*[174], przez co uzyskałby przywilej podawania królowi koszuli przy ubieraniu; na to trzeba jednak być księciem albo parem.

Stworzyć para – to poważna sprawa. Trzeba najpierw stworzyć parostwo, czyli mnóstwo zawistnych. Byłaby to szczególna łaska królewska, a każda łaska przysparza królowi na stu wrogów jednego tylko przyjaciela, nie mówiąc już o tym, że przyjaciel ten okazuje się w końcu niewdzięcznikiem. Jakub II, polityk wytrawny, nie lubił stwarzać nowych parostw, już istniejące natomiast przekazywał bardzo chętnie. Przekazanie parostwa nie wywołuje poruszenia. Jest to po prostu dalsze trwanie nazwiska. Nie zmienia się grono lordów.

Dobra wola królewska bynajmniej nie wzdragała się przed tym, by wprowadzić lorda Dawida Dirry-Moir do Wysokiej Izby, byleby się to jednak odbyło poprzez bramę przekazanego parostwa właśnie. Jego królewska mość czekał tylko na sposobność, by Dawida Dirry-Moir, lorda „z łaskawości", uczynić lordem rzeczywistym, z prawa.

III

Sposobność taka nadarzyła się niebawem.

Dnia pewnego dotarły do Anglii wieści o starym banicie, lordzie Linneuszu Clancharlie. A najdonioślejsza z nich – że oto zmarł był właśnie. Śmierć o tyle jest pożyteczna dla człowieka, że odświeża pamięć o nim na chwilę. Każdy też opowiadał wszystko, co wiedział, lub też co mniemał, że wie, o ostatnich latach życia lorda Linneusza. W przeważnej mierze były to zapewne legendy i wymysły. Jeśliby uwierzyć tym opowieściom – nader wątpliwym na pewno – republikanizm lorda Clancharlie wzmógł się u schyłku jego życia tak dalece, jak utrzymywano, że stary buntownik zaślubił – do tego stopnia zdziczał na wygnaniu! – córkę jednego z królobójców, Annę Bradshaw – tak, podawano nawet jej nazwisko – która również umarła wydawszy na świat dziecko, chłopca, który jeżeli oczywiście wszystkie te szczegóły są prawdziwe, byłby legalnym synem i jedynym spadkobiercą lorda Clancharlie. Słuchy te mgliste, mało prawdopodobne, bardziej przypominały zwykłą plotkę niż poważną, wiarygodną wiadomość. Dla ówczesnej Anglii Szwajcaria leżała co najmniej tak daleko jak dziś Chiny. Lord Clancharlie miałby więc żeniąc się lat pięćdziesiąt dziewięć, a w chwili urodzenia się syna lat sześćdziesiąt. Umarł jakoby wkrótce potem, zostawiając dziecko, sierotę bez ojca i matki. Zapewne, że mogło się tak zdarzyć, wyglądało to wszystko jednak dość nieprawdopodobnie. Dodawano jeszcze, że dziecko jest „śliczne jak aniołek", jak zwykle, jak w każdej bajce. Król Jakub położył wreszcie kres tym pogłoskom, najoczywiściej zupełnie bezpod-

stawnym, ogłaszając dnia pewnego lorda Dawida Dirry-Moir jedynym i wyłącznym spadkobiercą – w braku legalnego potomstwa i z wali króla – lorda Linneusza Clancharlie, jego ojca naturalnego, „po sprawdzeniu i dowiedzeniu, że nie żyją żadni inni krewni i zstępni pomienionego lorda"; dekret nominacyjny potwierdzony został przez Izbę Lordów. W nadanym przywileju król przekazywał lordowi Dawidowi Dirry-Moir wszystkie tytuły i prawa zmarłego lorda Linneusza Clancharlie, z jednym warunkiem tylko: ażeby lord Dawid zaślubił—gdy dojdzie ona do stosownego wieku– pewną pannę, która w chwili nadania przywileju miała zaledwie kilka miesięcy, pannę, którą król już w kołysce uczynił księżniczką. Dlaczego? – Nikt nie wie. Czyli że wszyscy wiedzą aż nadto dobrze. Dziecko to zostało nazwane księżniczką Jozjaną.

W Anglii panowała wówczas moda na hiszpańskie imiona. Jeden z bękartów Karola II nazywał się Carlos hrabia Plymouth. Josiana – był to zapewne skrót dwu imion, Josefa i Ana. A może nawet istniało imię Josiana, tak jak istniało imię Josias. Pewien szlachcic z otoczenia Henryka III, Josias du Passage, nosił je przecież.

Tej to właśnie małej księżniczce nadał król parostwo Clancharlie. Przyszły jej mąż miał zostać parem. Parostwo to składało się z dwu kasztelani! – baronii Clancharlie i baronii Hunkerville; prócz tego każdy lord Clancharlie – za specjalnym zezwoleniem królewskim otrzymanym za jakąś dawną już zbrojną przysługę – był margrabią Corleone na Sycylii. Parom Anglii nie wolno w zasadzie używać cudzoziemskich tytułów; zdarzają się jednak wyjątki; tak więc na przykład Henryk Arundel, baron Arundel de Wardour, był hrabią Świętego Cesarstwa, jak również i lord Clifford, a lord Cowper był tegoż cesarstwa księciem; książę Hamilton we Francji nosi tytuł księcia de Chatellerault; Bazyli Feilding, hrabia Denbigh, jest w Niemczech hrabią von Habsburg, von Lauffenburg i von Rheinfelden. Książę Mariborough był księciem Mindelheim w Szwabii, a książę Wellington – księciem Waterloo w Belgii. Ten sam książę Wellington był również księciem hiszpańskim de Ciudad-Rodrigo i hrabią portugalskim de Vimeira.

W Anglii istniały dawniej i dziś jeszcze istnieją ziemie szlacheckie i ziemie nieszlacheckie. Ziemie należące do lorda Clancharlie były wszystkie szlacheckie, bez wyjątku. Ziemie te, zamki, miasta, bajlify, lenna, renty, alodia i włości przynależne do parostwa Clancharlie-Hunkerville były przejściowo własnością księżniczki Jozjany, król oświadczył bowiem, że po zaślubieniu jej lord Dawid Dirry-Moir zostanie baronem Clancharlie.

Prócz dziedzictwa Clancharlie lady Jozjana miała również i swój majątek osobisty. Posiadała rozległe dobra, pochodzące częściowo z darowizny uczynionej przez *Madame sans queue* dla księcia Yorku. *Madame sans queue* – czyli po prostu *Madame*. Zwano tak Henriettę Angielską, księżnę Orleanu, pierwszą damę Francji po królowej.

IV

Interesy lorda Dawida rozwijały się więc nader pomyślnie za panowania Karola i Jakuba II. To samo działo się i później, za panowania Wilhelma. Jakobinizm młodego lorda nie zaprowadził go za Jakubem na wygnanie. Choć nadal kochał swego prawowitego króla, zdrowy rozsądek nakazał mu oddać swe usługi uzurpatorowi. Był on zresztą oficerem znakomitym, choć może nieco niezdyscyplinowanym. Z armii lądowej przeszedł teraz do floty i odznaczył się świetnie w tak zwanej Białej Eskadrze. Zyskał też stopień „kapitana lekkiej fregaty". Lord Dawid stał się z czasem nieporównanym galantem, zepsucie jego cechowała wytworność niedościgniona, był trochę poetą, jak wówczas wszyscy, wiernym sługą państwa, wiernym sługą króla, brał udział we wszystkich zabawach i galach, we wszystkich dworskich ceremoniach i uroczystościach, i w bitwach, w potrzebie to służalczy, to wyniosły, ze wzrokiem raz krótkim,

raz bystrym, zależnie od przedmiotu, na który spoglądał właśnie, chętnie uczciwy, gdzie należy uniżony, gdzie należy arogancki, serdeczność i szczerość pierwszego odruchu potrafił szybko skrywać pod obojętną maską, znakomicie zaobserwować umiał każdą najlżejszą zmianę w usposobieniu królewskim, był lekkomyślny, beztroski wobec ostrza szpady i gotów w każdej chwili ryzykować życie na jeden znak jego królewskiej mości, służalczo a odważnie, był zdolny do każdego wybryku, niezdolny do żadnej niegrzeczności był dwornym i wytrawnym znawcą etykiety, dumnie przyklękał przed majestatem podczas wielkich uroczystości na dworze, był mężny i wesoły, z wierzchu – dworzanin, spodem – rycerz średniowieczny, pełen młodości pomimo swoich czterdziestu pięciu lat.

Lord Dawid śpiewał również francuskie piosenki, wytworne a zabawne, które tak bardzo podobały się Karolowi II.

Lubił też piękną wymowę, kwiecisty styl. Głęboko podziwiał słynne pomniki gadulstwa – *Mowy pogrzebowe* Bossueta.

Spadek po matce przynosił mu jakie takie zaopatrzenie, około dziesięciu tysięcy funtów, czyli dwadzieścia pięć tysięcy franków renty. Radził, sobie zaciągając długi. Lord Dawid niedościgniony był w rozrzutności, w zbytku, w wynajdywaniu coraz to innych modnych szaleństw. Kiedy go zaczynano naśladować – zmieniał sposób ubierania się natychmiast. Do konnej jazdy używał wygodnych butów z krowiej skóry, z ostrogami. Takich kapeluszy nie miał nikt w Anglii, stroił się w korpiki niespotykanej piękności, a żaboty nosił jedyne w świecie.

III. KSIĘŻNICZKA JOZJANA

I

W roku 1705 lady Jozjana miała już dwadzieścia trzy lata, a lord Dawid czterdzieści cztery, małżeństwo ich nie zostało jednak jeszcze zawarte z przyczyn najprostszych w świecie. Czyżby czuli nienawiść do siebie? Nie; bynajmniej. Ale nie śpieszy się nam zazwyczaj do tego, o czym wiemy, że i tak nam się nie wymknie. Jozjana chciała być wolna, lord Dawid chciał być młody. Chciał związać się jak najpóźniej, wydawało mu się, że przedłuży tym sposobem swoją młodość. W owej epoce wytwornej zalotności wielu było takich zapóźnionych młodzieńców; gdy fircyk siwiał, przychodziła mu w sukurs peruka, później puder. Lord Karol Gerrard, baron Gerrard des Gerrards de Bromley, w pięćdziesiątym piątym roku życia napełniał cały Londyn rozgłosem swych miłosnych przygód. Ładna i młoda księżna Buckingham, hrabina Coventry, popełniała prawdziwe szaleństwa z miłości do pięknego sześćdziesięciosiedmiolatka, Tomasza Bellasyse, wicehrabi Falcomberg. Powtarzano słynne wiersze siedemdziesięcioletniego Corneille'a do dwudziestoletniej kobiety: „Markizo, gdyby moje lica..." I kobiety również miewały jesienie pełne blasku. Przykładem Ninon i Marion. Usiłowano naśladować te wzory.

Jozjanę i Dawida łączyła zalotność z lekka osobliwa. Nie kochali się, ale podobali się sobie. Krążyli dokoła siebie i to im wystarczało. I po cóż było się śpieszyć z ostatecznym zakończeniem? Czytywane wówczas romanse zachęcały kochanków i narzeczonych do przebywania przez takie okresy próby; było to nawet bardzo w modzie. Zresztą Jozjana, choć wiedziała o swym nieprawym pochodzeniu, czuła się przecież księżniczką krwi i traktowała lorda Dawida nieco z góry, choć łaskawie. Podobał się jej bardzo. Dawid był piękny, ale stanowiło to już tylko drobny dodatek. Znajdywała, że jest wytworny.

A wytworność – to wszystko. Kaliban, elegancki i wspaniały, pozostawiłby hen w tyle ubogiego Ariela. Lord Dawid był piękny – tym lepiej; uroda u mężczyzn chadza zwykle w parze ze zniewieściałością; lecz on nie był zniewieściały. Zakładał się, boksował, robił długi. Jozjana z uznaniem patrzyła na jego konie, psy, kochanki, na przegrane w grze. A lord Dawid znajdował się pod urokiem księżniczki Jozjany, dziewicy bez skazy i bez skrupułów, dumnej, niedostępnej i śmiałej. Pisywał do niej sonety, które Jozjana czytywała czasami. W sonetach tych stwierdzał, że posiąść Jozjanę to wznieść się aż do gwiazd, co nie przeszkadzało zresztą, że z roku na rok odkładał chwilę tego wniebowstąpienia. Antyszambrował u drzwi do serca Jozjany i taki stan najbardziej odpowiadał im obojgu. U dworu podziwiano to zwleczenie ze ślubem jako przejaw najlepszego smaku. Lady Jozjana mawiała nieraz: „Jakież to przykre, że muszę poślubić w końcu lorda Dawida. A tak bym pragnęła się w nim zakochać."

Jozjana cała była ciałem tylko, tylko wspaniałością. Wysoka, nawet nieco zbyt wysoka. Włosy jej miały odcień, który nazwać by można purpurowopłowym. Była tęga, świeża, silnie zbudowana, biała i różowa, niezwykle śmiała i dowcipna. Oczy jej mówiły aż nazbyt wiele. Nie miała dotąd kochanka, ale nie byłą też niewinna. Otoczyła się nieprzebytym murem pychy. Mężczyźni? Cóż za pomysł! Co najwyżej bóg mógłby być jej godnym; albo potwór. Jeżeli istotą cnoty jest niedostępność, Jozjana była jej posągiem prawdziwym, samą cnotą, bez odrobiny niewinności. Przygód miłosnych nie miewała, z pogardy; nie obraziłaby się jednak wcale, gdyby ją o to posądzano, byleby były one niezwykłe, niecodzienne, na miarę takiej, właśnie jak ona osoby. Mało ją obchodziła reputacja, dbała tylko o rozgłos. Wydawać się łatwą, a być niedostępną – oto arcydzieło. Jozjana – był to tylko majestat i zmysły. Uroda jej bardziej przytłaczała, miażdżyła, niż czarować mogła. Deptała po sercach. Była cała ziemska tylko. Gdyby jej ktoś powiedział, że w piersiach ma duszę, zdziwiłaby się nie mniej, niż gdyby dostrzeżono u jej ramion skrzydła. Rozprawiała o filozofii Locke'a. Maniery miała nienaganne. Podejrzewano, że umie po arabsku.

Cielesność i kobiecość – to dwie różne rzeczy. Kobieta zawsze ma jakąś stronę słabą, litość na przykład, która tak łatwo przeradza się w miłość. Jozjana nie miała słabych stron. A jednak nie była nieczuła. Antyczne porównanie ciała z marmurem jest najbardziej fałszywe. O pięknie ciała stanowi to właśnie, że nie jest ono marmurem; ciało pulsuje; drży, rumieni się i krwawi; jędrne jest, lecz nie twarde, nie zimne, choć białe; ciało czuje dreszcze, podlega niemocy: ciało jest życiem, marmur – śmiercią. Na pewnym stopniu urody ciało ma nieomal że prawo do nagości; spowija je bowiem zasłona z blasku; ten, co by ujrzał nagą Jozjanę, widziałby ją poprzez świetlistą mgłę. Chętnie ukazałaby się tak satyrowi lub eunuchowi. Zachcianki jej były na miarę greckiej mitologii. Z nagości swej uczynić komuś mękę, wymykać się Tantalowi – oto gra, która by mogła ją zabawić. Król uczynił ją księżniczką, Jowisz – nereidą. Postać jej promieniowała niepokojącym podwójnym blaskiem. Ten, co ją podziwiał, stawał się równocześnie i poganinem, i lokajem. Nieprawe łoże i ocean dały jej życie. Wydawać by się mogło, że wyłoniła się z piany. Fala morska rzuciła ją na królewski dwór. Było w niej coś z morza, coś z przypadku, coś z kasztelanki i coś z burzy. Wykształcona, oczytana. Namiętności nie miały do niej przystępu, a zgłębiła je wszystkie aż do dna. Do urzeczywistnień czuła i wstręt, i pociąg. Jeżeliby przebiła się sztyletem, to już po wszystkim, jak Lukrecją. Dziewica ta poznała w wyobraźni wszelką rozpustę, wszystkie występki. W tej rzeczywistej Dianie kryła się potencjalna Astarte. Dumna ze swego wysokiego rodu, była prowokująca, a niedostępna. Kto wie jednak, czy dnia pewnego nie zapragnie sama stworzyć sobie okazji do upadku. Zamieszkiwała na jasnym obłoku chwały, nieraz jednak korciło ją, by zejść z niego czy też spaść nawet. Ciekawiło ją, jak to będzie. Była nieco za ciężka, by żyć na obłoku. Przyjemnie jest spadać. Książęca swoboda daje przywileje, upoważnia do próby, osoba rodu książęcego bawi się tylko tam, gdzie mieszczka gubi się bezpowrotnie. Jozjana urodzeniem swym, pięknością, świetnością, ironią była prawie królową. Kiedyś zachwycił ją na chwilę Ludwik de Bouffiers, który kruszył w palcach podkowy. Jakże żałowała, że Herkulesa

nie było już na świecie! Życie jej upływało w jakimś dziwnym trochę oczekiwaniu na ideał lubieżny, a wyniosły.

Moralność Jozjany przywodziła na myśl zdanie z *Listu do Pisonów:*

Desinit in piscem:

„ Piękne popiersie kobiece przedłuża się kształtem hydry."

Była to pierś szlachetna, olśniewająco piękna, poruszana harmonijnie uderzeniami królewskiego serca, spojrzenie żywe i jasne, oblicze wyniosłe i czyste, lecz – kto wie? – spodem, w głębi, w ledwie dostrzegalnej mętnej przezroczy krył się może jakiś dalszy ciąg, jakieś przedłużenie niezwykłe, pokrętne, potworne, smocze. Wyniosła cnota w głębinach marzenia przeradzała się w rozpustę.

II

A z tym wszystkim – afektowana wykwintnisia.

Tak nakazywała moda.

Przypomnijmy sobie choćby Elżbietę.

Elżbieta stworzyła typ kobiecy, który obowiązywał w Anglii przez cały wiek szesnasty, siedemnasty, a nawet i osiemnasty. Elżbieta była więcej niż Angielką, bo anglikanką. Stąd głęboki szacunek Kościoła episkopalnego dla tej królowej, szacunek, który żywił dla niej również i Kościół katolicki, z lekką domieszką ekskomuniki co prawda. Anatema rzucona na Elżbietę zmienia się w ustach Sykstusa V w madrygał. *Un gran cervello di principessa* – tak powiada. Maria Stuart, bardziej zajęta swoją kobiecością niż religią, nie okazywała siostrze swej, Elżbiecie, tak wielkiego szacunku. Pisała do niej jak królowa do królowej, jak kokietka do świętoszki: „Wasza niechęć do małżeństwa stąd się bierze, że nie chcecie utracić swobody w dobieraniu sobie kochanków." Maria Stuart trzymała w ręku wachlarz, Elżbieta – topór. Partia nierówna. Rywalizowały też ze sobą na terenie literatury. Maria Stuart układała francuskie wiersze, Elżbieta tłumaczyła Horacego. Elżbieta, brzydka, kazała uznać się za piękność, lubiła czterowiersz i akrostych, wymagała, by klucze miast wręczali jej mali chłopcy, piękni jak amorki, zaciskała wargi na sposób włoski i powłóczyła oczami na sposób hiszpański, miała w swojej szatni trzy tysiące toalet i ubiorów, wśród nich kilka kostiumów Minerwy i Amfitryty, ceniła sobie szerokie bary Irlandczyków, poduszeczki podtrzymujące krynolinę naszywać kazała cekinami, niezwykle kochała róże, klęła, wymyślała, tupała, rozdawała kuksańce swoim dworskim pannom, posyłała w diabły Dudleya, biła kanclerza Burleigha, a ten płakał, stary głupiec, pluła na Mathewa, szarpała za kołnierz Hattona, policzkowała Essexa, wypinała się na Bassompierre'a i była dziewicą.

To samo, co ona wobec Bassompierre'a, uczyniła niegdyś królowa Saba wobec króla Salomona[11]. Czegóż więc wymagać więcej, można się przecież powołać na przykład z Pisma świętego. Wszystko, co biblijne, może być też i anglikańskie. A ów precedens biblijny idzie jeszcze dalej, rodzi się bowiem dziecko zwane Ebfnehaquem albo Melilechet, czyli „Syn mędrca".

I cóż zarzucić można takim obyczajom? Cynizm wart tyleż co i hipokryzja.

Dzisiaj Anglia ma swego Loyolę imieniem Wesley i na wspomnienie swojej przeszłości spuszcza oczy. I wstydzi się jej, i jest z niej dumna.

Obyczajom tym towarzyszył powszechny wśród kobiet, a szczególnie wśród pięknych kobiet, pociąg do ułomności i brzydoty. I cóż po urodzie, jeżeli się nie ma swojego potworka? Cóż po koronie, Jeżeli nie ma karła, który by mówił królowej po imieniu? Maria Stuart miała

[11] *Regina Saba coram rege crura denudavit*, Schicklardus in Proaemio. Tarich. Jersici F. 65.

„słabość” do błazna Rizzia. Maria Teresa hiszpańska traktowała „dość poufale” pewnego Murzyna. Stąd też zapewne i nazwa „czarna ksieni”. W alkowach wielkiego stulecia garb mile bywał widziany; przykładem marszałek Luxemburg.

A wcześniej jeszcze Kondeusz, „ten tak mały mężczyzna, taki ładny”.

Nawet i słynne piękności bywały nieraz nie całkiem poprawnie ukształtowane. Nikomu nie wydawało się to niestosowne. Anna Boleyn miała jedną pierś większą nieco, sześć palców u ręki i podwójny ząb. La Valliere była koślawa. A mimo to i Henryk VIII, i Ludwik XIV szaleli z miłości.

Równie częste bywały też i moralne zboczenia spotykane u wszystkich prawie dam z wyższych sfer. W Agnieszce mieszkała Meluzyna. W dzień kobieta, wampirem stawała się w nocy. Całowały te panie świeżo ścięte głowy skazańców, zatknięte na żelazny pal. Małgorzata de Valois, prababka tych afektowanych wykwintniś, miała poprzyszywane do paska u halki pudełeczka z białej blachy, zamknięte na kłódki. W pudełeczkach tych znajdowały się serca jej umarłych kochanków. A Henryk IV skrył się pod tę osobliwą krynolinę.

W osiemnastym wieku księżna de Berry, córka regenta, to najdoskonalszy typ z tego gatunku, królewski a rozpustny.

Piękne panie znały również łacinę. Od szesnastego wieku liczy się to jako jeszcze jeden urok kobiety. Jane Grey była osobą tak wykwintną, że znała nawet język hebrajski.

Księżniczka Jozjana zabawiała się więc łaciną. Co więcej – rzecz to również bardzo wytworna – była katoliczką. W tajemnicy, powiedzmy to od razu, i bardziej na modłę Karola II, swego wuja, niż na modłę Jakuba II, swego ojca. Jakub przez katolicyzm utracił królestwo, Jozjana zaś nie czuła najmniejszej chęci, by narażać swoje parostwo dla religii. Dlatego też była katoliczką w ścisłym gronie subtelnych umysłów tylko; na zewnątrz zaś wyznawała protestantyzm. Dla gminu.

Taki sposób pojmowania religii ma same tylko zalety; korzystasz ze wszystkich dobrodziejstw związanych z oficjalnym Kościołem episkopalnym, a później umierasz, jak Grotius, „w zapachu katolicyzmu” i spotyka cię ten zaszczyt jeszcze, że ojciec Petau odprawia mszę za twoją duszę.

Jozjana, choć tęga i zdrowa, była najdoskonalszą wykwintnisią, nie wolno nam o tym zapominać.

Nieraz, kiedy mówiła, senne, zmysłowe przeciąganie końca zdania naśladowało jakby kocie ruchy stąpającej wśród dżungli pantery.

Ze stanowiska wykwintnej afektacji cały rodzaj ludzki wydaje się godny pogardy, pozbawiony wszelkiej wartości. Osoba wykwintna nie przynależy do zbiorowiska zwykłych ludzi, byłby to dla nich zaszczyt zbyt wielki.

Trzeba utrzymywać ludzi w należytym dystansie.

A skoro nie można zamieszkać na Olimpie, należy zamieszkać w pałacu de Rambouillet.

Junona staje się Aramintą. Niewyżyta pretensja do boskości przeradza się w minoderię. Impertynencja zastępuje pioruny, świątynia zacieśnia się do buduaru. Jeżeli nie można być boginią, trzeba stać się bóstwem chociaż.

Tkwi w tym wszystkim zresztą pewna doza pedanterii, tak miłej na ogół kobietom.

Kokietka i pedant – to para sąsiadów. Łączy ich ta sama próżność.

Subtelność wywodzi się ze zmysłowości. Łakomstwo udaje delikatność. W grymasie niesmaku do twarzy jest pożądaniu.

A prócz tego cała słabość kobieca czuje się chroniona przez tę kazuistykę galanterii, która wykwintnym damom zastępuje skrupuły moralne. Jest to niby przestrzeń obronna, otoczona fosą. Wykwintnisia na wszystko krzywi się z niesmakiem. A to chroni.

Zgodzę się, zapewne, lecz tymczasem gardzę.

Jozjana miała swoje wewnętrzne życie, intensywne, niepokojące. Czuła w sobie tak wielką skłonność do rozpusty, że udawała największą skromnisię. Duma, co każe nam postępować

tak, by jak najstaranniej ukryć nasze wady, stwarza pozory innych wad, przeciwnych tym właściwym, przyrodzonym. Z nadmiaru wysiłku, by zachować czystość, rodziła się w Jozjanie pruderia. Stała gotowość do obrony zdradza ukrytą tęsknotę za atakiem. Nadmierna drażliwość zdradza niedostatek surowości.

Obwarowała się prowokacyjnie wyjątkowością stanu swego i urodzenia, a w cichości ducha obmyślała, być może, jakiś nieoczekiwany wypad.

Był to pierwszy brzask osiemnastego stulecia. W Anglii działo się podobnie jak za regencji we Francji. Walpole wart był Dubois. Marlborough bił się przeciwko swemu byłemu królowi, Jakubowi II, któremu, jak powiadano, sprzedał był swoją siostrę, Churchill. Bolingbroke olśniewał, wschodziła gwiazda Richelieu. Rozwiązłości obyczajów dogadza pewne pomieszanie stanów; bratanie dokonywało się na terenie rozpusty. Później dokonywać się będzie ono na terenie idei. Zamiłowanie do obcowania z hołotą to arystokratyczna przygrywka, której dokończy później rewolucja. Blisko już było do Jelyotte'a leżącego publicznie, w biały dzień, w łóżku markizy d'Epinay. A zresztą i wiek szesnasty – obyczaje powtarzają się bowiem jak echo – oglądał szlafmycę Smetona na poduszce Anny Boleyn.

Jeżeli kobieta to tyle co występek – jak to stwierdził sobór, nie pamiętam już nawet który – nigdy jeszcze nie była tak bardzo kobietą jak właśnie w owym czasie. Nigdy jeszcze maskując kruchość swą urokiem, a słabość – wszechwładzą, me korzystała z większej swobody i bezkarności. Z owocu zakazanego uczynić owoc dozwolony – to upadek Ewy. Ale z owocu dozwolonego uczynić owoc zakazany – to jej triumf prawdziwy. I to właśnie udaje się wówczas kobiecie. W osiemnastym, wieku kobieta zatrzaskuje swoje drzwi przed nosem męża. Zamyka się w raju z szatanem; Adam zostaje za progiem.

III

Wszystkie instynkty Jozjany skłaniały ją do tego, by oddać się rozwięźle, nie legalnie. Stosunek rozwiązły ma w sobie coś z literatury, to przypomnienie Menalka i Amaryllis, to sprawa naukowa nieledwie.

Jeżeli pominiemy naturalny pociąg brzydoty do brzydoty – panna de Scudery nie z innych też powodów zapewne uległa Pelissonowi.

Swoboda dziewcząt i posłuszeństwo mężatek – taki jest stary angielski obyczaj. Jozjana odkładała też, jak tylko mogła, chwilę poddania się mężowskiej władzy. Kiedyś, niewątpliwie, będzie musiała zostać żoną lorda Dawida, taka była bowiem wola króla. Cóż za szkoda jednakże! Jozjana to kusiła, to odpychała swego przyszłego męża. Istniała między nimi milcząca umowa: ani nie zrywali ze sobą, ani też nie łączyli się ostatecznie. Wymykali się sobie nawzajem. Ten sposób kochania się – krok naprzód, dwa kroki w tył – wyrażają również ówczesne tańce, menuet i gawot. W małżeństwie nikomu nie jest do twarzy, kolorowe wstążki więdną, małżeństwo postarza. Ślub – to rozwiązanie rozpaczliwie jasne i proste. Kobieta przekazana w ręce męża przez notariusza – jakież to płaskie! Małżeństwo, brutalne i pospolite, stwarza sytuacje ostateczne, przekreśla swobodę, zabija wolny wybór, niczym gramatyka ma swoją składnię, w miejscu natchnienia pojawia się ortografia, miłość staje się dyktandem, ucieka gdzieś tajemniczość życia, małżeństwo sprawia, że pewne sprawy jego stają się jasne, systematyczne i konieczne, widok kobiety w nocnym stroju odziera z obłoku niezwykłości, umniejsza prawa obu stron, przez zbytnie przechylenie jednej szali zakłóca uroczą równowagę płci silnej i płci wszechwładnej, równowagę siły i urody, stwarza tu – pana, tam – służącą, a poza małżeństwem istnieje przecież niewolnik i władczyni. Uprozaicznić łóżko tak dalece, że staje się ono przyzwoite – czyż można wyobrazić sobie coś bardziej pospolitego? Jakiż sens może mieć miłość, co nie jest grzechem?

Lord Dawid dojrzewał. Czterdzieści lat – to uderzenie zegara. On jednak nie dostrzegał tego. I rzeczywiście ciągle wyglądał na lat najwyżej trzydzieści. Uważał, że o wiele ciekawiej jest pożądać Jozjanę niż ją posiąść. Posiadał inne, miał wiele kobiet. A Jozjana miała swoje sny.

Sny bywają groźniejsze.

Księżniczka Jozjana miała jedno oko niebieskie, a drugie czarne. Osobliwość taka zdarza się zresztą dość często. Źrenice jej uczynione były z miłości i z nienawiści, ze szczęścia i z rozpaczy. Dzień i noc połączyły się w jej spojrzeniu.

Pragnęła jednego tylko – żeby okazać się zdolną do rzeczy niemożliwych.

Powiedziała dnia pewnego do Swifta:

– Czyż wy sądzicie, że naprawdę istnieje wasza wzgarda?

Wy – to rodzaj ludzki.

Była ona papistką tylko z naskórka. Katolicyzm jej nie przekraczał dozy wymaganej przez elegancję. Dzisiaj nazywa się to puseizmem. Nosiła ciężkie suknie z aksamitu, atłasu i mory, szerokie, niekiedy aż na piętnaście łokci, haftowane srebrem i złotem, zdobne u paska w kokardy naszywane drogimi kamieniami i perłami. Do przesady lubiła naszywki. Wkładała czasem kaftan z lamowanego sukna, taki sam, jaki noszą bakałarze. Jeździła konno na męskim siodle, choć siodło damskie zostało wprowadzone w użycie w Anglii już w wieku czternastym, przez Annę, małżonkę Ryszarda II. Obmywała twarz, ręce, szyję i ramiona cukrem rozpuszczonym w białku, na sposób kastylijski. Jeżeli ktoś odezwał się dowcipnie w jej obecności – śmiała się po pewnej chwili z nieporównanym wdziękiem.

Nie była zła. Była raczej dobra.

IV. MAGISTER ELEGANTIARUM

Jozjana nudziła się niewątpliwie.

Lord Dawid Dirry-Moir zajmował w życiu wesołego Londynu zupełnie kluczowe stanowisko. Wielbiła go *nobility i gentry*.

Zanotujmy tutaj jego pierwsze prawo do sławy: ośmielił się nosić swoje własne włosy. Rozpoczynał się wówczas właśnie bunt przeciwko peruce. Jak w roku 1824 Eugeniusz Deveria pierwszy odważył się zapuścić brodę – tak w roku 1702 Price Devereux pierwszy Ośmielił się ukazać publicznie we własnych włosach, ułożonych dla niepoznaki niezwykle kunsztownie. Ryzykować własne włosy było to prawie że ryzykować własną głowę. Spotkało się to z powszechnym oburzeniem, a przecież Price Devereux był wicehrabią Hereford i parem Anglii. Został znieważony i rzeczywiście postępek jego wart był tego. Wśród zamieszania zjawił się nagle lord Dawid – i on również we własnych, rodzonych włosach, bez peruki. Zjawiska tego rodzaju są niewątpliwą zapowiedzią końca społecznego porządku. Lord Dawid spotkał się z oburzeniem, które wyrażone zostało jeszcze żywiej niż poprzednio wobec wicehrabiego Hereforda. Trzymał się dzielnie jednakże. Price Devereux był pierwszym, lord Dawid Dirry-Moir – drugim. Niekiedy trudniej jest być drugim niż pierwszym. Wymaga to, być może, mniej pomysłowości, za to na pewno więcej odwagi. Pierwszy, upojony nowością swojego pomysłu, nie zna jeszcze niebezpieczeństwa; drugi – widzi dokładnie przepaść i rzuca się w nią jednakże. Dawid Dirry-Moir rzucił się w przepaść nienoszenia już więcej peruki. Później nieco zaczęto ich naśladować, za przykładem tych dwu rewolucjonistów zdobyto się na odwagę noszenia własnych włosów na głowie, pojawił się puder jako środek łagodzący.

Skoro poruszamy już tę tak ważną dla historii sprawę, zaznaczy wypada, że rzeczywista palma pierwszeństwa w wydaniu wojny peruce należy się pewnej królowej. Krystyna Szwedzka, co tak lubiła używać męskiego stroju, ukazała się publicznie w roku 1680 w swo-

ich własnych, kasztanowatych włosach, upudrowanych tylko i ułożonych nieco. Miała ona również i „kilka włosków na brodzie", jak pisze Misson.

Również i papież ze swej strony bullą z marca 1694 roku poderwał nieco autorytet peruki przez zdjęcie jej z głów biskupów i księży. Nakazał ludziom Kościoła zapuszczanie włosów.

Lord Dawid nie nakładał więc peruki i nosił buty z krowiej skóry.

Dzięki tym wielkim czynom stał się on przedmiotem powszechnego podziwu. Rej wodził we wszystkich klubach, powoływano go na sędziego przy każdej walce na pięści Na *referee,* czyli na arbitra.

Ułożył on sam osobiście niejedną ustawę niejednego z towarzystw *high life'u.* Zakładał wykwintne kluby, z których jeden, Lady Guinea, istniał jeszcze w Pall Mall w roku 1772. Do Lady Guinea należała cała modna młodzież arystokratyczna. Najniższą stawką w grze był tutaj rulon pięćdziesięciu gwinei. Nie zdarzyło się, by na stoliku było ich mniej niż dwadzieścia tysięcy. Przy każdym z grających stał gerydon, na którym stawiano filiżankę z herbatą i miseczkę z pozłacanego drzewa do wkładania monety. Gracze, niczym chłopcy kredensowi przy czyszczeniu noży, nakładali zarękawki skórzane, które miały chronić ich koronki u mankietów, i również skórzane plastrony dla ochrony krez. Na głowach zaś, dla osłony oczu przed jaskrawym światłem lamp i dla utrzymania w porządku fryzury, nosili słomkowe kapelusze o szerokich rondach, przystrojone kwiatami. Aby zaś skryć podniecenie, przy *jeu de quinze* szczególnie, każdy z graczy miał maskę na twarzy. A na ramiona zarzucali kurtki podszewką do góry. To przyciąga szczęście.

Lord Dawid należał do Beefsteak Ciub, do Surly Ciub, do Splitfarthing Club, do Klubu Mruków, Klubu Ciułaczy i Klubu Opieczętowanego Węzła, do Sealed Knot, klubu rojalistów i do klubu Martinus Scribblerus, założonego przez Swifta na miejsce dawnego klubu Rota, stworzonego jeszcze przez Miltona.

Choć sam piękny, należał do Klubu Brzydkich, do klubu wielbicieli szpetoty. Członkowie jego zobowiązani byli pojedynkować się nie dla pięknej kobiety bynajmniej, lecz dla brzydkiego mężczyzny. Ściany sali klubowej przybrane były portretami Tersyta, Tribouleta, Dunsa, Hudibrasa, Scarrona – słynnych z brzydoty; na kominku stały trzy popiersia: w środku Ezop, po bokach Cocles, ślepy na lewe oko, i Camoens, ślepy na oko prawe – dwa ślepe profile umieszczone naprzeciwko siebie, odwrócone de sali oszpeconą stroną twarzy. Kiedy dnia pewnego piękna pani Visart dostała ospy – w Klubie Brzydkich wzniesiono toast na jej cześć. Klub ten prosperował jeszcze w początkach osiemnastego wieku. Mirabeau otrzymał jego dyplom honorowy.

Po restauracji monarchii, po wstąpieniu na tron Karola II, kluby rewolucyjne zostały zamknięte. Zrównano z ziemią tawernę przy niewielkiej uliczce blisko Moorfields, gdzie mieścił się Calfs Head Club, Klub Cielęcej Głowy, zwany tak dlatego, ponieważ trzydziestego stycznia 1649 roku, w dniu ścięcia Karola I, pito tam z czaszki cielęcia czerwone wina za zdrowie Cromwella.

Na miejsce klubów republikańskich pojawiły się kluby monarchistyczne.

Zabawiano się tutaj nader przystojnie.

W She Romps Club na przykład przyjął się następujący obyczaj: zatrzymywano na ulicy jakąś przechodzącą przypadkowo kobietę, jakąś mieszczankę, możliwie nieszpetną i niestarą, wciągano ją siłą do klubu i tam musiała ona chodzić na rękach, z nogami w górze, z twarzą zakrytą przez opadłe suknie. Jeżeli zaś opierała się, przynaglano ją smagając z lekka szpicrutą po nie zakrytych już częściach ciała. Działo się tak więc z jej własnej tylko winy. Poganiacze tego swoistego maneżu nosili nazwę „skoczków".

Istniał również Klub Gorących Błyskawic, zwany metaforycznie Merry-Danses, Klub Wesołych Tańców. Murzyni i białe dziewczęta tańczyli tam taniec peruwiański zwany *mozamala,* czyli dziewczyna ladaco. Na zakończenie ostatniej figury tancerka siada na kupie. otrębów

i wstaje zostawiając ślad swych pośladków odciśnięty w tym miękkim materiale. A zebrani wspominają werset z Lukrecjusza:

Tunc Venus in sylvis jungebat corpora amantum.

Był też i Hellfire Club, Klub Płomieni, gdzie zabawiano się bezbożnością. Odbywały się tam istne pojedynki na świętokradztwa. Członkowie klubu przelicytowywali się w bluźnierstwach, jakby każdy z nich pragnął zdobyć dla siebie piekło za wszelką cenę.

Był także Klub Uderzeń Głową, zwany tak od tego, że zadawano tam ludziom ciosy głową. Upatrywano sobie tragarza o co szerszych barach i co tępszej twarzy. Częstowano go dzbanem porteru, w razie potrzeby przymuszano do wypicia, byleby tylko pozwolił zadać sobie cios głową w piersi czterokrotnie. Czyniono w związku z tym zakłady. Raz Walijczyk pewien, nazwiskiem Gogangerdd, chłop jak tur, wyzionął ducha po trzecim takim uderzeniu. Rzecz stała się głośna. Zarządzono śledztwo i biegli powołani w tym celu wydali następujące orzeczenie: „Zmarł wskutek wzdęcia serca, wywołanego nadużyciem trunku." W samej rzeczy, Gogangerdd wypił był dzban porteru.

Był też i Fun Club. *Fun*, podobnie jak *cant* czy *humour* – to słowa nie do przetłumaczenia. *Fun* tak się ma do żartu, jak pieprz do soli. Wtargnąć do cudzego domu, stłuc tam cenne lustro, pociąć szpadą rodzinne portrety, otruć psa, zamknąć kota w ptaszarni – oto co się nazywa zrobić komuś *fun.* Rozpuścić fałszywą wieść o czyjejś śmierci i przyodziać tym sposobem w żałobę całą rodzinę – to również *fun.* Nie inaczej też jak przez *fun* wykrojono w obrazie Holbeina w Hampton-Court kwadratową dziurę. Jakże dumny byłby miłośnik *funu,* gdyby on to obtłukł ramiona Wenus z Milo! Za panowania Jakuba II pewien młody lord, pan milionowy, rozweselił cały Londyn i uznany został „królem *funu"* dlatego, iż podpalił w nocy chatę. Nieszczęśni jej mieszkańcy uratowali się w samych tylko koszulach. Członkowie Fun Clubu; pochodzący z najrozmaitszej arystokracji, wypuszczali się na ulice Londynu późną nocą, kiedy zwykli mieszkańcy miasta już spali, i wyrywali z zawiasów okiennice, przecinali rury u pomp, przedziurawiali zbiorniki wody, zrywali szyldy, niszczyli ogrody warzywne, gasili latarnie, przepiłowywali belki podstemplowujące domy i wybijali szyby w oknach. Grasowali najczęściej w najuboższych dzielnicach. Wszystkie te bolesne psikusy robili nędzarzom bogacze. Mowy więc nawet być nie mogło o jakiejkolwiek skardze, o jakiejkolwiek odpowiedzialności. A zresztą była to przecież tylko wesoła zabawa. Obyczaje te po dziś dzień nie zanikły jeszcze całkowicie. Czy to w samej Anglii, czy też na ziemiach znajdujących się pod jej władaniem, na Guernsey na przykład, zdarza się co pewien czas, że dom twój zostaje uszkodzony nieco, że ktoś połamie deski w płocie, wyrwie kołatkę przy drzwiach itd. Gdyby czynili tak nędzarze, zesłano by ich na galery. Ale to tylko bawi się wesoło złota młodzież.

Najdystyngowańszemu z klubów tego rodzaju przewodniczył cesarz z półksiężycem na czole, zwany Wielkim Mohockiem. Mohock – to najwyższy stopień *funu.* Robić krzywdę dla krzywdy– taki był oto program Mohock Club, taki był jego szczytny cel. Imano się tam wszelkich sposobów, byleby tylko wypełnić to zadanie. Członkowie składali przysięgę, że będą szkodzić i krzywdzić, jak się tylko da. Obowiązkiem ich było szkodzić za wszelką cenę, komukolwiek, jakkolwiek i kiedykolwiek. Każdy, kto przynależał do Mohock Club, odznaczać się musiał jakimś talentem. Ten więc był „metrem tańca", czyli że zmuszał do podskoków prostych chamów kłując ich końcem szpady w łydki. Inni potrafili znowu „wywoływać poty": sześciu, ośmiu czasami szlachciców, z gołymi rapierami w ręku otaczało kręgiem pierwszego lepszego przechodnia: otoczony musiał z natury rzeczy stać do któregoś z nich tyłem, otrzymywał więc za to zasłużoną karę – pchnięcie ostrzem rapiera w krzyż; skoro zaś odwrócił się, nowe dźgnięcie w krzyż dawało mu do poznania, że znów stoi za nim ktoś szlachetnie urodzony – i tak kłuł go każdy po kolei. Kiedy wreszcie nieszczęsny człek zamknięty w kręgu szpad dość się już nakrwawił, naskakał i natańczył, rozkazywano lokajom wychło-

stać go, aby nauczył się grzeczności na przyszłość. Jeszcze inni „polowali na lwa", czyli zatrzymywali wśród wesołych śmiechów kogokolwiek, co właśnie szedł ulicą, miażdżyli mu nos jednym uderzeniem pięści, w oczy zaś wciskali mu duże palce. Jeżeli oczy wypłynęły – płacono za to.

Takie to były rozrywki bogatego i próżniaczego Londynu w początkach wieku osiemnastego. Próżniacy Paryża też zabawiali się, choć inaczej nieco. Pan de Charolais strzelał do mieszczan stojących na progu swoich domów. Jak świat światem, młodzież zawsze musiała mieć rozrywki.

Lord Dawid Dirry-Moir wnosił do wszystkich tych instytucji poświęconych zabawie pomysłowość swą i szeroki, wielkopański gest Jak każdy inny, radośnie podkładał ogień pod drewnianą i słomianą chatę i osmalał z lekka tych, co w niej mieszkali, ale odbudowywał im za to dom z kamienia. Przymusił był razu pewnego do tańca na rękach w She Romps Ciub dwie kobiety. Jedna z nich była panną – wyposażył ją; druga była mężatką – obdarował jej męża korzystnym urzędem.

Jemu to zawdzięczano wprowadzenie wybitnych udoskonaleń do walki kogutów. Prawdziwą rozkoszą było patrzeć, jak lord Dawid przysposabia koguta do potyczki. Walczące koguty chwytają się za pióra niczym ludzie za czupryny. Lord Dawid golił też swego koguta jak mógł najstaranniej. Ścinał mu nożycami wszystkie pióra na ogonie i na szyi, od czubka głowy aż po plecy. „Żeby było ich mniej dla dzioba wroga" – mawiał. Następnie rozkładał skrzydła i każde ich pióro, jedno po drugim, zacinał starannie w szpic, tak że wyglądały niczym najeżone strzały. „A to dla oczu wroga" – objaśniał z kolei. Wreszcie oskrobywał nogi koguta scyzorykiem, wyostrzał mu pazury, osadzał u pięty stalową ostrogę, ostrą i spiczastą, pluł mu na głowę i na szyję, namaszczał go śliną, jak oliwą namaszcza się atletów, i wypuszczał do walki straszliwego ptaka wołając: „Oto jak z koguta robi się orła, oto jak ptak podwórzowy staje się dzikim górskim ptakiem."

Lord Dawid asystował również przy wszystkich walkach na pięści, był on prawdziwą wyrocznią w tej dziedzinie. Przy poważniejszych zapasach to. on osobiście pilnował wbijania palików i przeciągania sznurów, on wyznaczał, ile łokci kwadratowych mieć będą szranki, Jeżeli był sekundantem, towarzyszył krok w krok swojemu bokserowi trzymając w jednej ręce butelkę, w drugiej– gąbkę i pokrzykując: „*Strike fair!*"[12], podszeptywał mu, jakiego użyć chwytu, służył radą, dopóki się bił, ocierał, kiedy zaczął krwawić, podnosił, kiedy upadł, brał go na swoje własne kolana, wsuwał mu między zęby szyjkę butelki, a wodą, nabraną przedtem w usta, pryskał mu w oczy i w uszy, doprowadzając tym sposobem zemdlonego do przytomnośCI. Jeżeli był arbitrem, pilnował przestrzegania przepisów, zabraniał towarzyszenia walczącym każdemu, ktokolwiek by to był, prócz sekundantów, ogłaszał za pobitego pięściarza, co nie ustawił się dokładnie na wprost przeciwnika, czuwał, by starcia nie trwały dłużej niż pół minuty, nie dopuszczał do zwarcia, zabraniał uderzeń głową, nie pozwalał bić powalonego na ziemię wroga. Cała ta rozległa wiedza nie czyniła go jednak bynajmniej pedantem, nie ujmowała mu swobody i wytworności w obyciu.

Kiedy on bywał sędzią – nie zdarzało się nigdy, by ogorzali, krostowaci i obrośnięci zwolennicy jednego lub drugiego zapaśnika pozwalali sobie na przeskakiwanie ogrodzenia, na wtargnięcie na teren walki, przewrócenie kołków i zerwanie sznurów po to, by wspomóc swego słabnącego wybrańca, by gwałtowną interwencją przechylić szalę zwycięstwa, by tym sposobem wygrać zakład. Lord Dawid należał do tych nielicznych arbitrów, na których nikt nie ośmieliłby się podnieść ręki.

Nikt też nie potrafił tak zaprawiać do walki na pięści jak on. Bokser, którego trenować zechciał, mógł być pewny zwycięstwa. Lord Dawid dobierał sobie Herkulesa o postaci potężnej jak skała i wysokiej jak wieża i opiekował się nim niczym rodzonym. dzieckiem. Sprawić, by

[12] Bij mocno.

ów masyw ludzki potrafił nie tylko bronić się, lecz również i atakować skutecznie – oto zadanie, jakie stawiał sobie. Lord Dawid był w tym zakresie niedościgniony. Adoptowanego przez siebie cyklopa nie opuszczał ani na chwilę. Dbał o niego niczym niańka. Odmierzał mu wino, odważał mięso, odliczał godziny snu. On to właśnie ustanowił najracjonalniejszą dietę dla atletów, wznowioną później przez Moreleya: rano – surowe jajko i szklanka sherry, w południe – na pół surowa baranina i herbata, o czwartej – herbata z grzankami, wieczorem zaś lekkie piwo i grzanki. Po kolacji sam osobiście rozbierał swojego pupila, masował go i kładł do łóżka. Na ulicy nie tracił go z oczu ani na chwilę i odsuwał odeń wszelkie niebezpieczeństwa – rozpędzone konie, koła pojazdów, pijanych żołnierzy i ładne dziewczyny. Czuwał nad jego cnotą. Z macierzyńską troskliwością wydoskonalał coraz bardziej umiejętności swego wychowanka. Wtajemniczał go w sposoby wybijania zębów jednym uderzeniem pięści, wyciskania oczu jednym ruchem palca. Ta opieka, tak tkliwa była zaiste rozczulająca.

Przygotowywał się on w ten sposób do życia politycznego, w którym udział niechybnie wziąć będzie musiał w przyszłości. Stać się skończonym dżentelmenem – zadanie to niełatwe i żmudne.

Lord Dawid Dirry-Moir lubił nade wszystko przedstawienia dawane przez trupy wędrownych komediantów, popisy kuglarzy i cyrkowych, tresowanych zwierząt, budy linoskoków, klownów i błaznów, farsy odgrywane pod gołym niebem, wszystkie takie jarmarczne cuda. Prawdziwy pan lubi obcować z pospólstwem, dlatego też lord Dawid często odwiedzał oberże i budy jarmarcznych sztukmistrzów Londynu i Pięciu Portów. Nieraz też przychodziło mu przy tej okazji wziąć się za bary z prostym majtkiem, ze zwykłym cieślą okrętowym. Aby więc nie narażać powagi swojej w Białej Eskadrze, przywdziewał na te wycieczki marynarską bluzę. Peruki, jak wiemy, nie nosił, tym łatwiej więc było mu się przebrać, bowiem nawet i za panowania Ludwika XIV lud zachował i nosił swoje własne włosy, jak lew nosi grzywę. Mógł więc lord Dawid swobodnie zmieniać swoją postać. Prości ludzie, z którymi spotykał się i kumał w ciżbie i zgiełku, mieli go W wielkim poważaniu i nie wiedzieli wcale, że jest lordem. Zwano go Tom-Jim-Jack. Pod tym imieniem znany był i sławny wśród najciemniejszych mętów. Włócząc się po podejrzanych spelunkach ani na chwilę nie tracił gestu wielkiego pana. Potrafił też posłużyć się pięścią w potrzebie. Lady Jozjana znała tę stronę jego wytwornego życia i potrafiła też ocenić ją w sposób należyty.

V. KRÓLOWA ANNA

I

Patronowała tej parze narzeczonych Anna, królowa Anglii. Królowa Anna była po prostu kobietą w najzwyklejszym tego słowa znaczeniu. Wesoła, życzliwa ludziom, wspaniałomyślna – do pewnych granic. Żadna z jej szalet nie urastała do rozmiarów cnoty, żadna z jej wad nie urastała do rozmiarów występku. Tusza jej była niczym obrzęk, żart – przyciężki, a dobroć – głupia. Była i uparta, i miękka zarazem. Jako żona – i wierna, i niewierna – miewała wybrańców, którym oddawała serce, i księcia małżonka, dla którego pilnie strzegła łoża. Jako chrześcijanka była heretyczką i bigotką równocześnie. Jedynym jej wdziękiem była szyja; silna jak u posągu Niobe. Reszta postaci niezbyt udała się naturze. Była zalotna dość niezręcznie, lecz z umiarem. Płeć miała białą i delikatną, lubiła ją też pokazywać. Od niej to właśnie początek wzięła moda noszenia ciasnych naszyjników z pereł. Miała niskie czoło, grube, zmysłowe wargi, tłuste policzki, wyłupiaste oczy i krótki wzrok. Krótkowzroczność cecho-

wała również i jej umysł. Z wyjątkiem rzadkich wybuchów dobrego humoru, równie prawie dotkliwych co i wybuchy złości, znamionowała ją nieustanna a cicha mrukliwość, gderliwość, niechęć. Wyrywały jej się czasem słowa, których sensu nie łatwo się było domyślić. Stanowiła dziwne połączenie dobrej kobiety i złej diablicy. Lubiła rzeczy nieoczekiwane, cecha głęboko kobieca. Anna była przykładem odwiecznej, pierwotnej Ewy, w pierwotności swej ledwie że ociosanym nieco. I taki to właśnie prymityw znalazł się przypadkiem na tronie. Piła. Mąż jej był z pochodzenia Duńczykiem.

Sama będąc toryską, rządziła za pośrednictwem wigów. Po kobiecemu, nieobliczalnie. Miewała ataki wściekłości, czego się tknęła, wszystko psuła. Trudno wyobrazić sobie osobę bardziej niezręczną w kierowaniu sprawami państwa. Korzystne sposobności przelatywały jej przez palce. Prowadziła iście zwariowaną politykę. Szczególną jej umiejętnością było wywoływanie wielkich katastrof za pomocą drobnych przyczyn. Swoje władcze kaprysy nazywała „rozgrywkami w pokera".

Z wyrazem głębokiego rozmarzenia wymawiała nagle takie oto na przykład słowa: „Żaden par Anglii nie ma prawa znajdować się w obecności króla z nakrytą głową, z wyjątkiem jednego tylko Courcy, barona Kinsale, para Irlandii." Mawiała również: „Byłoby to niesprawiedliwe, gdyby mój mąż nie został lordem-admirałem, skoro był nim mój ojciec." I uczyniła Jerzego Duńskiego wielkim admirałem Anglii, *and of all Her Majesty's Plantations*. Wydawać by się mogło, że wprost paruje z niej nieustanne niezadowolenie, myśli swoich nie wypowiadała, a raczej wypacała je na zewnątrz. Było w tej gęsi coś ze sfinksa.

Nie była też wcale przeciwniczką *funu,* nieżyczliwego, dotkliwego żartu. Gdyby mogła, z radością uczyniłaby garbusem Apollina pozostawiając mu przy tym jego boskość. Dobroć jej trzymała się tej zasady, by nikogo nie przywieść do rozpaczy, a zanudzić wszystkich. Nieraz wyrażała się dość śmiało; krok jeszcze – a klęłaby jak Elżbieta. Co pewien czas sięgała do kieszeni, którą, niczym mężczyzna, miała zawsze w swojej spódnicy, wyjmowała niewielkie, okrągłe, srebrne pudełeczko, na którym wytłoczony był jej portret z profilu pomiędzy dwiema literami: Q. i A., otwierała je i nabrawszy na palec nieco pomady czerwieniła sobie wargi. A przysposobiwszy tak usta, zaczynała się śmiać. Nade wszystko lubiła płaskie pierniczki z Zelandii. Bardzo była też dumna ze swojej tuszy.

Choć purytanka właściwie, z przyjemnością jednakże chodziłaby na widowiska. Zachciało jej się również akademii muzycznej, na wzór Francji. W roku 1700 pewien Francuz, nazwiskiem Forteroche, chciał wybudować w Paryżu cyrk królewski za cenę czterystu tysięcy liwrów; sprzeciwił się temu d'Argenson; ów Forteroche pojechał następnie do Anglii i podsunął królowej Annie pomysł, który oczarował ją na czas pewien. Chciał mianowicie wystawić w Londynie teatr wyposażony w maszynerie, piękniejszy jeszcze od teatru króla Francji, budowla ta miała bowiem mieć aż cztery wewnętrzne kondygnacje. Królowa Anna jak Ludwik XIV lubiła, by galopem biegły konie, kiedy jechała karetą. Zaprzęg królewski przebywał drogę z Windsoru do Londynu w niespełna pięć kwadransów.

II

Za czasów Anny nie wolno było urządzać żadnych zebrań bez zezwolenia dwu sędziów pokoju. Jeżeli kilkanaście osób spotkało się po to tylko nawet, by zjeść nieco ostryg i napić się porteru – natychmiast podejrzewano je o spisek.

Za panowania tego, stosunkowo łagodnego przecież, przymusowy werbunek do marynarki dokonywał się z niespotykaną gwałtownością. Smutne to potwierdzenie faktu, że Anglik o wiele bardziej jest poddanym niż obywatelem. Od całych stuleci królowie Anglii stosowali w tym względzie prawdziwą tyranię, zadającą kłam wszystkim starym przywilejom, ku głośne-

mu i triumfalnemu oburzeniu przede wszystkim Francji. Owe francuskie triumfy w tej mierze umniejszał nieco fakt, że jak w Anglii do marynarki, we Francji werbowano gwałtem do wojska. W każdym większym francuskim mieście każdy mężczyzna, byleby silny i zdrowy, mógł być w każdej chwili porwany z ulicy przez werbowników i zaciągnięty do domu zwanego „kotłem". Zamykano tam połapanych, wybierano spośród nich zdolnych do służby wojskowej i przechodnie ci sprzedawani byli przez werbowników oficerom. W roku 1695 w samym Paryżu istniało aż trzydzieści takich kotłów.

Wydane przez królową Annę ustawy ograniczające wolność Irlandii były okrutne.

Anna urodziła się w roku 1664, na dwa lata przed pożarem Londynu, z czego astrologowie (bo istnieli oni wówczas jeszcze, świadectwem – narodziny Ludwika XIV, który przyszedł na świat w obecności astrologa i natychmiast po urodzeniu został owinięty w horoskop), wysnuli przepowiednię, że jako „starsza siostra ognia", zostanie ona królową. I została nią rzeczywiście, dzięki astrologii i rewolucji roku 1688. Jej ojcem chrzestnym był Gilbert, arcybiskup Canterbury. W owym czasie nie można już było w Anglii zostać chrzestną córką papieża. Anna odczuwała to jako poniżenie. Zwykły prymas – to dość pośledni ojciec chrzestny. Musiał jej jednak wystarczyć. Cóż – sama była sobie winna. Po co została protestantką?

Dania opłaciła jej dziewictwo, *virginitas empta*, jak powiadają stare dokumenty, rentą dożywotnią sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu funtów szterlingów, jakie przynosiła prowincja Wardinbourg i wyspa Fehmarn.

Anna, bez przekonania, z bezmyślności raczej, podtrzymywała tradycję rządów Wilhelma. Za panowania tego, narodzonego z rewolucji, zażywali" Anglicy tyle swobody, ile tylko zmieścić się jej mogło pomiędzy Wieżą Londyńską, do której zamykano mówców, i pręgierzem, na który skazywano pisarzy. Anna mówiła trochę po duńsku – dla prywatnych rozmów z mężem, i trochę po francusku – dla prywatnych rozmów z Bolingbroke'iem. Mieszanina była to nieprawdopodobna; lecz język francuski był modny wówczas przede wszystkim na królewskim dworze. Przejawić swój dowcip można było tylko we francuskim powiedzonku. Anna osobiście doglądała bicia monety, szczególnie miedzianej, niewiele wartej, za to najczęściej używanej przez lud. Dbała, by prezentować się na miedziakach w jak największej okazałości. Za panowania jej wybito aż sześć rodzajów farthingowych monet. Na miedziakach o wartości jednego, dwu i trzech farthingów nakazała wybijać na odwrocie tron; na monetach czterofarthingowych zapragnęła triumfalnego rydwanu, a na monetach sześciofarthingowych – wyobrażenia bogini trzymającej w jednej ręce miecz, a w drugiej gałązkę oliwną, z napisem u dołu: *Bello et Pace*. Ta córka Jakuba II, króla okrutnego a naiwnego, była po prostu brutalna.

A równocześnie łagodna w głębi duszy. Sprzeczność to z pozoru tylko. Napad złości odmieniał ją. Przygrzej na ogniu cukier, a zacznie się burzyć.

Anna była popularna wśród narodu. Anglia życzliwym okiem widzi na swym tronie kobiety. Dlaczego tak się dzieje? Francja ich u siebie nie znosi. To już jedna przyczyna. I jedyna nawet, być może. Dla dziej opisów angielskich Elżbieta to uosobienie wielkości, Anna – wcielenie dobroci. Cóż, każdy ma swoje przekonania i upodobania. Ale przyznać trzeba, że lekkością te kobiece rządy nie odznaczają się bynajmniej. Toporna to wielkość i dobroć toporna. Anglia przywiązuje wielką wagę do niepokalanej cnoty tych królowych, dlaczegóż więc mielibyśmy mieć odmienne zdanie w tym względzie? Dziewiczość Elżbiety została tylko złagodzona nieco przez Essexa, małżeństwo Anny – nieco zagmatwane przez Bolingbroke'a.

III

Przypisywanie królom swoich własnych czynów – to głupi obyczaj wszystkich narodów. Lud bije się. A dla kogo sława? Dla króla. Lud płaci. Kto jest hojny? Król. I naród kocha go za jego hojność i wspaniałość. Monarcha dostaje od nędzarzy talara, a oddaje nędzarzom grosz. Jakże jest wspaniałomyślny! Olbrzym-postument z uwielbieniem spogląda na Pigmeja, co stół na nim całym swoim ciężarem. Jakże ogromny jest ten karzełek! Stoi na moich barkach! Bo karzeł bardzo łatwo może stać się większy od olbrzyma, wystarczy, że wejdzie mu na kark. Zdumiewające jest przy tym jedno – że olbrzym godzi się na to; że sam podziwia wielkość karła – oto głupota nie do wytłumaczenia. Oto naiwność ludu.

Pomnik konny, przysługujący królom, to najlepsze wyobrażenie monarchii. Koń – to lud. Bardzo wolno zmienia on swoją postać. Osioł z początku, lwem się w końcu staje. A wówczas zrzuca ze swego grzbietu jeźdźca – i oto mamy rok 1642 w Anglii i rok 1789 we Francji – niekiedy zaś pożera go nawet – i oto mamy w Anglii rok 1649 i we Francji rok 1793.

A że lew może potem na powrót przemienić się w osła – dziwne to niewątpliwie, lecz prawdziwe. I można było oglądać to zjawisko w Anglii: lud jej pozwolił ponownie objuczyć się monarchią, *ąueen Ann*, królowa Anna, jakeśmy, to już rzekli, była popularna. Cóż uczyniła w tym celu? Nic. Nic – oto i wszystko, czego się od angielskiego monarchy wymaga. I za to nic otrzymuje on corocznie trzydzieści milionów. Anglia, która za czasów Elżbiety miała tylko trzynaście wojennych okrętów, a za czasów Jakuba I—trzydzieści sześć, w roku 1705 posiadała ich sto pięćdziesiąt. Anglicy utrzymywali trzy armie: pięciotysięczną w Katalonii, dziesięciotysięczną w Portugalii i pięćdziesięciotysięczną we Flandrii; prócz tego wypłacali jeszcze corocznie czterdzieści milionów monarchom i dyplomatom Europy, dziewki publicznej, którą naród angielski zawsze utrzymywał. Parlament uchwalił pożyczkę narodową w rentach dożywotnich, w wysokości trzydziestu czterech milionów; ludność tłumnie cisnęła się do jej podpisywania. Anglia wysłała jedną morską eskadrę do Indii Wschodnich, drugą pod dowództwem admirała Leake, na wybrzeża Hiszpanii, nie licząc odwodowej floty złożonej z czterystu żagli, dowodzonej przez admirała Showella. Anglia włączyła do swoich terytoriów Szkocję. Jesteśmy właśnie po Hochstadt, a przed Ramillies, pierwsze z tych zwycięstw pozwalało przewidywać drugie. W sidła zastawione pod Hochstadt Anglicy złapali dwadzieścia siedem batalionów i cztery pułki dragonów i ujęli sto mil ziemi Francji, która cofnęła się w popłochu od Dunaju aż po Ren. Anglia wyciągała rękę po Sardynię i Baleary. Triumfalnie przyprowadziła do swoich portów dziesięć liniowych okrętów hiszpańskich i wiele naładowanych złotem galionów. Ludwik XIV ustąpił już na poły z zatoki i cieśniny Hudsona, można było przewidywać, że będzie musiał on również opuścić i Nową Szkocję, i Wyspę Św. Krzysztofa, i Nową Ziemię, że król Francji uszczęśliwiony będzie ponad wszelką miarę, jeżeli Anglia pozwoli mu łowić swobodnie sztokfisze u wybrzeży Bretońskiego Półwyspu. Wkrótce też już zmusi go Anglia do upokarzającej konieczności burzenia fortyfikacji Dunkierki własnymi rękami Francuzów. Tymczasem zabrała ona Gibraltar i zabierała właśnie Barcelonę. Ileż olbrzymich dokonań. Jakże tu nie wielbić królowej Anny, która zgodziła się łaskawie żyć w tych czasach?

Pod pewnymi względami panowanie Anny wydaje się odblaskiem panowania Ludwika XIV. Anna, współczesna mu przez czas pewien na tym terenie spotkań, który zwykliśmy nazywać historią, promieniuje podobnie jak i on. Jak i on bawi się w wielkie panowanie, ma swoje pomniki, swój styl w sztuce, swoje zwycięstwa, swoich wodzów, swoich pisarzy, swoją szkatułę, z której wypłaca pensje zasłużonym, swoją galerię arcydzieł odpowiednią do majestatu. I dwór jej – to również świta, z wyglądu wspaniała, o swoistym układzie i porządku. Wszystkich wielkich ludzi Wersalu – też już przecież nie olbrzymów – odnajdujemy tutaj w zmniejszonym formacie. Trudno o doskonalsze złudzenie optyczne; dodajmy jeszcze *God*

save the Queen, które, mogłoby być dziełem Lully'ego – i oto mamy całość nie do odróżnienia prawie. Do kompletu nie brakuje nikogo. Krzysztof Wren jest nienajgorszym Mansardom, Somers wart jest Lamoignona. Anna ma też swojego Racine'a w osobie Drydena, swojego Boileau w osobie Pope'a, swojego Colberta w osobie Godolphina, jej Louvois – to Pembroke, a jej Turenne – to Mariborough. Peruki tylko nieco bardziej obfite, za to nieco mniejsze czoła. Wszystko razem prezentuje się pompatycznie i uroczyście i Windsor w czasie owym to coś na kształt drugiego Marły, tylko że rodzaju żeńskiego, i ojciec Tellier królowej Anny nosi imię Sara Jennings. Pierwsze zarysy ironii, która w pięćdziesiąt lat później przerodzi się W filozofię, zaczynają już pojawiać się w literaturze i protestancki Tartuffe zostaje zdemaskowany przez Swifta, tak jak katolicki Tartuffe pokazany został przez Moliera. Choć Anglia kłóci się w tej epoce z Francją, choć ją bije – uczy się od niej jednakże i naśladuje ją pilnie; odblask Francji pada na fasadę angielskiej monarchii. Wielka to strata, że panowanie Anny trwało lat zaledwie dwanaście, Anglicy chętnie bowiem mówiliby o „stuleciu Anny", jak we Francji mówi się o stuleciu Ludwika XIV. Anna pojawia się w roku 1702, kiedy Ludwik XIV już gaśnie.

Dziwne to niewątpliwie zrządzenie historii, że wschód tej bladej gwiazdy odbywa się równocześnie z zachodem gwiazdy purpurowej, że kiedy Francja ma swojego króla-Słońce, królowa-Księżyc pojawia się w Anglii.

I jeszcze jeden szczegół, który warto zanotować. Choć prowadzono z nim nieustanną wojnę, Ludwik XIV był głęboko podziwiany przez Anglików. „Oto król, jakiego Francji potrzeba" – tak o nim mówili. Angielskie umiłowanie własnej wolności występuje zawsze w połączeniu ze zgodą na poddaństwo bliźniego. Owa życzliwość dla łańcucha skuwającego sąsiada urasta czasami aż do entuzjazmu dla despoty zza miedzy.

Tak więc, ujmując rzeczy najogólniej, uczyniła Anna naród swój „szczęśliwym", jak to powtarza aż trzykrotnie, z dwornym naciskiem – na szóstej i dziewiątej stronie dedykacji i na trzeciej stronie swej przedmowy – francuski tłumacz dzieła Beeyerella.

IV

Królowa Anna żywiła odrobinę niechęci dla księżniczki Jozjany, z dwu mianowicie względów.

Po pierwsze – ponieważ wiedziała, że Jozjana jest ładna.

Po wtóre – ponieważ wiedziała, że ładny jest też i narzeczony księżniczki Jozjany.

Dwa powody do zazdrości – to dla kobiety dość; królowej i jeden wystarczy.

Dodajmy jeszcze, że Jozjana była jej siostrą, co bardzo nie dogadzało królowej.

Anna nie lubiła urody u kobiet. Uważała to za rzecz przeciwną dobrym obyczajom.

Ona sama była brzydka.

Nie z własnego wyboru, to prawda.

Religijność jej wywodziła się po części z tej brzydoty właśnie.

Jozjana, piękna i wolnomyślna, najwyraźniej drażniła królową.

Ładna księżniczka nie jest siostrą mile widzianą dla brzydkiej monarchini.

Istniał też i inny jeszcze powód do niechęci: „nieczyste" urodzenie Jozjany.

Anna była córką Anny Hyde, zwykłej lady, legalnie i niefortunnie poślubionej przez Jakuba II wtedy, kiedy był on jeszcze księciem Yorku. Anna czuła się w połowie tylko królową, w żyłach jej bowiem płynęła też i krew nieszlachetna, a Jozjana nieprawowitym swoim urodzeniem podkreślała jeszcze niedoskonałość, mniejszą zapewne, lecz rzeczywistą, pochodzenia królowej. Ta córka mezaliansu niechętnym okiem widziała tak blisko siebie dziecię nieprawego łoża. Dostrzegała w jej losach pewne niemiłe dla siebie podobieństwo. Jozjana słusznie

mogłaby powiedzieć Annie: moja matka warta jest twojej. Na dworze nie mówiono tego głośno, lecz myślano tak niewątpliwie. Rzecz niezbyt przyjemna dla jej królewskiej mości. I po cóż ta Jozjana? Cóż za pomysł miała, żeby się urodzić? Po co? Upokarzające bywają pewne pokrewieństwa.

Mimo to Anna okazywała Jozjanie życzliwość.

Kto wie? Może by ją nawet kochała, gdyby nie była ona jej siostrą.

VI. BARKILPHEDRO

Znajomość postępowania innych ludzi bywa niekiedy użyteczna i mądrą jest rzeczą niejaka czujność w tym względzie.

Jozjana śledziła też nieco lorda Dawida. Czynił to na jej polecenie człowiek, któremu ufała, a który zwał się Barkilphedro.

Lord Dawid obserwował nieznacznie Jozjanę z pomocą człowieka, na którym polegał całkowicie, a który zwał się Barkilphedro.

Królowa Anna zaś kazała donosić sobie potajemnie o wszystkim, co się tyczyło księżniczki Jozjany, jej siostry z nieprawego łoża. i lorda Dawida, jej przyszłego szwagra z lewej ręki, używając do tego człowieka, na którego spuścić się mogła najzupełniej, a który zwał się Barkilphedro.

Ów Barkilphedro grał więc na trzech klawiszach: Jozjana, lord Dawid i królowa. Jeden mężczyzna między dwiema kobietami. Cóż za możliwości modulacji! Cóż za połączenie dusz!

Barkilphedro nie zawsze znajdował się w tak znakomitym położeniu. Nie zawsze miał tę możność, by szeptać do trojga uszu równocześnie.

Był on dawnym domownikiem księcia Yorku. Próbował swego. czasu wejść do stanu duchownego, lecz mu się to nie udało. Książę Yorku, książę angielski i rzymski, w duszy – papista, na zewnątrz – anglikanin, miał w swoim otoczeniu księży katolickich i protestanckich i bez trudu mógłby zaopiekować się losami Barkilphedra włączając go w tę lub w tamtą kościelną hierarchię; nie uważał go jednak ani za dość dobrego katolika na to, by uczynić go jałmużnikiem, ani też za dość dobrego protestanta na to, by uczynić go kapelanem. Tak więc Barkilphedro spadł plackiem na ziemię z obu stołków kościelnych, na których zasiąść usiłował.

Dla ludzi zbliżonych swą naturą do pełzających płazów nie jest to zresztą tak bardzo niedogodna pozycja.

Niektóre bowiem drogi przebyć można tylko czołgając się na brzuchu.

Przez długi czas Barkiłphedro był więc domownikiem księcia, pełniąc służbę nie świetną wprawdzie, lecz bardzo pożywną. Wysługiwanie się – to już wiele, on jednak zapragnął jeszcze i władzy. I byłby ją może zdobył, lecz właśnie Jakub II stracił tron. Trzeba było wszystko zaczynać od nowa. Nie potrafił dojść do ładu z Wilhelmem III, człowiekiem ponurym, który w rządach swych trzymał się zasad pruderii, nazywanych przez siebie uczciwością. Barkilphedro po upadku opiekuna swego, Jakuba, nie od razu też poszedł z torbami. To coś, co określić trudno, a co trwa mimo upadku władcy, zasila jeszcze i podtrzymuje przez czas pewien pasożytów, co na nim żerowali. Na drzewie wyrwanym z korzeniem resztki soków utrzymują przez kilka dni zieloność liści, po czym nagle liść żółknie i usycha; taka jest też i dola dworaka.

Książę, choć odrzucony, pozbawiony tronu, trwa, nie ginie dzięki balsamowi, którego imię jest: prawowitość; inaczej rzecz się ma z dworakiem, o ileż bardziej umarłym niż król. Król,

gdzieś daleko, staje się mumią; dworak tutaj, blisko, staje się widmem. Cień cienia – postać to przeraźliwie chuda. Barkilphedro coraz częściej bywał głodny. Postanowił wówczas zostać literatem.

Wypędzano go jednakże nawet i z kuchni. Często nie wiedział nawet, gdzie będzie nocować. „Któż wyratuje mnie z tej bezdomności?" – zapytywał nieraz. I walczył. Pomimo cierpliwości, z jaką i znosił swoją niedolę, nie stał się nudny. Prócz tego zaś na podobieństwo termitów posiadał umiejętność drążenia sobie przejść od dołu. ku górze. Posługując się imieniem Jakuba II, wspomnieniami, rozczulając swoją wiernością itd. dotarł wreszcie do księżniczki Jozjany.

Jozjana polubiła tego człowieka. Wzruszyła ją i nędza jego, i dowcip. Przedstawiła go lordowi Dirry-Moir, dała mu u siebie przytułek, uczyniła zeń swojego domownika, była dla niego dobra i odzywała się doń nawet niekiedy... Barkilphedrowi nie doskwierało już ani zimno, ani głód. Jozjana mówiła mu: ty. Wśród wielkich dam panowała wówczas moda tykania literatów, którzy zresztą nie mieli nic przeciwko temu. Markiza de Mailley, leżąc w łóżku, przyjmowała raz wizytę Roya, którego nie widziała nigdy przedtem, i tak mu rzekła: „A więc to ty napisałeś *L'Annee Galante?* Dzień dobry". Później nieco literaci zaczęli nawzajem tykać wielkie damy. Aż nadszedł dzień, kiedy Fabre d'Eglantine tak się oto odezwał do księżnej de Rohan:

– Przecież pochodzisz z Chabotów?

Dla Barkilphedra tykanie to stanowiło sukces niewątpliwy. Był nim zachwycony. Ubiegał się przecież o podobną poufałość ze strony osoby wyżej postawionej od niego.

– Lady Jozjana mówi mi ty – powtarzał sobie. I zacierał ręce.

Skorzystał też z tego, by umocnić nieco swoją pozycję. Powoli zadomowił się na stałe w prywatnych apartamentach Jozjany, niewidoczny, nie zawadzający nikomu; księżniczce zdarzało się nieomal że koszulę zmieniać w jego obecności. Wszystko to jednak niepewne było, nietrwałe. Barkilphedro dążył też do uzyskania jakiegoś stanowiska. Księżniczka – to dopiero pół drogi. Czyż warto drążyć podziemny korytarz, jeżeli nie zaprowadzi on nas aż do samej królowej? Pewnego dnia Barkilphedro tak odezwał się do Jozjany:

– Czy nie zechciałaby wasza łaskawość uczynić mnie szczęśliwym? Leży to w jej mocy.

– A czegóż ty chcesz? – spytała Jozjana.

– Urzędu.

– Urzędu? Ty?

– Tak, pani.

– Cóż ci do głowy przyszło, by ubiegać się o urząd? Nie nadajesz się przecież do niczego.

– Toteż dlatego właśnie.

Jozjana zaczęła się śmiać.

– A więc spośród tych wszystkich urzędów, na które się nie nadajesz, który byś otrzymać pragnął?

– Chciałbym, zostać otwieraczem butelek wyłowionych w oceanie.

Jozjana śmiała się coraz głośniej.

– Cóż to jest? Kpisz sobie chyba.

– Nie, pani.

– Dla zabawy potraktuję cię poważnie – rzekła księżniczka. Czym więc chciałbyś zostać? Powtórz.

– Otwieraczem butelek wyłowionych w oceanie.

– Na dworze królewskim wszystko zdarzyć się może. Czyżby na-prawdę istniał urząd podobny?

– Tak, pani. —Dowiaduję się o nie znanych mi rzeczach. Mów dalej.

– Taki urząd istnieje.

– Przysięgnij na duszę, której nie posiadasz.

– Przysięgam.
– Nie wierzę ci wcale.
– Dzięki, o pani.
– A więc ty chciałbyś... Powtórz raz jeszcze.
– Odkorkowywać wyłowione w morzach butelki.
– Nienazbyt to chyba męczące zajęcie. Niczym czesanie konia ze spiżu.
– Jest to właśnie coś w tym rodzaju.
– Nic nie robić to rzeczywiście urząd, jakiego ci trzeba. Do tego nadajesz się świetnie.
– Widzisz więc sama, pani, że mogę się jednak na coś przydać.
– Znów błaznujesz. Powiadasz więc, że urząd taki istnieje?
Barkilphedro przybrał postawę pełną szacunku i powagi.
– Pani masz dostojnego ojca, Jakuba II, i znakomitego szwagra, Jerzego Duńskiego, księcia Cumberland. Ojciec waszej łaskawości był, szwagier zaś jest lordem-admirałem Anglii.
– Takie tylko masz dla mnie nowiny? Wiem o tym równie dobrze jak i ty.
– Jej łaskawość nie wie jednak o wszystkim. Przedmioty, które się w morzu znajdują, dzielą się na trzy rodzaje: na te, co leżą na dnie; „Lagon", te, co pływają po powierzchni wody, „Flotson", i te, które woda wyrzuca na brzegi: „Jetson".
– No i cóż stąd?
– Wszystkie te trzy rodzaje przedmiotów, Lagon, Flotson i Jetson, są własnością lorda-admirała.
– I cóż dalej?
– Nie pojmujesz pani jeszcze?
– Nie.
– Wszystko, co tylko znajduje się w morzu – i przedmioty zatopione w wodzie, i pływające po jej powierzchni, i te wreszcie, które woda wyrzuca na brzeg – wszystko to stanowi własność lorda-admirała Anglii.
– Wszystko. Dobrze. Co dalej?
– Z wyjątkiem jesiotra. Jesiotry należą do króla.
– A ja sądziłam, że wszystko to należy do Neptuna —rzekła Jozjana.
– Neptun to głupiec. Pozwolił się ograbić. Pozwolił się do szczętu ograbić Anglikom.
– Rozumiem.
– Morska zdobycz; taka jest nazwa tych wszystkich znalezionych przedmiotów.
– Dobrze.
– Kopalnia to nie do wyczerpania. Zawsze coś pływa po wodzie, zawsze coś wyrzuca ona na brzeg. Prawdziwa kontrybucja. Morze płaci podatek Anglii.
– Bardzo słusznie. Ale kończże już raz wreszcie.
– Wasza łaskawość domyśla się zapewne, że morze tworzy cały urząd tym sposobem.
– Gdzie?
– W admiralicji.
– Jaki znowu urząd?
– Urząd morskiej zdobyczy.
– I cóż z tego?
– Urząd ten rozpada się na trzy działy: Lagon, Flotson, Jetson. Każdym działem zawiaduje osobny urzędnik.
– I cóż dalej?
– Okręt znajdujący się na pełnym morzu chce przesłać na ląd jakąś wiadomość – że płynie w tej chwili na takiej to właśnie szerokości, że napotkał potwora morskiego, że przepływa koło jakichś brzegów, że znalazł się w niebezpieczeństwie, że grozi mu zagłada itd. Kapitan bierze butelkę, wkłada do środka papier, na którym napisał to, co miał do powiedzenia, pieczętuje otwór i wrzuca butelkę do morza. Jeżeli butelka pójdzie na dno, dostaje się pod opiekę

urzędnika Lagon. jeżeli pływa na powierzchni, urzędnik Flotson zająć się nią powinien, a jeżeli falę wyrzucą ją na ląd, urzędnik Jetson ma do niej wyłączne prawo.

– A więc chciałbyś zostać urzędnikiem Jetson?

– Tak. Tak właśnie.

– I nazywasz to – zostać otwieraczem butelek wyłowionych w oceanie?

– Urząd taki istnieje.

– Ale dlaczego pragniesz tego właśnie urzędu, a nie któregoś z dwu poprzednich na przykład?

– Bo jest nie obsadzony w tej chwili.

– I na czymże on polega właściwie?

– Pani, w roku 1598 pewien rybak poławiający węgorze morskie znalazł na łasze piaszczystej, zwanej Epidium Promontorium, butelkę zalaną smołą. Zaniesiono ją królowej Elżbiecie. Z pergaminu, który się w tej butelce znajdował, Anglia dowiedziała się, że Holandia nic nie mówiąc nikomu zagarnęła nieznany kraj, nazwany „Nową Ziemią", że stało się to w czerwcu roku 1596, że w kraju tym niedźwiedzie pożerają ludzi i że opis, jak zachować się należy, by przetrwać tam zimę, pozostawiony został na papierze schowanym do pudła po muszkietach, które zawieszono w kominie drewnianej chaty wybudowanej na tej wyspie przez Holendrów, którzy wszyscy później zmarli, a komin ten – to beczka z wybitym dnem osadzona w dachu.

– Niewiele rozumiem z tej abrakadabry.

– Niech i tak będzie. Elżbieta zrozumiała. Jeden kraj więcej dla Holandii – to jeden kraj mniej dla Anglii. Butelka, co udzieliła tej wiadomości, zwróciła na siebie uwagę. I od tego dnia wydane zostało zarządzenie, że każdy, kto by znalazł na brzegu morza zalakowaną butelkę, winien odnieść ją admirałowi Anglii pod karą szubienicy. Admirał zaś wyznacza do otwierania tych butelek osobnego oficera, który zdaje sprawę jego królewskiej mości z tego, co w niej znalazł, jeżeli zajdzie tego potrzeba, oczywiście.

– A czy takie butelki często pojawiają się w admiralicji?

– Bardzo rzadko. Ale to nieważne. Urząd istnieje. Przywiązane jest do niego mieszkanie w admiralicji.

– Ile płacą za próżnowanie w taki sposób?

– Sto gwinei rocznie.

– I po to chcesz mnie trudzić?

– Za to można żyć.

– Nędznie.

– Jak przystało takim jak ja.

– Sto gwinei – cóż to jest? Nic prawie.

– To, co możni wydają w minutę, nam starcza na rok. Oto przewaga ubogich.

– Będziesz miał ten urząd.

W tydzień później dzięki dobrej woli Jozjany i stosunkom lorda Dawida Dirry-Moir Barkilphedro stał się urzędnikiem admiralicji. Nareszcie był uratowany, ustalony, nareszcie miał oto trwały grunt pod stopami, dach nad głową i sto gwinei rocznie.

VII. BARKILPHEDRO ROŚNIE

Okazanie swej niewdzięczności – to rzecz zawsze najpilniejsza.

Barkilphedro nie omieszkał też tego uczynić.

Po otrzymaniu tylu dobrodziejstw od Jozjany władało nim jedno tylko pragnienie: żeby się na niej za to zemścić.

Dodajmy tutaj, że Jozjana była piękna, wysoka, młoda, bogata, potężna, sławna, a Barkilphedro brzydki, mały, stary, biedny, zależny Od innych i nie znany nikomu. Musiał więc zemścić się za to wszystko.

I jakże mógłby przebaczyć tyle blasku ktoś, kto uczyniony jest cały, z czarnej nocy?

Barkilphedro był Irlandczykiem, co wyrzekł się Irlandii; niedobry to gatunek człowieka.

Za Barkilphedrem przemawiało jedno tylko: miał on bardzo duży brzuch.

Duży brzuch uchodzi za oznakę dobroci. Tutaj jednakże był to tylko jeszcze jeden sposób maskowania się. Barkilphedro był bowiem człowiekiem bardzo złym.

Ile miał lat? Był bez wieku. Lat miał tyle, ile wymagały okoliczności. Stary był i zmarszczkami, i siwizną, a młody żywością umysłu Był i ciężki, i żwawy; niczym hipopotam-małpa. Rojalista, zapewne republikanin, kto wie? Katolik, być może; protestant, niewątpliwie Prawdopodobnie stronnik Stuarta; bezsporny stronnik Brunswicka. Być „za" staje się siłą pod tym warunkiem dopiero, że jest się równocześnie „przeciw". Barkilphedro stosował też tę mądrą zasadę.

Urząd „odkorkowywacza wyłowionych w oceanie butelek" nie był wcale tak śmieszny, jakby się to mogło wydawać ze słów Barkilphedra. Reklamacje Garcia Ferrandeza – które dzisiaj nazwalibyśmy deklamacjami – w jego *Przewodniku morskim* przeciwko rabowaniu statków osiadłych na mieliźnie, co nazywało się „prawem do rozbitych okrętów", przeciwko lupiestwu resztek ocalałych z katastrofy przez mieszkańców wybrzeży wywołały w Anglii wielkie poruszenie, skutkiem czego sytuacja rozbitków poprawiła się o tyle, że mienie ich, przedtem rozkradane przez chłopów, teraz było konfiskowane przez lorda-admirała.

Wszystkie szczątki wyrzucone przez morze na angielski brzeg, towary, kadłuby statków, paki, skrzynie itd., należały do lorda-admirała; szczególniejsze zainteresowanie admiralicji wzbudzały jednak wszelkie pływające naczynia, kryjące w sobie przesłane tym sposobem wiadomości, i one to stanowiły o doniosłości urzędu, o który ubiegał się Barkilphedro. Katastrofy morskie to jedna z większych trosk Wielkiej Brytanii. Żegluga jest jej życiem, rozbijanie się statków jest więc jej zgryzotą. Nieustanny niepokój wieje od morza na Anglię. Niewielkie naczynie szklane, które ginący statek rzuca w fale, kryje w sobie wiadomość ostatnią, ze wszech miar cenną i ważną. Wiadomość o statku, wiadomość o załodze, wiadomość o miejscu, chwili i rodzaju katastrofy, o wiatrach, co rozbiły okręt, o prądach, które pływającą butelkę doniosły do brzegu. Urząd, który otrzymał Barkilphedro, zniesiony został sto lat temu, swego czasu był on jednak rzeczywiście potrzebny i ważny. Ostatnim, co go piastował, był niejaki William Hussey z Doddington w Lincoln. Człowiek, który pełnił te funkcje, był czymś w rodzaju referenta zdającego sprawę o znalezionych w morzu przedmiotach. Przynoszono mu wszystkie naczynia, zamknięte i zalakowane, wszystkie butelki, dzbanki, flasze; on tylko miał prawo je otworzyć, on pierwszy poznawał tajemnicę ich zawartości; on klasyfikował je i etykietował w swojej kancelarii. Nie pominięto tutaj zresztą pewnych ostrożności. Naczynia te odpieczętowywane były i otwierane zawsze w obecności dwu innych jeszcze urzędników admiralicji zaprzysiężonych i zobowiązanych do zachowania tajemnicy, którzy razem z piastującym urząd Jetson sygnowali protokół otwarcia. Lecz ponieważ przysięgli ci zobowiązani byli do milczenia, Barkilphedro miał niejaką swobodę działania; w pewnych granicach w jego mocy było czy to zataić jakiś fakt, czy też wydobyć go na światło dzienne.

Te kruche przedmioty, wyrzucane przez fale na brzeg, nie były wcale ani tak rzadkie, ani tak nic nie znaczące, jak to Barkilphedro powiedział Jozjanie. Czasami przypływały do lądu dość szybko; czasami po latach dopiero. Zależało to od wiatrów i prądów. Obyczaj puszczania z prądem butelki teraz zaginął już prawie, jak i obyczaj zawieszania wotów na ołtarzu; lecz w owych czasach, kiedy religijność była jeszcze powszechna, ci, co mieli umrzeć za chwilę, często tą drogą właśnie przekazywali Bogu i ludziom swoje ostatnie pożegnanie i takie listy z dalekich mórz często pojawiały się w admiralicji. Pergamin przechowany w zamku Audlyene (według starej pisowni), opatrzony adnotacjami hrabiego Suffolk, wielkiego

skarbnika Anglii za panowania Jakuba I, stwierdza, że w samym tylko roku 1615 pięćdziesiąt dwie butle, flaszki i flaszeczki, zalane smołą i zawierające wiadomości o zaginionych okrętach, przyniesione zostały do admiralicji, co odnotowano w kancelarii lorda-admirała.

Dworskie urzędy są jak kropla oliwy, rozszerzają się zawsze. Tak to odźwierny zostaje kanclerzem, a stajenny – konstablem. Specjalny oficer, pełniący funkcję upragnioną i otrzymaną przez Barkilphedra, bywał zazwyczaj mężem zaufania. Tak postanowiła niegdyś Elżbieta. A na dworze królewskim zaufanie znaczy tyle co intryga, intryga zaś tyle co wzrastanie wpływu. Urzędnik taki stawał się swego rodzaju osobistością. Bywał zawsze piśmienny i jako taki szedł tuż po dwóch pomocnikach wielkiego jałmużnika. Miał dostęp do królewskiego pałacu, przez tylne drzwi co prawda, *humilis introitus*, lecz za to do samej sypialni króla. Gdyż było to we zwyczaju, że jeśli sprawa była tego warta, informował on osobiście jego królewską mość o swoich znaleziskach, nieraz bardzo ciekawych, w butelkach tych znajdowały się bowiem i testamenty spisywane w obliczu niechybnej śmierci, i ostatnie pożegnania przesyłane na ojczysty brzeg, i wiadomości o popełnionych na morzu przeniewierstwach i zbrodniach, i legaty dla korony, itd. Kancelaria urzędnika Jetson była więc w stałej łączności z dworem i co czas pewien zdawał on sprawę jego królewskiej mości z wieści wydobywanych z tych smutnych, zza grobu przybywających naczyń. Była to niby tajna kancelaria oceanu.

Kiedy Tamfeld de Coley z Berkshire, ówczesny oficer Jetson, zjawiał się przed obliczem Elżbiety przynosząc jej jeden z tych dokumentów wyrzuconych przez morze na ląd, królowa ta, która chętnie mówiła po łacinie, pytała: *Quid mihi scribit Neptunus?* Co mi pisze Neptun?

Przejście zostało wydrążone. Termit dokonał swego. Barkilphedro miał dostęp do królowej.

A tego właśnie pragnął.

Dla zrobienia kariery i majątku?

Nie.

Dla zniszczenia świetnego losu innych.

Większe to szczęście.

Szkodzić to w rozkoszy brodzić.

Nosić w sobie żądzę szkodzenia, nieokreśloną, lecz nieubłaganą, i nie tracić jej z widoku nigdy, ani na chwilę – cnota to dana nie każdemu. Barkilphedro wyposażony został przez naturę w taką właśnie stałość.

Myśl, wola tego człowieka posiadała dar zacinania się niczym szczęka buldoga.

Czuł, że jest nieubłagany, i czerpał z tego skryte, ponure zadowolenie. Byleby tylko miał jakąś zdobycz w zębach, byleby miał w duszy pewność, że komuś szkodzi, nic mu już do szczęścia nie brakło.

Rad szczękał i dygotał w nadziei, że innemu też będzie zimno.

Być złym —to wielkie bogactwo. Niejeden, o którym sądzą, że jest ubogi, i który jest nim w istocie, ma skarby prawdziwe w swej złośliwości, skarby, których by na nic nie zamienił. Zrobić złośliwego figla – czyli dobrego figla – to więcej niż pieniądze. Złośliwego dla tego, co go doświadcza, dobrego dla tego, co go płata. Katesby, wspólnik Guy Fawkesa w papistowskim spisku prochowym, mówił: „Dałbym chętnie milion szterlingów, byleby tylko zobaczyć, jak parlament wylatuje w powietrze."

Kim był właściwie Barkilphedro? Powodowało nim uczucie najlichsze i najstraszliwsze zarazem. Był on zawistny.

Zawiść to uczucie, które można dobrze ulokować na królewskim dworze.

Na dworze aż roi się od impertynentów, leniuchów, bogatych próżniaków łaknących intrygi, od poszukiwaczy igły w kopie siana, od wyszydzonych szyderców r błyskotliwych głupców, którzy spragnieni są rozmów z zawistnikiem.

Jakże orzeźwiająco działa złośliwa plotka!

Człowiek zawistny – to świetny materiał na szpiega.

Pomiędzy namiętnością naturalną, jaką jest zawiść, a funkcją społeczną, jaką jest szpiegowanie, istnieje silne powinowactwo. Szpieg poluje dla innych, jak pies; zawistnik poluje dla siebie, jak kot.

Człowiek zawistny jest cały uformowany z okrucieństwa.

Barkilphedro miał też i inne przymioty: był dyskretny, skupiony, rzeczowy. Wszystko skrywał w sobie, a złość przeżerała go coraz głębiej. Bezgraniczna podłość łączy się zawsze z bezgraniczną próżnością. Ci, których bawił, lubili go, inni – nienawidzili; on jednak sądził, że ci, co go nienawidzą, gardzą nim, że ci, co go lubią, kpią sobie z niego tylko. Trzymał się jednak w karbach. Wszystkie te urazy wrzały bezdźwięcznie w głębinach jego wrogiej rezygnacji. I oburzał się – jak gdyby hultaje w ogóle mieli do tego prawo. Milczał, choć miotała nim furia. Potrafił przełknąć wszystko. Miewał napady głuchych, wewnętrznych gniewów, przystępy tajonej wściekłości, która tliła się w nim skrytym, ciemnym płomykiem, niedostrzegalnym dla niczyich oczu; gwałtownik ten nawet dym dobywający się z płonącego w nim ognia połknąć potrafił. A na powierzchni cały był uśmiechem – uczynny, usłużny, miły, uprzejmy, życzliwy. Kłaniał się każdemu, gdziekolwiek kogo spotkał. Za lada powiewem wiatru zginał się do samej ziemi. Trzcina w miejscu stosu pacierzowego – źródło to iluż korzyści.

Istoty podobne, jadowite a skryte, napotyka się wcale nie tak rzadko, jakby się to wydawać mogło. Żyjemy otoczeni zewsząd złowrogimi spadzistościami. Po co istnieją szkodnicy? Bolesne pytanie. Marzyciel stawia je sobie zawsze, a myśliciel nigdy odpowiedzieć na nie nie potrafi. I stąd też się bierze smutek w spojrzeniu filozofów, utkwionym w górę ciemności, którą jest przeznaczenie, górę, z której wierzchołka olbrzymie widmo zła rzuca na ziemię pełne garście węży.

Barkilphedro miał opasłe ciało i chudą twarz. Tłusty tułów i kościste oblicze. Paznokcie jego pożłobione były i krótkie, palce sękate, na końcach spłaszczone, włos gruby, sztywny, duża odległość przedzielała skronie, a czoło miał zbrodniarza, szerokie a niskie. Wąskie oczka ukrywały swój nikczemny wyraz pod krzaczastymi brwiami. Nos długi, spiczasty, garbaty i gruby sięgał mu prawie aż po linię ust. Barkilphedro, gdyby go tylko ubrać w stosowny strój, podobny byłby do Domicjana. Twarz jego, zjełczało-żółta, była jakby wyrobiona z lepkiego ciasta, nieruchome policzki wydawały się jak z żywicy i poprzecinane były mnóstwem obrzydliwych zmarszczek i bruzd. Szczękę miał potężną, ciężki podbródek i szelmowskie uszy. Kiedy milczał, kiedy twarz jego nieruchomiała, górna warga, oglądana z profilu, wyciągała się w trójkąt i podnosiła ukazując dwa zęby. Zdawało się, że te zęby patrzą na człowieka. Bo zęby potrafią patrzeć, jak spojrzenie potrafi gryźć.

Cierpliwość, umiarkowanie, wstrzemięźliwość, skromność, powściągliwość, uprzejmość, poszanowanie, słodycz, grzeczność, poprzestawanie na małym i czystość obyczajów – oto komplet właściwości cechujących Barkilphedra. Znieważał te wszystkie cnoty tym samym już, że je posiadał.

Nie upłynęło wiele czasu, a już Barkilphedro na dobre zadomowił się na dworze.

VIII. INFERI

Na dworze królewskim można się urządzić w dwojaki sposób: albo na obłoku, i wtedy jest się dostojnym, albo też w błocie, i wtedy jest się wszechpotężnym.

W pierwszym wypadku należy się do Olimpu. W drugim – do garderoby.

Ten, co jest na Olimpie, ma w swym ręku tylko pioruny; ten, co jest w garderobie – ma tajną policję.

W garderobie mieszczą się wszystkie narzędzia panowania, stamtąd też nieraz nadchodzi i kara, gdyż garderoba jest zdradziecka. Tam to skonał Heliogabal. Nosiła ona wówczas nazwę latryny.

Zazwyczaj jednak dzieją się w garderobie wydarzenia mniej tragiczne. Tutaj to właśnie Alberoni podziwiał Vendóme'a. Osoby krwi królewskiej chętnie udzielają tutaj posłuchania. Służy im ona za tron; Ludwik XIV przyjmuje tu księżnę burgundzką, Filip V zasiada obok królowej. I ksiądz również ma tu dostęp. Garderoba bywa niekiedy filią konfesjonału.

Dlatego też w dolnych kręgach dworu rodzą się kariery. I to nienajmniejsze wcale.

Jeżeli chciałeś zostać wielkim za Ludwika XI, powinieneś był stać się Piotrem de Rohan, marszałkiem Francji; jeżeli chciałeś mieć wpływy, powinieneś był stać się Oliwierem de Daira, golibrodą. Jeżeli za czasów, Marii Medycejskiej chciałeś zostać sławnym, trzeba było zostać Sillery, kanclerzem; jeżeli chciałeś być osobą naprawdę ważną, trzeba było zostać Hannon, panną służącą królowej. Jeżeli chciałeś być słynnym za Ludwika XV, trzeba było zostać Choiseulem, ministrem; jeżeli chciałeś, by się ciebie obawiano, trzeba było zostać Lebelem, pokojowcem. A za Ludwika XIV – Bontemps, co ściele łoże królowi, o ileż więcej może niż Louvois, co mu organizuje armię, niż Turenne, co odnosi dla niego zwycięstwa. Odejmijmy od osoby Richelieu ojca Józefa – i oto Richelieu nie istnieje prawie. Zabraliśmy mu całą tajemnicę. Czerwona eminencja jest wspaniała, szara eminencja – straszliwa. Być robakiem – jakaż w tym siła! Wszyscy Narvaez i O'Donnell razem wzięci mniej uczynić są w stanie niż jedna siostra Patrocinio.

A warunkiem tej potęgi jest samounicestwienie. Jeżeli chcesz być potężnym – bądź nieznanym, skromnym. Bądź niczym. Odpoczywający wąż, zwinięty w kółko, przedstawia sobą zarazem i zero, i nieskończoność.

Taka to właśnie gadzia kariera stała się udziałem Barkilphedra.

Wśliznął się tam, gdzie chciał.

Płaskie robactwo przedostaje się wszędzie. Ludwik XIV miał pluskwy w swoim łożu, a w polityce swojej – jezuitów.

Niemożliwe kombinacje nie istnieją.

Świat ten przypomina wahadło, którego ruchy łączyłyby dwa przeciwległe, a ciążące ku sobie bieguny: Franciszek I potrzebuje Tribouleta, Ludwik XV potrzebuje Lebela. Pomiędzy najwyższymi wierzchołkami i najniższymi dołami istnieje głębokie powinowactwo.

Kieruje ten, co jest na dole. Zrozumieć przyczynę nie trudno. Ten, co jest na dole, trzyma w swoim ręku wszystkie nici.

Nie ma dogodniejszego stanowiska.

Jest się okiem i ma się ucho.

Jest się okiem rządu.

Ma się ucho króla.

A kiedy ma się dla siebie ucho króla, można dowolnie przesuwać zasuwkę, na którą zamknięta jest królewska świadomość, można do tej świadomości wkładać wszystko, co się tylko zechce. Świadomość królewska jest dla ciebie niby szafą. Niby workiem, jeżeli jesteś śmieciarzem. Królewskie uszy nie należą do królów; i dlatego też biedacy ci w gruncie rzeczy nie mogą być za nic prawie odpowiedzialni. Kto nie jest panem swoich myśli, nie jest też i panem swoich czynów. Król to stworzenie posłuszne.

Komu?

Jakiemukolwiek złemu duchowi, co brzęczy mu do ucha. Posępnej musze otchłani

Brzęk ten rozkazuje. Panowanie – to dyktando.

Władca przemawia głosem donośnym, władza szepce cicho.

Prawdziwymi historykami są też ci, co potrafią odróżnić ten cichy szept każdego panowania i usłyszeć, co podpowiada on donośnemu głosowi.

IX. NIENAWIŚĆ JEST RÓWNIE SILNA JAK MIŁOŚĆ

Królowa Anna miała kilka takich cichych głosów w swoim otoczeniu. Barkilphedro był jednym z nich.

Prócz królowej zaś urabiał on również niedostrzegalnie i lady Jozjanę, i lorda Dawida. Wspominaliśmy już, że szeptał w troje na raz uszu. Miał więc do swojej dyspozycji o jedno ucho więcej niż Dangeau. Dangeau szeptał do dwojga uszu tylko wtedy, kiedy wsunął swą głowę pomiędzy Ludwika XIV, zakochanego w szwagierce swojej, Henrietcie, i Henriettę, zakochaną w szwagrze swym, Ludwiku XIV, kiedy był powiernikiem Ludwika, o czym nie wiedziała Henrietta, i powiernikiem Henrietty, o czym nie wiedział Ludwik, kiedy umieścił się w samym środku miłości tych swoich dwu kukiełek i sam stawiał pytania, i sam dawał odpowiedzi.

Barkilphedro był taki uśmiechnięty, taki zgodny, tak zupełnie niezdolny, by za kimkolwiek się ująć, tak do nikogo na dnie duszy nie przywiązany, taki szpetny, taki zły, że osoba krwi królewskiej już po krótkim czasie obejść się wprost bez niego nie mogła. Raz spróbowawszy pochlebstw Barkilphedra Anna mieć już nie chciała innego pochlebcy. Pochlebiał jej tak, jak niegdyś pochlebiano Ludwikowi Wielkiemu – kłując dotkliwie innych. „Skoro król jest nieukiem, należy drwić z uczonych" – mawiała pani de Montchevreuil.

A szczyt mistrzostwa – to zatruwanie niekiedy tych ukłuć jadem. Neron lubił przyglądać się pracy Lokusty.

Do królewskich pałaców przedostać się można bez trudu. Te kolonie koralowych polipów mają swoje wewnętrzne przejścia, które szybko odnajdują, przetrząsają, a nawet i wydrążają w miarę potrzeby gryzonie zwane dworzanami. By wejść tam, byle pozór wystarczy. Barkilphedro pod pozorem swego stanowiska dostał się też przed oblicze królowej Anny i szybko stał się dla niej tym, czym niegdyś był dla Jozjany: nieodzownym pokojowym zwierzęciem. Słówko, na które raz się odważył, pozwoliło mu przejrzeć królową; odtąd wiedział już, czym jest naprawdę dobroć jej królewskiej mości. Królowa bardzo lubiła swojego lorda-stewarda, Williama Cavendisch, księcia Devonshire, który był wielkim głupcem. Lord ów, co posiadał wszystkie stopnie naukowe Oksfordu, a nie znał nawet ortografii, popełnił dnia pewnego wielką lekkomyślność: umarł. Umrzeć – to na dworze postępek bardzo nierozsądny, wówczas nikt już się bowiem nie krępuje z wypowiadaniem swojego zdania o takiej osobie. Królowa rozpaczała po śmierci lorda-stewarda w obecności Barkilphedra, aż wreszcie wśród westchnień rzekła tak; „Cóż za szkoda, że tyle cnót obsługiwała głowa tak słaba."

– *Dieu veuille avoir son ane!* – szepnął półgłosem, po francusku, Barkilphedro.

Królowa uśmiechnęła się. Barkilphedro zapamiętał sobie ten uśmiech.

Wywnioskował z niego: podobam się, kiedy gryzę.

Spuścił więc z uwięzi swoją złośliwość.

Od tego dnia ciekawość jego i drwina docierać zaczęły wszędzie. Pozwalano mu na to, gdyż się go bano. Kto rozśmiesza królów, w innych budzi strach.

Silny był potęgą błazna.

Co dzień gdzieś pod ziemią posuwał się naprzód o kilka kroków. Stał się potrzebny. Niektórzy możni zaszczycali go zaufaniem swoim tak dalece, że powierzali mu nawet różne nienazbyt czyste sprawy do załatwienia.

Dwór – to machina poruszana trybami. Barkilphedro stał się ich motorem. Gzy zauważyliście może, jak niewielkie kółko porusza nieraz cały mechanizm?

Jozjana, która – jak już wspominaliśmy – korzystała ze szpiegowskich talentów Barkilphedra, ufała mu tak dalece, że powierzyła mu bez wahania tajemny klucz od swoich pokoi. Za

pomocą tego klucza mógł wejść do niej o każdej godzinie. Takie dopuszczenie obcej osoby do wszelkich tajników swego prywatnego życia zdarzało się w wieku siedemnastym bardzo często. Nazywano to: dać komuś klucz. Jozjana rozdała dwa takie klucze zaufania; jeden miał lord Dawid, drugi Barkilphedro.

A zresztą wpadanie znienacka do sypialni nie było w obyczajach, tamtych wieków niczym zadziwiającym. Często też zdarzały się nieoczekiwane wypadki. La Ferte na przykład, odsuwając gwałtownie firankę u łoża panny Lafont, znalazła tam Sainsona, czarnego muszkietera, itd. itd.

Barkilphedro celował w podobnych, przypadkowych niby to odkryciach, które wydają osoby wysoko postawione w ręce skromnych sług. krętymi ścieżkami, cicho a umiejętnie, poruszał się wśród mroków. Jako szpieg doskonały, łączył bezlitosność kata z cierpliwością mikroskopowego badacza. Został urodzony na dworaka. Każdy dworak jest lunatykiem. Snuje się po omacku wśród nocy, której na imię wszechpotęga. A w ręku ma ślepą latarnię. Oświetla sobie miejsce, które obejrzeć pragnie, sam pozostaje w cieniu. Z latarnią tą szuka on nie człowieka, lecz zwierzyny. A znajduje króla.

Królowie nie lubią mieć w swoim otoczeniu ludzi zbyt zadufanych we własnej wielkości. Podoba mi się ironia skierowana swym ostrzem przeciwko każdemu, byleby tylko nie przeciwko ich osobie. Wielką umiejętnością Barkilphedra było, iż potrafił on zawsze pokazać małość lordów i książąt, wyolbrzymiając tym sposobem osobę jej królewskiej mości.

Tajemny kluczyk, znajdujący się w posiadaniu Barkilphedra, był podwójny, z każdego końca inny. Otworzyć nim można było drzwi do prywatnych pokoi Jozjany w obu jej ulubionych rezydencjach, w Hunkeryille-House w Londynie i w Corleone-lodge w Windsorze. Obydwa te pałace należały do dziedzictwa Clancharlie. Hunkeryille-House przytykał do Oidgate. Oidgate – to rogatka Londynu od strony Harwick. Stoi tam pomnik Karola II z aniołem nad głową, z wyrzeźbionymi u stóp lwem i jednorożcem. Wschodni wiatr przynosił do Hunkerville-PIouse dźwięk dzwonów z kościoła Marylebone. Corleone-lodge był to pałac florencki z cegły i kamienia, z kolumnami z marmuru, wybudowany w Windsorze, u wylotu drewnianego mostu. Pałac ten miał jeden z najpiękniejszych dziedzińców w Anglii.

W pałacu tym, położonym tuż obok królewskiego zamku, Jozjana znajdowała się pod bokiem królowej. Lubiła tutaj przebywać jednakże.

Wpływ Barkilphedra na królową był od zewnątrz prawie że niedostrzegalny. Moc jego skryła się w korzenie jak gdyby. Jakże trudno jest wyrwać takie dworskie chwasty; rozrastają się pod ziemią bardzo silnie, a na powierzchni nie ma za co uchwycić. Niesposób prawie wyplenić Roquelaure'a, Tribouleta czy Brummela.

Królowa Anna co dzień bardziej lubiła Barkilphedra.

Sara Jennings stała się sławna; Barkilphedro pozostał nieznany; względy, jakimi się cieszył, przepadły w ludzkiej pamięci. Imię jego nie przeszło do historii. Nie wszystkie krety wpadają do pułapki.

Barkilphedro, dawny kandydat na księdza, uczył się był niegdyś wszystkiego po trochu; o wszystko się otarł, a nic mu z tego nie pozostało. Można stać się ofiarą *omnis res scibilis*. Posiadanie beczki Danaid pod czaszką – to dramat całej rasy mędrców, którą można by określić jako jałową. Barkilphedro wiele wkładał do swojej mózgownicy, ona jednakże niezmiennie pozostawała pusta.

Umysł, tak jak i natura, nie znosi próżni. Natura wypełnia próżnię miłością; umysł wypełnia ją często nienawiścią. Nienawiść – to zawsze coś.

Zdarza się nienawiść dla nienawiści. Sztuka dla sztuki spotykana jest w naturze o wiele częściej, niżbyśmy to przypuścić skłonni byli.

Człowiek nienawidzi. Musi przecież czymś się zająć w końcu.

Bezinteresowna nienawiść – potężne to słowa. A więc nienawiść, która sama sobie jest zapłatą.

Niedźwiedź potrafi żyć ssąc własną łapę.

Nie w nieskończoność jednakże. Łapę taką trzeba odżywić. Trzeba pod nią podsunąć cokolwiek.

Nieokreślona, niewyraźna nienawiść – słodkie to uczucie i wystarcza na pewien czas; w końcu trzeba jednak znaleźć jej jakiś przedmiot. Niechęć rozproszona na wsze stworzenie wyczerpuje jak każda samotnicza rozkosz. Nienawiść pozbawiona przedmiotu podobna jest do strzału bez celu. A przecież serce, w które trafić i które przebić należy, jest niewątpliwie stawką w tej grze.

Niesposób nienawidzić z samej zasady tylko. Potrzebna jest tutaj jakaś przyprawa, jakiś mężczyzna czy też kobieta, ktoś, kogo można zniszczyć.

Urozmaicić tę grę, dostarczyć celu, podniecić nienawiść przez jej, umiejscowienie, zabawić myśliwca widokiem żywej zdobyczy, roztoczyć przed czatującym urzekające widoki krwi, co popłynie, dymiąca i ciepła, podniecać ptasznika tak bezużytecznie uskrzydloną łatwowiernością skowronka, być zwierzęciem, które ochrania się pól to, żeby je później zabić – przysługa to nie lada jaka, i słodka, i straszna, a wyświadczana zawsze nieświadomie. Barkilphedrowil wyświadczała ją Jozjana.

Myśl – to pocisk. Od pierwszego dnia Barkilphedro celować zaczął w Jozjanę złymi zamysłami, które hodował w duchu. Zamysł jest podobny do sztucera. Barkilphedro czuwał w pogotowiu, skierowując przeciwko księżniczce całą swoją skrywaną złość. Dziwi was to może? A cóż uczynił ptak myśliwemu, który do niego strzela? Strzela, bo go chce zjeść, powiadacie. Barkilphedro miał te same zamiary.

Nie podobna było ugodzić Jozjanę w serce, trudno jest dosięgnąć strzałą i zranić zagadkę; ale można było zranić ją w głowę, można było zranić jej pychę.

Sądziła, że jest to jej siła, a była to właśnie jej słabość.

Barkilphedro zrozumiał to szybko.

Gdyby Jozjana mogła przejrzeć na wskroś mroki duszy Barkilphedra, gdyby mogła zobaczyć, co kryje się pod maską jego słodkiego uśmiechu – to, choć można i dumna, zadrżałaby ze zgrozy. Lecz na szczęście dla spokoju jej nocy nie domyślała się nawet, kim był rzeczywiście ten człowiek.

Niesposób przewidzieć, skąd wytryśnie nagle niespodzianka. Głębokie, podziemne korytarze życia nie są bezpieczne. Mała nienawiść nie istnieje. Nienawiść jest zawsze olbrzymia. W najmniejszej nawet istocie zachowuje ona ogrom swojej postaci, zawsze jest potworna. Każda nienawiść jest całą nienawiścią świata. Słoń znienawidzony przez mrówkę również byłby narażony na niebezpieczeństwo.

Barkilphedro zanim uderzył, czuł radosny przedsmak złego uczynku, który zamierzał popełnić. Nie wiedział jeszcze, jaką krzywdę; zrobi Jozjanie. Ale postanowił, że jakąś zrobi jej na pewno. Decyzja. taka – to już wiele.

Całkowite zniszczenie Jozjany byłoby szczęściem zbyt wielkim, nieosiągalnym. Nie marzył też nawet o nim, chciał tylko upokorzyć ją, poniżyć, przywieść do rozpaczy, chciał, by te wspaniałe oczy zaczerwieniły się od płaczu. I liczył, że to mu się uda. Nie na darmo przecież natura uczyniła go wytrwałym, pracowitym, wiernym cudzej udręce nie na darmo uczyniła go ona człowiekiem, którego pozbyć się niema sposobu. Nie wątpił, że zdoła znaleźć w końcu szczelinę w złotym pancerzu Jozjany, że uda mu się zranić do krwi tę mieszkankę Olimpu. I jakąż to korzyść przynieść miał mu ten czyn? Korzyść olbrzymią. Za dobro wypłaciłby się złem.

Kim jest człowiek zawistny? Jest on niewdzięcznikiem. Nienawidzi światła, co oświeca go i grzeje. Zoil nienawidził tak Homera.

Poddać Jozjanę temu, co dzisiaj nazwano by wiwisekcją, mieć ją drgającą całą na swym anatomicznym stole, krajać ją na żywo, do woli, jakkolwiek, ciąć z lubością, kiedy ona wyć będzie z bólu – oto cudne marzenie Barkilphedra.

Aby tylko ten cel osiągnąć, gotów był nawet i pocierpieć trochę. Można czasem uszczypnąć się samemu własnymi kleszczami. Nóż, składając się, obetnie nieraz palec. Trudno. Zgodziłby się bez wahania na każdą udrękę, byleby go tylko spotkała przy okazji tortur zadawanych Jozjanie. Oprawca, co przypala gorącym żelazem, ma poparzone ręce, a nie zwraca na to nawet uwagi. Ponieważ inny bardziej cierpi, on sam nie czuje własnego bólu, bo ból ten łagodzi widok wijącej się w męce ofiary.

Szkodzić, szkodzić za wszelką cenę – i niech się dzieje co chce!

Praca nad budowaniem cudzego nieszczęścia łączy się zawsze z milczącym przyjęciem odpowiedzialności. Ten, co gotuje niebezpieczeństwo dla drugiego, sam się na nie naraża, sam może wpaść w każdej chwili w sidła pozastawiane misternie przez siebie samego. Wzgląd ten nie powstrzyma bynajmniej człowieka naprawdę złego. Odczuwa on tyleż radości; ile ofiara jego cierpi mąk. Cierpienia jej łaskoczą go mile; człowiek zły tylko w straszliwy sposób radować się potrafi. Kwitnie on wśród cudzej udręki. Książę Alba grzał sobie dłonie przy ogniu stosów Inkwizycji. Ogień – to ból, blask jego – to przyjemność. Dreszcz przejmuje na myśl o podobnych porównaniach. Niezgłębione są ciemne przepaście ludzkiej duszy. *Supplice exquis* – wyborna męczarnia – określenie to znaleźć można u Bodina[13], ma Ono, być może, straszliwe potrójne znaczenie. Mieści się w nim i wyszukanie w zadawanych torturach, i męka dręczonego, i rozkosz dręczyciela. Czym jest ambicja? Czym jest łaknienie? —potrzeba zaspokojenia pychy, potrzeba zaspokojenia głodu? Jest to chęć poświęcenia kogoś dla czyjegoś zadowolenia. Smutne to Bardzo, lecz i nadzieja bywa przewrotna. Jeżeli komuś życzymy czegokolwiek, to zawsze źle. Dlaczego nie życzymy ludziom dobrze? Czyżby śliskie pochyłości naszej woli leżały po stronie zła? Najcięższy trud sprawiedliwego to nieustanne usuwanie ze swej duszy niechęci, tak niełatwej do wyczerpania. Prawie wszystkie nasze pożądania, obejrzane ż bliska, kryją w sobie coś, do czego niesposób się przyznać. Dla doskonałego złoczyńcy – istnieje bowiem ten ohydny rodzaj doskonałości – „Tym gorzej dla innych" znaczy tyle, co „Tym lepiej dla mnie". O mroki, o pieczary ludzkich dusz!

Jozjana czuła się ze wszech miar bezpieczna. Oślepiała ją pycha zrodzona z pogardy dla wszystkiego. Zdumiewająca bywa zdolność kobiet do odczuwania wzgardy. Pogarda nieświadoma, bezwiedna i pełna ufności – oto Jozjana. Barkilphedro był w jej pojęciu czymś na kształt przedmiotu. Zdziwiłaby się szczerze, gdyby jej ktoś. powiedział, że Barkilphedro jest istotą ludzką.

Chodziła, poruszała się, śmiała nie dostrzegając obecności tego człowieka, a on przypatrywał się jej z ukosa.

Milczący, skupiony, czatował na sposobność.

A im dłużej czekał, tym silniej krzepło w nim pragnienie, by za wszelką cenę zmącić rozpaczą życie tej kobiety.

Czyhał, nieubłagany.

Był zresztą w pełni usprawiedliwiony we własnych oczach. Nie należy mniemać, jakoby hultaje nie mieli dla siebie szacunku. Zdają oni sprawę ze swych zamiarów i czynów sami przed sobą w wyniosłych, dumnych monologach. Jak to! Ta Jozjana dała mu jałmużnę! Niczym żebrakowi rzuciła mu kilka nędznych groszy ze swego przeogromnego bogactwa. Przykuła go, przygwoździła do idiotycznego urzędu! Bo przecież to, że on, Barkilphedro, duchowny prawie, człowiek obdarzony zdolnościami tak różnorodnymi, tak głębokimi, osobistość tak uczona, on, którego wielebnym co najmniej zwać by należało, gdyby sprawiedliwie nagradzano cnotę – trudnił się spisywaniem w rejestr skorup zdatnych już chyba tylko do zeskrobywania wrzodów Hioba, że marnował żywot w ciasnej kancelarii na odpieczętowywaniu z największą powagą głupich butelek obrosłych wszelakim morskim plugastwem i na rozszyfrowywaniu spleśniałych pergaminów, zbutwiałych gryzmołów, rozpadłych na strzępy testa-

[13] Księga IV, str. 196.

mentów, głupstw zamazanych, nieczytelnych – działo się z winy Jozjany! A ta marna istota pozwalała sobie jeszcze mówić mu: ty!

I miałbyż się nie zemścić za to wszystko?

I miałbyż puścić jej to płazem?

O, za pozwoleniem! Nie byłoby już chyba sprawiedliwości na ziemi.

X. OGIEŃ, KTÓRY DOJRZEĆ BY MOŻNA BYŁO, GDYBY CZŁOWIEK BYŁ ISTOTĄ PRZEZROCZYSTĄ

Co! Ta kobieta, to dziwadło, ta marzycielka rozpustna, dziewica, dopóki się okazja do grzechu nie zdarzy, ten kawał ciała, nie dostarczony jeszcze do rąk właściciela, to uosobienie bezczelności w książęcej mitrze, ta dumna Diana, której nie posiadł jeszcze nikt, żaden pierwszy lepszy – nikt, podobno – niech i tak będzie – zapewne z braku sposobności – ten nieprawy pomiot łotra-króla, co nie miał dość rozumu w głowie, by zachować swój tron, ta księżniczka z przypadku, wielka dama pozująca na boginię, co byłaby zwykłą dziewką publiczną, gdyby nie majątek, ta przebrana lady, złodziejka, co skradła fortunę banity, ta żebraczka pełna pychy – była aż tak bezwstydna, że kiedy dnia pewnego on, Barkilphedro, znalazł się bez dachu nad głową i nie miał co do ust włożyć, posadziła go u swego stołu na szarym końcu i pozwoliła mu przytulić się w jakimś zakamarku swojego obrzydliwego pałacu – gdzie? ach, to już wszystko jedno, czy na strychu czy w piwnicy – nieco lepiej niż służba, gorzej nieco niż konie! Wykorzystała rozpaczliwe położenie jego, Barkilphedra, by oddać mu co prędzej podstępną przysługę, by – jak zwykle bogacze ubogich – upokorzyć go, uzależnić od siebie, niczym jamnika wziętego na smycz! A ileż to ją kosztowało wyświadczenie tej przysługi? Przysługa tyle jest warta, ile kosztuje tego, co ją świadczy. Małoż to miała pustych, zbytecznych pokoi w swoim pałacu! Przyszła z pomocą Barkilphedrowi! Ogromny to z jej strony wysiłek! Czyż zjadła przez to choć o jedną łyżkę mniej żółwiowej zupy? Czyż wyrzekła się czegokolwiek z nadmiaru swego nienawistnego dobrobytu? Nie! Do nadmiaru tego, do tego zbytku dorzuciła jeszcze jedną próżność, jeszcze jeden luksus, przystroiła się w dobry uczynek niczym w pierścionek, wspomogła uczonego, otoczyła opieką pisarza! Mogła teraz uważać się za jego Protektorkę, mogła przybierać pozy osoby, co rozrzuca dobrodziejstwa na lewo i prawo, co karmi i poi ubogich literatów. Cóż za szczęście miał ten nędzarz, że udało mu się napotkać mnie! Jakże wielką jestem dobrodziejką i przyjaciółką sztuk pięknych! I to wszystko za jaką cenę? Za to, że postawić kazała tapczanik w ciemnej komórce na poddaszu. A ta posada w admiralicji, co to ją Barkilphedro otrzymał z łaski Jozjany! Cudowne zajęcie! Jozjana uczyniła BarkMphedra tym, czym był on w tej chwili. Tak, to ona zrobiła go tym właśnie, czyli niczym. A nawet mniej jeszcze niż niczym. Zajęcie to ośmieszało go, obezwładniało, ciążyło mu, nie pozwalało być sobą. Cóż był winien Jozjanie? Wdzięczność, jaką garbus czuje dla matki, co go urodziła kaleką. Oto i oni – ci uprzywilejowani, syci ludzie, ci parweniusze, ci wybrańcy podłej macochy-fortuny! A człowiek pełen zdolności i talentów, a Barkilphedro, musi stać pokornie w sieni, czapkować lokajom, wdrapywać się wieczorami na wysokie poddasze, musi być uprzejmy, nadskakujący, przymilny, pokorny. Uśmiech wyrażający pochlebstwa i szacunek ani na chwilę nie ma prawa zejść mu z twarzy. I jakże tu nie zgrzytać zębami w skrytości ducha! A ona tymczasem w perły stroi swoją szyję i przybiera pozy miłośnicy wobec tego swojego głupkowatego lorda Dawida Dirry-Moir! Łajdaczka!

Nie dopuszczaj nigdy, by ci ktokolwiek wyświadczył przysługę. Bo wykorzystywany będziesz bez końca. Nie pozwól się nigdy złapać na gorącym uczynku ostatecznego wyczerpania. Bo ktoś ci pomoże. Barkilphedro nie miał nawet na kawałek chleba – i to już starczyło

owej kobiecie za pretekst, by go nakarmić. I od tej chwili stał się jej domownikiem, jej sługą. Jedno osłabienie żołądka – i oto jesteś uwiązany łańcuchem na całe swoje życie. Zostać zobligowanym – to tyle, co stać się wyzyskiwanym. Szczęśliwi, możni korzystają z chwili, w której wyciągasz rękę, by położyć ci grosz na dłoni, korzystają z momentu poniżenia twego i nędzy, by uczynić z ciebie niewolnika, i to niewolnika najgorszego rodzaju, niewolnika wdzięczności, niewolnika, który musi kochać. Cóż za nikczemność! Co za niedelikatność! Jakaż niespodzianka dla naszej dumy! I nie ma na to rady, jesteś oto skazany, -skazany na całe życie i nie wolno ci wątpić nawet, że ten mężczyzna jest dobry, że ta kobieta jest piękna, i musisz tkwić na swojej podrzędnej pozycji, schlebiać, chwalić, podziwiać, kadzić, płaszczyć się, nieustannie zginać kolano w przyklęku i słodzić każde swoje słowo – wtedy, kiedy drąży cię złość, kiedy przeżuwasz najwścieklejsze okrzyki, kiedy kotłuje się w tobie oburzenie i więcej jest w twojej duszy goryczy niż piany w oceanie.

W taki to właśnie sposób czyni możny biedaka swoim niewolnikiem.

Dobry uczynek, którego dokonano na twojej osobie, oblepia cię, grzęźniesz w nim już na zawsze.

Na jałmużnę nie ma ratunku. Wdzięczność to paraliż. Dobrodziejstwo okleja się dookoła ciebie wstrętnie a dokładnie, uniemożliwiając ci jakiekolwiek swobodniejsze poruszenie. Obrzydliwe istoty bogate i syte, których litość sroży się nad tobą, wiedzą o tym dobrze. Stało się! Oto należysz już do nich. Kupili cię. Za ile? Za kość odebraną psu i tobie daną. Rzucili d. tę kość, uderzyli cię nią po głowie. Zostałeś tyleż wspomożony, co ukamienowany. Ale to wszystko jedno. Obgryzłeś ją, nieprawdaż? Dano ci również schronienie w psiej budzie. A więc dziękuj! Dziękuj przez całe życie! Ubóstwiaj swoich panów! Klękaj przed nimi nieustannie. Przyjęcie dobrodziejstwa to wyrażenie milczącej zgody na własne wieczyste poniżenie. Możni wymagają, byś miał siebie za nicość, ich – za bogów. Im bardziej się ty poniżasz, tym bardziej oni wywyższeni zostają. Prostuje ich twój zgięty kark. W głosie ich dźwięczy słodka a raniąca pogarda. Wydarzenia ich życia rodzinnego – chrzciny, śluby, ciąże, narodziny – wszystko to musi cię obchodzić, wszystkim tym przejmować się powinieneś. Rodzi się im szczeniak, dobrze, ty. układasz sonet. Po to jesteś poetą, by się płaszczyć! Czyż nie powinny spadać z nieboskłonu przerażone gwiazdy! Jeszcze krok dalej, a zaczniesz donaszać ich stare trzewiki.

– Cóż to ty trzymasz u siebie, moja droga?. Jaki brzydki! Co to za człowiek?

– Ach, nie wiem, taki sobie gryzipiórek. Karmię go.

Tak ze sobą rozmawiają te gęsi. Nawet nie ściszając głosu. Słyszysz i uśmiechasz się przymilnie, jak nakręcona zabawka. Zresztą, jeżeli zachorujesz, twoi państwo, owszem, przyślą ci lekarza. Nie swojego, o nie! I zapytają nawet o twoje zdrowie przy okazji. Jesteś ulepiony z innej gliny, strome zbocze niedostępności leży po ich stronie – są więc łaskawi. Są przystępni ze swej niedostępnej wysokości. Wiedzą, że nie zrównasz się z nimi w żaden sposób. Są grzeczni przez pogardę. Przy stole kiwają ci lekko głową. Niekiedy wiedzą nawet, jak. należy pisać twoje nazwisko. Są twymi protektorami i dają ci to odczuć w ten sposób tylko, że całkiem bezwiednie depczą po wszystkim, co jest w tobie delikatne i wrażliwe. Odnoszą się do ciebie z dobrocią!

Czyż to nie ohyda?

Zaiste, należało ukarać Jozjanę jak najszybciej. Należało pouczyć ją, z kim ma do czynienia! Tak! panowie magnaci, ponieważ nie jesteście w stanie wszystkiego zjeść, ponieważ bogactwo wasze doprowadziłoby was w końcu do niestrawności, gdyż żołądki wasze są małe, takie same jak i nasze, ponieważ wreszcie lepiej jest rozdać resztki, niż je zmarnować – okruchy z waszego stołu rzucacie wspaniałomyślnie ubogim! Tak! dajecie nam chleb, dajecie nam dach nad głową, dajecie nam przyodziewek, dajecie nam pracę i posuwacie swoją śmiałość, swój obłęd, okrucieństwo i głupotę aż tak daleko, by uwierzyć, że jesteśmy wam winni wdzięczność za to! Chleb ten – to chleb służalstwa, dach nad głową – to lokajska izba, odzie-

nie jest liberią, a praca istnym pośmiewiskiem, płatnym, to prawda, lecz ogłupiającym. Sądzicie, że za schronienie i strawę zyskaliście sobie prawo, by wyciskać z nas wszystkie soki, wyobrażacie sobie, że jesteśmy waszymi dłużnikami, liczycie na naszą wdzięczność! A otóż my rozszarpiemy wam brzuchy! Wyrwiemy z ciebie bebechy, o piękna pani, i będziemy cię pożerać na żywo, i wygryziemy ci zębami serce z piersi!

Jozjana! Czyż to nie ohyda? I na czymże polegała jej zasługa? Jedyne dzieło, którego dokonała – to przyjście na świat jako widoczne świadectwo głupoty ojca i bezwstydu matki. Raczyła istnieć, zgodziła się uprzejmie zostać przedmiotem powszechnego zgorszenia i za to, za to płacono jej miliony, za to posiadała ziemie, zamki, królikarnie, knieje pełne zwierzyny, jeziora, lasy, Bóg jeden wie co jeszcze! I pisywano do niej wiersze! A on, Barkilphedro, co uczył się i pracował tak ciężko, on, co wtłoczył sobie przez oczy do mózgu tyle grubych tomów, on, co zbutwiał cały wśród ksiąg i wiedzy, on, co mądry był nieskończenie, co doskonale dowodziłby wojskami, co mógłby pisywać tragedie nie ustępujące dziełom Otwaya i Drydena, gdyby zechciał tylko, on, co powinien był zostać cesarzem, tak przyciśnięty został koniecznością, że dopuścił, by ta nic nie warta istota nie pozwoliła mu umrzeć z głodu! Czyż uzurpacja możnych, tych obrzydzenie wzbudzających wybrańców przypadku, może posunąć się dalej? Udają wobec nas wspaniałomyślność, hojność, wspomagają, uśmiechają się do nas, do nas, co chętnie chłeptalibyśmy ich krew oblizując z lubością wargi! Pierwsza lepsza dama u dworu ma odrażającą moc stania się dobrodziejką, a człowiek naprawdę nieprzeciętny może zostać skazany na zbieranie resztek upuszczonych przez taką rękę! Nie masz chyba straszliwszej niesprawiedliwości! A czymże jest społeczeństwo, które stoi aż tak wyłącznie na nierówności i wyzysku? Czy nie należałoby właściwie schwycić tego wszystkiego za cztery rogi, potrząsnąć i wyrzucić aż pod sufit, i obrus, i zastawioną ucztę, i orgię, i upojenie, i pijaństwo, i biesiadników – i tych, co rozparli się łokciami na stole, i tych, co warują pod stołem, na czterech łapkach, i zuchwalców, co dają, i głupców, co przyjmują – plunąć tym Bogu w nos, cisnąć w niebo ziemię całą! Na razie jednakże wpijemy pazury w Jozjanę.

Oto rozmyślania Barkilphedra, oto ryk jego duszy. Zawistnicy zwykli bowiem rozgrzeszać się włączając powszechne, społeczne zło w swoje osobiste urazy. Nienawiść, ta dzika namiętność, pożerała nieustannie tę okrutną duszę przybierając coraz to inny kształt. W rogach starych piętnastowiecznych map widnieje przestrzeń nie mająca ani ustalonego kształtu, ani nazwy, na której wypisano trzy słowa: *Hic sunt leones.* Taki niezbadany zakątek znajduje się również i w człowieku. Namiętności krążą tam i pomrukują groźnie, i można by powiedzieć o tych ciemnych zakamarkach ludzkiej duszy: tutaj żyją lwy.

Czy jednakże podobne spiętrzenie drapieżnych rozumowań było całkowicie niedorzeczne? Czy sądy te były zupełnie pozbawione słuszności? Nie, przyznać to trzeba!

Przerażenie budzi myśl, że sądy, do których jesteśmy zdolni, to nie to samo co sprawiedliwość. Sąd jest względny. Sprawiedliwość – absolutna. Zastanówcie się sami, na czym polega różnica pomiędzy sędzią a sprawiedliwym.

Ludzie źli bezwzględnie i świadomie znęcają się nad sumieniem, dławią je. Istnieje swoista gimnastyka fałszu. Sofista – to fałszerz, co gwałci zdrowy rozsądek w razie potrzeby. Pewien gatunek logiki, zwinnej, zręcznej, a bezlitosnej, pracuje na rzecz zła i celuje w dławieniu wśród ciemności prawdy. Szatan zadaje Bogu ponurego kuksańca.

Niejeden sofista, podziwiany przez głupców, taki tylko posiada tytuł do sławy, że udało mu się zręcznie „posiniaczyć" sumienie człowieka.

Barkilphedro przewidywał poronienie swoich zamysłów. Żałość brała na samą myśl o tym. Przedsiębrał pracę tak ogromną, by w rezultacie – jak się tego obawiał przynajmniej – dokonać tak niewiele złego. Był człowiekiem, co jak kwas przeżerać potrafi, miał stalową wolę, nienawiść jego twarda była jak diament, płomienna ciekawość pożądała katastrofy. I miałbyż niczego nie spalić, nie ściąć niczyjej głowy, niczego nie zniszczyć! Być tym, czym on był, niszczącą siłą, żarłoczną nienawiścią, podgryzaczem szczęścia innych, zostać stworzonym

(bo istnieje przecież jakiś stwórca, którykolwiek, Bóg czy diabeł!), zostać stworzonym Barkilphedrem w każdym calu– po to, żeby, być może, wypłatać komuś tylko nieznacznego figla! Czyż to możliwe On, Barkilphedro, miałbyż chybić! On, sprężyna zdolna do wyrzucania skalnych głazów, miałbyż napiąć się do ostatnich granic po to tylko, by nabić guza na czole strojnej lali! Katapulta pstrykająca szczutka! Wysiłek Syzyfa dający wynik równy pracy mrówki! Miałbyż wypocić całą swą nienawiść – i nie uzyskać tym sposobem nic prawie? Nie ma chyba większego upokorzenia dla mechanizmu, co zdolny byłby przecież zmiażdżyć świat cały! Puścić w ruch wszystkie kółka, wszystkie śrubki, potajemnie, tłumiąc w ukryciu zgiełk, które czyniły—nie mniejszy niż maszyna z Marly – po to tylko, być może, żeby uszczypnąć koniuszek różowego paluszka! I miałże odwalać i przenosić głazy – kto wie? – po to tylko, by płaska powierzchnia dworu pokryła się drobnymi zmarszczkami na chwilę? Bóg lubi rozrzutnie szafować siłami. Nieraz porusza góry całe, by, w skutku, przesunąć nieco kopczyk kretowiska.

A ponadto – rzecz działa się na dworze, na tym niezwykłym, cudacznym terenie, gdzie bardzo jest niebezpiecznie celować do wroga – i chybić. Po pierwsze, demaskuje cię to wobec wroga i rozdrażnia go, po drugie, co najważniejsza, nie podoba się to władcy, panu. Królowie niechętnym okiem widzą niezręcznych. Żadnych obrażeń, żadnych brzydkich ciosów kułakiem! Uduś, wszystkich choćby, bylebyś tylko nikomu nie puścił krwi z nosa. Ten, co zabija, jest zręczny, ten, co rani, jest niezdarą. Królowie bardzo nie lubią, kiedy się uszkodzi ich domownika. I mają pretensję do tego, co nadtłucze czy to porcelanową figurkę z ich kominka, czy też dworzanina z ich orszaku. Na dworze ma być porządnie. Stłucz, lecz wstaw na to miejsce przedmiot nowy; wtedy nikt nie będzie miał do ciebie żalu.

Taki stan rzeczy daje się zresztą znakomicie pogodzić z upodobaniem do obmowy, do plotki, jakże miłej królom. Obmawiaj, lecz nie czyń złego. A jeżeli już je czynisz – to tylko w wielkim wymiarze.

Zasztyletuj, ale nie udrap. Chyba że szpilka jest zatruta. To cię może usprawiedliwić. Tak też właśnie uczynić pragnął Barkilphedro.

Nienawidzący karzeł jest niczym buteleczka, w której zamknięto smoka Salomona. Buteleczka – mikroskopijna, smok – olbrzymi, Ostatecznie skondensowana moc oczekująca potężnej chwili oswobodzenia. Nuda, co się pociesza obmyślaniem wybuchu. Zawartość większa jest od zawierającego ją naczynia. Olbrzym utajony, niezwykłe to zaiste zjawisko! Robaczek, w którym kryje się hydra! Być taką straszliwą puszką z niespodzianką, nosić w sobie lewiatana – to dla karła i tortura, i rozkosz równocześnie.

Nic też nie byłoby w stanie odwieść Barkilphedra od powziętego raz zamiaru. Czekał na swoją godzinę. Czy nadejdzie ona? Wszystko jedno! On na nią czekał. U ludzi bardzo złych wchodzi tu w grę również i miłość własna. Podkopać, podgryźć pozycję na dworze o ileż wyższą od naszej, podminować ją ryzykując samemu bez przerwy, choć w ukryciu, w podziemiu – rzecz to przecież porywająca! O tym nie wolno zapominać. Pasjonująca to gra! Pokochać ją można jak epicki poemat, który się tworzy. Być tak małym i porywać się na taką wielkość —.czyn to błyskotliwy! Pięknie jest być pchłą w sierści lwa.

Dumne zwierzę czuje ukłucie i zużywa swą potężną złość w walce z atomem. O ileż bardziej odpowiadałoby mu spotkanie z tygrysem. I oto zmieniają się role: żądło owadu utkwiło w ciele upokorzonego króla zwierząt, a pchła może powiedzieć o sobie: płynie we mnie lwia krew.

A jednak wszystko to w połowie zaledwie zaspokoić mogło pychę Barkilphedra. Marna to była pociecha. Półśrodek. Podrażnić – pewnie, że coś to warte; ale lepiej jest dręczyć. Przykre myśli nieustannie prześladowały Barkilphedra: cóż uda się mil osiągnąć? Zapewne nieznacznie tylko zadraśnie naskórek Jozjany. Czegóż więcej mógłby spodziewać się on, znaczący tak niewiele, w walce z nią, tak olśniewającą, tak niedosiężną? Draśnięcie – jakże to mało dla tego, który pragnąłby krwistej czerwieni żywego mięsa, wycia kobiety bardziej niż nagiej, bo

odartej nawet i z tej koszuli, jaką jest skóra! Jakże ciężka jest niemoc wobec takich pragnień Niestety! Nie masz doskonałego szczęścia na tym świecie.

Zrezygnował. Sen jego marzył się mu w połowie tylko, nie uda mu się przecież dokonać więcej. Ponury, dotkliwy figiel – to przecież też coś znaczy.

Cóż to za człowiek, ten, co mści się za dobrodziejstwo! Barkilphedro był z takich właśnie olbrzymów. Zazwyczaj niewdzięczność przejawia się w niepamięci; u tego wybrańca zła przejawiła się ona we wściekłości. Zwykły niewdzięcznik napełniony jest popiołem. A Barkilphedro? On był pełen żaru. Żaru obudowanego nienawiścią, złością, milczeniem, urazą, żaru, co czekał, by spalić w swym ogniu Jozjanę. Nigdy jeszcze mężczyzna nie nienawidził kobiety tak silnie i tak bardzo bez powodu. Straszliwa to była nienawiść! Jozjana – oto jego noce bezsenne, jego myśl nieustanna i jedyna, jego wściekłość, jego tęsknota!

Był w niej, być może, odrobinę zakochany.

XI. BARKILPHEDRO URZĄDZA ZASADZKĘ

Odnaleźć w Jozjanie miejsce najczulsze i tam ją uderzyć; do tego celu zmierzała niezłomna wola Barkilphedra dla wszystkich przyczyn, o których mówiliśmy przed chwilą.

Lecz chcieć – to nie dosyć jeszcze; trzeba móc.

Jak się do tego zabrać?

Oto sedno sprawy.

Pospolity łotrzyk starannie układa scenariusz łotrostwa, które popełnić postanowił. Nie czuje się on dość silnym, by w locie schwytać przypadek, by czy to wykorzystać sprzyjającą okoliczność, czy też zmusić ją siłą, aby służyła. I stąd przygotowawcze posunięcia, którymi rzeczywisty złoczyńca gardzi. Rzeczywisty złoczyńca przygotowuje zawczasu swoją własną złość jedynie; uzbraja się on wszechstronnie, gromadzi środki działania odpowiednie na różne okazje i czeka na stosowną chwilę, jak Barkilphedro. Wie on, że plan ułożony z góry nie zawsze dobrze pasuje do wydarzeń. Nie tym sposobem stać się można panem możliwości, nie tędy podporządkowuje się ją swojej woli. Nie prowadzi się z losem przedwstępnych rokowań. Jutro nie jest nam posłuszne. Nie można całkowicie ujarzmić przypadku.

Rzeczywisty złoczyńca czyha na przypadek, by natychmiast, stanowczo, bez żadnych wstępów zażądać od niego współpracy. Żadnych planów, szkiców, makiet, żadnych gotowych butów, co nigdy pasować nie będą na stopy niespodzianki. Skacze on prosto w ciemność. Zręczność, którą wyróżnia się rzeczywisty złoczyńca, zręczność, która podnosi łotrzyka do godności demona, na tym polega, by każde sprzyjające zdarzenie wykorzystać natychmiast, bez zwłoki. Prawdziwy geniusz gwałci los.

Prawdziwy zbrodniarz uderza, jak proca, pierwszym kamieniem, który mu wpadnie pod rękę.

Zdolni przestępcy liczą na niespodziewane – zdumionego pomocnika w tylu zbrodniach.

Schwytać przypadek, wskoczyć nań – oto jedyna poetyka, której przestrzega tego rodzaju talent.

A tymczasem wybadać należy, z kim właściwie ma się do czynienia. Poznać teren.

Dla Barkilphedra terenem tym była królowa Anna.

Barkilphedro widywał królową.

Z tak bliska nieraz, iż wydawało się mu, że słyszy myśli monarchini.

Niekiedy, to ważne, zdarzało mu się asystować przy rozmowach obu sióstr. Mógł nawet wsunąć tu i tam własne słówko. Korzystał z tego, by pomniejszyć się. Sposób na wzbudzenie zaufania.

Tak więc dnia pewnego w Hampton-Court, w ogrodzie, trzymając się w tyle za królową i księżniczką usłyszał, jak Anna, usiłując niezgrabnie dostosować się do obowiązującej mody, wygłasza taką oto sentencję:

– Zwierzęta szczęśliwsze są od ludzi. Nie grozi im pójście do piekła.

– One są w nim – odrzekła Jozjana.

Odpowiedź, podstawiająca filozofię na miejsce religii, nie znalazła uznania. A nuż uwaga ta była głęboka! Anna na wszelki wypadek zgorszyła się nieco.

– Moja droga – rzekła do Jozjany – mówimy o piekle jak dwa głuptasy. Spytajmy Barkilphedra, jak to jest naprawdę. On zapewne wie, czym jest piekło.

– Jako diabeł? – spytała Jozjana.

– Jako zwierzę – odrzekł Barkilphedro. I skłonił się.

– Cóż, księżniczko – powiedziała królowa. —Ma on więcej dowcipu niż my obie.

Dla człowieka pokroju Barkilphedra zbliżyć się do królowej znaczy tyle, co ją opanować. Mógł powiedzieć: mam ją. Teraz wynaleźć musiał tylko sposób, w jaki mógłby się nią posłużyć dla osiągnięcia swoich celów.

Coraz to bardziej wzmacniała się jego pozycja na dworze. Stał już na stanowisku. Żadna okazja wymknąć mu się nie mogła. Niejeden raz sprawił, że królowa uśmiechnęła się złośliwie. A więc wolno mu było zapolować.

Czy jednak niektóre rodzaje zwierzyny nie znajdowały się pod specjalną ochroną? Czy w owym zezwoleniu mieściło się prawo przetrącenia skrzydeł czy łap komuś, kto był prawie rodzoną siostrą monarchini?.

Oto pierwszy punkt do wyjaśnienia. Czy królowa kochała swoją przyrodnią siostrę?

Jeden fałszywy krok mógłby wszystko zaprzepaścić. Barkilphedro obserwował.

Gracz ogląda swoje karty przed rozpoczęciem gry. Jakimi atutami rozporządza? Barkilphedro zastanowił się najpierw, jaki też jest wiek obu kobiet. Jozjana miała dwadzieścia trzy lata; Anna czterdzieści jeden. Układ pomyślny. Można go przy grze wykorzystać.

Kiedy kobieta przestaje liczyć wiosny, a zaczyna liczyć zimy – chwila to dla niej nieprzyjemna. Budzi się w niej głucha uraza do czasu, który nosi w sobie. Młode, kwitnące urody, co całe są zapachem dla innych, jej wydają się jak ciernie, czuje tylko ukłucia tych róż. Czuje wówczas, jakby cała ta świeżość jej została zabrana, jakby uroda zanikała w niej po to, by odrodzić się w innych, młodszych.

Wykorzystać tę niechęć tajoną, pogłębić zmarszczkę czterdziestoletniej kobiety, która jest królową – oto co wskazane było dla Barkilphedra.

Zawiść umie rozniecać zazdrość, jak szczur umie wywabić z ukrycia krokodyla.

Barkilphedro utkwił w Annie swój władczy wzrok.

Widział w niej wszystko, jak w stojącym stawie. Bagniska są na swój sposób przezroczyste. W brudnej wodzie zobaczysz występek; w mętnej zobaczysz głupotę na dnie. Anna była taką mętną wodą tylko.

Embriony uczuć, poczwarki myśli poruszały się leniwie w jej ciężkim mózgu.

Niewyraźne. Zarysowane zaledwie. A jednak rzeczywiste, choć bezkształtne. Królowa coś myślała. Królowa coś mówiła. Trudno było określić, co właściwie. Niewyraźne przeobrażenia, dokonujące się w stojącej wodzie, stanowią niewdzięczny przedmiot badań.

Królowa, nienazbyt jasno wyrażająca się zazwyczaj, miewała chwile wybuchów niewyrozumowanych a gwałtownych. Należało z tego skorzystać. Należało przychwycić taki moment szczerości.

Jak życzyła królowa Jozjanie w głębi duszy? Dobrze czy źle? Oto pytanie, które postawił sobie Barkilphedro.

Po rozwiązaniu tego problemu będzie mógł posunąć się dalej.

Przyszły mu z pomocą najrozmaitsze przypadki. A nade wszystko wytrwałość w czatach.

Anna spowinowacona była przez męża z nową królową Prus, małżonką monarchy, któremu służyło stu szambelanów, i posiadała portret jej, wykonany w emalii sposobem Turquet de Mayeme. Otóż ta królowa pruska miała również młodszą siostrę z nieprawego łoża, baronównę Drika.

Pewnego dnia, w obecności Barkilphedra, Anna rozpytywać zaczęła o tę baronównę ambasadora Prus.

– Mówią, że jest bogata.

– Bardzo bogata – odrzekł ambasador.

– Czy posiada pałace?

– Jeszcze wspanialsze niż siostra jej, królowa.

– A kogóż ma poślubić?

– Hrabiego Gormo, wielkiego i możnego pana.

– Czy ładny?

– Czarujący.

– A ona czy młoda?

– Młodziutka.

– A czy tak piękna jak królowa?

Ambasador odrzekł ściszonym głosem:

– Piękniejsza.

– Cóż za zuchwalstwo! – mruknął Barkilphedro,

Królowa milczała chwilę i nagle zawołała:

– Te bękarty!

Barkilphedro zapamiętał sobie tę liczbę mnogą. Innym razem, przy wyjściu z kaplicy, w której Barkilphedro stał zazwyczaj nie opodal królowej, tuż za dwoma wikariuszami wielkiego jałmużnika, lord Dawid Dirry-Moir wywołał wielkie poruszenie wśród dam swoją piękną postawą i wyglądem. – Jaki wytworny! – Jaki wykwintny! – Cóż za wzięcie! – Cóż za uroda!

– Aż przykro tego słuchać! – szepnęła cicho królowa.

Barkilphedro usłyszał te słowa.

Wiedział już, czego się trzymać.

Mógł szkodzić księżniczce nie narażając się na niełaskę królowej.

Pierwszy problem został rozwiązany.

Teraz pojawiał się następny.

Jak szkodzić księżniczce?

– Jakież korzyści mógł czerpać dla osiągnięcia celu tak trudnego z nędznego urzędu, który piastował? Żadnych, oczywiście.

XII. SZKOCJA, IRLANDIA I ANGLIA

Dorzućmy jeszcze jeden szczegół: Jozjana miała „prawo używania drzwiczek".

Pojąć to nie trudno, skoro się zważy, że była ona niezupełnie wprawdzie, lecz zawsze siostrą królowej, a więc księżniczką krwi królewskiej.

„Prawo używania drzwiczek." Cóż to było właściwie?

Wicehrabia de Saint-John – czyli Bolingbroke po prostu – tak pisał do Tomasza Lennard, hrabiego Sussex: „Dwie rzeczy czynią potężnym człowieka. W Anglii – prawo używania drzwiczek; we Francji – prawo używania »dla«."

A z tym „dla" we Francji tak było: kiedy król podróżował, z nadejściem wieczoru, skoro zatrzymano się już na postój, kwatermistrz dworu wyznaczał kwatery osobom towarzyszącym

jego królewskiej mości. Niektóre z nich posiadały ogromny przywilej. „Mają oni prawo używać »dla« – mówią *Kroniki Historyczne* z roku 1694, strona szósta – a znaczy to, że kwatermistrz przy wyznaczaniu kwatery kładzie „dla" przed ich nazwiskiem, na przykład: „Dla jaśnie oświeconego księcia de Soubise." Przed nazwiskami innych osób, nie posiadających tego przywileju, kwatermistrz „dla" nie kładzie, pisze tylko samo nazwisko: „Książę de Gesvres", „Książę de Mazarin" itp. Owo, dla" na drzwiach kwatery wskazywało, że zatrzymał się tutaj książę. krwi albo też faworyt króla. A faworyt—to więcej niż książę krwi. Król nadawał owo „dla" niczym order lub parostwo.

„Prawo drzwiczek" w Anglii mniej może łaskotało próżność, lecz odznaczało się za to większą konkretnością. Był to znak rzeczywistego związku z osobą panującego. Ten, co z woli króla czy też z racji stanu swego i urodzenia upoważniony był, by bezpośrednio komunikować się z władcą, miał w ścianie sypialni swojej zasuwane drzwi z dzwonkiem. Dzwonek dzwonił, drzwiczki otwierały się, pojawiało się w nich pismo królewskie na złotej tacce lub na aksamitnej poduszce i drzwiczki zasuwały się z powrotem. Moment to przyjacielski a uroczysty. Z poufałością łączył tajemniczość. Drzwiczki nie służyły do żadnego innego użytku. Dzwonek oznajmiał zawsze list króla. Poseł pozostawał niewidzialny. Bywał nim zresztą po prostu królewski paź. Leicester miał „drzwiczki" za panowania Elżbiety, Buckingham – za panowania Jakuba I. Za czasów Anny miała je Jozjana, choć nienazbyt była miła sercu królowej. Posiadanie „przywileju drzwiczek" było czymś na kształt bezpośredniej łączności z rajem za pomocą pocztowej skrzynki, do której Bóg wrzucałby co pewien czas liścik ręką niebiańskiego listonosza. Nie istniało bardziej upragnione wyróżnienie. Przywilej ten zniewalał w dwójnasób. Czynił jeszcze bardziej sługą. Na królewskim dworze tyle wywyższenia, co poniżenia. Nazwę tego przywileju wymawiano wyłącznie po francusku; ów szczegół etykiety angielskiej był prawdopodobnie jakimś? dawnym, płaskim, służalczym francuskim pomysłem.

Lady Jozjana, dziewiczy par, jak niegdyś dziewicza królowa, Elżbieta, prowadziła życie na stopie książęcej, to w mieście, to na wsi, zależnie od pory roku. Otaczało ją coś na kształt dworu, a dworzaninem jej był lord Dawid i kilku innych jeszcze. Lord Dawid i lady Jozjana do tej pory nie byli sobie zaślubieni, mogli więc pokazywać się publicznie razem nie narażając się na śmieszność. A czynili to chętnie. Często na wyścigach pojawiali się na trybunie obok siebie, często jeździli wspólnie karetą na widowiska. Perspektywa małżeństwa dozwolonego, nakazanego nawet, ochładzała nieco ich stosunki, w gruncie rzeczy mieli się jednak ku sobie. Łatwo jest przekroczyć granicę poufałości dopuszczalnej pomiędzy parą narzeczonych. Lecz nie czynili tego, gdyż wszystko, co łatwe, nie jest w dobrym smaku.

Najpiękniejsze zapasy bokserskie odbywały się podówczas w Lambeth. W parafii tej – choć klimat tam niezdrowy – znajduje się pałac lorda arcybiskupa Canterbury, a w nim bogata biblioteka, otwarta w pewnych godzinach dla wszystkich cieszących się poważaniem obywateli. Pewnego razu, a było to w zimie, odbyły Się tam zapasy dwu zawodników na łące ogrodzonej i zamkniętej na klucz. Asystowała im Jozjana wprowadzona przez lorda Dawida. Spytała: czy wolno tam wejść kobietom? A Dawid odpowiedział: *Sunt feminae magnates*. Tłumaczenie swobodne: nie byle mieszczce. Tłumaczenie dosłowne: wielkie damy istnieją. Księżniczka może wejść wszędzie. Dlatego też lady Jozjana oglądała walkę bokserów.

Zgodziła się tylko przywdziać strój męski, często zresztą wówczas przez kobiety używany. Nie podróżowały one nigdy inaczej. W koczu windsorskim, w którym mieści się sześć osób, rzadko zdarzało się nie spotkać choćby jednej lub dwu kobiet w męskim stroju. Znamię szlachetnego urodzenia.

Ponieważ lord Dawid, znajdował się w towarzystwie kobiety, nie mógł więc brać udziału w meczu. Przypatrywał się mu tylko jako zwykły widz.

Lady Jozjana przyglądała się widowisku przez lornetkę, tym i tylko tym sposobem zdradzając swoje pochodzenie, lornetki bowiem używały zazwyczaj osoby wysokiego rodu.

Przewodniczył „szlachetnemu spotkaniu" lord Germaine, pradziadek – rodzony czy też stryjeczny – tego lorda Germaine'a, który u schyłku osiemnastego stulecia był pułkownikiem, uszedł z pola bitwy, potem został ministrem wojny i umknął przed muszkietami nieprzyjaciela po to tylko, by wpaść pod obstrzał żartów Sheridana, pocisków o ileż groźniejszych. Liczni panowie czynili zakłady; Harry Bellew de Carleton, który rościł sobie prawa do wygasłego parostwa Bella-Aqua, zakładał się z Henrykiem, lordem Hyde, członkiem parlamentu z miasta Dunhmd, które nazywano również Launceston; wielmożny Peregrinus Bertie, poseł z miasta Truro, z sir Tomaszem Colepeper, posłem z Maidstone; laird Lamyrbau, z marchii. Lothian, z Samuelem Trefusis, członkiem parlamentu z miasta Penryn; sir Bartłomiej Gracedieu, poseł z miasta Saint-Yyes, z jaśnie wielmożnym Karolem Bodville, który nosi tytuł lorda Robartes'i jest *custos rotulorum* hrabstwa Kornwalii. I wielu innych jeszcze.

Bokserzy – byli to Irlandczyk z Tipperary, zwany Phelem-ghemadone od imienia góry położonej w jego rodzinnych stronach, i Szkot nazwiskiem Helmsgail. Stawały więc do zawodów dwie dumy narodowe. Irlandia i Szkocja zmierzyć się miały ze sobą za chwilę. Erin miał walczyć na pięści z Gajothelem. Toteż zakłady sięgały powyżej czterdziestu tysięcy gwinei, nie licząc innych, nie pieniężnych stawek.

Zapaśnicy byli nadzy, na biodrach tylko mieli wąskie przepaski, a na nogach buty przewiązane w kostce, nabite gwoździami.

Helmsgail, Szkot, niewielki, zaledwie dziewiętnastoletni, zdążył już jednak zdobyć szeroką bliznę na czole; na niego też stawiano w większości zakładów. W ubiegłym miesiącu złamał on żebro i wydusił oczy bokserowi Sixmileswater; tym to właśnie tłumaczyć należy powszechny entuzjazm. Zdobył on dla tych, co na niego stawiali, dwanaście tysięcy funtów szterlingów. I stracił kilka zębów przy tej okazji. Był on lekki i zwinny. Wzrostu, niewielkiej kobiety, krępy, przysadzisty, niskiej a zadzierzystej postaci, tak ulepiony ze swojej gliny, że ani jeden jej kawałek nie został zmarnowany; każdy muskuł służył swojemu celowi – walce na pieści. Tors jego był zwięzły, twardy, błyszczący i brązowy jak ze spiżu. Uśmiechał się szczerbą po trzech brakujących zębach.

Przeciwnik jego był duży i rozłożysty, a więc słaby.

Był to mężczyzna czterdziestoletni. Miał sześć stóp wzrostu, pierś hipopotama i łagodną twarz. Pokład okrętu pękał pod ciosem jego pięści, nie umiał jej jednak użyć. Irlandczyk Phelem-ghe-madone był nade wszystko powierzchnią, zjawiającą się w boksie bardziej po to, by otrzymywać, niż po to, by oddawać. Wyczuwało się jednak, że wytrzyma długo. Był niby nie dopieczony rostbef, trudny do ugryzienia, niemożliwy do przełknięcia. Był tym, co w gwarze miejscowej nazywano „surowym mięsem", *raw flesh.* Zezował. Zdawał się najoczywiściej na los przeznaczenia.

Dwu tych ludzi spędziło poprzednią noc na jednym posłaniu. Z tej samej szklanki pili swoją porcję porta.

I jeden, i drugi miał swoich stronników, co dodawali mu otuchy i podżegali do walki, tęgich drabów, niebezpiecznych nieraz dla sędziów. W grupie popleczników Helmsgaila zauważyć można było Jana Gromane, słynącego z tego, że wołu potrafił udźwignąć na plecach, i niejakiego Jana Bray, który pewnego razu podniósł na swoich barkach dziesięć korcy żyta razem z młynarzem i uszedł przeszło dwieście kroków z tym ciężarem. Phelem-ghemadone'owi zaś przy. prowadził lord Hyde niejakiego Kiltera, z Chateau-Vert, który ciskał dwudziestofuntowym głazem wyżej niż najwyższa wieża zamku Wszyscy oni trzej, Kilter, Bray i Gromane, byli rodem z Kornwalii co przynosi hrabstwu zaszczyt niemały.

Prócz nich znajdowali się tam i inni jeszcze podszczuwacze – nieokrzesane, potężnie rozrośnięte draby o kabłąkowatych nogach, wielkich, żylastych łapach i tępych facjatach, obszarpańcy, co nie znali strachu, wielokrotni przestępcy przeważnie.

Znajdowali się wśród nich nie lada jacy specjaliści od spijania policjantów. W każdym zawodzie potrzebne są swoiste talenty.

Łąka obrana na miejsce zapasów położona była za Niedźwiedzim Ogrodem, gdzie urządzano niegdyś walki niedźwiedzi, byków i dogów, za ostatnimi budującymi się domostwami, nie opodal ruiny, kościoła klasztoru Matki Boskiej Over Ry, zburzonego przez Henryka VIII. Wiał wiatr północny, ziemię pokrył szron, padał drobny deszczyk i natychmiast ścinał się w gołoledź. Wśród zgromadzonych dżentelmenów bez trudu rozpoznać można było ojców rodziny: pootwierali parasole.

Po stronie Phelem-ghc-madone'a pułkownik Moncreif był arbitrem, opiekunem – Kilter.

Po stronie Helmsgaila arbiter – wielmożny Pughe Beaumaris i lord Desertum z Kilcarry, opiekun.

Sprawdzono zegarki. Obaj bokserzy stali tymczasem nieruchomo w ogrodzeniu. Potem podeszli ku sobie i uścisnęli swe dłonie. Phelem-ghe-madone rzekł do Helmsgaila:

– Chciałbym pójść sobie do domu.

Helmsgail zaś, człowiek uczciwy, odrzekł mu tak: – Skoro wielcy panowie zadali sobie aż tyle fatygi, walka odbyć się musi.

Byli nadzy, było im zimno. Phelem-ghe-madone drżał. Szczękał zębami.

Doktor Eleanor Sharp, siostrzeniec biskupa Yorku, krzyknął ku nim: – Dalej, chłopcy! Bierzcie się za bary! Dla rozgrzewki!

Te miłe słowa zachęty rozmroziły ich.

Zaczęli się bić.

Nie bili się zacięcie. Żadnego nie ogarnęła furia. Trzy rundy odbyły się spokojnie. Wielebny doktor Gumdraith, jeden z czterech członków Ali Soules Colleges [14], krzyknął: – Dać im dżynu!

Lecz czterej sędziowie nie zgodzili się na złamanie przepisów. Choć rzeczywiście było zimno.

Padł okrzyk: – Do pierwszej krwi! —Żądano więc krwi. Zapaśników ustawiono starannie naprzeciwko siebie.

Zmierzyli się wzrokiem, podeszli ku sobie, wyciągnęli ramiona, dotknęli się pięściami, cofnęli się. Nagle – niewielki człowieczek Helmsgail skoczył.

Zaczęła się prawdziwa walka.

Phelem-ghe-madone otrzymał uderzenie w sam środek czoła, pomiędzy brwi. Krew zalała mu całą twarz. Tłum wrzeszczał: – Helmsgail ulał wina! [15]– Klaskano. Phelem-ghe-madone wymachiwał ramionami jak skrzydłami wiatrak, walił pięściami, gdzie popadło.

– Oślepiony! Ale nieślepy jeszcze – rzekł wielmożny Peregrinus Bertie.

Ze wszystkich stron zabrzmiały słowa zachęty: – Helmsgaili *Bung his peepers!* [16]

Obydwaj zapaśnicy zostali rzeczywiście dobrani starannie i choć pogoda nie sprzyjała, wiadomo już było, że mecz się uda. Phelem-ghe-madone, olbrzym, prawie obezwładniony był własną przewagą; ruszał się ciężko, powoli. Ramiona miał jak maczugi, ciało jak bryłę. Mały biegał, uderzał, skakał, zgrzytał, zwinnością podwajał siłę, walczył podstępnie, przebiegle. Z jednej strony – ciosy pięścią prymitywne, dzikie, nieokrzesane, barbarzyńskie; z drugiej – cywilizacją. Helmsgail walczył tyleż nerwami, co muskułami, tyleż siłą, co złośliwością. Phelem-ghe-madone był niby bezwładna miażdżąca machina, sama zmiażdżona już nieco. Sztuka przeciwko naturze. Okrutnik przeciwko barbarzyńcy.

Nie było już wątpliwości. Barbarzyńca zostanie pobity. Ale nie tak prędko. Gra tym ciekawsza.

Mały przeciwko dużemu. Powodzenie sprzyjało małemu. Kot pokonuje doga. Goliaci zwyciężeni zazwyczaj zostają przez Dawidów.

Na walczących spadał grad okrzyków: – *Brawo, Helmsgail!' Good! well done, highlander! Now, Phelem.* [17]

---

[14] Kolegium Wszystkich Dusz.

[15] *Helmsgail has tapped his clared!*

[16] W oko go!

Przyjaciele Helmsgaila powtarzali dobroduszną zachętę: – W oko go, w oko!

Helmsgail zrobił jeszcze lepiej. Schylił się nagle i wyprostował zwinnie niczym wąż, i uderzył Phelem-ghe-madone'a w mostek. Olbrzym zachwiał się.

– Niedozwolone uderzenie! – krzyknął wicehrabia Barnard. Phelem-ghe-madone osunął się na kolana Kiltera mówiąc: – Zaczynam się rozgrzewać.

Lord Desertum, po naradzie z resztą sędziów, ogłosił:– Pięć minut przerwy.

Phelem-ghe-madone omdlewał. Kilter obtarł mu szmatą krew z oczu i pot z ciała i podał do ust butelkę. Była to już jedenasta runda. Phelem-ghe-madone, prócz rany na czole, miał żebra zgniecione uderzeniem, brzuch obrzmiały od ciosów i zmiażdżone ciemię. Helmsgail był nietknięty.

Wśród patrzących powstało zamieszanie.

– Niedozwolone uderzenie – powtarzał lord Barnard.

– Zakład nieważny – powiedział lord Lamyrbau.

– Wycofuję stawkę – wolał sir Tomasz Colepeper.

A wielmożny poseł z miasta Saint-Yves, sir Bartłomiej Gracedieu, dorzucił:

– Proszę mi zwrócić moich pięćset gwinei i idę do domu.

– Przerwać mecz! – krzyczeli zgromadzeni widzowie. Lecz Phelem-ghe-madone wstał chwiejąc się na nogach niby pijany i rzekł:

– Bijmy się dalej, ale pod jednym warunkiem. Ja też będę miał prawo do nieprzepisowego uderzenia.

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki: – Zgoda!

Helmsgail wzruszył ramionami.

Po upływie pięciu minut rozpoczęła się następna runda.

Walka ta dla Phelem-ghe-madone'a była powolnym konaniem, dla Helmsgaila – igraszką.

Oto co znaczy umiejętność: niewielki człowieczek znalazł sposób, by wziąć w okowy olbrzyma; Helmsgail lewym ramieniem, wygiętym niby stalowy półksiężyc, objął nagle wielką głowę Phelem-ghe-madone i trzymał ją pod pachą, na zgiętej szyi, pochyloną ku dołowi, prawą zaś pięścią, uderzającą miarowo niby młot we wbijany gwóźdź, tylko że z dołu ku górze i od spodu, dogodnie miażdżył mu nos, brodę, oczy, usta. Kiedy Phelem-ghe-madone, puszczony wreszcie, podniósł głowę, nie miał już twarzy...

To, co niegdyś było nosem, oczami, ustami, teraz wydawało się jakąś czarną gąbką zmaczaną we krwi. Splunął. Zobaczono na ziemi cztery zęby.

Potem upadł. Kilter schwycił go w ramiona.

Helmsgail był ledwie że tknięty. Miał kilka nic nie znaczących siniaków i zadrapanie na obojczyku.

Nikt już nie odczuwał zimna. Stawiano po szesnaście i ćwierć na Helmsgaila przeciwko Phelem-ghe-madone'owi.

Harry de Carleton krzyczał:

– Nie ma już P-helem-ghe-madone'a! Stawiam na Helmsgaila moje parostwo Bella-Aqua i tytuł lorda Bellew w zamian za starą perukę arcybiskupa z Canterbury!

– Dawaj no mordę – rzekł Kilter do Phelem-ghe-madone'a i zwilżywszy z flaszki szmatę, obmył go z krwi dżynem. Pokazały się znowu usta, Phelem-ghe-madone uniósł jedną powiekę. Skronie miał zgniecione zapewne.

– Jeszcze jedna runda, przyjacielu – rzekł Kilter. – Za honor twojego miasta.

Walijczycy i Irlandczycy rozumieją się nawzajem; lecz Phelem-ghe-madone nie zrobił żadnego ruchu, który by mógł wskazywać, że pozostała mu jeszcze choć odrobina świadomości.

---

[17] Brawo, Helmsgail! Brawo, góral! Dalej, Phelem!

Dźwignął się wreszcie. Kilter go podtrzymywał. Była to dwudziesta piąta runda. Po sposobie, w jaki stanął na nogi ów cyklop – bo oko miał już tylko jedno – poznano, że to koniec, i nikt nie wątpił, że jest on już stracony. Pięść w rękawicy podniósł powyżej brody, zaiste, przedśmiertna niezręczność. Helmsgail, zaledwie spocony, krzyknął: – Zakład, że zwyciężę! Tysiąc przeciw jednemu!

Helmsgail podniósł pięść, uderzył i – o dziwo! – obydwaj upadli. Usłyszano radosne pomrukiwanie.

To Phelem-ghe-madone dawał wyraz swemu zadowoleniu.

Kiedy Helmsgail wymierzył mu straszliwy cios w czaszkę, on wykorzystał postawę przeciwnika i zadał mu niedozwolone uderzenie w pępek.

Helmsgail charczał, powalony.

Zebrani spojrzeli na leżącego na ziemi Helmsgaila i orzekli: dług został wyrównany.

Wszyscy klaskali w dłonie, ci nawet, co przegrywali.

Phelem-ghe-madone oddał cios za cios. Miał do tego prawo.

Helmsgaila wyniesiono na noszach. Przypuszczano powszechnie, że już się nie wyliże. Lord Robartes wykrzykiwał: – Wygrałem tysiąc dwieście gwinei! – Phelem-ghe-madone był niewątpliwym kaleką na resztę życia.

Przy. wyjściu Jozjana wsparła się na ramieniu lorda Dawida, co. jest przyjęte między parą narzeczonych. Rzekła mu:

– To było bardzo piękne. Ale...

– Ale co?

– Spodziewałam się, że rozproszy to, moją nudę. Otóż nie.

Lord Dawid zatrzymał się, spojrzał na Jozjanę, zacisnął wargi, nadął policzki i pokręcił głową, co znaczyć miało: ej, ostrożnie, i tak powiedział księżniczce:

– Jedno jest tylko lekarstwo na nudę.

– Jakie?

– Gwynplaine.

A księżniczka spytała:

– Cóż to jest Gwynplaine?

KSIĘGA DRUGA

GWYNPLAINE I DEA

I. POZNAJEMY Z OBLICZA TEGO, KTÓREGO DOTYCHCZAS ZNALIŚMY Z CZYNÓW JEDYNIE

Natura hojnie obdarowała dobrodziejstwami swymi Gwynplaine'a. Dała mu usta, co rozwierały się od ucha do ucha, uszy, co opadały aż na oczy, nos bezkształtny, co wydawał się jakby stworzony na podpórkę pod chybotliwe błazeńskie okulary, i twarz, na którą niesposób było patrzeć bez śmiechu.

Tak to więc natura zarzuciła wprost darami swymi Gwyplaine'a. Czy była to jednak tylko natura?

Czy nie dopomógł jej nikt?

Para oczu na kształt okienek przebitych w ślepym murze, w miejscu ust – szczelina, spłaszczona wypukłość zaopatrzona w dwie dziurki-nozdrza i zgnieciona powierzchnia zamiast twarzy, a w ogólnym wyniku śmiech, nic, tylko nieustanny śmiech. Zaiste, sama przyroda nie produkuje podobnych arcydzieł.

Czy jednak śmiech zawsze bywa synonimem radości?

Ktokolwiek po ochłonięciu ze śmiechu, jaki zawsze wzbudzić musiało pojawianie się tego kuglarza – gdyż był on kuglarzem – przypatrzył się mu uważniej, dostrzegał na twarzy jego ślad mistrzowskiej ręki artysty. Podobne oblicze zdarzyć się może nie jako wynik przypadku, lecz jako wynik zamysłu. Nie spotyka się w naturze tworów wykończonych tak wszechstronnie. Człowiek dla urody swojej nic uczynić nie może, lecz dla szpetoty —wszystko. Z profilu Hotentota nie zrobisz profilu Rzymianina, ale nos grecki bez trudu przekształcić można w nos kałmucki. Wystarczy zwęzić nasadę i rozpłaszczyć nozdrza. W średniowiecznej łacinie nie darmo powstało słowo *denasare*. Czyżby Gwynplaine, dzieckiem będąc, przedstawiał sobą zjawisko tak godne uwagi, że czyjaś troskliwość aż o to zadbała by przekształcić jego twarz? Cóż, jest to możliwe, po to choćby, by ciągnąć z niego zyski, by go za pieniądze pokazywać.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa przemyślni przerabiacze dzieci zajęli się niegdyś opracowaniem tego oblicza. Niewątpliwie tajemnicza wiedza, okultystyczna zapewne, wiedza, co tak się ma do chirurgii jak ąlchemia do chemii, rzeźbiła, cyzelowała to ciało w jego pierwszych latach życia i z premedytacją stworzyła taką właśnie twarz. Nauka ta, biegła w cięciu, przykrawaniu, podwiązywaniu, rozkroiła te usta, uczyniła obwisłymi wargi, obnażyła dziąsła, rozciągnęła uszy, rozluźniła układ chrząstek, zakłóciła kształtność brwi i policzków, poszerzyła muskuł jarzmowy, zatarła szwy i blizny i naciągnęła skórę na uszkodzone miejsca, zachowując błazeński wygląd nadany tej twarzy. I tak to właśnie kunszt, potężny i głęboki, stworzył maskę ową, Gwynplaine'a.

Takim jak on człowiek na świat nie przychodzi.

Jakkolwiekby zresztą było, Gwynplaine wykonany został po mistrzowsku. Gwynplaine był podarunkiem ofiarowanym przez opatrzność smutkowi człowieka. Przez jaką opatrzność? Czyżby istniała opatrzność szatańska, tak jak istnieje opatrzność boska? Pytanie to pozostawimy bez odpowiedzi.

Gwynplaine był kuglarzem. Występował. Z nieporównanym skutkiem. Samym swym ukazaniem się uzdrawiał wszelkie urojone choroby. Powinni by unikać go ludzie dotknięci żałobą, gdyż na jego widok śmiać się musieli, wbrew chęci, rzecz jakże w ich położeniu nieprzyzwoita. Pewnego dnia Gwynplaine rozśmieszył nawet kata. Kto ujrzał Gwynplainę'a, natychmiast brał się za boki; kto usłyszał go, tarzał się po ziemi ze śmiechu. Był on przeciwległym biegunem zmartwienia. Na jednym krańcu znajdował się *spleen* – na drugim Gwynplaine.

Szybko też na rynkach miejskich i jarmarcznych placach zyskał sobie drogocenną sławę nieporównanego straszydła.

Gwynplaine pobudzał do śmiechu śmiejąc się. A jednak się nie śmiał. Śmiała się jego twarz, nie myśl, nie świadomość. Ten niezwykły rodzaj twarzy, ukształtowanej przez przypadek czy też przez osobliwszą sztukę, śmiał się sam przez się. Gwynplaine nie brał w tym udziału. Powierzchnia nic nie miała wspólnego z wnętrzem. Nie on położył sobie śmiech ten na czole, na policzkach, na brwiach, na ustach i nie mógł zdjąć go ze swej twarzy. Śmiech spoczął na niej na zawsze. Był to śmiech automatyczny, skamieniały i tym bardziej nikt oprzeć mu się nie był w stanie. Nikt nie mógł się przed tym grymasem uchronić.

Dwa rodzaje drgania warg udzielają się otoczeniu – śmiech i ziewanie. Za zasługą tajemniczej operacji, której Gwynplaine najprawdopodobniej poddany został w dzieciństwie, wszystkie części jego twarzy przyczyniały się do tego grymasu, cała jego fizjonomia zmierzała do tego jedynego celu, jak wszystkie szprychy koła dążą ku osi; wszystkie wzruszenia, jakich doznawał, jakiekolwiek by one były, potęgowały wyraz tej niezwykłej twarzy śmiechu czy też może raczej zaostrzały go. Jeżeliby się zadziwił, jeżeliby cierpiał, jeżeliby wpadł w złość czy też odczuł litość – wszystko to powiększyłoby tylko wesołość jego muskułów; gdyby płakał – śmiałby się; i cokolwiek by Gwynplaine uczynił, czegokolwiek by chciał, o czymkolwiek by pomyślał, niechby tylko podniósł głowę, tłum – jeżeli działo się to wśród tłumu – na widok podobnego zjawiska natychmiast wybuchał gromkim śmiechem.

Wyobraźcie tylko sobie wesołą głowę meduzy.

Jakikolwiek by był stan ducha człowieka – wobec tego nieoczekiwanego zjawiska pierzchało wszystko i trzeba było śmiać się.

Starożytna sztuka umieszczała niegdyś na frontonach greckich teatrów wesołą maskę z brązu. Nazywano ją maską komiczną. Brąz ów wydawał się śmiać i wzbudzał śmiech, a był zadumany. Cała parodia przerastająca w obłęd, cała ironia przerastająca w mądrość skupiły się i skojarzyły na tych licach; suma trosk, zawodów, zniechęceń i smutków wyryta była na tym obojętnym czole i układała się w posępną całość: twarz wesołka; jeden kącik warg. ten, co położony jest po stronie rodzaju ludzkiego, unosił się ku górze z wyrazem drwiny, drugi, ten, co położony jest po stronie bogów, z wyrazem bluźnierstwa; przychodzili ludzie i porównywali z tym idealnym modelem sarkazmu tę odmianę ironii, którą każdy z nich nosił w sobie; i tłum odnawiający się nieustannie wokół owego utrwalonego śmiechu nie posiadał się wprost z radości podziwiając grobowy bezruch szyderstwa. Ta posępna, martwa maska antycznej komedii przytwierdzona do żywej ludzkiej twarzy – oto jak określić można by chyba Gwynplaine'a. Nosił on na swej szyi tę piekielna głowę nieubłaganej wesołości. Wieczny śmiech – cóż za ciężar dla ramion Człowieka!

Wieczny-śmiech. Trzeba się porozumieć i zrozumieć. Absolut, wszechpotęga, jeżeli uwierzyć można manichejczykom, słabnie chwilami i sam Bóg nawet przestaje niekiedy działać na chwilę. Trzeba też ustalić, co znaczy: wola. Nie jest ona nigdy zupełnie bezsilna, nigdy. Wszelkie istnienie podobne jest do listu, którego treść zmieniona została przez *post scriptum.*

Otóż miał i Gwynplaine takie swoje *post scriptum:* najsilniejszym natężeniem woli, przy największym skupieniu całej swojej uwagi, jeżeli żadne nieprzewidziane wzruszenie nie zakłóciło napięcia jego wysiłku, udawało mu się zawiesić na chwilę wieczny śmiech swojej twarzy i rzucić na nią coś na kształt zasłony tragicznej, a wówczas nie śmieli się już patrzący nań ludzie, lecz dreszcz ich przeszywał.

Wysiłku tego Gwynplaine nie robił nigdy prawie, dokonywał się on bowiem kosztem i bólu, i nieznośnego wprost napięcia. I najmniejsze zakłócenie uwagi, najdrobniejsza emocja wystarczały, by śmiech ów, przegnany na chwilę, nieubłaganie jak przypływ morza powracał i znów pojawiał się na jego twarzy. I tym stawał się wyrazistszy, im silniejsze było wzruszenie, którego doznał Gwynplaine.

Z tym jedynym więc ograniczeniem – wiekuisty był śmiech Gwynplaine'a.

Na widok Gwynplaine'a każdy wybuchał śmiechem. A kiedy już uśmiał się do woli – szybko odwracał głowę. Lęk brał przede wszystkim kobiety. Człowiek ten był przerażający. Konwulsje wesołości podobne były do spłacania haraczu: ulegano im chętnie, radośnie nawet, lecz prawie że machinalnie. Już po chwili jednak, kiedy pierwszy atak śmiechu osłabł nieco, żadna kobieta nie była w stanie znieść widoku Gwynplaine'a.

A tak, w sobie, słusznego był wzrostu, dobrze zbudowany, nie ułomny wcale, zeszpecony jedynie na twarzy. Była to jeszcze jedna wskazówka, jeszcze jedno potwierdzenie przypuszczenia, że nie był Gwynplaine tworem natury, lecz dziełem sztuki. Człowiek o tak pięknej postaci musiał mieć zapewne i twarz równie piękną. Urodził się był najprawdopodobniej takim samym dzieckiem jak i inne. Korpusu nie tknięto, poprawiono tylko twarz. Gwynplaine wykonany został z rozmysłem.

Tak się wydawało przynajmniej.

Zęby mu pozostawiono. Zęby potrzebne są do śmiechu. Zachowują się i w trupiej czaszce.

Operacja, której na nim dokonano, musiała być straszliwa. Nie przypominał jej sobie, co nie dowodziło wcale, że jej nie był przeszedł. To chirurgiczne rzeźbienie mogło być przeprowadzone skutecznie jedynie na dziecku zupełnie małym, nie rozumiejącym więc, co się z nim dzieje, na dziecku, które łatwo sądzić mogło, że rana – to tylko choroba. Ponadto, jak pamiętamy, w czasach owych znane już były sposoby usypiania pacjenta, sposoby usuwania bólu. Tylko że uważano je wówczas za magię. Dziś nazywa się to znieczuleniem.

Tym, co go wyhodowali, zawdzięczał, prócz swojej twarzy, również i przymioty gimnastyka i atlety; stawy jego, wyrobione umiejętnie, zginające się w różnych kierunkach, przysposobione zostały do wypełniania obowiązków klowna. Poruszały się na wszystkie strony, niczym zawiasy u drzwi. Nie zaniedbano niczego w przygotowaniu Gwynplaine'a do zawodu linoskoka.

Włosy jego ufarbowane zostały raz na zawsze na kolor ochry; sekret ten odkryty został ponownie za naszych dni. Używają go dzisiaj piękne panie. To, co niegdyś oszpecało, dziś uznane zostało za ozdobę. Gwynplaine miał więc żółte włosy. Farba, żrąca zapewne, sprawiła, że stały się one wełniste i szorstkie w dotknięciu. Zjeżone dziko, bardziej podobne do grzywy niż do ludzkiej czupryny, przykrywały i ukrywały potężną czaszkę – naczynie myśli. Operacja, co odjęła harmonię twarzy i naruszyła jej porządek, wobec układu kości okazała się bezsilna. Owal twarzy Gwynplaine'a potężny był, zaskakujący. Za śmiechem tym taiła się dusza snująca swoje marzenia, jak dusza każdego z nas.

Śmiech ten-był zresztą dla Gwynplaine'a prawdziwym talentem. Nie miał nań wpływu, a czerpał z niego korzyści. Za pomocą tego śmiechu zarabiał na życie.

Gwynplaine – jak się już tego czytelnik domyślił zapewne —był właśnie tym dzieckiem, co, porzucone pewnego zimowego wieczoru na wybrzeżu Portlandu, przygarnięte zostało do ubogiej budy na kółkach w Weymouth.

II. DEA

Dziecko stało się obecnie mężczyzną. Upłynęło lat piętnaście. Był rok 1705. Gwynplaine miał już dwadzieścia pięć lat.

Ursus przygarnął był i wychował dwoje dzieci; Koczowali razem, w gromadce.

Postarzeli się już obaj, Ursus i Homo. Ursus wyłysiał do reszty Wilk posiwiał. Długość życia wilków nie jest nam znana tak dokładnie jak długość życia psów. Według Molina, niektóre ich odmiany żyć mogą do osiemdziesięciu lat, a więc na przykład mały wilk kupara *caviae vorus,* i wilk cuchnący, *canis nubilus*, z Say.

Dziewczynka, znaleziona przy zwłokach umarłej kobiety, była to teraz dorosła, szesnastoletnia istota, blada, o ciemnych włosach szczupła, wątła, tak delikatna, że aż chwiejna, że aż lęk brał, by się nie przełamała, i zadziwiająco piękna, o oczach świetlistych i ślepych.

Straszliwa noc zimowa, co obaliła niegdyś na śnieg żebraczkę i jej dziecko, dokonała podwójnego dzieła. Zabiła matkę, oślepiła córkę.

Ślepota poraziła na zawsze źrenice dziewczynki, co wyrosła już na kobietę. W twarzy jej, poprzez którą światło nie przenikało do wnętrza, kąciki warg, opuszczone smutnie, wyrażały gorzki zawód. Oczy jej, jasne i duże, były tym dziwniejsze, że zagasłe dla niej samej, błyszczały dla innych. Tajemnicze zapalone pochodnie, co rzucały blaski tylko na zewnątrz. Promieniowała światłem ona, co nie miała go dla siebie. Jarzyły się te oczy zniknione. Ta niewolnica ciemności rozjaśniała mroki, wśród których istniała. Z głębiny nieuleczalnych cieni, spoza czarnej ściany, ślepotą nazwanej, szedł od niej blask. Nie widziała wokół siebie słońca, w niej zobaczyć mogłeś duszę.

W jej umarłym spojrzeniu istniało jakieś trudno uchwytne, niebiańskie zapatrzenie.

Była nocą, a wschodziła gwiazdą spośród beznadziejnych mroków złączonych z nią na zawsze.

Ursus, rozkochany w łacińskich imionach, nazwał ją Deą. Poradził się nawet po trosze w tym względzie wilka; rzekł mu tak: – Ty przedstawiasz człowieka, ja przedstawiam zwierzę; jesteśmy światem ziemskim; ta malutka przedstawiać będzie świat nieziemski. Tak wielka słabość – to wszechpotęga. Tym oto sposobem cały wszechświat, i ludzki, i zwierzęcy, i boski, znajdzie się w naszej budzie. – Wilk nie miał żadnych zastrzeżeń.

Tak więc znalezione dziecko nazwane zostało Deą.

Jeśli zaś o Gwynplaine'a chodzi, Ursus nie miał kłopotu z wymyśleniem dla niego imienia. Tego samego jeszcze ranka, kiedy stwierdził był zeszpecenie chłopca i ślepotę dziewczynki, zapytał: – Jak się nazywasz, mały? - A malec mu odpowiedział: – Wołano na mnie Gwynplaine.

– Dobrze, niech ci będzie Gwynplaine – rzekł Ursus.

Dea towarzyszyła zwykle Gwynplaine'owi w jego publicznych występach.

Gdyby można było w jakiś sposób streścić ludzką niedolę – dokonałoby się to niewątpliwie w osobach Gwynplaine'a i Dei. Wydawać by się mogło, że każde z nich urodzone zostało w innej przegrodzie grobu: Gwynplaine wśród zgrozy, Dea wśród ciemności. Istnienia ich uczynione były każde z innego rodzaju mroku, położone na dwu przeciwległych zboczach przeogromnej nocy. Mroki te Dea miała w sobie, Gwynplaine miał je na sobie. W Dei było coś z widma, w Gwynplaine'ie coś ze zjawy. Los Dei był posępny, los Gwynplaine'a – gorszy jeszcze. Dla Gwynplaine'a, który widział, istniała możność, jakże dotkliwa, możność niedostępna dla ślepej Dei: mógł on porównywać siebie z innymi ludźmi. A w położeniu Gwynplaine'a porównanie takie sprawić mogło tyle tylko, że przestawał samego siebie rozumieć. Na pewno bowiem próbował wyciągać jakieś wnioski. Puste spojrzenie, w którym nieobecny jest świat – a taki był los Dei – to, zaiste, olbrzymie nieszczęście, a jednak mniejsze od tego, które przypadło w udziale Gwynplaine'owi: był on samemu sobie zagadką; czuł, że brakuje

mu czegoś, co było nim samym; widział cały świat, a siebie nie mógł zobaczyć. Dea żyła pod zasłoną nocy – Gwynplaine pod maską z własnej twarzy. Był on zamaskowany swoim własnym ciałem – rzecz nie do pojęcia. Jaką była twarz jego – nie wiedział. Rozpierzchła się ona bezpowrotnie. Pokryto go sztucznie wykonanym pozorem jego samego. To, co znikło – tym oto była jego twarz. Głowa jego żyła, lica były martwe. Nie pamiętał nawet, czy je widział kiedykolwiek. I dla Dei, i dla Gwynplaine'a ludzie, rodzaj ludzki był rzeczywistością istniejącą tylko na zewnątrz nich; znajdowali się oboje tak od niej daleko; ona była sama i on był sam; odosobnienie Dei było grobowe, nie widziała nic; odosobnienie Gwynplaine'a było złowrogie, widział wszystko. Dla Dei świat cały sprowadzał się do tego, co poznać mogła za pomocą słuchu i dotyku; rzeczywistość ograniczona była, nietrwała, rwała się i gubiła co chwila; jedyną jej nieskończonością był mrok. Dla Gwynplaine'a życie – była to ciżba tłocząca się przed nim i za nim. Dea była wygnanką z krainy światła, Gwynplaine był banitą Wypędzonym z krainy ludzi. Dwa beznadziejne, rozpaczliwe istnienia. Znajdowali się na samym dnie niedoli. I on, i ona. Kto tylko przyjrzał się im uważnie, czuł, jak zaduma jego przekształca się w litość niezmierną. Jak bardzo cierpieć musieli! Wyrok nieszczęścia ciążył w widoczny sposób nad tymi dwoma ludzkimi stworzeniami. Przeznaczenie nigdy chyba jeszcze i nikomu nie zamieniło losu w torturę, a życia w piekło w sposób tak doskonały, co tym dwojgu właśnie, którzy nikomu nie uczynili nic złego.

A oni znajdowali się w raju.

Kochali się.

Gwynplaine uwielbiał Deę. Dea ubóstwiała Gwynplaine'a. Mówiła mu: – Jesteś taki piękny!

III. «OCULOS NON HABET, ET VIDET»

Jedna tylko kobieta na ziemi widziała Gwynplaine'a. Była nią ta niewidoma.

Co uczynił był dla niej, wiedziała dobrze od Ursusa, któremu chłopiec opowiedział o swej niełatwej wędrówce z Portlandu do Weymouth, o śmierci, co potęgowała jeszcze opuszczenie. Wiedziała, że kiedy niemowlęciem będąc umierała przy umarłej matce i ssała pierś trupa, istota ludzka, niewiele większa od niej samej, odnalazła ją i wzięła na ręce, że istota ta, odtrącona, sama jakby pogrzebana pod kamienną, nieżyczliwą obojętnością wszechświata, usłyszała jej krzyk; że kiedy wszystko wokół było głuche dla niego, on jeden nie pozostał głuchy na jej wołanie; że dziecko to, samotne, słabe, porzucone, nie mające dokąd pójść, co wlokło się przez pustkę upadając ze znużenia, przyjęło z rąk nocy ciężar – drugie dziecko; że on, co nie spodziewał się otrzymać niczego z tajemniczej ręki rozdającej dobra tego świata, którą przeznaczeniem nazywają – sam przyjął na swe barki i cudzy jeszcze los; że on – opuszczenie, rozpacz, lęk – stał się dla niej opatrznością; że kiedy zamknęły się niebiosa, on otworzył swoje serce, że zgubiony – uratował; że sam bez domu, bez dachu, stał się schronieniem, że był dla niej piastunką i matką; że sam. samiuteńki na świecie – na porzucenie odpowiedział przygarnięciem; że wśród ciemności dał z siebie ten przykład; że jakby nie dosyć czując się znużonym, przyjął na siebie ciężar i cudzej jeszcze nędzy; że na tej ziemi, gdzie, zdawałoby się, nic już nie ma dla niego, on zdołał odkryć obowiązek; że tam, gdzie każdy by się zawahał, on poszedł naprzód; że tam, gdzie cofnąłby się każdy, on się zgodził; że wsunął swoją dłoń w szczelinę grobowca i wydobył stamtąd ją, Deę, że sam półnagi – zawinął ją w jedyny łachman, jaki miał, bo było jej zimno; że zgłodniały – pomyślał o tym, żeby ją nakarmić i napoić; że dla tego dziecka to dziecko wyzwało do walki śmierć, że mocowało się z nią w każdej jej postaci: zimy, śniegu, samotności, strachu, zimna, głodu, pragnienia, huraganu; że dla niej to, dla Dei, ten dziesięcioletni tytan stoczył bój z niezmierzonym ogromem nocy.

Wiedziała, że uczynił to wszystko niegdyś, dzieckiem będąc jeszcze, i że teraz ów dorosły już człowiek jest całą siłą jej, słabej, całym bogactwem jej, ubogiej, uzdrowieniem jej, chorej, wzrokiem jej, niewidomej. Poprzez warstwy nieprzejrzystości, co zamykały ją i oddzielały od świata, dostrzegała wyraźnie to poświęcenie, to zaparcie się siebie, tę odwagę. Bohaterstwo ma swój określony kształt w świecie ducha. Dea dojrzała to i zrozumiała; w niewysłowionym oderwaniu, w którym przebywa myśl nie oświecona przez słońce, dostrzegała te tajemne zarysy cnoty. Otoczona przez poruszające się ciemności – jedyne wrażenia, jakie odbierała od istniejącego świata – w niespokojnym bezruchu istoty bezsilnej, nieustannie obawiającej się jakiegoś niebezpieczeństwa, w uczuciu bezbronności, bezradności, które jest treścią życia istoty ociemniałej – wiedziała, że czuwa nad nią Gwynplaine, Gwynplaine, co nie obojętnieje, nie odchodzi, nie znika, Gwynplaine czuły, opiekuńczy, łagodny. Dea drżała, wdzięczna i pewna, jej ukojony niepokój przeradzał się w upojenie i oczyma, które wypełniała ciemność, wpatrywała się w jasne światło tej dobroci, błyszczące w zenicie otchłani, wśród której żyła.

W świecie idealnym dobroć – to słońce, i Gwynplaine olśniewał Deę.

Dla tłumu, który zbyt wiele posiada głów, ażeby myśleć, i zbyt wiele oczu, ażeby patrzeć, dla ciżby, co sama powierzchnią będąc zatrzymuje się na powierzchni zjawisk, Gwynplaine był klownem, kuglarzem, linoskokiem, hecarzem, czymś nieco mniej i nieco więcej niż zwierzę. Ciżba znała tylko jego twarz.

Dla Dei Gwynplaine byt wybawcą, co podniósł ją z grobu i wyniósł na świat, pocieszycielem, co umożliwiał jej życie, oswobodzicielem, którego rękę czuła w swojej ręce wędrując przez ten labirynt, jakim jest ślepota; Gwynplaine; był jej bratem, przyjacielem, przewodnikiem, podporą, bliźnim z wysokości, małżonkiem uskrzydlonym i promienistym, i tam, gdzie tłum widział poczwarę, ona widziała archanioła. Bo niewidoma Dea widziała duszę.

IV. DOBRANI KOCHANKOWIE

Ursus, mędrzec, rozumiał. Pochwalał oczarowanie Dei.

– Niewidoma widzi niewidzialne.

Mówił:

– Sumienie jest widzeniem.

Spoglądał na Gwynplaine'a i pomrukiwał:

– Na poły potwór, na poły bóg.

Gwynplaine, ze swojej strony, był Deą upojony. Istnieje oko niewidzialne, duch, i oko widzialne, źrenica. On oglądał ją okiem widzialnym. Dea doznawała olśnienia idealnego, Gwynplaine doznawał rzeczywistego olśnienia. Gwynplaine nie był brzydki, był on przerażający; i oto miał przed sobą swoje własne przeciwieństwo. Ile on był potwornym, tyle czarującą była Dea. On był ohydą, ona – wdziękiem. Była jak ze snu. Wydawała się snem, co jakby stawał się ciałem. Cała jej osoba o eolskiej strukturze, jej postać wiotka i chwiejna jak trzcina, ramiona – kto wie? – uskrzydlone może niewidocznie, delikatne zaokrąglenie kształtów, wskazujące płeć, lecz bardziej duszy niż zmysłom, białość jej, prawie przezroczysta, szlachetna pogoda spojrzenia zamkniętego dla ziemskich spraw, święta niewinność uśmiechu – doskonałością swoją aniołom była bliska, a jednak kobieca.

Gwynplaine, jak się to już rzekło, porównywał siebie z innymi, porównywał też i Deę.

Istnienie jego było wynikiem podwójnego, niezwykłego wyboru. Był to punkt przecinania się dwu promieni: jeden szedł z dołu, drugi z góry, jeden był czarny, drugi biały. Ta sama okruszyna dziobana być może równocześnie przez dwa dzioby – zła i dobra. Jeden z nich kąsa, drugi – całuje. Gwynplaine był taką okruszyną właśnie, atomem i dręczonym, i piesz-

czonym zarazem. Gwynplaine był wytworem skojarzenia fatalności i opatrzności. I nieszczęście, i szczęście dotknęło go palcem swoim. Dwa skrajnie różne przeznaczenia złożyły się na jego dziwny los. Było nad nim i przekleństwo, i błogosławieństwo. Był wybranym spośród potępionych. Kim był? Tego nie wiedział. Kiedy na siebie patrzył, oglądał obcą twarz. Lecz ta obca twarz była straszna. Życie Gwynplaine'a było niczym życie po ucięciu głowy, miał on bowiem oblicze, które nie było nim samym. Oblicze przerażające, tak przerażające, że aż zabawne. Przerażał do tego stopnia, że aż śmieszył. Piekielne błazeństwo. Katastrofa ludzkiej twarzy roztrzaskanej w zwierzęcy maszkaron. Nigdy jeszcze nie oglądano tak całkowitego zaniku człowieczeństwa na licach człowieka, nigdy jeszcze parodia nie była tak zupełna, nigdy jeszcze zarys tak straszliwego kształtu nie szydził wśród koszmaru, nigdy jeszcze to wszystko, co może odepchnąć kobietę, nie zostało połączone ohydniej w jednym mężczyźnie. Nieszczęśliwe serce, zamaskowane i spotwarzone przez tę twarz, wydawało się skazane na zawsze na samotność pod tą cielesną powłoką, niby pod wiekiem trumny, A otóż nie! Kiedy wypełniła się już do końca nieznana złość, z kolei hojnie szafować poczęła darami swymi niewidzialna dobroć. Upadłemu nędzarzowi, dźwigniętemu nagle z poniżenia, do tego, co odpycha, dodała ona to, co przyciąga, w rafie podwodnej umieściła magnes, z jej to i zrządzenia ku opuszczonemu od wszystkich pośpieszyła szybkim lotem druga dusza, nakazała ona gołębicy pocieszyć tego porażonego gromem, sprawiła, że ułomność ubóstwianą się stała od piękności.

Aby zaś to wszystko stać się mogło, trzeba było, aby piękna nie widziała potwora. Dla szczęścia nieodzowne było nieszczęście. Opatrzność uczyniła Deę niewidomą.

Gwynplaine odczuwał niejasno, że jest oto przedmiotem odkupienia. Skąd prześladowanie? Nie wiedział. Skąd odkupienie? Nie wiedział tego również. Jasna aureola zabłysła nad jego kalectwem; oto i wszystko co wiedział. Kiedy Gwynplaine wyrósł już był dostatecznie, aby zrozumieć, Ursus odczytał mu i wyjaśnił ustęp z dzieła doktora Conquesta *De denasatis* i rozdział z księgi Hugo Plagona[18] rozpoczynający się od słów: *Nares habens mutilas*. Starzec powstrzymał się jednak przezornie od „hipotez", od wysnuwania jakichkolwiek przypuszczeń i wniosków w tym przedmiocie. Rozmaite domysły powstać by tutaj mogły, gwałt zadany dzieciństwu Gwynplaine łatwo się dostrzec dawał; dla Gwynplaine'a jednakże jedno tylko oczywiste było: wynik. Przeznaczeniem jego stało się życie z piętnem na twarzy. Dlaczego został napiętnowany? Brakło odpowiedzi. Otaczało go milczenie i samotność. Przypuszczenia, które dostosować by można do tej rzeczywistości tragicznej, były nieokreślone, niejasne, nic tutaj pewne nie było oprócz straszliwego faktu. I oto wśród tej klęski pojawiła się Dea; stanęła nieziemskim zjawiskiem pomiędzy Gwynplaine'em a rozpaczą. Dostrzegał, wzruszony i ogrzany jak gdyby, słodycz tej czarującej dziewczyny, co pochyliła się nad jego ohydą; rajskie zadziwienie roztkliwiło jego smoczą twarz; uczyniony po to, by przerażać, doznał jednak tego cudownego wyjątku, że podziwiało go i ubóstwiało idealne światło; on poczwara, czuł na sobie zapatrzenie gwiazdy.

Gwynplaine i Dea tworzyli stadło, uwielbiały się nawzajem te dwa patetyczne serca. Gniazdo, a w nim dwoje ptasząt; oto ich historia. Wkroczyli razem w powszechne prawo natury, które nakazuje przyciągać się ku sobie, szukać się i odnaleźć.

Tak więc oto pomyliła się nienawiść. Prześladowcy Gwynplaine'a – kimkolwiek by oni byli – tajemnicza zawziętość, z jakiejkolwiek by pochodziła strony, chybiła swojego celu. Postanowiła stworzyć rozpacz, a stworzyła wniebowzięcie. Już w dzieciństwie zaręczony został z uzdrawiającą raną. Z woli przeznaczenia miał on być utulony przez strapienie. Katowskie obcęgi przemieniały się oto powoli w kobiecą dłoń. Gwynplaine był przerażający, przerażający sztucznie, przerażający z ręki człowieka. Spodziewano się, że odsunięty zostanie na zawsze od rodziny przede wszystkim, jeżeli posiadał był jakąkolwiek rodzinę, a później od

[18] *Versio Gallica Will. Tyrii*, ks. II, rozdz. XXIII.

całej ludzkości; kiedy był jeszcze dzieckiem, uczyniono zeń ruinę, lecz ruinę tę, jak zawsze i wszystkie, objęła w swoje posiadanie natura; i tę samotność ukoiła natura, jak koi ona wszelką samotność; natura przychodzi ż pomocą wszelkiemu opuszczeniu; tam, gdzie niczego nie staje, ona oddaje się cała; zieleni się i zakwita na każdym rumowisku; ma ona bluszcz dla kamieni i miłość dla ludzi.

Jakże ogromna jest hojność nieokreślonego!

V. BŁĘKIT W CIEMNOŚCI

I tak żyło tych dwoje nieszczęśliwych, jedno dzięki drugiemu; Dea znalazła oparcie w Gwynplaine'ie, Gwynplaine został przygarnięty przez Deę.

Sierota miała sierotę. Kaleka – kalekę.

Poślubiły się nawzajem te-dwa wdowieństwa.

Od tych dwu niedoli biło niewymowne, przeogromne dziękczynienie.

Komu?

Ciemnym bezmiarom.

Dosyć jest gdziekolwiek przed siebie wysłać podziękę. Dziękczynienie jest bowiem skrzydlate i dolatuje tam, dokąd dolecieć powinno. Modlitwa zna swoją drogę lepiej niż sam człowiek, który się modli.

Iluż to ludzi mniemało zanosić modły do Jowisza, a prośba ich doszła do Jehowy! Iluż wierzących w amulety przez nieskończoność wysłuchanych bywa! Iluż ateuszy ani o tym wie, że przez to samo już, że są dobrzy i że są smutni, modlą się do Boga.

Gwynplaine i Dea byli wdzięczni.

Pokraczne kalectwo to wygnanie. Ślepota to przepaść. Wygnanie zostało przygarnięte; ślepota znalazła schronienie w swojej przepaści.

Gwynplaine widział oto w jasnym świetle dnia, jak schodzi ku niemu zrządzeniem losu, podobnym do przedłużenia snu, biały obłok piękności w kształcie kobiety, wizja promienna a posiadająca bijące serce; i zjawisko to, chmurka nieledwie, a jednak dziewczyna, brało go w swoje objęcia, i całowało go to objawienie, i pragnęło go to żywe serce; Gwynplaine nie był już potworem, bo ktoś go kochał; róża zapragnęła poślubić larwę, odgadując w tej larwie boskiego motyla; Gwynplaine, odrzucony przez wszystkich, stał się oto wybrańcem.

Szczęśliwy ten, co posiadł to, na czym mu najbardziej zależy, Gwynplaine otrzymał to właśnie, co mu było najpotrzebniejsze. I to samo otrzymała Dea.

Zeszpecony kaleka podniesiony został ze swego poniżenia, uszlachetniony jak gdyby, rozprostował się, rozpromienił upojeniem, zachwyceniem i ufnością; a ku ociemniałej, zagubionej wśród mroków i trwogi, wyciągnęła się poprzez cienie nocy pomocna dłoń.

Było to przeniknięcie dwu niedoli w krainę ideału. Jedna rozpacz wchłonęła drugą rozpacz. Dwa wyłączenia z życia przyjęły się nawzajem. Dopełniły się sobą dwie luki. Związali się przez to właśnie, czego nie dostawało każdemu z nich dwojga. Co jednemu niedostatkiem – to drugiemu bogactwem, co jednemu nieszczęściem – to drugiemu skarbem się stało. Gdyby Dea nie była niewidoma, czyż upodobałaby sobie Gwynplaipe'a? Gdyby Gwynplaine nie był oszpecony – czyżby wybrał Deę? Zapewne ani ona nie chciałaby poczwary, ani też on nie chciałby kaleki. Cóż za szczęście dla Dei, ze Gwynplaine był tak obrzydliwy! Cóż to za traf dla Gwynplaine'a, ze Dea była ślepa! Dla każdego z nich nie do pomyślenia wprost było znalezienie jakiegokolwiek innego towarzysza losu. Zesłała ich sobie opatrzność. Cóż leżało u dna ich miłości? To, że byli sobie nawzajem tak bardzo potrzebni. Gwynplaine był ratunkiem Dei, Dea – ratunkiem Gwynplaine'a. Dwa te smutne, biedne istnienia spotkały się ze

sobą i zrosły, tych dwoje przepadłych w otchłani połączyło się we wspólnym uścisku. Jakże silnym, jakże rozpaczliwym, jakże niezwykłe pięknym.

„I czymże byłbym bez niej!"

Myślał Gwynplaine.

„Czymże byłabym bez niego!"

Myślała Dea.

Dwa rodzaje wygnania stały się sobie ojczyzną, dwie nieodwracalne konieczności, stygmat Gwynplaine'a i ślepota Dei, zdziałały, że połączyli się oboje we wspólnej radości. Wystarczali sobie zupełnie, nie widzieli poza sobą świata; każda rozmowa była im rozkoszą, każde zbliżenie się ku sobie – wniebowzięciem; siłą wzajemnej intuicji osiągnęli jedność nawet w marzeniu; we dwoje snuli ten sam wątek myśli. Kiedy Gwynplaine nadchodził, Dei zdawało się, że słyszy kroki boga. Tulili się do siebie w półmroku rozjaśnionym nikłym światłem gwiazd, pełnym woni, blasków, dźwięków, świetlistych budowli i marzeń; należeli do siebie wzajemnie; zespoleni byli na wieki w tej samej radości, w tym samym uniesieniu i nie było na ziemi nic niezwykłejszego nad ów raj wybudowany przez dwoje potępionych.

Byli niewypowiedzianie szczęśliwi.

Z piekła swego uczynili niebo; tak wielka jest twoja potęga, o miłości!

Dea słyszała śmiech Gwynplaine'a. A Gwynplaine widział uśmiech Dei.

Tak oto osiągnięta została idealna szczęśliwość, urzeczywistniona doskonała radość istnienia, rozwiązana tajemnicza.zagadka szczęścia. I przez kogo? Przez dwoje nędzarzy.

Dea była dla Gwynplaine'a blaskiem światła. Gwynplaine był dla Dei obecnością.

Obecność, głęboka tajemnica, co do godności bóstwa podnosi niewidzialne i z której wynika druga tajemnica – ufność. To jedno, co niezmienne jest, nienaruszalne w każdej religii, w każdej wierze. I co wystarcza. Nie widzisz okiem istoty niezmierzonej a wszechobecnej; lecz czujesz, że jest.

Gwynplaine był religią Dei.

Niekiedy, nie władając już sobą z miłości, klękała przed nim, niby piękna kapłanka w adoracji przed rozradowanym a poczwarnym bóstwem pagody.

Wyobraźcie sobie tylko przepaść, a wśród tej przepaści oazę światła, a wśród tej oazy tych dwoje, odrzuconych przez życie, olśnionych sobą nawzajem.

Jakże nieporównanie czystą była ich miłość. Dea nie wiedziała, Czym jest pocałunek, choć pragnęła go, być może, sama nie zdając sobie z tego sprawy; gdyż ślepota, kobiety zwłaszcza, ma swoje sny i choć drży przed każdym zbliżeniem się nieznanego, nie wszystkiemu jednak jest niechętna. Gwynplaine często bywał zamyślony, wibrowała w nim i drżała młodość; im większe czuł upojenie, tym bardziej był nieśmiały; mógłby się ważyć na wszystko z tą towarzyszką swoich dziecinnych lat, równie nieświadomą grzechu, co i światła, z tą niewidomą, co widziała jedno tylko – swoje dla niego uwielbienie. Uważałby jednak, że postępuje jak złodziej, że kradnie to, co by mu ona dała; godził się więc z radością, nie pozbawioną pewnej melancholii, na miłość podobną obcowaniu aniołów i świadomość własnego zniekształcenia przeradzała się w nim w szlachetną, dostojną skromność;

Tych dwoje szczęśliwych przebywało w nieziemskiej krainie. Poślubieni byli sobie na odległość, na podobieństwo niebieskich ciał. Połączeni byli ze sobą jakby prądem biegnącym przez błękitne przestworza, prądem, co w nieskończoności zwie się przyciąganiem, na ziemi zaś – skłonnością ku sobie dwu płci. Całowały się obie ich dusze.

Żyli zawsze razem. Nie znali się inaczej. Dzieciństwu Dei towarzyszyły chłopięce lata Gwynplaine'a. Wzrastali jedno obok drugiego. Długo sypiali razem na jednym posłaniu, buda nie była bowiem zbyt obszerną sypialnią. Oni na skrzyni, Ursus na podłodze oto jak się urządzili we troje. Aż wreszcie, dnia pewnego, kiedy Dea była jeszcze dzieckiem, Gwynplaine poczuł się nagle młodzieńcem; u mężczyzny więc pojawiło się po raz pierwszy uczucie wstydu. „Ja też będę spał na podłodze" – tak rzekł Ursusowi. I z nadejściem wieczora położył się

obok starca na niedźwiedziej skórze. Wówczas Dea zaczęła płakać. Dopominała się powrotu swojego towarzysza snu. Lecz Gwynplaine, w którym równocześnie z miłością obudził się niepokój, wytrwał w swoim postanowieniu. Od owego dnia począwszy sypiać zaczął z Ursusem na podłodze. Latem zaś spędzał pogodne noce na dworze, razem z Homo. Dea miała już lat trzynaście, a jeszcze nie dawała za wygraną. Często wieczorem prosiła: „Chodź tutaj, Gwynplaine, połóż się koło mnie; prędzej zasnę." Leżący obok mężczyzna był jej tak niewinnie potrzebny do spania. Nagość wtedy dopiero istnieć zaczyna, kiedy się ją widzi. Dea nie znała nagości. Była w niej naiwna prostota Arkadii czy Otaiti. Pierwotna bezpośredniość tej dziewczyny wywoływała popłoch w uczuciach Gwynplaine'a. Zdarzało się nieraz, że Dea – dorosła już prawie – siedząc na posłaniu i czesząc swoje długie włosy, w opadającej z ramion koszuli ukazującej w swym rozchyleniu zarys kształtów, jakże już kobiecych, tego dziecka, co stawało się coraz bardziej Ewą, przyzywała do siebie Gwynplaine'a. Gwynplaine rumienił się, spuszczał oczy, sam nie wiedział, co począć na widok tej nagości tak niewinnej, jąkał się, odwracał głowę, drżał i odchodził zmieszany; ów Dafnis posępnych mroków uciekał przed tą Chloe cieni.

Tak oto wśród tragedii zakwitła sielanka.

Ursus mawiał im:

– Ubóstwiajcie się nawzajem, odwieczne bydlątka.

VI. URSUS NAUCZYCIELEM I URSUS OPIEKUNEM

Ursus dorzucał jeszcze:

– Zrobię ja im figla pewnego dnia. Wezmę i ich pożenię.

Starzec wykładał Gwynplame'owi teorię miłości. Mówił mu tak:

– Miłość – a wiesz ty, w jaki sposób zapala Pan Bóg ten ogień? Kładzie na spodzie kobietę, potem diabła, a na diable – mężczyznę. Jedna zapałka—czyli jedno spojrzenie—i wszystko płonie.

– Spojrzenie nie jest konieczne – odpowiadał Gwynplaine myśląc o Dei.

A Ursus na to:

– Terefere! A czy dusze potrzebują oczu, żeby się zobaczyć?

Niekiedy Ursus bywał w humorze krotochwilnym. Gwynplaine tak nieprzytomnie zakochany w Dei, że chwilami stawał się aż milczący i ponury, wystrzegał się ciekawych oczu Ursusa. Pewnego dnia Ursus tak się odezwał do niego:

– No, no, nie wstydź się tak, chłopcze. Patrz, kogut się swoich zalotów nie wstydzi.

– Ale orzeł kryje się ze swą miłością – odrzekł Gwynplaine.

Niekiedy znowu Ursus pomrukiwał sam do siebie:

– Nie od rzeczy bywa wsunąć czasami kij pomiędzy szprychy kół u wozu, którym młodzi odjeżdżają na Cyterę. Za bardzo się kochają. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Zaradźmy pożarowi. Pomiarkujmy nieco te dwa serca.

I oto Ursus zabrał się do udzielania przestróg im obojgu. Przemawiał do Gwynplaine'a, kiedy Dea spała, przemawiał do Dei, kiedy ich Gwynplaine nie widział.

– Nie trzeba przywiązywać się nadmiernie do Gwynplaine'a, Deo. Żyć tak wyłącznie innym człowiekiem – rzecz to niebezpieczna. Egoizm jest zdrowym korzeniem szczęścia. Mężczyźni wymykają się kobietom. A Gwynplaine'owi może przewrócić się w głowie. Ma takie powodzenie! Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie on ma powodzenie.

– Zbyt wielkie różnice niewiele bywają warte, Gwynplaine'ie.

Nadmierna szpetota z jednej strony i nadmierna uroda z drugiej zmusza, by zastanowić się głęboko. Miarkuj swoje zapędy, mój chłopcze. Nie rozpalaj się zbytnio do Dei. Czyżbyś na serio uważał, że jesteś dla niej stworzony? Przyjrzyj się nieco swojej szpetocie i jej doskonałości. Zrozum, jak wielka dzieli was różnica. Ona, Dea" ma wszystko. Cóż za białość płci, jakie włosy, usteczka jak poziomki! A nóżka! A rączka! Ramiona krągłe doskonale, twarzyczka – cud! Kiedy idzie – to światło rozsiewa, a głos jej tak poważny, a tak zniewalający! I przy tym wszystkim – kobieta, pomyśl sobie tylko! Nie anioł, o, nie, nie jest taka głupia, żeby być aniołem! Dea to piękność skończona. Zastanów się nad tym wszystkim, a ochłoniesz nieco.

W wyniku podobnych słów miłość pomiędzy Dea i Gwynplaine'em rozpłomieniała się w dwójnasób, a Ursus dziwił się niepomiernie niepowodzeniu swojej wymowy, podobny w tym nieco do Człowieka który by mówił tak:

– To osobliwe, leję oliwę w ogień, a on nie gaśnie.

Czyż rzeczywiście chciał zagasić lub też choćby ochłodzić nieco ich uczucie? O, nie! Tego nie chciał na pewno. Gdyby, słowa jego odniosły skutek, on pierwszy przestraszyłby się nie na żarty. W gruncie rzeczy bowiem radowała go ta miłość, sam grzał się w cieple jej płomieni.

Ale trzeba przecież podręczyć się trochę z tym, co daje nam radość. Droczenie się takie zwykli nazywać ludzie mądrością.

Dla Gwynplaine'a i Dei Ursus był niemal i ojcem, i matką. Pomrukując niechętnie, wychował ich; wykarmił, zrzędząc nieustannie. Po przygarnięciu dzieci powiększył się znacznie ciężar wózka i Ursusowi coraz częściej wypadało przyprzęgać się do dyszla i ciągnąć razem z Homo swój wędrowny dom.

Lecz już po kilku latach, kiedy Gwynplaine podrósł, a Ursus całkiem już się zestarzał, chłopiec zaczął z kolei ciągnąć starca.

A kiedy Gwynplaine dorastał, Ursus, przypatrując się jego zeszpeceniu, stawiał mu nieraz taki oto horoskop: – Twoja twarz – to majątek. Oddano ci nie lada przysługę.

Rodzina ta, złożona ze starca, dwojga dzieci i wilka, związywała się ze sobą coraz silniej wśród nieustannej wędrówki.

Włóczęga nie przeszkadzała wychowaniu. – Wędrowne życie rozwija – mawiał Ursus. Gwynplaine był zaiste po to stworzony, żeby się „po jarmarkach pokazywać". Ursus dbał troskliwie o rozwijanie jego kuglarskich umiejętności, prócz tego starał zaś się wpoić w linoskoka tyle wiedzy i tyle mądrości, ile tylko potrafił. Starzec, spoglądając na wprawiającą w osłupienie twarz-maskę chłopca, pomrukiwał z cicha: – Dobrze rozpoczęta robota. – Dlatego też i dbał o jak najstaranniejsze wykończenie tego dzieła, oddając z siebie całą swoją wiedzę i mądrość ku jego tym większej ozdobie.

Często napominał Gwynplaine'a: – Zostań filozofem. Mądrość opancerza. Ja, tak jak mnie widzisz tutaj, nigdy jeszcze nie płakałem. A zawdzięczam to mądrości. Czy przypuszczasz może, że jeżelibym chciał zapłakać, to zabrakłoby mi po temu okazji?

W monologach swoich, słyszanych jedynie przez wilka, tak prawił:

– Nauczyłem Gwynplaine'a Wszystkiego, w tym i łaciny, a Deę – Niczego, w tym i muzyki. – Wykształcił ich oboje w śpiewie. Sam biegle posługiwał się niewielkim fletem, jakiego wówczas używano. Grywał na nim ładnie, grywał również i na „żebraczej lutni", którą kronika Bertranda Duguesclin nazywa „instrumentem włóczęgów", a z której początek swój bierze symfonia. Granie to przywabiało niejednego. Ursus pokazywał publiczności swoją lutnię i tłumaczył: – Nazywa się ona po łacinie *organistrum.*

Wyuczył on śpiewu Deę i Gwynplaine'a według metody Orfeusza i Egida Binchois. Nieraz zdarzało się, że przerywał swoją lekcję okrzykiem pełnym entuzjazmu: – O, Orfeuszu, muzyku Grecji! O, Binchois, muzyku Pikardii!

Wychowanie to, tak wszechstronne, tak staranne, nie pochłaniało jednakże obojga dzieci aż do tego stopnia, by stać się przeszkodą w ich wzajemnej miłości. Wzrastali, a serca ich zespalały się ze sobą coraz bardziej na kształt dwu krzewin posadzonych blisko, których gałęzie mieszają się ze sobą i splatają tym ściślej, W im większe wyrastają drzewa.

– Mniejsza z tym – pomrukiwał Ursus. – I tak ich pożenię. – I sam do siebie dorzucał:

– Nudzą mnie tą swoją miłością.

Przeszłość, ta niewielka jej cząstka, jaką posiadało każde z nich, nie istniała ani dla Dei, ani dla Gwynplaine'a. Wiedzieli o niej to tylko, co im Ursus opowiedział. Nazywali go „ojcem".

Najwcześniejsze lata dzieciństwa utrwaliły się w pamięci Gwynplaine'a niby pochód demonów nad jego kolebką. Wydawało mu się, jakby został podeptany, stratowany przez jakieś potworne stopy. Czy stało się to umyślnie, czy też przypadkowo? Nie wiedział. Jedyne, co przypominał sobie dokładnie, szczegółowo – to tragiczny przebieg porzucenia go na brzegu morza. Odnalezienie Dei było jedynym jasnym punkcikiem tej ponurej nocy.

Wspomnienia Dei jeszcze mniej były określone. Wszystko się w nich zatarło – była przecież taka mała. Matkę przypominała sobie jako przedmiot zimny i martwy. Czy Dea oglądała kiedyś słońce? Być może. Nieraz starała się ze wszystkich sił odszukać w pamięci te zagubione, rozproszone chwile. Słońce? A co to było? Przypominała sobie mętnie coś bardzo jasnego, coś bardzo ciepłego, coś, co zastąpione jej zostało przez Gwynplaine'a.

Rozmawiali ze sobą półgłosem. Gruchanie dwojga młodych jest to niewątpliwie jedna z najważniejszych czynności, jakie dokonują się na tej ziemi. Dea mówiła do Gwynplaine'a: – Światło wtedy jest, kiedy ty mówisz.

Razu pewnego Gwynplaine, dostrzegając poprzez muślinowy rękaw ramię Dei, nie zdołał się opanować i musnął wargami tę tkaninę przezroczystą. Usta potwora, pocałunek przeczysty. Dea poczuła rozkosz niewysłowioną. Spłonęła rumieńcem. Pocałunek poczwary rozjaśnił jutrzenką to piękne czoło, pełne mroku. A Gwynplaine westchnął w pomieszaniu. Poprzez rozchyloną krezę jej sukni dostrzegał kształty białe, nieziemskie. Nie potrafił oderwać spojrzenia.

Dea odsunęła rękawek i wyciągając ku niemu obnażone ramię prosiła: – Jeszcze! – Gwynplaine uciekł.

Nazajutrz znowu, z lekką odmianą, powtórzyła się pieszczota.

Wniebowzięci, osuwali się oboje w słodką przepaść miłości.

Bóg, stary mędrzec, uśmiecha się dobrotliwie spoglądając ze swej wysokości na podobne ludzkie sprawy.

VII. ŚLEPA NAUCZA JASNOWIDZA

Niekiedy Gwynplaine sam sobie robił wymówki. Wyrzucał sam sobie swoje własne szczęście. Wydawało mu się, że jeżeli dopuści, by pokochała go ta kobieta, będzie to z jego strony oszustwem. I cóż by rzekła, gdyby oczy jej otworzyły się nagle? Z jakimże obrzydzeniem odsunęłaby się od tego, co teraz przyciągał ją ku sobie! W ja– kimże przerażeniu cofnęłaby się na widok tego potwornego magnesu! Uciekałaby krzycząc i zasłaniając twarz. Dręczyły go skrupuły. Powtarzał sobie, że on, potwór, nie ma prawa do miłości. Smok ubóstwiany przez gwiazdę uważał, że obowiązkiem jego jest oświecenie tej gwiazdy ociemniałej.

Razu pewnego odezwał się do Dei:

– Czy wiesz, że jestem bardzo brzydki?

– Wiem, że jesteś doskonały – odrzekła.

A on mówił dalej:

– Kiedy słyszysz, że wszyscy się śmieją, wiedz, że śmieją się ze mnie. Jestem potworny.

– Kocham cię – odpowiedziała Dea.

Po chwili milczenia dodała:

– Byłam wśród śmierci; ty przywróciłeś mnie życiu. Kiedy ty jesteś przy mnie; to jakby się ku mnie niebo pochyliło. Daj mi rękę, niech dotknę Boga.

Dłonie ich odnalazły się i połączyły w uścisku, i nie rzekli już do siebie nic więcej, zamilkli wobec ogromu miłości.

Posłyszał ich rozmowę Ursus, mrukliwy zrzęda. Nazajutrz, kiedy byli razem we troje, odezwał się:

– Zresztą i Dea też jest brzydka.

Ale słowa jego chybiły celu. Dea i Gwynplaine nie słuchali. Zajęci sobą bez reszty, rzadko kiedy zwracali uwagę na odezwania się starca. Rzucał on swoje głębokie uwagi na wiatr tylko.

Tym razem jednakże przezorne odezwanie się Ursusa „Dea jest też brzydka" wskazywało, że ten uczony człowiek posiada niejaką znajomość kobiecego serca. Niewątpliwie Gwynplaine przez lojalność popełnił nieostrożność. Powiedzenie jakiejkolwiek innej kobiecie, jakiejkolwiek innej niewidomej: „jestem brzydki" byłoby rzeczą niebezpieczną. Być i niewidomą, i zakochaną to tyle, co być niewidomą podwójnie. Śni się wówczas, marzy; złudzenie to pokarm dla marzeń; odjąć miłości złudzenia – to odjąć jej pożywienie. Wszelkie uniesienia służą do jej ukształtowania, i podziw dla ciała, i podziw dla ducha. A poza tym nie należy nigdy mówić kobiecie słów trudnych do zrozumienia. Rozmarza się na ich temat. I często rozmarza się w niedobry sposób. Zagadka wprowadzona w sny Czyni w nich spustoszenia. Stuk niebacznie rzuconego słowa rozbija dotychczasową harmonię. Zdarzało się czasami, że serce niedostrzegalnie robi się puste, nie wiadomo nawet, jak i kiedy, dlatego że uderzone zostało rzuconym niebacznie słowem. Zakochana istota dostrzega nagle, że szczęście jej zmalało. Nie ma nic groźniejszego nad takie powolne wyciekanie zawartości z pękniętego naczynia.

Dea, na szczęście, nie z tej była gliny. Nie zrobiono jej ż materiału, z którego na ogół ukształtowane bywają kobiety. Była ona naturą wyjątkową. Ciało miała kruche, ale nie serce. Nieziemska wytrwałość w miłości stanowiła całą treść jej istoty.

Słowa Gwynp1aine'a nurtowały ją też długo, aż wreszcie dnia pewnego tak się odezwała:

– Co to znaczy być brzydkim? Być brzydkim – to być złym. A Gwynplaine jest dobry. Więc jest piękny.

I dale] mówiła w tej samej formie pytającej, właściwej dzieciom i niewidomym:

– Widzieć! I co wy tym słowem nazywacie? Ja nie widzę, a wiem. Więc chyba wzrok zakrywa.

– Co ty mówisz? – zapytał Gwynplaine,

– Wzrok to coś, co zakrywa prawdę – odrzekła Dea.

– Nie! – powiedział Gwynplaine.

– Ależ tak! Jeżeli ty mówisz, że jesteś brzydki!

Zamyśliła się na chwilę i dorzuciła:

– Kłamczuchu!

Tak więc Gwynplaine, ku swej radości, wyznał wszystko i nie uwierzono mu. Spokojny stał się w swoim sumieniu. Spokojny w swoim uczuciu.

W ten sposób doszli oboje, ona – do lat szesnastu, on – do dwudziestu pięciu.

I nie „posunęli się dalej" – jak się to mówi dzisiaj – niż pierwszego dnia. Mniej nawet; skoro się zważy, że mieli już przecież poza sobą swoją pierwszą noc poślubną. Ona była wówczas dziewięciomiesięcznym niemowlęciem, on – chłopcem dziesięcioletnim. Jakaś święta dziecinność znamionowała i nadal ich miłość; zdarza się czasami, że zapóźniony słowik przeciąga swoją wieczorną pieśń aż do brzasku.

Pieszczotą ich był uścisk dłoni i niekiedy muśnięcie wargami obnażonego ramienia. Ta rozkosz, nieśmiała, czysta, wystarczała obojgu.

Dwadzieścia cztery lata, szesnaście lat. Aż wreszcie dnia pewnego Ursus, który nie wyrzekł się wcale projektu swojego „figla", rzekł do nich:

– Będziecie musieli już niedługo obrać sobie wreszcie jakąś religię.

– Po co? – zapytał Gwynplaine.

– Żeby się pobrać.

– To się przecież już stało – odrzekła Dea. Nie pojmowała, w jaki sposób można być sobie jeszcze bardziej mężem i żoną, niż oni dotąd byli.

W gruncie rzeczy ich spokojne szczęście, niezwykłe, niewinne, to naiwne zaspokojenie wszystkich potrzeb duszy przez obcowanie z drugą duszą, ten celibat, traktowany przez nich jako małżeństwo, głęboko wzruszał Ursusa. Gadał, byle gadać. Jako lekarz jednakże wiedział, że Dea jest, jeżeli nawet nie nazbyt jeszcze młoda, to niewątpliwie zbyt wątła, zbyt delikatna na to, co zwał on „hymenem z krwi i kości".

Im później to nastąpi, tym lepiej.

Czyż zresztą nie byli sobie rzeczywiście poślubieni? Jeżeli istniał kiedykolwiek związek nierozerwalny – to czyż nie był nim właśnie związek Gwynplaine'a i Dei? Rzuciło ich sobie w ramiona nieszczęście – rzecz to cudowna i niezwykła. A jakby nie dosyć było jeszcze tych jednych więzów, do nieszczęścia przyłączyła się miłość, opasała je swoim pierścieniem. I jakaż siła przerwać by była w stanie żelazny łańcuch wzmocniony girlandą z kwiatów?

Nic rozłączyć ich nie mogło.

Dea miała urodę; Gwynplaine miął światło. Każde wniosło swój posag. Tworzyli coś więcej niż stadło, tworzyli całość złożoną z dwu części oddzielonych od siebie tylko świętą przegrodą niewinności.

Gwynplaine jednakże, choć pogrążał się, jak tylko potrafił najgłębiej, w marzeniu, choć cały zapatrzony w Deę i swoją dla niej miłość – był mężczyzną. Obejść praw natury nie podobna. I w nim również, z woli Stwórcy, jak i w całej przeogromnej przyrodzie burzyły się ciemne, tajne siły. Dlatego też podczas swoich publicznych występów niejeden raz spoglądał na znajdujące się wśród ciżby kobiety, lecz natychmiast odwracał grzeszne spojrzenie i jak najszybciej, ze skruchą, znowu pogrążał się w swojej własnej duszy.

Dodać tutaj trzeba, że nie spotykał zachęty. Na twarzach wszystkich kobiet, na które popatrzył kiedykolwiek, dostrzegał tylko niechęć, odrazę, wstręt, obrzydzenie. Jasne było dlań, że jedyna Dea mogła go obdarzyć uczuciem. Tym też łatwiej przychodziła mu skrucha.

VIII. NIE TYLKO SZCZĘŚCIE, LECZ I DOBROBYT

Ileż to prawdy znaleźć można w baśni! Wyrzut sumienia – skutek złych, grzesznych myśli – to niby piekące dotknięcie niewidzialnego diabła.

W umyśle Gwynplaine'a niedobra myśl nie wykluła się jeszcze i nie wyrzucał sobie niczego. Nieraz jednak żałował.

Sumienie dawało znać o sobie niewyraźnie, niejasno.

Dlaczego?

Szczęście ich było zupełne, tym pełniejsze, że nie cierpieli już nawet niedostatku.

Pomiędzy rokiem 1689 a 1704 życie ich przeobraziło się znacznie.

W owym roku 1704 często napotkać można było duży, solidny, kryty wóz, zaprzężony w dwa silne konie. Wóz ten wjeżdżał o zmierzchu w ulice nadmorskich miasteczek. Podobny był do barki odwróconej do góry dnem i ustawionej na czterech kołach, w której kil stał się

kalenicą dachu, a pokład – podłogą. Koła były jednakowej wielkości i wysokie niczym u kamieniarskiego wozu. Koła, dyszel, wóz, wszystko to pomalowane było na kolor zielony, przechodzący stopniowo od ciemnej zieleni na kołach do jasnego seledynu na dachu. Wóz ten, wyróżniający się od innych swoją zieloną barwą, znany był na wszystkich placach targowych; zwano go „Green Box", czyli „Zielone Pudło". Owo „Zielone Pudło" miało dwa okienka, jedno na przedzie, drugie na tyle, i – również z tyłu – drzwiczki z opuszczanym stopniem. Ponad dachem unosił się dym wychodzący przez rurę pomalowaną również na zielono. Ten wędrujący dom zawsze był świeżo wylakierowany i wyszorowany starannie. Na przodzie, na opuszczanym koźle, przymocowanym do wozu, tuż pod oknem, po obu stronach starca, co powoził trzymając lejce, siedziały dwie Cyganki przebrane w stroje bogiń i dęły w trąbki. Landara ta, podskakująca na wybojach z tak wielkim majestatem, wywoływała podziw i zdumienie wśród miejskiej gawiedzi.

Była to dawna buda Ursusa, co rozrosła się wśród powodzenia, co z kuglarskiego kramiku stała się prawdziwym teatrem.

U woza uwiązane było zwierzę – ni to pies, ni to wilk – Homo. Starym woźnicą, popędzającym konie, był znany nam filozof w swojej własnej osobie.

I skądże to nędzna buda rozrosła się do rozmiarów olimpijskiej landary?

Otóż stąd: Gwynplaine stał się sławny.

Kiedy Ursus powiedział kiedyś Gwynplaine'owi: „Taka twarz – to majątek", dał dowód prawdziwego węchu, rzeczywistej wiedzy o tym, jak się zdobywa powodzenie u ludzi.

Ursus, jak to zapewne pamiętamy, troskliwie, zajmował się edukacją Gwynplaine'a. Nieznani ludzie ukształtowali jego twarz. On urabiał jego umysł i w naczynie to, do wnętrza skrywającego się poza tą maską uformowaną tak udatnie, włożył tyle myśli, ile tylko potrafił. Kiedy dziecko podrosło dostatecznie, zaczął pokazywać je na scenie, czyli na desce umieszczonej na przodzie budy. Wrażenie, jakie pojawienie się Gwynplaine'a wywoływało, przechodziło wszelkie oczekiwanie, Z miejsca zyskał sobie rozgłos wśród przygodnych widzów. Nie widziano jeszcze niczego, co by porównać się dało z tym zdumiewającym mimem śmiechu. Nie wiedziano, w jaki sposób powstał ów cud zaraźliwej wesołości; jedni sądzili, że jest to zjawisko naturalne, inni – że uformowano je sztucznie, rzeczywistość wzbogacona została przez przypuszczenia i wszędzie, na miejskich placach, na targowiskach, po jarmarkach i odpustach, tłum cisnął się, aby oglądać Gwynplaine'a. Dzięki tej „niezwykłej atrakcji" do chudego trzosa wędrownej gromadki posypał się istny deszcz najpierw miedziaków, później całych sztuk srebra. Po wyczerpaniu ciekawości w jednym miejscu przenosili się gdzie indziej. Toczący się kamień nie porasta w mech, ale buda obrasta w dostatki wśród jazdy. I tak od zimy do zimy, od miasteczka do miasteczka, im bardziej powiększał się wzrost i szpetota Gwynplaine'a, tym bardziej rosło powodzenie przepowiedziane mu niegdyś przez Ursusa.

– Ależ ci się przysłużono, mój chłopcze – powtarzał stary.

„Fortuna" ta pozwoliła Ursusowi, który był zarządcą powodzenia Gwynplaine'a, na zbudowanie kolasy swoich marzeń – wozu, co byłby dość przestronny, aby pomieścić scenę, z której siać by można sztukę i wiedzę po wszystkich rynkach miejskich i targowiskach. Co więcej, do gromadki, składającej się z niego samego, z Homo, Gwynplaine'a i Dei, mógł Ursus dołączyć dwa konie i dwie niewiasty, które pełniły obowiązki bogiń, jakeśmy już o tym wspominali, i sług. Szyld mitologiczny nad kuglarską budą był w owym czasie rzeczą ze wszech miar pożyteczną. – Jesteśmy świątynią wędrowną – mawiał Ursus.

Dwie Cyganki, przygarnięte przez filozofa z ciżby bezdomnych włóczęgów koczujących od przedmieścia do przedmieścia, były młode i brzydkie i z woli Ursusa nazwane zostały jedna – Febe, druga – Wenus, co czytać należy Fibi i Vinos, stosując się w tym względzie do angielskiej wymowy.

Febe gotowała. Wenus szorowała świątynię.

Prócz tego w dnie występów obie ubierały Deę.

Poza obrębem zaś tego, co nosi nazwę „publicznego życia" czy to dla kuglarzy, czy też dla możnych tego świata, Dea, tak samo jak i Fibi, i Vinos, nosiła florencką spódnicę z kwiecistego płócienka i kaftanik bez rękawów, odsłaniający ramiona. Ursus i Gwynplaine ubierali się w męskie kaftany i szerokie marynarskie spodnie, niczym majtkowie na wojennym okręcie. Ponadto Gwynplaine do pracy i do ćwiczeń w siłackich sztukach wkładał na ramiona i na szyję rodzaj skórzanego fartucha. Gwynplaine doglądał koni, Ursus i Homo troszczyli się o siebie nawzajem.

Dea, zadomowiona w „Zielonym Pudle", poruszała się po wnętrzu swego, ruchomego domu prawie swobodnie, jakby widziała tutaj wszystko.

Oku, któremu udałoby się przeniknąć do wnętrza tej wędrownej budowli i obejrzeć jego urządzenie, ukazałaby się stara buda Ursusa, na swoich czterech kołach, przytwierdzona w rogu do ściany wozu. Pozostawiona tam na łaskawym chlebie, zachodziła powoli rdzą i odpoczywała po wybojach dróg, jak Homo po popręgach uprzęży.

Buda ta, przybita do tylnej ściany wozu, na prawo od drzwi, służyła Ursusowi i Gwynplaine'owi za sypialnię i ubieralnię. Stały w niej teraz dwa łóżka. W przeciwległym kącie mieściła się kuchnia.

Zagospodarowanie okrętu nie bywa na pewno bardziej treściwe, bardziej staranne niż urządzenie wewnętrzne „Zielonego Pudła". Wszystko znajdowało się tam na stosownym miejscu, wszystko było uporządkowane, obmyślone, zaplanowane.

Wóz podzielony został na trzy przegrody. Części te komunikowały się ze sobą przez otwory pozbawione drzwi. Zasłaniały je płachty ciężkiej tkaniny. Tylna przegroda była mieszkaniem mężczyzn, przednia przegroda była mieszkaniem niewiast, środkowa przegroda, przedzielająca pomieszczenia dwu odmiennych płci – był to teatr. Instrumenty muzyczne i inny sprzęt teatralny umieszczono w kuchni. Na pawlaczu, tuż pod dachem wozu, znajdował się składzik z dekoracjami, jeżeli zaś uchyliło się klapy w tymże pawlaczu umocowanej, zobaczyć można było lampy. Światła ich służyły do pokazywania magicznych sztuk.

Poetą – władcą wszystkich tych czarów – był Ursus. On to układał przedstawienia.

Talenty posiadał liczne, wykonywać umiał najosobliwsze kuglarstwa. Nie tylko naśladować potrafił przeróżne głosy, celował również w najbardziej nieoczekiwanych niespodziankach, zadziwiał nagłym migotaniem świateł wśród ciemności, wywoływał na gładkiej ścianie dowolne liczby, wyrazy i figury, co ukazywały się i znikały tajemniczo, a sam pośród tych dziwów, obojętny na zachwyty gapiów, wydawał się dumać nad czymś głęboko.

Gwynplaine rzekł mu dnia pewnego:

– Wyglądasz, ojcze, jak czarodziej.

A Ursus odrzekł:

– To dlatego, być może, że nim jestem.

„Zielone Pudło" wykonane zostało według mądrego planu Ursusa. Jego to było pomysłem, że część lewej ściany położoną pomiędzy przednimi i tylnymi kołami i przymocowaną na zawiasach, można było opuszczać za pomocą łańcuchów i pasów, niczym most zwodzony. Kiedy ściana opadała, trzy, również na zawiasach umocowane, drewniane podpórki odchylały się od niej i wreszcie stawały pionowo na ziemi, niby nogi stołu, dźwigając ponad brukiem tę estradę z opuszczonego boku wozu. Równocześnie ukazywała się scena teatru, powiększona teraz o proscenium z owej właśnie platformy. Zdaniem ulicznych purytańskich kaznodziei, otwierająca się ściana podobna była do paszczy piekielnej. Odwracali się też od niej z przerażeniem i wstrętem. Być może, że to za podobny pomysł bezbożny kazał Solon wygrzmocić kijami Tespisa.

Idea Tespisa przetrwała zresztą o wiele dłużej, niżby to przypuścić można było. Teatry-wozy istnieją do tej pory. A na jeżdżących scenach tego to rodzaju właśnie w szesnastym i siedemnastym wieku; grywano w Anglii balety i ballady Amnera i Pilkingtona, we Francji pastorałki Gilberta Colin, we Flandrii, po kiermaszach, recytacje Clementa, zwanego Non-

Papa, w Niemczech *Adama i Ewę* Theilesa we Włoszech zaś weneckie krotochwile Animuccia i Ca-Fossis, sielanki Gesualda, księcia Venosy, *Satyra* Laura Guidiccioni, Rozpacz *Filena* i *Śmierć Ugolina* Wincentego Galileusza, ojca astronoma, który to Wincenty Galileusz śpiewał sam ułożone przez siebie pieśni przygrywając na *viola da gamba* – wszystkie te najwcześniejsze zawiązki włoskiej opery, co od roku 1580 wypierać zaczęły sztywny madrygał, przeciwstawiając mu swobodę natchnienia.

Wóz koloru nadziei, co nosił Ursusa, Gwynplaine'a i ich fortunę, wóz, na którego koźle Fibi i Vinos dęły w trąbki, w postaci dwu mitologicznych bóstw, był jednym z bardzo wielu takich wędrownych przybytków sztuki i poezji. Tespis nie wyparłby się Ursusa, a Congrio nie wyparłby się Gwynplaine'a.

Po przybyciu na rynek miasta czy miasteczka, w przerwach między fanfarami Fibi i Vinos, Ursus udzielał pouczających a tyczących się tej muzyki objaśnień.

– Symfonia ta jest gregoriańska – wołał. – Cni obywatele, gregoriański obrządek, ten postęp tak ogromny, we Włoszech walczyć musiał z rytuałem ambrozjańskim, w Hiszpanii zaś – z rytuałem mozarabskim, i zwyciężył wreszcie, choć nie bez trudu.

Po czym „Zielone Pudło" zatrzymywało się na postój w miejscu obranym przez Ursusa, a z nadejściem wieczoru opadała ruchoma klapa ściany, odsłaniało się wnętrze teatru i rozpoczynało się przedstawienie.

Scena „Zielonego Pudła" przedstawiała krajobraz namalowany przez Ursusa, który malować nie potrafił, w potrzebie więc krajobraz ten mógł równie dobrze wyobrażać podziemie.

Kurtyna zszyta była z jedwabnych kwadratów, różnokolorowych, niczym strój błazeński.

Publiczność stała na dworze, na ulicy czy na rynku, skupiona półkolem wokół widowiska, w pogodę czy w niepogodę; układ ten sprawiał, że deszcz o wiele mniej był pożądany dla teatrów ówczesnych niż dla dzisiejszych teatrów. Jeżeli się tylko dało, urządzano przedstawienia w podwórzu zajazdu i wówczas zyskiwano tyle rzędów lóż, ile było pięter z oknami. A im bardziej teatr był tym sposobem zamknięty tym bardziej publiczność przymuszona było do płacenia.

Ursus sam dbał o wszystko – o przedstawienia, o trupę, o kuchnię, o orkiestrę. Vinos niezwykle sprawnie uderzała pałeczkami w bębenek. Fibi grała na instrumencie podobnym do gitary. I wilk również miał we wszystkim swój udział. Niewątpliwie należał do „towarzystwa" i grywał nawet niekiedy skrawki ról. Zdarzało się też nieraz, że kiedy na scenie pojawiali się Ursus i Homo, obok siebie, Ursus w swojej skórze niedźwiedziej zasznurowanej starannie, Homo w swojej skórze wilczej, jeszcze dokładniej dopasowanej – trudno było odgadnąć, który z nich jest zwierzęciem; pochlebiało to Ursusowi.

IX. DZIWACTWA NAZYWANE POEZJĄ PRZEZ LUDZI POZBAWIONYCH SMAKU

Sztuki Ursusa były to intermedia, rodzaj coraz to bardziej dzisiaj zarzucany. Jedna ze sztuk tych, która nie przechowała się do naszych czasów, nosiła tytuł *Ursus Rursus.* On sam zapewne kreował w niej główną rolę. Kilkakrotnie pojawiał się na scenie i znikał – taka była prawdopodobnie treść tej sztuki, odznaczająca się godnym pochwały umiarem.

Jak więc widzimy, tytuły intermediów Ursusa często miewały brzmienie łacińskie, teksty zaś układane były przeważnie po hiszpańsku. Swoje hiszpańskie wiersze rymował Ursus na podobieństwo wszystkich prawie ówczesnych kastylskich sonetów. Nie przeszkadzało to nikomu. Język hiszpański znany był wówczas powszechnie i marynarze angielscy mówili po hiszpańsku, jak niegdyś żołnierze rzymscy mówili po kartagińsku. Wspomina o tym Plaut. A

zresztą w przedstawieniu, jak we mszy, język łaciński czy też inny, niezrozumiały dla słuchających, nie przeszkadzał nikomu. Radzono z tym sobie towarzysząc ochoczo znanymi słowami obcemu tekstowi. Osobliwie nasza stara galicka Francja objawiała swą pobożność takim to właśnie sposobem. W kościele podczas *Immolatus* wierni śpiewali *Będziemy się weselili,* a podczas *Sanctus – Daj buziaka, moja miła.* I trzeba było aż soboru trydenckiego, żeby położyć kres tym poufałościom.

Ursus ułożył umyślnie dla Gwynplaine'a interludium, z którego kontent był bardzo. Było ono jego najulubieńszym utworem. Dać ze siebie w swoim dziele wszystko – oto triumf każdego, kto tworzy. Ropucha rodząc ropuszkę stwarza arcydzieło. Wątpicie? Spróbujcie zrobić to co ona.

Ursus wypieścił, jak tylko potrafił, swoje interiudium. Niedźwiedziątko to zostało nazwane *Chaosem zwyciężonym.*

A oto treść tego dzieła:

Noc. Kiedy rozsunęła się pozszywana z kolorowych kwadratów kurtyna, ciżba stłoczona przed sceną „Zielonego Pudła" nie widziała nic prócz ciemności. W ciemności tej poruszały się, niby jakieś dziwne gady, trzy niewyraźne kształty – wilka, niedźwiedzia i człowieka. Wilkiem był wilk, Ursus– niedźwiedziem, Gwynplaine – człowiekiem. Wilk i. niedźwiedź wyobrażały dzikie, nieposkromione siły przyrody, nieokiełznane żądze, ślepą pierwotność i oba rzucały się na Gwynplaine'a, i był to chaos zmagający się z człowiekiem. Niewidoczne były ich twarze. Gwynplaine bronił się, przykryty całunem, a oblicze jego zasłaniały gęste, opadające na nie włosy. I tak zresztą wszystko skrywała ciemność. Niedźwiedź ryczał, wilk warczał, człowiek krzyczał. Człowiek opadał z sił, dzikie bestie zwyciężały; wzywał pomocy, rzucał w nieznane rozpaczliwe wezwanie; rzęził. Patrzono na konanie tej ludzkiej formy, ledwie że odróżniającej się od zwierząt. Ponure to było widowisko; tłum patrzył wstrzymując dech w piersiach, jeszcze chwila, a zwierz zwycięży i chaos pochłonie człowieka. Walka, krzyki, wycia – i nagle cisza. Słychać śpiew wśród ciemności. Powiew powietrza, i oto słychać głos. Unosi się tajemnicza muzyka towarzysząca tej niewidzialnej pieśni i nagle, nie wiadomo jak i skąd, ukazuje się jasność. Jasność ta jest światłem, światło to jest kobietą, kobieta ta jest duchem. Dea, spokojna, czysta, piękna, potężna pogodą i słodyczą, ukazywała się otoczona promiennym nimbem. Jasna postać na tle zorzy. Głos – była to ona. Głos lekki, głęboki, niewysłowiony. Z niewidzialnej stała się widzialną i śpiewała wśród brzasku. Sądziłbyś, że to pieśń anioła lub śpiew ptaka. A na jej widok człowiek podrywał się nagle olśniony i jednym uderzeniem pięści powalał dzikie zwierzęta.

Wówczas zjawisko, unosząc się lekko w sposób trudny do wytłumaczenia, wywołujący więc podziw tym większy, śpiewało takie oto wiersze w języku hiszpańskim, dostatecznie czystym i zrozumiałym dla słuchaczy – angielskich marynarzy:

Ora, llora!
De palabra
Nace razon,
Da luze el son.[19]

Spuszczała oczy, jakby oglądała przepaść pod stopami, i śpiewała dalej:

Noche quita te de alli!
El alba canta hallali![20]

[19] Módl się, płacz! – Słowo – rodzi rozum, – śpiew rodzi światło
[20] Precz, nocy! – Jutrzenka śpiewa: Alleluja!

A kiedy ona śpiewała, człowiek prostował się coraz bardziej i oto on co leżał powalony, klęczy wznosząc ręce ku zjawisku, a kolanami wspiera się na obu bestiach, nieruchomych, jakby porażonych gromem. Ona, ku niemu zwracając się, śpiewała dalej:

Es menester a cielos ir,
Y tu que llorabas reir.[21]

I przybliżając się, z majestatem gwiazdy, dodawała:

Gebra barzon!
Dexa, monstro,
A tu negro
Caparazon.[22]

I kładła mu dłoń na czole.

A wówczas podnosił się inny głos, głębszy, a więc jeszcze bardziej łagodny, głos rozpaczy i zachwytu, o powadze czułej a dzikiej, i była to pieśń człowieka, odpowiadająca na pieśń nieba, Gwynplaine klęczał zawsze w ciemności, na powalonym niedźwiedziu i wilku. Dea dłonią dotykała mu czoła, a on śpiewał:

O, ven! ama!
Eres alma,
Soy corazon.[23]

I oto nagle strumień światła uderzał Gwynplaine'a prosto w twarz.

Błogo rozanielona poczwara wyłaniała się z ciemności.

Któż potrafi opisać wrażenie, co wstrząsało ciżbą gapiów? Jakby rozbłysło nagle słońce śmiechu. Śmiech rodzi się z zaskoczenia, a cóż bardziej nieoczekiwanego być może niż takie oto rozwiązanie? Jakiż wstrząs przyrównać można do tego policzka światła wymierzonego w maskę błazeńską i okropną? Dokoła śmiechu tego rozgrzmiewał śmiech; śmiano się wszędzie, w górze, w dole, na przedzie, w głębi, i mężczyźni, i kobiety, i stare twarze z wyłysiałym czołem, i różowe twarzyczki dziecinne, śmieli się źli i dobrzy, weseli i smutni, wszyscy; i na ulicy nawet przechodnie, co niczego nie widzieli, też śmieli Się słysząc ten śmiech. Przechodził on w tupania, w oklaski. Po opuszczeniu zasłony uporczywie wywoływano Gwynplaine'a. Powodzenie miał nadzwyczajne. Czy widzieliście *Chaos zwyciężony*? Ciśnięto się tłumnie, aby oglądać Gwynplaine'a. Biegła, by uśmiać się, beztroska, biegła, by uśmiać się, melancholia, biegła, by uśmiać się zgryzota, wyrzuty nieczystego sumienia. Śmiechem tak niepohamowanym, że wydawać się mógł aż chorobliwy. Lecz zaraza wesołości to jedyna zaraza, przed którą człowiek nie ucieka. Powodzenie to nie rozszerzało się jednakże poza pospólstwo. Tłumy składają się zawsze z biedaków. *Chaos zwyciężony* oglądać można było za cenę jednego penny. Wielki świat nie zwykł bawić się za trzy grosze.

Ursus wielce cenił sobie swoje dzieło, które obmyślił był tak kunsztownie.

– Jest to w rodzaju niejakiego Szekspira – mawiał skromnie.

W zestawieniu z Deą Gwynplaine tym większe wywoływał wrażenie. Ta biała postać obok tego gnoma przedstawiała sobą coś, co nazwać by można nieziemskim zadziwieniem. Tłum prostaczy spoglądał na Deę z uczuciem zabobonnego niepokoju. Była w niej jakaś wzniosłość dziewicy i kapłanki, co nie zna człowieka, co zna tylko boga. Widzieli, że jest niewidoma, a

[21] Wznieś się do nieba – i śmiej się, ty, co płaczesz.
[22] Strzaskaj jarzmo! – porzuć, poczwaro – twoją ciasną – skorupę.
[23] Przyjdź! kochaj! – tyś jest duszą – jam jestsercem.

czuli, że widzi. Wydawało się, że stoi na progu nadprzyrodzonego. Była jakby w połowie oświetlona naszym światłem, a w połowie inną jakąś jasnością. Zstępowała na ziemię, by wykonać zadanie, by wykonać je w sposób, w jaki niebo czynić to zwykło – poprzez świt. Znajdowała hydrę i czyniła z niej duszę. Wyglądała jak tworząca potęga, i uszczęśliwiona, i zdumiona zarazem tym, co sama stworzyła; sądziłbyś, że na twarzy jej, zalęknionej cudownie, maluje się i wola przyczyny, i zdziwienie wobec skutku. Czuli, że kocha ona swojego potwora. Czy wiedziała, że jest potworem? Tak, ponieważ go dotyka. Nie – przyjmuje go przecież takim, jakim jest. To połączenie dnia i nocy w umyśle widza roztapiało się w jakiś półmrok, wśród którego rysowały się niejasne a nieskończone perspektywy. I jakże to boskość godzi się z ledwie że wyciosanym kształtem, w jaki sposób dokonuje się przeniknięcie duszy w materię, w jaki sposób promień słoneczny stać się może życiodajną pępowiną, w jaki sposób odmienić się może odmieniec, w jaki sposób potworne rajskim się staje – wszystkie zawierające się w tym zjawisku tajemnice sprawiały, że konwulsyjna wesołość, wzbudzona przez Gwynplaine'a, potęgowała się i gmatwała wzruszeniem, kosmicznym prawie. Nie zgłębiając uczuć swoich do dna – widz nie lubi bowiem męczyć się nadmiernym myśleniem – rozumiano jednak coś więcej, co kryło się poza samym dostrzegalnym obrazem i przez niezwykły ten widok prześwitywało jak gdyby jakieś wcielenie boskie.

To zaś czego doświadczała Dea, w ogóle nie da się wyrazić w ludzkim języku. Czuła, że znajduje się wśród tłumu, a nie wiedziała, czym jest tłum. Słyszała gwar i to już wszystko. Tłum – było to dla niej tyle, co podmuch – i czyż jest on właściwie czymś więcej w swojej istocie? Pokolenia to oddechy, co przemijają. Człowiek oddycha, do czegoś wzdycha i wreszcie wydaje tchnienie ostatnie. W tłumie tym Dea czuła się samotna, drżała jak ktoś, kto by pochylił się nad przepaścią. Nagle wśród niepokoju niewinności, co czuje się zagrożona i gotowa już jest wyrzekać gorzko na nieznane potęgi, wśród lęku przed upadkiem tak bardzo możliwym Dea, pogodna jednak, urastająca ponad niejasny strach przed niebezpieczeństwem, lecz cała drżąca w swoim odosobnieniu, w swoim odgrodzeniu od świata, odnajdywała pewność i oparcie; chwytała linę ratowniczą rzuconą „w jej świat ciemności, dotykała ręką swoją potężnej głowy Gwynplaine'a. O, radości niewypowiedziana! składała swoje różane palce na owym gąszczu kędzierzawych włosów! Dotknięta wełna daje wrażenie miękkości. Dea dotykała baranka wiedząc, że jest on lwem. Serce jej rozpływało się całe w niewysłowionej miłości. Była już poza niebezpieczeństwem, odnalazła wybawcę. Publiczność sądziła, że dzieje się odwrotnie. Dla widzów istotą uratowaną był Gwynplaine, istotą niosącą ratunek – Dea. „Nieważne!" – myślał Ursus. On wiedział, co się działo w sercu dziewczyny. Dea, uspokojona, pocieszona, zachwycona, wielbiła anioła, a tłum przypatrywał się poczwarze i – zafascynowany również sytuacją, choć pojmował ją odwrotnie – wybuchał ogromnym, niepowstrzymanym śmiechem.

Prawdziwa miłość nie ulega zobojętnieniu. Cała jest z ducha, więc nie stygnie. Żar się spopiela, ale nie gwiazda. Przeogromne wzruszenie Dei, powtarzało się każdego wieczora i skłonna była płakać z rozrzewnienia, kiedy wszyscy dookoła pokładali się ze śmiechu. Tłumem trzęsła wesołość; ona była szczęśliwa.

Takie błazeńskie, wesołe zakończenie, wywołane nagłym i nieprzewidzianym ukazaniem się oblicza Gwynplaine'a, niewątpliwie nie zgadzało się z zamiarem Ursusa. On pragnąłby uśmiechu raczej, nie śmiechu, pragnąłby podziwu i zrozumienia artystycznych subtelności swojego dzieła. Ale powodzenie pociesza. Godził się też co wieczór bez trudu na swój przesadny, z nieporozumienia powstały sukces licząc, ile też słupków o wartości szylinga da. się ułożyć z farthingów, ile też słupków o wartości funta da się ułożyć z szylingów. Powtarzał sobie zresztą, że jednak pomimo wszystko, kiedy śmiech przeminie, *Chaos zwyciężony* zapadnie jakoś w głąb umysłów i pozostawi w nich swój trwały ślad. I być może, nie całkiem się mylił; dzieło przedostaje się do świadomości widzów. Gawiedź rozciekawiona wilkiem, niedźwiedziem, człowiekiem i muzyką tą i wyciem, i wrzaskiem poskromionym, opanowa-

nym przez harmonię, tą nocą rozproszoną przez brzask i śpiewem niosącym światło, przyjmowała z sympatią głęboką, choć niezbyt może jasno rozumianą, a nawet i z jakimś rzewnym poszanowaniem ten dramat poetycki, noszący nazwę *Chaosu zwyciężonego,* to zwycięstwo ducha nad materią, uwieńczone radością człowieka.

Takie to były nieokrzesane uciechy ludu.

I uciechy te wystarczały ludowi. Lud nie miał możności, by przypatrywać się „szlachetnym meczom", jak dobrze urodzeni, nie mógł, jak wielcy panowie i szlachta, stawiać tysiąca gwinei na Helmsgaila czy też na Phelem-ghe-madone'a.

X. JAK PATRZY NA LUDZI I NA ZDARZENIA TEN, CO SAM STOI POZA SPRAWAMI TEGO ŚWIATA

Jak chętnie człowiek mści się za przyjemność, której doznaje za czyjąś sprawą! Stąd też i pogarda dla komedianta.

Istota ta zachwyca mnie, zajmuje, bawi, uczy, czaruje, pociesza, daje mi piękno, jest dla mnie miła i pożyteczna, cóż więc złego mógłbym jej uczynić w zamian za to? Upokorzyć ją! Pogarda to policzek wymierzony na odległość. Spoliczkujmy więc komedianta. Podoba mi się, jest więc nikczemny. Służy mi, więc ja go nienawidzę. Skądby tu wziąć kamienia i rzucić w niego? Podaj mi taki, kamień, księże! Podaj mi taki kamień, filozofie! Wyklnij go, Bossuecie! Znieważaj go, Rousseau! Krasomówco, pluń na niego żwirem swojej wymowy! Niedźwiedziu, ciśnij weń płytą bruku! Ukamienujmy drzewo, pomiażdżmy owoc i spożyjmy go. Brawo! I precz! Ten, co recytuje wiersze poetów, jest jak zadżumiony. Precz, histrionie! Uczyńmy mu pręgierz z jego powodzenia. Triumf jego zakończmy wygwizdaniem. Niechaj przyciąga tłumy, jego zaś udziałem niechaj będzie samotność. Takim oto sposobem klasy bogate, zwane wyższymi klasami, wymyśliły dla aktora tę formę izolacji, jaką jest poklask.

Gawiedź uliczna nie bywa tak okrutna. Nie żywiła ona nienawiści do Gwynplaine'a. Nie czuła dlań pogardy. Tylko, że najpodlejszy pomywacz pokładu z najlichszej załogi na najlichszym ze statków zakotwiczonych w najlichszej ze wszystkich angielskich przystani mniemał, że stoi nieporównanie wyżej niż ten rozweselacz „gawiedzi", i przekonany był, że pomywacza pokładu tyle co najmniej dzieli od linoskoka, ile dzieli lorda od pomywacza pokładu.

Gwynplaine był więc, jak wszyscy komedianci, i oklaskiwany, i osamotniony. Zresztą na tym padole każde powodzenie jest zbrodnią i trzeba za nie odpokutować. Ten, co dostaje medal, dostaje obie jego strony równocześnie.

Dla Gwynplaine'a nie istniała odwrotna strona medalu. Dlatego że zadowolony był on najzupełniej ze wszystkich skutków swojego powodzenia. Rad był oklaskom, cieszyła go samotność. Dzięki oklaskom był bogaty, dzięki samotności – szczęśliwy.

Bogatym być w tych najniższych kręgach społecznych to tyle, co nie doświadczać nędzy. Tyle, co nie mieć dziur w odzieniu, zimna w izbie, pustki w żołądku. Tyle, co pić i jeść do syta, mieć wszystko, czego człowiekowi potrzeba, w tym i grosz dla biedniejszego od siebie. Gwynplaine posiadał takie właśnie liche bogactwo, wystarczające swobodzie człowieka.

W duszy zaś był posiadaczem, nie lada. Miał miłość. Czegóż mógł pragnąć jeszcze?

Niczego więcej nie pragnął.

A gdyby tak chciał mu ktoś odjąć szpetotę z twarzy? Odepchnąłby tylko ten dar! Nie chciałby porzucić tej maski, nie chciałby odzyskać swojej twarzy, pięknej, zapewne, czarującej. A za cóż wyżywiłby wówczas Deę? Co stałoby się z biedną, łagodną niewidomą, która go kochała? Bez tej maski śmiechu, co czyniła go błaznem niezrównanym, byłby zwykłym linoskokiem, pierwszym lepszym sztukmistrzem, co wygrzebuje groszaki ze szpar pomiędzy ka-

mieniami bruku, i Dea, być może, nie co dzień miałaby kawałek chleba do zjedzenia! Z dumą i wzruszeniem myślał, że jest oto opiekunem tej niebiańskiej i kalekiej dziewczyny. Noc, Samotność, Ubóstwo, Bezsilność, Ciemnota, Głód i Pragnienie – siedem paszczęk nędzy rozwierało się dokoła niej szeroko, a on był świętym Jerzym, co pokonywał tego smoka. Zwyciężał nędzę. Jak? Swoją szpetotą. Dzięki potworności swojej twarzy stał się potrzebny, pomocny, zwycięski, wielki. Dość mu było pokazać się i już się znajdywały pieniądze. Był panem tłumu; czuł się władcą motłochu. Mógł dać Dei. wszystko. Zaspokajał jej potrzeby, pragnienia, zachcianki, fantazje, wszystko, o czym tylko w granicach swojego kalectwa zamarzyć mogła niewidoma. Wiemy to już, że Gwynplaine i Dea byli opatrznością dla siebie nawzajem. Jemu wydawało się, że wzlatuje na jej skrzydłach, jej – że ją niosą jego ramiona. I cóż słodszego być może nad opiekowanie się tym, co nas kocha, nad zaspokojenie potrzeb tego, co nam nieba przychyla! Gwynplaine doświadczał tej najwyższej szczęśliwości. A zawdzięczał to swemu okaleczeniu. Okaleczenie to wywyższało go. Dzięki niemu zarabiał na życie swoje i cudze, dzięki niemu zdobył niezależność, swobodę, sławę, zadowolenie wewnętrzne, godność. W okaleczeniu swoim był niedostępny dla niczego i dla nikogo. Los nie mógł wyrządzić mu żadnej już krzywdy, złośliwość jego wyczerpała się całkowicie w tym jednym uderzeniu, które obróciło się w jego, Gwynplaine'a, zwycięstwo. Dno nieszczęścia stało się oto szczytem szczęśliwości. Gwynplaine był uwięziony w swojej potwornej brzydocie, lecz razem z Deą. I jak się już rzekło, było to uwięzienie w raju. Pomiędzy nimi i światem żywych wznosił się mur. Trudno! Mur ten więził ich, lecz i chronił równocześnie. Czyż można było dosięgnąć Deę, czyż można było dosięgnąć Gwynplaine'a poza tym zamknięciem, co oddzielało ich od życia dziejącego się dokoła? Odebrać mu powodzenie? Nie podobna! Trzeba by mu na to odebrać twarz. Odebrać mu miłość? Nie podobna! Dea nie widziała. Ślepota Dei była bosko nieuleczalna. I w czymże przeszkodzić mogła Gwynplaine'owi jego szpetota? W niczym. A jakie przedstawiała dla niego korzyści? Wszystkie. Był kochanym pomimo swojej potworności, być może, dla niej właśnie. Kalectwo i szpetota instynktownie zbliżyły się ku sobie, połączyły się. Być kochanym – czy to nie dosyć? Z jakąż wdzięcznością myślał Gwynplaine o swoim zniekształceniu. Pobłogosławiony został swoim stygmatem. Wiedział, że jest on niezniszczalny, wieczny. Cóż za radość! Cóż za szczęście, że dobrodziejstwo to było nie do uleczenia! Dopóki tylko istnieć będą przedmieścia i place jarmarczne, drogi, po których można wędrować przed siebie, tłum na dole i niebo wzgórze, można się nie troszczyć o byt. Dei niczego nie zabraknie, nie zginie ich miłość. Gwynplaine nie zamieniłby swojej twarzy z Apollinem. Brzydota była przyczyną jego szczęścia.

Mówiliśmy już, że los obdarował go hojnie. Wyrzutek ten był wybrańcem.

Był tak bardzo szczęśliwy, że nieraz zdarzało mu się żałować otaczających go ludzi. Litował się nad resztą świata. Instynkt nakazywał mu nieraz porozglądać się nieco wokół siebie, gdyż żaden człowiek nie jest jednolity, natura ludzka to nie abstrakcja. Dziękował niebu, że otacza go nieprzenikniona ściana, lecz wyglądał spoza niej od czasu do czasu. I dokonawszy porównania z tym większą radością wracał do Dei, do ich wspólnej samotności.

Cóż dostrzegał dookoła? Kim byli ci żyjący, których wśród wędrówek swoich oglądał tak różnych i tak wielu? Coraz to inny tłum i zawsze to samo mrowie. Coraz to inne twarze i zawsze te same niedole. Bezładna mieszanina istnień zmarnowanych, zburzonych. Co wieczora wszystkie klęski społeczne tłoczyły się dookoła jego szczęśliwości.

„Zielone Pudło" było popularne.

Niskie ceny przyciągają niskie klasy. Szli ku niemu słabi, biedni, ubodzy, mali. Szli na Gwynplaine'a, jak się idzie na wódkę. Przychodzili, by za dwa grosze kupić sobie zapomnienie. Z wyżyn swojej kuglarskiej sceny przyglądał się Gwynplaine temu żałosnemu zbiegowisku. W umysł jego zapadał widok tej niezmierzonej nędzy, pojawiającej się nieustannie, ciągle od nowa. Fizjonomię człowieka znaczy świadomość i życie, jest ona wynikiem ogromnej liczby tajemniczych żłobień. Gwynplaine oglądał bruzdy pozostawione na ludzkich twarzach

przez wszelakie cierpienie, wszelaką złość, wszelaką sromotę, przez wszelaką rozpacz. Te oto usta dziecinne nie jadły. Ten oto mężczyzna był ojcem, ta kobieta – matką, a poza nimi odgadnąć można było rodziny sponiewierane, rozbite. Po tamtej twarzy widać, że od występku przechodzi do zbrodni, i dobrze wiadomo dlaczego: z ciemnoty, z nędzy! Na tamtej zaś dostrzec można piętno wrodzonej dobroci, przekreślonej przez ucisk społeczny, przemienionej w nienawiść. Na czole tej staruszki widać głód; na czole tamtej dziewczyny – prostytucję. I tu, i tam– ta sama sprawa, lecz młoda ma sposoby, by dać sobie *radę* – widok bardziej chyba jeszcze ponury. Wśród ciżby tej są ręce, lecz nie ma narzędzi; ludzie ci niczego bardziej nie pragnęliby niż pracy, lecz pracy zbrakło Niekiedy siadał obok robotnika żołnierz, często inwalida i oto Gwynplaine oglądał widmo wojny. Tu odczytać mógł bezrobocie, tam – wyzysk, gdzie indziej znowu – niewolniczą zależność. Na niektórych czołach stwierdzić mógł jakieś cofnięcie się w zwierzęcość. To naciskające z góry. swoim ciężarem szczęście wybranych spychało człowieka z nizin społecznych do stanu bydlęcia. Wśród tych piwnicznych mroków jedynym jasnym okienkiem świeciła Gwynplaine'owi miłość Dei, ich wspólne szczęście. Wszystko inne wyklęciem było potępieniem. Gwynplaine czuł, jak depczą po nim, jak tratują go bezwiednie możni, bogaci, wspaniali, wielcy, wybrańcy losu; a kiedy spoglądał w dół – widział nieprzeliczone tłumy mizernych twarzy wydziedziczonych; on i Dea, z ich szczęściem tak ubożuchnym, a tak ogromnym, byli jakby zawieszeni pomiędzy dwoma światami; w górze świat gwarny, ruchliwy, swobodny, wesoły, tańczący, depczący po wszystkim; w górze świat, co stąpa; w dole świat, po którym się stąpa. Światło nie rozjaśniało ciemności, lecz gniotło ją, miażdżyło – rzecz to zgubna, wskazująca, że istnieje głębokie społeczne zło. Gwynplaine miał sposobność poznania tej smutnej prawdy. Istnienie pełzającego płaza! Człowiek czołgający się przez całe swe życie w kurzu i w błocie, zohydzony, poniżony, tak wyzuty ze wszelkiego człowieczeństwa, że chciałbyś po nim tylko deptać! i jakiegoż to motyla poczwarką być może takie życie na ziemi? Przed tłumem tym, co ciemny jest i głodny, wszędzie, przed każdym z tych ludzi wyrasta znak zapytania: czy zbrodnia? czy hańba? Nieugiętość prawa wywołująca zanik sumienia! Dzieci, co rosną po to, by się spodlić, dziewice, co po to dojrzewają, żeby się oddać, róże, co rozkwitają po to tylko, by natychmiast zwarzył je trujący jad! Niekiedy wzrok jego, wyostrzony ciekawością i wzruszeniem, usiłował przebić aż do dna te mroki, wśród których dogorywało tyle próżnych wysiłków, gdzie walczyło rozpaczliwie tyle znużenia, gdzie bytowały rodziny przeżarte przez porządek społeczny, obyczaje wypaczone przez prawo, rany, co zropiały pod działaniem systemu karnego, nędze stoczone przez podatki, inteligencje, co bezowocnie tonęły w ciemnocie, gdzie szamotały się rozbite tratwy, pełne zrozpaczonych i wygłodniałych, gdzie były wojny, niedostatek, rzężenia, krzyki, zagubienia; i czuł on, jak coraz mocniej ściska mu gardło rozpacz przejmująca i powszechna. Widział wzburzone piany nieszczęścia na powierzchni ciemnej ludzkiej masy. On sam znajdował się w zaciszu przystani i tylko patrzył, jak wszystko dokoła rozbija się i tonie. Chwilami ujmował w dłonie swoją zniekształconą głowę i zamyślał się głęboko.

Człowiek szczęśliwy to prawie obłąkany! Jakże potrafi marzyć! Najabsurdalniejsze pomysły przewijały się przez mózg Gwynplaine'a. Dlatego że kiedyś udało mu się uratować dziecko, miewał teraz śmieszne, żałosne pragnienia: chciałby dopomóc światu! Obłoki marzeń do tego stopnia, przesłaniały mu niekiedy rzeczywistość, tracił poczucie proporcji tak dalece, że zdarzało mu się zapytywać samego siebie: co można by uczynić dla tego nieszczęśliwego ludu? Chwilami tak głęboko pogrążał się w rojeniach, że głośno wypowiadał to pytanie. Wówczas Ursus wzruszał ramionami i przypatrywał mu się uważnie. A Gwynplaine dalej śnił na jawie: – Ach, gdybym był potężny, jakże pomagałbym nieszczęśliwym! Lecz czym ja jestem? Prochem. Cóż ja mogę? Nic.

Mylił się. Wiele mógł uczynić dla nieszczęśliwych. Dawał im śmiech.

A śmiech – to zapomnienie.

Ten, co rozdaje zapomnienie, jest wielkim dobroczyńcą ludzkości.

XI. GWYNPLAINE SŁUSZNIE SĄDZI, URSUS PRAWDĘ MÓWI

Filozof to szpieg. Ursus, podpatrywacz marzeń, obserwował swojego ucznia. Monologi ducha znaczą się na naszym czole odbiciem ledwie że dostrzegalnym, uchwytnym jednak dla wprawnego oka fizjonomisty. Toteż wszystko, co działo się w Gwynplaine'ie, nie uchodziło uwagi Ursusa. Pewnego dnia, kiedy Gwynplaine rozmyślał, Ursus pociągając go za połę kaftana tak się odezwał:

– Wyglądasz mi na badacza, głupcze! Strzeż się, nie twoje to sprawy. Ty jedno masz dq roboty: kochać Deę. Jesteś szczęśliwy podwójnym szczęściem: po pierwsze, że tłum ogląda twoją mordkę, po drugie, że Dea jej nie ogląda. Nie masz prawa do tego szczęścia, które posiadasz. Żadna kobieta nie przyjęłaby twego pocałunku widząc twoje usta. I te usta, którym zawdzięczasz majątek, ta twarz, dzięki której jesteś bogaty – nie jest twoja. Nie przyniosłeś jej sobie na świat. Wziąłeś ją od drwiącego grymasu, co leży u samego dna nieskończoności. Wykradłeś swoją maskę diabłu. Jesteś wstrętny i niechaj ci wystarczy ten wielki los na loterii. Na tym świecie, urządzonym tak doskonale, istnieją szczęśliwi z prawa i szczęśliwi z przypadku. Ty jesteś szczęśliwym z przypadku. Siedzisz w piwnicy, w której zamknięta została gwiazda. Biedna gwiazda jest twoją własnością. Nie próbuj nawet wydostać się z twojego lochu i pilnuj swojej gwiazdy, pająku! Szlachetny klejnot trzymasz w sieci. Ciesz się tym, co masz, zrób mi z łaski swojej tę przyjemność. Widzę, że się rozmarzasz. Cóż za głupota! Posłuchaj, przemówię teraz językiem prawdziwej poezji: niechaj Dea zjada co dzień wołowe befsztyki i kotlety baranie, a za pół roku będzie krzepka jak rzepa; pożeńcie się i zrób jej dziecko, dwoje dzieci, troje dzieci, całą kupę dzieci! Oto mi rozumowanie prawdziwie filozoficzne. Tym bardziej, że jest się wówczas szczęśliwym, a to niezła rzecz. Mieć dzieci, dużo dzieci – oto baśń prawdziwa! Miej kupę bębnów, myj je, czesz, ucieraj im nosy, lulaj, przewijaj, zawijaj, niech się roi dokoła ciebie ta zgraja; śmieją się – dobrze, wrzeszczą – jeszcze lepiej; krzyczeć – to żyć; przyglądaj się, jak ssą w szóstym miesiącu życia, jak raczkują mając rok, jak chodzą mając dwa lata, jak dojrzewają w piętnastej wiośnie, jak w dwudziestej zaczynają kochać. Kto te radości ma – ten ma wszystko. Ja ich nie miałem i dlatego jestem zdziwaczałym odludkiem. Dobry Pan Bóg, majster w sztuce układania pięknych poematów, pierwszy literat świata, podyktował Mojżeszowi, współpracownikowi swojemu: „Rozmnażajcie się." Tak brzmi tekst. Rozmnażaj się, zwierzę! A świat jest tym, czym jest; i bez twojej pomocy będzie się na nim źle działo. Nie troszcz się o świat. Nie zajmuj się tym, co się na zewnątrz znajduje. Zostaw w spokoju widnokrąg. Komediant po to został stworzony, żeby się drudzy na niego patrzyli, a nie po to, żeby sam patrzył na drugich. Wiesz, co istnieje tam, na zewnątrz? Szczęśliwi z prawa. Ty – powtarzam ci to jeszcze raz – ty Jesteś szczęśliwy z przypadku. Jesteś jak złodziejaszek, co skradł to szczęście, którego oni są właścicielami. Prawowitymi właścicielami, a ty jesteś przybłędą, ty żyjesz na wiarę z pomyślnością. I czegóż więcej możesz chcieć jeszcze, hultaju? Miło jest chyba rozmnażać się za pośrednictwem Dei? Dola tak błoga podobna jest do kradzieży. Ci, którym z woli nieba przynależy się szczęście na tym padole, niechętnie widzą, kiedy stojący niżej od, nich pozwalają sobie na tyle radości. Gdyby cię zapytali: jakim prawem jesteś szczęśliwy? – nie wiedziałbyś, co odpowiedzieć. Ty nie masz patentu, a oni mają. Jowisz, Allach, Wisznu, Sabaoth, czy ja wiem w końcu kto, dał im zezwolenie pa szczęście. Strzeż się ich! Nie wtrącaj się do ich spraw, bo oni mogliby jeszcze wtrącić się do twoich. A czy ty wiesz, chudziaku, kto to jest: szczęśliwy z prawa? To istota straszliwa i potężna, to lord! Tak, lord, dopieroż to każdy taki wysługiwać się musiał diabłu, zanim przyszedł na świat przez te drzwiczki! Dopieroż to chyba nie łatwo się mu było

urodzić! To jedyny trud, jaki zadał sobie kiedykolwiek, ale za to co za trud! – niech ręka boska broni! „Od losu, od tego ślepego bałwana, uzyskać, by już w kołysce uczynił ciebie władcą nad ludźmi! Przekupić tego urzędnika, żeby dał ci najlepsze miejsce na widowisko! Przeczytaj sobie memento wypisane na ścianie mojej budy-emerytki, przeczytaj ten brewiarz mojej mądrości, a przekonasz się, co to jest lord. Lord to ten, co sam ma wszystko i co sam jest wszystkim. Lord, to ten, co wyniesiony jest ponad swoją własną naturę; lord to ten, któremu w młodości przysługują prawa starca, który na starość ma u kobiet powodzenie młodzieńca, co choć występny, ma szacunek uczciwych ludzi, co choć tchórz, dowodzi zuchami, co choć próżniak, zbiera owoce pracy, co choć nieuk ma dyplomy uniwersytetów w Cambridge i w Oxfordzie, co choć głupiec, jest przedmiotem podziwu poetów, to ten, do którego uśmiechają się kobiety, choć jest brzydki, ten, co Thersytem będąc nosi hełm Achillesa, co zającem będąc nosi skórę lwa. Nie wyciągaj z moich słów lekkomyślnych wniosków, z tego, co mówię, nie wynika wcale, że lord musi być koniecznie nieukiem, tchórzem, brzydalem, głupim i starym; chciałem powiedzieć tylko, że może on być tym wszystkim i że nic mu to zaszkodzić nie może. Przeciwnie. Lordowie – to książęta. Król Anglii to tylko lord, pierwszy pan wśród panów; to wszystko i to dużo. Królowie nazywali się dawniej lordami: lordem Danii, lordem Irlandii, lordem Wysp. Lord Norwegii używa imienia króla od trzystu lat dopiero. Lucius, pierwszy król Anglii, nazywany jest „milordem Luciusem" przez świętego Telesfora. Lordowie są parami, są pni równi. Komu? Królowi. Pomyliłby się ten, co by lordów utożsamiał z parlamentem. Zgromadzenie narodowe, które Saksonowie, przed podbojem, nazywali *wittenagemot*, przez Normanów, po podboju, nazwane zostało *parliamentum.* Naród powoli, stopniowo wypchnięto za drzwi. Listy królewskie, zwołujące gminy, rozpoczynały się niegdyś słowami: *ad consilium, impendendum*, dziś zaczynają się one od słów: *ad consentiendum.* Gminom wolno jest wyrazić swoją zgodę. Mają prawo powiedzieć: tak. A parowie mogą powiedzieć: nie. Dowodem, że powiedzieli to rzeczywiście. Parowie mają prawo ściąć królowi głowę, naród tego prawa nie ma. Uderzenie topora, którym ucięto głowę Karolowi I, to naruszenie praw nie króla wcale, lecz parów, i słusznie uczyniono wieszając na szubienicy szczątki Cromwella. Lordowie są potężni. Dlaczego? Dlatego, że są bogaci. Wystarczy przerzucić sobie *Księgę Doomsday*. Wynika z niej jasno, że lordowie są właścicielami Anglii. Księga ta to rejestr dóbr wszystkich poddanych spisany zapanowania Wilhelma Zdobywcy. Lord-skarbnik Anglii ma nad nią pieczę. Chcąc przepisać z niej Cokolwiek, płacić trzeba cztery grosze za wiersz. To dumna księga! Czy wiesz, że byłem niegdyś nadwornym lekarzem u pewnego lorda, co zwał się Marmaduke i miał dziewięćset tysięcy franków francuskich rocznej renty? Spróbuj się z nim porównać, nieszczęsny głupcze! Czy wiesz, że samymi tylko królikami z królikami hrabiego Lindseya wykarmić by można całą hołotę Pięciu Portów? A spróbuj dobrać się do nich! Natychmiast zrobią z tobą porządek. Kłusowników wiesza się. Sam widziałem na szubienicy ojca sześciorga dzieci. A dostał się tam za dwa futrzane ucha, co mu wystawały ź myśliwskiej torby. Taka jest władza lennego pana. Lordowski królik więcej wart jest od człowieka, co go Pan Bóg stworzył: Są panowie na tej ziemi – rozumiesz, błaźnie? – i musimy uznać, że tak jest dobrze. A gdybyśmy nawet i pomyśleli, że to źle – dużo by ich to obeszło! Lud, co się nie zgadza! Czegoś równie śmiesznego nie wymyśliłby nawet Plaut! Filozof, co by doradzał tej ciżbie łachmaniarzy, by się buntowała przeciwko ciężarowi i ogromowi lordów, byłby zaiste trefnisiem nie lada! Gąsienica mogłaby krytykować nogę słonia z równym powodzeniem. Widziałem razu pewnego, jak hipopotam nadepnął na kretowisko; zmiażdżył je i nie było w tym jego winy, doprawdy. Przecież ten przedpotopowy potulny grubas nie wiedział nawet, że istnieją krety. Mój drogi, rodzaj ludzki jest jak te krety, które się rozdeptuje. Rozdeptywanie jest prawem. Czy myślisz może, że kret nie miażdży już niczego? On jest hipopotamem dla robaka, a ten jest z kolei hipopotamem dla jeszcze mniej szych żyjątek. Zresztą, co tu mędrkować. Istnieją karoce, mój chłopcze. Lord jest w środku, a lud pod kołami; co rozsądniejszy usuwa się na bok. Stań z boku, niech kareta przejedzie. Co do mnie, lubię lordów i unikam

ich. Byłem w służbie u jednego. I wystarcza mi piękno tych wspomnień. Przypominam sobie jego zamek niby światłość na obłoku. Nieraz śni mi się ta dawno miniona przeszłość. Jakiż zachwyt wzbudzić musiał w każdym człowieku pałac Marmaduke przez swój ogrom, przez swoją doskonałą symetrię, wielkie dochody z przyległych doń dóbr i piękno otoczenia gmachu. Tak, w domach, pałacach i zamkach lordów znajduje się wszystko, co najpyszniejsze i najwspanialsze w tym kwitnącym królestwie. Kocham naszych wielkich panów. Wdzięczny im jestem za to, że są możni i bogaci. Ja, co okryty jestem mrokiem, z ciekawością i przyjemnością oglądam tę próbkę niebiańskiego błękitu, która się lordem nazywa. Wejście do pałacu Marmaduke wiodło przez bardzo rozległy dziedziniec w kształcie prostokąta podzielonego na osiem Kwadratów, otaczały go balustrady, pozostawiając szeroki dostęp ze wszystkich stron, w środku zaś znajdowała się wspaniała fontanna – dwa sześcioboczne baseny, nad którymi, na sześciu kolumnach, umieszczona była kopuła przedziwnej ażurowej roboty. Tam to poznałem uczonego Francuza, księdza du Cros, z klasztoru jakobinów przy ulicy Świętego Jakuba. W pałacu Marmaduke znajdowała się połowa biblioteki Erpeniusa. Druga jej połowa jest własnością wydziału teologii w Cambridge. Czytywałem tam księgi siadując pod pięknie ozdobionym portalem. Niewielu zapewne ciekawym podróżnikom dane było oglądać te wspaniałości. A czy wiesz ty, pędraku pocieszny, że jego wielmożność William North, który jest lordem Gray de Rolleston i zasiada, czternasty z kolei, na ławie baronów, ma więcej drzew szlachetnych gatunków w swoich górskich lasach niż ty włosów na twoim potwornym łbie? Czy wiesz, że lord Norreys de Rycott lub hrabia Abingdonu, bo to ta sama osoba, posiada kwadratowy donżon, dwieście stóp wysoki, na którym wypisana jest dewiza: *Virtus ariete fortior*. Sądzić by można, że znaczy to „Cnota silniejsza jest od barana", lecz w rzeczywistości, głupcze jeden, „Męstwo silniejsze jest od tarana"– oto co ten napis znaczy. Tak, szanuję, chwalę, poważam, czczę naszych panów. To lordowie właśnie wespół z królewskim majestatem pracują nad pomnożeniem i zachowaniem pomyślności narodu. Ich doskonała mądrość świeci wśród sporów i niesnasek. Czyż nie mają rzeczywistego pierwszeństwa przed wszystkimi? Mają. To, co w Niemczech księstwem się nazywa, *a* grandostwem w Hiszpanii, w Anglii i we Francji nosi nazwę parostwa. Cóż, słusznie uznać można było, że bardzo nędznie przedstawia się ten świat, Pan Bóg więc, świadom rzeczy, postanowił udowodnić, że potrafi jednak stworzyć szczęśliwych ludzi, i stworzył lordów, by uczynić zadość pragnieniom filozofów. Doskonałość tego gatunku jest zadośćuczynieniem za błędy popełnione przy tworzeniu innych istnień i ratuje dobre imię Pana Boga. Dzięki temu to właśnie udało mu się wyjść z godnością z trudnego położenia. Wielcy są wielkimi. Par sam o sobie mówi: my. Par – to liczba mnoga. Król nazywa parów *consanguinei nostri*. Parowie wymyślili całe mnóstwo mądrych praw, wśród nich i takie, które skazuje na karę śmierci człowieka, co by ściął trzyletnią topolę. Przewaga ich jest tak ogromna, że posiadają nawet swoją własną mowę. W języku heraldycznym barwa czarna nosi nazwę „piasku" dla zwykłej szlachty, „Saturna" dla książąt i „diamentu" dla parów. Diamentowy pył, gwiaździsta noc – oto czerń szczęśliwych. A jak subtelnie są wycieniowane wzajemne stosunki tych wielkich panów! Baron bez zezwolenia wicehrabiego nie może obmyć rąk w tej samej co i on misie. Są to wszystko rzeczy znakomite, dzięki nim naród trwa. Czyż to nie piękne, że naród posiada dwudziestu pięciu diuków, pięciu markizów, siedemdziesięciu sześciu hrabiów, dziewięciu wicehrabiów i sześćdziesięciu i jednego barona, co razem czyni stu siedemdziesięciu sześciu parów, z których jedni są jaśnie oświeceni, drudzy – jaśnie wielmożni! A że tu i tam zobaczyć można nędzne łachmany! Nie mogą przecież wszyscy chadzać w złotogłowiu! Są łachmany, prawda, ale czyż nie'ma purpury? Jedno jest ceną drugiego. Każda rzecz na świecie musi być z czegoś zrobiona. Owszem, są i nędzarze. No to cóż? Karmi się ich nędzą szczęście bogaczy. Do diabła, nasi lordowie są naszą chwałą! Sama psiarnia Karola Mohun, barona Mohun, kosztuje tyle co szpital dla trędowatych w Mooregate i szpital pod wezwaniem Chrystusa, ufundowany dla dzieci w roku 1553 przez Edwarda VI. Tomasz Osborne, książę Leeds, na same tylko liberie

wydaje co roku pięć tysięcy złotych gwinei. Każdy grand hiszpański ma naznaczonego od króla strażnika, który pilnuje, by nie roztrwonił fortuny przez nadmierną rozrzutność. Zwyczaj godny tylko pogardy! Nasi lordowie mają prawdziwie pański gest, prawdziwie pańską fantazję. I ja to u nich cenię. Nie wygadujmy na nich jak ci, co im zazdroszczą. Jestem wdzięczny pięknemu zjawisku, co trwa przez chwilę i znika. Nie mam światła, ale pada na mnie blask. Blask ten pada na moje wrzody, tak mi powiesz może? Idź do diabła! Jestem Hiob, co raduje się patrząc na Trymalchiona. O, daleka planeto, piękna i promienna! Mieć dla siebie poświatę tego księżyca – to już wiele. Zniszczyć lordów – takiego pomysłu nie podtrzymałby nawet Orestes, choć był szaleńcem nie lada! Kto by powiedział, że lordowie są szkodliwi czy niepotrzebni, ten powiedziałby właściwie, że należy ruszyć z posad państwo, że ludzie nie po to zostali stworzeni, by żyć jak bydło w stadzie, skubiąc trawę i dając się gryźć psom. Baran skubie pastwisko, a pastuch strzyże barana. I cóż bardziej sprawiedliwego być może? Ten, co sam skubał, zostaje oskubany w dwójnasób. Mnie jest to obojętne, jestem filozofem i tyle dbam o życie, co mucha. Życie to rzecz przemijająca. Kiedy pomyślę sobie, że Henryk Bowes Howard, hrabia Berkshire, posiada w swoich wozowniach dwadzieścia cztery galowe karoce, że jedna z nich ma uprząż ze srebra, druga – ze złota! Mój Boże, wiem, że nie wszyscy posiadają dwadzieścia cztery karoce galowe, lecz po cóż te próżne deklamację? Dlatego że było ci zimno jakiejś tam nocy? Nie tobie -jednemu! Inni też są zmarznięci i głodni. Czy wiesz, że gdyby nie mróz, Dea nie byłaby ślepa, a gdyby nie była ślepa, to by nie kochała ciebie! Rozumuj logicznie, bałwanie! A zresztą, gdyby wszyscy ci, co ich los porozrzucał po świecie byle gdzie, zaczęli się skarżyć, podniósłby się zgiełk nie do wytrzymania. Cisza musi być, ot co! Jestem przekonany, że Pan Bóg rozkazuje potępionym, żeby siedzieli cicho. W przeciwnym razie to Pan Bóg właściwie byłby potępiony, gdyby musiał słuchać ich wieczystego krzyku. Szczęście Olimpu istnieć może tylko za cenę milczenia Kocytu. Milcz więc, narodzie! Ja postępuję jeszcze, słuszniej: pochwalam i podziwiam. Wyliczyłem przed chwilą lordów, trzeba do tego dodać jeszcze dwóch arcybiskupów i dwudziestu czterech biskupów! Doprawdy, rozrzewnienie ogarnia mnie na myśl o nich. Przypominam sobie, że u rządcy, co odbierał dziesięciny dla wielebnego dziekana z Raphoe – a dziekan ów jest jednym z dostojników i państwa, i Kościoła – widziałem ogromną stertę najpiękniejszego zboża, zabranego okolicznym chłopom. Dziekan nie musiał się troszczyć o siew i o zbiór. Dzięki temu miał czas, by modlić się do Pana Boga. Czy wiesz, że pan mój, lord Marmaduke, był wielkim skarbnikiem Irlandii i wielkorządcą udzielnej posiadłości Knaresborough w hrabstwie Yorku? Czy wiesz, że wielki szambelan, która to godność jest dziedziczna w rodzinie książąt Lancaster, ubiera króla w dniu koronacji i otrzymuje za swój trud czterdzieści łokci karmazynowego aksamitu i łoże, w którym spał władca; i że odźwierny, z czarną laską drzwi przed nim otwiera? Proszę bardzo, spróbuj przeciwstawić się temu, że najstarszym wicehrabią Anglii jest sir Robert Brent, któremu tytuł ten nadał Henryk V. Wszystkie tytuły lordów pochodzą od posiadanych przez nich majętności. Wyjątek stanowi hrabia Rivers, tytuł jego – to własne rodowe nazwisko. A czyż nie jest podziwienia godne, że przysługuje im prawo nakładania podatków na innych, prawo pobierania, jak w obecnej chwili na przykład, renty czterech szylingów od funta szterlinga, które zostało przedłużone jeszcze na jeden rok, i tych wszystkich pięknych opłat od pędzenia wódki, od akcyz winnych i piwnych, od beczkowego, od jabłecznika, od gruszecznika, słodu, piwa, węgla i od stu innych rzeczy. Szanujmy to, co jest. Nawet duchowieństwo zależne jest od lordów. Biskup z Man jest poddanym hrabiego Derby. Lordowie mają specjalne dzikie zwierzęta, które umieszczają na swoich tarczach herbowych. Bóg natworzył ich gatunków zbyt mało, wymyślają więc nowe. Tak powstał dzik heraldyczny, który o tyle wyżej stoi od zwykłego dzika, o ile zwykły dzik stoi wyżej od wieprza, o ile pan udzielny stoi wyżej od księdza. Tak powstał gryf, orzeł wśród lwów i lew wśród orłów, który straszy lwy swymi skrzydłami, który straszy orły swoją grzywą. Mają oni jednorożca, węża, salamandrę, smoka, hipogryfa. Wszystko to nas przeraża, a im jest upiększeniem i ozdobą.

Mają swoje zwierzyńce, zwane herbami, w których ryczą nieznane potwory. Puszcza i jej najbardziej zdumiewające niespodzianki nie dadzą się nawet porównać z ich pychą. Próżność ich zaludniona jest zjawami, które poruszają się wśród niej niby wśród patetycznej nocy, z mieczami u boku, w zbrojach, w hełmach, w ostrogach, z berłem w ręku, i przemawiają poważnym głosem: „Jesteśmy twoimi przodkami!" Skarabeusze przegryzają korzenie, a potwory z tarcz herbowych przegryzają naród. Cóż? Czyż można zmienić prawa? Pan lenny – to część społecznego porządku. Czy wiesz, że pewien książę szkocki przegalopować może trzydzieści wiorst nie opuszczając swojej własnej ziemi? Czy wiesz, że lord arcybiskup Canterbury ma milion franków francuskich dochodu? Czy wiesz, że lista cywilna jego królewskiej mości wynosi siedem tysięcy funtów szterlingów rocznie, nie licząc zamków, lasów, włości, allodiów, prebend, dziesięcin i czynszów, konfiskat i grzywn, z których ma on razem przeszło milion szterlingów? Ci, których i to jeszcze nie zadowala, są zaiste bardzo wybredni.

– Tak – wyszeptał Gwynplaine – raj bogaczy został zrobiony z piekła ubogich.

XII. URSUS-FILOZOF DAJE SIĘ PORWAĆ URSUSOWI-POECIE

Weszła Dea; spojrzał na nią i tylko ją już widział. Taka jest właśnie miłość; świadomość naszą pochłania na chwilę jakaś myśl, wchodzi kobieta, którą kochamy, i oto wszystko, co nie jest jej obecnością, znika nagle, a ona nie domyśla się nawet, że, być może, zdmuchnęła jakiś cały świat.

W *Chaosie zwyciężonym* – nie wspomnieliśmy o tym jeszcze – nie podobało się Dei jedno słowo, słowo *monstro*, zastosowane do Gwynplaine'a. Zdarzało się też, że popełniała czyn nierozważny: (zastępowała je słowem *quiero,* które znaczy „ja tak chcę", wybranym z niewielkiego zapasu słów hiszpańskich, powszechnie wówczas znanych. Ursus nie bez pewnego zniecierpliwienia wprawdzie tolerował tę przeróbkę tekstu. Choć chętnie rzekłby Dei to, co za naszych już dni rzekł Vissotowi Moessard: „Nie masz szacunku dla repertuaru."

„Człowiek śmiechu." Taki kształt przybrała ostatecznie sława Gwynplaine'a. Imię jego, Gwynplaine, nie było znane nikomu prawie, znikło pod tym przezwiskiem jak twarz jego pod grymasem. Z maski było jego oblicze, z maski była jego popularność.

Imię to jednak przeczytać było można na wielkiej karcie, nalepionej na przodzie „Zielonego Pudła", na której widniał napis ułożony dla wiadomości gawiedzi przez Ursusa:

„Tutaj oglądać można Gwynplaine'a, porzuconego w dziesiątym roku życia, w noc dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego roku, na wybrzeżu Portlandu przez łotrów *comprachicos*, który z dziecka mężczyzną się stawszy znany jest dzisiaj pod imieniem Człowieka śmiechu".

Życie tej wędrownej trupy komediantów podobne było do życia trędowatych, w zamkniętym szpitalu i do życia szczęśliwych wybrańców na jakiejś Atlantydzie. Co dzień przeskakiwali gwałtownie od pokazywania się oczom ciżby wśród, zgiełku jarmarku do najbardziej całkowitego oderwania od wszystkiego, co działo się dokoła. Co wieczora powracali w ten swój świat. Byli niby umarli, co odchodzili, aby nazajutrz znowu się narodzić. Komediant – to latarnia, co zapala się i gaśnie miarowo, pojawia się i znika, co istnieje dla publiczności na kształt widma czy światełka w tym życiu pełnym migoczących ogników.

Po jarmarcznym gwarze następowała klasztorna cisza. Kiedy skończyło się przedstawienie, kiedy rozchodzili się widzowie i zgiełk rozbawionej ciżby rozpływał się, ginął w rozgałę-

zieniach uliczek, „Zielone Pudło” podnosiło swoją klapę, niby forteca zwodzony most, i przecinało się oto wszelkie połączenie z ludzkim gatunkiem. Po jednej stronie wszechświat, po drugiej – wnętrze wozu; a w wozie – swoboda, spokojne sumienie, odwaga, oddanie, niewinność, szczęście, miłość, wszystkie gwiazdozbiory.

Widząca ślepota i kochana brzydota siadały obok siebie, brały się za ręce, pochylały ku sobie skronie i szeptały cicho, w upojeniu.

Środkowa przegroda wozu dwu celom służyła: była ona teatrem dla publiczności i jadalnią dla aktorów.

Ursus, lubujący się w porównaniach, korzystał z tej różnorodności przeznaczeń i nazywał środkową część „Zielonego Pudła” *arradashem z* abisyńskiej chaty.

Ursus obliczał dochód z przedstawienia i zabierano się do wieczerzy. W miłości wszystko jest jak w bajce: kiedy się kocha, zwykłemu wspólnemu posiłkowi towarzyszy całe mnóstwo drobnych, ledwie dostrzegalnych, czułych gestów, co sprawiają, że kęs do ust podnoszony zamienia się w pocałunek. Zakochani piją piwo czy wino z jednego kubka, jakby spijali rosę z jednego kwiatu lilii. Dwie dusze przy wspólnej biesiadzie mają urok dwojga ptasząt. Gwynplaine posługiwał Dei, krajał jej, nalewał, przybliżał się, nazbyt nieco.

– Hm – chrząkał niechętnie Ursus i zaraz uśmiechał się mimo woli.

Wilk jadł pod stołem, obojętny na wszystko, co nie było kością do obgryzienia.

Vinos i Fibi jadały razem z nimi, lecz nie wadziły nikomu. Te dwie przygarnięte włóczęgi, na wpół dzikie, nie oswojone, rozmawiały między sobą po cygańsku.

Po wieczerzy Dea odchodziła do gyneceum, razem z Fibi i Vinos, Ursus uwiązywał Homo na łańcuchu pod „Zielonym Pudłem”, a Gwynplaine obrządzał konie i z kochanka stajennym się stawał, na podobieństwo bohaterów Homera i paladynów Karola Wielkiego. O północy wszyscy spali, wilk tylko, pomny swej odpowiedzialności, otwierał od czasu do czasu jedno oko.”

Nazajutrz po przebudzeniu spotkali się znowu. Jedli razem śniadanie składające się zwykle z herbaty i szynki; herbata już około roku 1678 weszła była w Anglii w powszechne użycie. Później Dea, według hiszpańskiego obyczaju, a z porady Ursusa, który ją za wątłą uważał, spała przez kilka godzin, a Gwynplaine i Ursus spełniali wszystkie czynności konieczne w ich koczowniczym życiu i na zewnątrz wozu, i w jego wnętrzu.

Gwynplaine rzadko kiedy oddalał się od „Zielonego Pudła”. Czynił to tylko w odludnych miejscach, na pustych drogach. W miastach wychodził tylko nocą, ukryty pod szerokim rondem nasuniętego na, czoło kapelusza. Nie chciał, by twarz jego, pokazywana na ulicy, spowszedniała.

Z odkrytą głową można go było oglądać tylko na scenie teatru.

„Zielone Pudło” nieczęsto zresztą zajeżdżało do miast. Pięć Portów – oto największe grody, jakie widział Gwynplaine do dwudziestego czwartego roku życia. A sława jego rosła. Sięgała ponad motłoch, wznosiła się coraz wyżej. Amatorzy jarmarcznych widowisk, goniący za osobliwością i cudownością, dowiadywali się, że gdzieś, to tu, to tam, stale w wędrówce, istnieje twarz-maska, jedyna w swoim rodzaju. Mówiono o niej, szukano jej, wypytywano się, gdzie jest. Człowiek Śmiechu stawał się słynny naprawdę. Blask jego sławy padał i na *Chaos zwyciężony*.

Aż wreszcie dnia pewnego Ursus, uniesiony ambicją, powiedział:

– Pojedziemy do Londynu.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO